

ILONA GOŁĘBIEWSKA

Opowieść o mocy
przeznaczenia i rodzinnych
tajemnicach, które tworzą
historię każdego domu

Tajemnice
starego domu



ILONA GOŁĘBIEWSKA

Tajemnice starego domu



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Izabella Marcinowska*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz, Daria Armańska*

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe. Prawdziwe są tylko miejscowości, w których rozgrywa się akcja powieści: Pniewo, Pułtusk, Wyszaków i Warszawa.

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© Stockphoto.com/FooTToo

© Elina-Lava/Shutterstock

© mkos83/Shutterstock

© by Ilona Gołębiowska

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2017

ISBN 978-83-287-0789-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Powieść dedykuję moim Babciom i Dziadkom:

*Jadwidze i Henrykowi Kuczyńskim,
za stary dom w Pniewie, moje szczęśliwe dzieciństwo
oraz Waszą miłość do kultury i sztuki regionu,*

*Teresie i Franciszkowi Gołębiwskim,
za stary dom w Nowej Wsi, Waszą życzliwość i wsparcie
oraz mądre rozmowy o życiu.*

Byliście, jesteście i będziecie częścią mojej historii.

Dzisiaj jest dzień, aby być szczęśliwym!

Wczoraj: już przeminęło.

Jutro: dopiero nadejdzie.

*Człowiek jest tajemnicą, z tajemnicy przybywa
i w tajemnicę odchodzi.*

MARIA DĄBROWSKA

Spis treści

Prolog

W tym miejscu czas się zatrzymał

Rozdział I

Z rodzinnego albumu – o pierwszej Wigilii w starym domu, niezwyklej przyjaźni pokoleń, szczęśliwej miłości i tajemnicy, która nie pozwala zaznać spokoju

Rozdział II

O strachu przed utratą nadziei, małej dziewczynce z zapomnianego zdjęcia i podziemnym schronie, będącym miejscem dla osamotnionych

Rozdział III

O nowych perypetiach Doroty, kartonowym pudełku pełnym skarbów z przeszłości, tajemniczym adresie i dziwnym najściu na dom babci Jasi

Rozdział IV

W którym układam z Maćkiem przemyślny plan, dostaję dobrą radę od sąsiada, spełniam dziecięce sny i wariuję razem z miłością mojego życia

Rozdział V

Życie w rytmie tajemnic – o wersalce pełnej skarbów, przyjacielu z dawnych lat, podstępnej grze świata biznesu i liście od wnuka niezwyklej kobiety

Rozdział VI

Siła kilku zapisanych słów – o tym, jak trudno czasem odpowiedzieć na list, o sfałszowanym kontrakcie, dawno zapomnianym adresie i wniosku, który ma być biletem do szczęścia

Rozdział VII

O wyczekiwanych wieściach od Temidy, zbuntowanym pacjencie, rozmowach prowadzonych nocą i prawdziwym cudzie w życiu Doroty

Rozdział VIII

Na tropie szczęścia – o nocnych rozmowach z przyjacielem, kryzysie przyjaciółki, udowadnianiu wielkiej miłości i adresie, pod którym mieszka przeszłość

Rozdział IX

W którym szukam śladów dziewczynki ze zdjęcia, udowadniam, że serce nie może się mylić, świętuję wielką wygraną i spotykam wnuka niezwyklej kobiety

Rozdział X

Codzienne podarunki szczęścia – o bohaterach obozowego piekła, psotnym losie i spotkaniu, które zmienia całe życie

Rozdział XI

Trudna sztuka wybaczenia – o wakacjach pełnych wyzwań, ogromnej tęsknocie i zdrajcy, który wybierał pomiędzy życiem a śmiercią

Rozdział XII

O listach do Elizabeth, przeszkodach na drodze do rodzinnego szczęścia, sztuce niezwyklego artysty i dobrych chęciach, które mogą spowodować poważne kłopoty

Rozdział XIII

Różne odcienie miłości – o kłamstwie w wielkiej sprawie, próbie rozliczenia się z trudną przeszłością i poważnych rozterkach małego chłopca

Rozdział XIV

Pewna jest tylko zmiana – o czekaniu na chwilę prawdy, powrocie dawnej miłości, decyzji Temidy, zdecydowanym „tak” i kobiecie, która niszczy wszystko na swojej drodze

Rozdział XV

Człowiek to tajemnica – o miłości noszącej znamiona zemsty, liście nazwisk zamkniętej w drewnianej skrzyni i trudnych decyzjach

Epilog

Historia pokoleń pisania wspomnieniami

Słowo od autorki

Prolog

W tym miejscu czas się zatrzymał

Cisza czarnej jak smoła nocy od dawna była dla Alicji najlepszym lekarstwem na bezsenne godziny. Ogrzewała dłonie, trzymając kubek wypełniony po brzegi słodką czekoladą. W powietrzu unosił się jej aromat. Lubiła takie beztroskie noce. Tylko ona i cisza. Spojrzała w okno, na którym mróz wymalował misterne witraże. Kiedy była małą dziewczynką, wierzyła, że w ciemną noc do każdego domu przychodzi dobra wróżka, by ustroić okna malowanymi szronem kwiatami, pióropuszcami, gałązkami. Chciała tym sprawić wielką radość małym dzieciom, by w zimowe poranki mogły cieszyć się tak pięknym widokiem.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Ile zostało w niej jeszcze z tej małej Alicji, która wierzyła, że świat jest krainą szczęśliwości, a każdy spotkany człowiek ma dobre zamiary? Życie bardzo szybko pozbawiło ją złudzeń. Brutalnie zabrało wszystko, co było dla niej najważniejsze.

Nie będzie myśleć o tym teraz! Niech magia tej nocy trwa jak najdłużej. Przecież w tym miejscu, w tym starym domu, miała cały swój świat na wyciągnięcie ręki. Jakby czas się zatrzymał i dał gwarancję szczęścia dla jej rodziny.

Wstała cicho od stołu. Podeszła do dębowych drzwi i delikatnie je uchyliła. Jej oczom ukazał się największy skarb, jaki mogła dostać od losu. Dwoje małych urwisów, Rozalka i Michałek. Codziennie wypełniają te stare drewniane ściany radosnym śmiechem, zabawą i niezliczoną ilością pytań.

Ile to już razy siedziała przy nich w nocy i słuchała ich spokojnych oddechów, jak matka czuwała całą noc przy nich i dziękowała w myślach za ten cud.

Rozalka i Michałek są dla Alicji prawdziwym cudem. Zna na pamięć każdy szczegół ich twarzy, zna ich wszystkie tajemnice, marzenia, obawy. Zawsze jest przy nich. Pomaga im iść przez życie. Wie doskonale, czym jest prawdziwie bezinteresowna miłość.

Michałek zazwyczaj śpi w kącie łóżka. Jakby się chciał przed kimś schować. Tuli do siebie pluszowego misia, którego dostał od rodziców.

Bardzo za nimi tęskni i chce o nich wiedzieć jak najwięcej. Jeszcze do niedawna miał złe sny. W nocy tak mocno ścisnął dłońmi poduszkę, że rano miał opuchnięte piąstki. Teraz jest już lepiej. Ma spokojniejszy sen. Powoli oswaja demony przeszłości.

Za to Rozalka ciągle się odkrywa, często się budzi. Potrafi swoim płaczem postawić na nogi cały dom. Chce mieć wszystkich blisko siebie. Wciąż jest w niej lęk, że za chwilę znowu zostawi ją ktoś z rodziny. Ciągłe dopytuje, czy jeszcze kiedyś będzie mogła zobaczyć swoją mamę. Każdej nocy przed zaśnięciem zadaje trudne pytania.

Rozalka i Michałek. Dwa małe skarby Alicji, dla których ten stary dom stał się bezpieczną przystanią. To tutaj będą wracać z niebezpiecznych rejsów swojego życia. Za każdym razem będą na nich czekać najbliżsi, którzy zawsze uchronią ich przed złem.

Alicja okryła dzieci kołdrą i każde pocałowała w policzek. Po raz kolejny poczuła wdzięczność, że może być częścią ich życia. Po cichu wyszła z pokoju i zajrzała w sąsiednie, uchylone drzwi.

Jej ciało przeszły przyjemny dreszcz, będący połączeniem miłości, pożądania i nadziei. W łóżku spał Adam. W białej pościeli, z odsłoniętym torsem wyglądał niczym grecki bóg z obrazu słynnego malarza. Zawsze, gdy ukradkiem obserwowowała śpiącego Adama, widziała nie tylko jego piękne ciało, widziała przede wszystkim mężczyznę, który pokochał ją całym sercem. Przegnał wszystkie lęki i sprawił, że na nowo pokochała życie. Był jej przyjacielem, jej obrońcą, jej wielką miłością.

Posłała Adamowi pocałunek na dobry sen i wróciła do kuchni. Pod wpływem magii tej zimowej nocy postanowiła wyjść na zewnątrz.

Włożyła kurtkę i ciepłe buty. Już po chwili stanęła na ukochanej werandzie. Wciągnęła głęboko w płuca mroźne powietrze. Białe płatki rozpostarły na zmarzniętej ziemi lekki śnieżny dywan. Podwórze wyglądało jak zaczarowana kraina z bajki. Czowała całą duszą, że na pewno jest we właściwym miejscu i że tutaj czas się zatrzymał. Zamknęła oczy. Powróciły wspomnienia.

Przypomniała sobie, jak w zimowe noce siedzieli razem z dziadkiem okryci ciepłymi kocami na werandzie, by móc podziwiać nocne niebo usiane gwiazdami. To były te chwile, które na zawsze miały zapisać się w pamięci

małej Alicji.

– Tak śmiesznie wirują, a potem hop! I już są na ziemi! Ciekawe, czy je boli, kiedy spadają?

Tamtej nocy był siarczasty mróz, ale Alicja uparła się i namówiła dziadka na nocne oglądanie gwiazd. To była jej ulubiona zabawa.

– To tylko płatki śniegu, nic nie czują. Chociaż są też podobne do ludzi.

– Są podobne do nas? Ciekawe jak?

– Widzisz, jeśli na ziemię spadnie jeden płatek, to wystarczy chwila i już go nie ma. Ale jeśli w jedno miejsce spadnie wiele płatków, wtedy warstwa śniegu robi się gruba i długo się utrzyma. Nawet przez kilka dni.

– I jutro zrobimy z niej bałwana! Zaraz jak tylko wstanę! Obiecuj, dziadziusiu!

– Obiecuję, jutro będzie stał przed domem piękny bałwan. A teraz posłuchaj dalej... Jeden płatek to tak jak jeden człowiek. Może sobie radzić przez bardzo długi czas, ale przyjdzie taki moment, że już sam nie da rady. Samemu w życiu jest naprawdę bardzo ciężko.

– A dużo płatków to dużo ludzi. Tak jak u nas! Zawsze trzymamy się razem!

– Mądra z ciebie dziewczynka. Dużo płatków to tak jak dużo ludzi. Jeśli są razem, to mogą sobie nawzajem pomagać. Wtedy mają więcej siły, nie można ich pokonać.

– Ale przecież my nie jesteśmy sami! Jestem ja, jesteś ty, są babcia, mama, tata. Jest nas dużo!

– Masz rację, moja perełko kochana. Tylko pamiętaj, że jak już będziesz duża, to zawsze miej dobre serce dla ludzi i staraj się ich mieć za swoich przyjaciół. Będzie ci w życiu łatwiej i nigdy nie będziesz sama. Tak jak teraz.

– A ty kiedyś byłeś sam?

– Na szczęście zawsze miałem obok siebie wspaniałych ludzi. To oni pomogli mi przeżyć najgorsze chwile mojego życia. Mieli wiele twarzy, wiele imion. I dobre serca.

Mądre to były rozmowy. O życiu, ludziach, marzeniach. Stały się dla niej drogowskazem na całe dorosłe życie. Ich wspomnianie było jak koło

ratunkowe. Bezczenne w sytuacjach, gdy wydawało się, że życie nie ma już sensu i próżno szukać nadziei. W życiu Alicji było wiele chwil, gdy smutek i zwątpienie mieszały się z brakiem wiary we własne siły i w sens życia. Powodem byli nie tylko źli ludzie. Alicja straciła też wolę walki, walki o siebie i swój los.

To właśnie tu zaczęła swoje życie od nowa. Po latach wróciła jednak do starego domu. Dzień po dniu budowała własne szczęście na silnych fundamentach. Niedługo minie rok od jej powrotu. Rok cudów. Bo inaczej go nazwać nie można. Kilka miesięcy wywróciło jej życie do góry nogami, sprowadziło szczęście i odbudowało wiarę w ludzi.

Ten powrót zmienił na zawsze życie Alicji. Czas wystawił jej serce na wiele ciężkich prób. Zwyciężyła. Walka uczyniła z niej kobietę silną i niezależną, która już nie pozwoli, by jej szczęście zburzył zły los.

Historia zatoczyła krąg. Stary dom na nowo stał się centrum jej świata, twierdzą, do której prowadzą wszystkie drogi. Ten dom to czas i ludzie, o których pamięć nigdy nie zblaknie, to wspomnienia, ale i nieopowiedziane dotąd historie.

Życie trwa dalej.

Z przeszłości powracają tajemnice starego domu...

W starym domu dziś znalazłam spokój tamtych lat,

Powróciły te wspomnienia niczym serca znak.

To jest przystań na kolejne życia rozdziały,

Krucze chwile naszej miłości prawdą się stały.

W szalonym pędzie czas zatoczył wielki krąg,

Na mojej mapie znów jest dzisiaj stary dom.

Rozdział I

*Z rodzinnego albumu – o pierwszej Wigilii
w starym domu, niezwyklej przyjaźni
pokoleń, szczęśliwej miłości i tajemnicy,
która nie pozwala zaznać spokoju*

Czas i miejsce spraw najważniejszych

Podwórko migotało milionem światełek. Delikatnie płatki śniegu tworzyły na ziemi puszysty dywan. Drzewa, domy, płoty i drogi były jak z bajki, jak z pogranicza jawy i snu. Na dworze panowała cudowna cisza. Wydawało się, że słycać szelest prószonego śniegu. Gwiazdy na nocnym niebie świeciły mocniejszym niż zwykle blaskiem. Mroźne powietrze przypominało, że to środek srogiej zimy. Jednak serca przepełniały błogi spokój i radość, że ten wymarzony dzień stał się prawdą. Na wyciągnięcie ręki był świat wypełniony po brzegi szczęściem i miłością.

Stary dom przypominał miejsce wprost z baśni o Królowej Śniegu i jej krainie. Na dachu piętrzyła się coraz większa warstwa białego puchu, co sprawiało, że dom podobny był do ciastka z dużą porcją bitej śmietany. Z komina unosił się siwy dym. Prosto do nocnego nieba. Na werandzie świeciły delikatnie lampki w kształcie sopli lodu. Równo rozwieszone wyglądały jak brylanty. Ale to nie było jedyne światło tej zimowej nocy. Przez lekko uchylone okiennice można było dostrzec wnętrze starego domu i zobaczyć jego mieszkańców. Od tego niezwykłego widoku było cudowne ciepło. Miało się nieodpartą chęć, żeby zapukać do drzwi i dołączyć do domowników.

Pośrodku dużego pokoju stała choinka, której zapach roznosił się po całym domu. Dziesiątki lampeczek i przecudne ozdoby były dumą dzieci. Przy choince stał stół przykryty białym obrusem. Na nim równo ułożona biała zastawa dla każdego gościa. I jedno puste miejsce czekające na zbłąkanego wędrowca. Przecież zawsze ktoś mógł zapukać do drzwi. Pod obrusem gospodarz domu ukrył siano i biały opłatek na pamiątkę wydarzeń sprzed dwóch tysięcy lat. W tle radosnych rozmów słycać było kolędy. Wszystkim towarzyszyła ta sama myśl: to spełnienie marzeń o ciepłym domu i rodzinie, które pozwoli pokonać wszystkie trudności na krętych drogach życia.

Tak właśnie wspominam ten niezwykły dzień i nasz stary dom, który po tylu latach na nowo stał się miejscem dla zbłąkanych wędrowców. Przecież każdy człowiek czegoś się boi, kogoś kocha i coś stracił. Jesteśmy do siebie tacy podobni. Radość i szczęście są wyborem. Teraz już to wiemy. Ale musieliśmy przejść naprawdę długą drogę. Wszyscy ją przeszliśmy. Poturbowani przez życie, szukający swojego miejsca i kogoś, kto poda pomocną dłoń i powie, że już nigdy nas nie opuści.

Szczególnie ja, Alicja Pniewska, właścicielka starego domu i pani swojego życia. Wreszcie mogę tak o sobie powiedzieć. Jeszcze rok temu moje życie ani odrobinę nie przypominało obecnego. Wtedy myślałam tylko o tym, że ktoś zabrał mi prawo do szczęścia, a ja nie mam już siły o nic walczyć. Nie miałam nawet siły do życia. Chciałam zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Wtedy widziałam tylko jedno wyjście, ale na szczęście niektóre życzenia się nie spełniają.

W moim kominku dopala się właśnie skwierczący ogień. Jeszcze przed chwilą jasne płomienie zdawały się szukać ucieczki. Teraz zapadła cisza. Jest tak błogo. W powietrzu wciąż unosi się zapach pomarańczy i goździków. Rozalka i Michałek poustawiali swoje kompozycje w całym domu. To oni odpowiadali za świąteczne dekoracje i ustrojenie choinki. Dzięki dzieciakom te ostatnie święta były czasem tak niezwykłym.

Dzisiaj mija dokładnie miesiąc od Wigilii, kiedy zasiedliśmy w komplecie przy świątecznym stole.

Pamiętam doskonale każdą sekundę.

– Zuzia mówi, że Święty Mikołaj nie istnieje, bo go jeszcze nigdy nie widziała. – Michałek od rana wyczekiwał najważniejszego gościa. W liście do Świętego Mikołaja skromnie wyjaśnił, że był w tym roku nadzwyczajnie grzeczny. Nawet wspomniał, że dzięki niemu powstała nowa rodzina! Mój mały chłopiec!

– Michałku, Święty Mikołaj co roku odwiedza Zuzię i Zosię zawsze wtedy, gdy już smacznie śpią. Przecież ma bardzo dużo pracy w Wigilię i nie może wszystkich odwiedzić przy kolacji. Po prostu by nie zdążył –

tłumaczyła Dorota z niezwykłym spokojem. Razem z Maćkiem i dziewczynkami byli najbardziej wyczekiwanymi gośćmi w starym domu.

– Czyli jest szansa, że do nas dzisiaj naprawdę przyjdzie? – Michałek szukał sposobu na ściągnięcie do domu radosnego staruszka.

– Masz moje słowo, że przyjdzie. A ja zawsze słowa dotrzymuję, prawda? – wtrąciłam swoje trzy grosze, widząc wielkie strapienie na twarzy mojego chłopca.

– Bo jesteś najlepszą mamą Alicją pod słońcem! – Rzucił mi się na szyję i obsypał słodkimi jak miód pocałunkami. Zawsze będę powtarzać, że spotkanie Michałka było najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostałam od życia.

– A dziadziusia też kochasz? – zapytał nieśmiało Henryk Sokolski.

Siedział pod kaflowym piecem i miał zamknięte oczy. Ubrany odświętnie, z przyszczyżonymi włosami i brodą wyglądał jak mędrzec z dawnych baśni i legend. Doskonale wiedziałam, co też może zaprzętać jego myśli.

Skoro świt przyszedł do starego domu, by snuć opowieści o Wigilii, którą przeżył w obozie razem z moim dziadkiem Janem i innymi więźniami. Nawet w tym piekle chcieli stworzyć chociaż na chwilę namiastkę domu i rodzinnej świątecznej wieczerzy. Wigilijnym daniem były skórki chleba, które więźniowie gromadzili przez kilka dni. To był symbol ich jedności w tych trudnych chwilach i olbrzymiej nadziei, że kolejne święta spędzą ze swoimi rodzinami. Ale tylko wybrani mieli to szczęście. Sokolski był jednym z nich. I mój dziadek, któremu także dane było wrócić do domu.

– Kocham cię, dziadku, tak bardzo, ile jest patyków w lesie! Na całym świecie! Jesteś najlepszym dziadkiem pod wszystkimi kometami kosmosu!

– Dziecko drogie, ja już wszystko mam, a nawet więcej.

Henryk otworzył zmęczone oczy i spojrzał na Michałka wzrokiem pełnym szczęścia i wdzięczności.

Nadszedł ten niezwykły czas. Wieczerza wigilijna. Michałek z dziewczynkami wypatrzyli na niebie pierwszą gwiazdkę i tradycji musiało stać się zadość. To był uroczysty moment. I bardzo wzruszający. Ze śnieżnobiałym opłatkiem w dłoni podchodziliśmy do siebie, by nawzajem życzyć sobie tego wszystkiego, czego wyczekiwały nasze serca. Czas na

moment wstrzymał swój bieg. Ściany starego domu nasłuchiwały naszych życzeń i wyznań. Były świadkiem spojrzeń pełnych miłości, szacunku i troski. Takie chwile zapamiętuje się na zawsze...

Na pięknie udekorowanym stole kusilo dwanaście świątecznych potraw. Wszyscy mieli swój udział w ich przygotowaniu. Niektóre sama wyczarowałam, a inne wyszły spod ręki babci Jasi, Dorotki i Adasia. Pani Irenka też nam zrobiła miłą niespodziankę i przyniosła jeszcze kapustę z grochem i grzybami. Był oczywiście kompot z suszonych owoców, kluski z makiem, duszonka z dorsza, sabelwon, bliny, kapusta z grzybami, żur wigilijny, ziemniaki z kurkami, barszcz czerwony i wiele innych potraw.

Zasiedliśmy do stołu. Patrzyłam na moją rodzinę i przyjaciół jak na największy cud świata. Ile razy przyrzekałam sobie, że jeszcze kiedyś będę mieć blisko osoby, dla których jestem ważna? Jak często siedziałam sama pośród ciemnej nocy i wyglądając przez okno, zastanawiałam się, czy gdzieś na świecie jest ktoś, kto czuje tak jak ja? Czy są ludzie, dla których najważniejsza w życiu jest rodzina? Teraz już znam odpowiedzi na te pytania. Mam to, czego tak szukałam przez całe życie. Mam swój stary dom i swoją rodzinę.

– Babciu! Jeśli jednak zostaniesz sama z Jowiszem, to pamiętaj, o co cię prosiłem. – Michałek od kilku dni nie mógł się zdecydować, czy iść ze wszystkimi na pasterkę, czy może jednak zostać w domu i o północy porozmawiać z ukochanym kotem.

– Pamiętam, moje serduszko. Mam zapytać, czy Jowisz lubi, jak go bujasz na huśtawce.

– Babciu, a ode mnie zapytaj go, czy lubi, jak mu wiążę na szyi czerwoną kokardę. – Rozalka także wierzyła, że o północy Jowisz przemówi.

– Już nie męczcie babci. Jowisz na pewno powie jej coś ciekawego. A teraz jedzcie, bo zaraz będą...

– Prezenty!!! – odpowiedziały dzieci chórem. – Mikołaj je zostawił? – dopytywały.

– Tak, był w waszym pokoju i zostawił je na łózkach. Musiał wejść przez komin.

No i się zaczęło! Najpierw było marudzenie, że Święty Mikołaj nie jest do

końca w porządku, bo dzieciaki napisały przecież tyle listów, a on się nawet osobiście nie pofatygował z nimi porozmawiać. Potem było dochodzenie – jak to możliwe, że tak gruby staruszek zdołał wejść przez komin. Wszyscy dwoili się i troili, by sensownie wszystko wytłumaczyć. Zadanie było trudne, ale udało się!

Ja dostałam od dzieci niezwykły prezent! Piękną kompozycję z płatków suszonych kwiatów! Maluchy same to wymyśliły! Jak przyznał potem Michałek, w lecie nazbierali płatków kwiatów i powkładali do książek, żeby się zasuszyły.

– To taki ogród na zimę. Żeby nie było ci smutno, że do lata jeszcze tak daleko. – Michałkowi aż się oczy świeciły ze szczęścia. Nie przypuszczał, że ich niespodzianka zrobi na mnie tak duże wrażenie. Aż się popłakałam!

– Oprawię w ramki i postawię na biurku. Teraz u mnie przez cały rok będzie lato!

Wieczór wigilijny minął pod znakiem szczęścia. Każde nasze spojrzenie, gest, słowo – wszystko było bezcenne. A przecież to dopiero początek naszej wspólnej historii. Tylko od nas zależy, jak dalej będzie wyglądało nasze życie. Teraz już wiem, że szczęście jest tylko częścią miłości. Zwyczajnie trzeba się nauczyć o nie walczyć. Cierpienie także należy do miłości. Jest tłem dla szczęścia. To jest tajemnica miłości.

Pojechaliśmy na pasterkę. W domu została babcia Jasia i Henryk, zmęczeni po dniu pełnym emocji. Równo o północy rozpoczęła się msza w pniewskim kościele wypełnionym po brzegi ludźmi. Na ich twarzach widać było zadumę. Każdy w skupieniu przeżywał czas wielkiej nadziei. Nasze maluchy ustawiły się grzecznie przy stajence betlejemskiej i podziwiały ruchome figury. Były zachwycone! Dorota musiała jednak co jakiś czas strofować Michałka i dziewczynki. Wpadli na pomysł, że można co nieco poprzestawiać dekoracje w bożonarodzeniowej inscenizacji!

A ja? Wtuliłam się w Adama i zamknęłam oczy. To była moja definicja szczęścia. Jeszcze rok temu wszystko wydawało się być złudnym marzeniem. To był trudny czas. Musiałam się podnieść i walczyć. O szczęście dla siebie.

Dla innych. Dla nas. Było warto! Zwyciężyłam wszystko, co złe!

Siła pokoleń

– Kiedy będą następne ferie? – Michałek siedział właśnie nad puzzlami, których mnóstwo dostał od pani Irenki. Miał nie najlepszy humor, bo tego dnia musiał rozstać się na dłużej z Rozalką. Pojechała z Adasiem do lekarza do Warszawy.

– Michałku, przecież ferie dopiero co się skończyły. Teraz czas brać się za naukę, jeśli naprawdę chcesz zostać w przyszłości astronautą. Przecież to twoje marzenie, prawda? – Babcia Jasia krzątała się po kuchni, co jakiś czas zerkając z uśmiechem na ukochanego wnuczka.

– Chcę być astronautą, żeby polecieć do nieba do mamy i taty. Ale coraz mniej lubię szkołę! Ferie i wakacje są za krótkie! To nie jest sprawiedliwe.

– Marudzisz od rana. Za chwilę będą naleśniki z jagodami. Twoje ulubione. Na pewno poprawią ci humor. – Babcia Jasia ze wszystkich sił starała się rozweselić Michałka.

– Rozalka mówiła, że w innych krajach dzieci nie muszą tyle chodzić do szkoły. Mają więcej wakacji i ferii. Mamo, może przeprowadzimy się do Afryki? – zapytał nieśmiało.

Spojrzałam na jego zatroskaną buzię. Wypowiedane przez niego słowo „mamo” za każdym razem przyspiesza bicie mojego serca. Odkąd w ubiegłe wakacje zaczął tak do mnie mówić, czuję się jak ktoś, kto urodził się powtórnie. I co najważniejsze, mam dla kogo żyć.

– Do Afryki? Naprawdę nie wiem, skąd bierzesz te swoje pomysły. W Afryce dzieciom jest bardzo ciężko. O ile w ogóle mogą chodzić do szkoły – odpowiedziałam z poważną miną, chociaż ledwie powstrzymałam się od śmiechu. Czekałam na kolejną serię jego pytań.

– Bo nawet nie mają domów? – zauważył mądrze.

– Właśnie, niektóre nawet nie mają domów. Bardzo by chciały chodzić do szkoły. A ty zostawiłbyś babcię i mnie?

– Nigdy was nie zostawię! – Dla potwierdzenia swoich słów podbiegł do

babci Jasi, by dać jej całusa, a potem przyłgnął do mnie w mocnym uścisku.
– W starym domu jest najlepiej! I mam stąd blisko do szkoły!

– Blżej się już nie da. – Babcia Jasia spojrzała na mnie wzrokiem przepelnionym radością. Ostrożnie przewracała na patelni kolejny naleśnik.

Prawda jest jednak taka, że za pogodnym spojrzeniem babcia Jasia skrywa coraz gorsze samopoczucie. Z dnia na dzień niknie w oczach. I chociaż stara się to ukryć, doskonale wiemy, że specjalnie zwięża swoje ubrania. Nie chce nas martwić. Nie lubi, jak zwracamy na nią uwagę. Jakby nie chciała nam przeszkadzać. A przecież jest dla nas bardzo ważna. Każdy jej gorszy dzień wywołuje u nas strach. Jesteśmy przygotowani na to, że w każdej chwili może się okazać, że trzeba będzie jechać do lekarza lub wzywać karetkę.

Tak było zaraz na początku roku. Babcia Jasia czuła się dobrze i nic nie zapowiadało tak dramatycznych chwil. Ale nagle zasłabła. Szybki przyjazd pogotowia i interwencja lekarzy uratowały jej życie. A tak mało brakowało... W szpitalu powiedziała mi tylko, że na razie nigdzie się nie wybiera. Chce doczekać momentu, kiedy dowie się, że zaadoptowałam Michałka.

Też czekam na ten moment. Nie będzie łatwo. Ale razem wszystkiemu podołamy. Staramy się z całych sił, by babcia Jasia była z nami jak najdłużej. Przyszło nam się zmierzyć z jej starością. A tej zawsze należy się szacunek.

Michałek lubi chodzić do szkoły, tylko czasami narzeka na poranne wstawanie, bo jest leniuchem i chciałby sobie dłużej poleżeć. Razem z Rozalką bardzo się cieszą, że każdego dnia mogą spotkać się na kilka godzin z kolegami i co raz opowiadają w domu o nowych ciekawych zajęciach. Jestem o nich spokojna, mają wspaniałą opiekę. Za to ja mam teraz więcej czasu, bo gdy są w szkole, pracuję nad kolejnymi projektami ogrodów. Układ idealny!

Michałek coraz więcej rozumie. Czasami mam wrażenie, że jest bardziej dojrzały niż niejeden dorosły. Dużo rozmawiamy o wypadku jego rodziców i dziadka. Ma świadomość, że już nigdy ich nie zobaczy. Ale robi wszystko, by o nich nie zapomnieć. Często ogląda płytę z fragmentami filmów, na których ich uwieczniono. To jest dla niego namiastka ich obecności. Na szafce obok swojego łóżka postawił ich zdjęcia. Przed snem śle im zawsze buziaki. Raz w tygodniu idziemy na cmentarz na ich grób. Razem z Henrykiem Sokolskim, który stał się dla Michałka ukochanym dziadkiem.

Łączy ich wielka przyjaźń. Uwielbiam podsłuchiwać ich rozmowy.

– Na wiosnę zbudujemy dla Nadziei porządną budę. Ona też musi mieć swój dom. Potem zrobimy nowe drzwi do ziemnej piwnicy. W starych wystają niebezpieczne drzazgi. Na pewno na wiosnę będziecie chcieli się tam bawić. – Henryk stał się aniołem stróżem starego domu. Dbą o podwórko, naprawia wszelkie usterki i wciąż robi dzieciakom jakieś niespodzianki.

– A czy buda może być kolorowa? Jak tęcza? Albo na przykład niebieska w białe kropki? – zapytał Michałek nieśmiało.

– Będzie taka, jak sobie wymyślisz.

– To się Nadzieja ucieszy! Jest dziewczyną, a dziewczyny lubią kropki. Rozalka wszystkie sukienki ma w kropki.

Henryk jest dla Michałka kimś bardzo ważnym. Stali się nierozłączni. Gdy dziadek pomieszkuje w budynku gospodarczym, Michałek chce u niego spać. To taka jego metoda na przekonanie Henryka, by wreszcie zabrał go do swojego schronu. Jak dotąd nic nie wyszło z jego planów. Ale oczywiście mój mały uparciuch się nie poddaje! Są przykładem na to, że przyjaźń łączy pokolenia. Nawet jeśli dzieli je różnica kilkudziesięciu lat.

Sokolski bardzo się zmienił, odkąd mieszkańcy Pniewa dostrzegli w nim bohatera, a nie dziwaka z leśnej głuszy. Chcą go mieć za przyjaciela. Bo wiedzą, że Henryk to człowiek honoru. Niezłomny. Zaświadczył o tym swoim życiem. Dlatego ja nie naciskam, by nagle dla nas je zmienił. Wciąż jego domem jest schron w lesie. Tak już na pewno zostanie. Starych drzew się nie przesadza. Ale Henryka ciągnie teraz do ludzi. Uwielbia nas odwiedzać. Czasami przez kilka dni mieszka u nas w budynku gospodarczym. Ma tam przecież swoje cztery ściany, swój kąt wyremontowany specjalnie dla niego. Raz został na dłużej. W połowie grudnia był siarczysty mróz. Schron nie był wtedy najlepszym miejscem dla schorowanego starca.

W okolicy Sokolski stał się prawdziwą legendą. Nie ma tygodnia, by nie odezwał się do mnie ktoś z mediów. Chcą, bym namówiła go na udzielenie wywiadu. Od razu odmawiam. Henryk nie chce zamieszania wokół siebie. Ciągłe powtarza, że przeszłość zbyt mocno boli, by na okrągło o niej opowiadać. Woli wspominać swoją ukochaną Małgorzatę. Odkąd na grobie moich rodziców i dziadków pojawiła się tablica ją upamiętniająca, Henryk

jakby odzyskał spokój. Teraz już ma pewność, że Małgosia nie zostanie zapomniana. Pobyt w obozie i jej tragiczna śmierć nie będą tylko mglistym wspomnieniem.

Razem z Henrykiem mamy swój mały rytuał. Gdy mieszka w budynku gospodarczym, a moi domownicy pójdą spać, uciekam do niego w środku nocy. Razem odtwarzamy minione chwile. Potrafimy godzinami wspominać przyjaźń Henryka i mojego dziadka Jana. Dzięki tym opowieściom zdobywam wiedzę o swojej rodzinie. Tak szybko wszystkich straciłam. Nie było czasu dobrze ich poznać. Za to Henryk pamięta najdrobniejsze szczegóły. Dużo mówi o uwięzieniu w Stutthofie i wciąż podkreśla, że to mój dziadek ocalił mu życie.

– Nikt tutejszy nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić tego piekła. Tego nie da się opisać słowami. Bez Jana nie umiałbym walczyć o kolejny dzień.

– Do końca wierzył w wasze ocalenie... – Zamyśliłam się.

– Jan był silny. Jego wiara była nie do opisania. Czasami był jak szaleniec, który snuje wielkie wizje. Zarażał mnie swoim optymizmem. Dzięki niemu przeżyłem.

– Dowodem jest jego pamiętnik z obozu. Między wierszami da się wyczytać tę ogromną nadzieję.

– Ten pamiętnik to było coś naprawdę wielkiego... Mało który z więźniów rozumiał, dlaczego Jan opisuje w nim obozową rzeczywistość. Mało kto widział w tym sens. Twierdzili, że to strata czasu. Nie wierzyli w wyzwolenie.

– Dziadek chciał mieć namiastkę codzienności?

– Ciągłe powtarzał, że pamiętnik ma nas ocalić od zapomnienia, zmusić do tego, by zaraz po obudzeniu myśleć tylko o jednym. O powrocie do domu.

Dziadek miał rację. Pamiętnik ocalił od zapomnienia i jego, i wszystkich więźniów. Na jego kartach zapisane są uczucia, wobec których nie sposób pozostać obojętnym. Czuję nieodpartą pokusę, by wydać ten pamiętnik. Ale czy dziadek byłby zadowolony z tego pomysłu? Pewnie nie, przecież sam mówił, że nie można ciągle żyć przeszłością. Wystarczy o niej pamiętać. Jak on pamiętał w obozie smak wolności, której doświadczył jako młodzieniec. Przeżył dzięki wspomnieniom. Każde słowo zapisane na pozółkłych kartkach

pamiętnika jest dla mnie świadectwem jego odwagi.

Mijam codziennie setki ludzi, a ich twarze są jakby takie same. Pod grubą warstwą smutku i cierpienia kryje się miłość do wolności. Bo człowieka można zniszczyć, ale nie można pokonać. Nikt nie odbierze nam wspomnienia naszych rodzin, domów, miejscowości. Siedzą głęboko w głowie i trzymają przy życiu. Czy jeszcze będzie jak dawniej? Marzę o wyjściu do sadu i próbowaniu soczystych jabłek. Tak widzę swoją wolność. Pośród rodziny, domu i wielkiego sadu. By nikt nie zabrał mi nigdy więcej pięknej codzienności.

Stara miłość rdzewieje, a nowa prowadzi za rękę

– Moje uszanowanie dla uroczej mieszkanki Pniewa! – Pan Miecio zjawił się w starym domu tuż po ósmej i jak zwykle był w wyśmienitym humorze. – List przynoszę. Z sądu. Czego oni znowu od ciebie chcą? Trzeba by łobuzów nasłać na tych adwokatów.

– Panie Mieciu, tym razem to pewnie są całkiem dobre wieści. Może pan wejdzie na herbatkę? Zimno dzisiaj, a pan od rana na rowerze jeździ. Przeziębic się można.

– A tam, żadna cholera mnie nie weźmie. Ja na starych sposobach chowany byłem, to i siły mam. Rano trzy surowe jajka zjadam i do przodu! Takiej krzepy może mi pozazdrościć każdy młodziak! – Na te słowa porządnie się wyprostował i uderzył pięścią w tors. Twarz miał pokrytą zdrowym rumieńcem, który zdradzał, że żadne mrozy nie są mu straszne.

– Tylko pozazdrościć kondycji. No i przykład z pana brać.

– Na wszystko najlepszy jest ruch. Przegoni każde choróbsko.

– Widzi pan, ja to tylko przy biurku nad projektami siedzę – poskarżyłam się.

– Dobra, jadę dalej! Dzisiaj emerytury rozwożę, to może przy okazji jaki grosz wpadnie. Moje uszanowanie!

– Do widzenia, panie Mieciu, i miłego dnia życzę!

Wsiadł na wysłużony rower, którego tylne koło już dawno straciło fason. Pomachał na pożegnanie ręką, przez co o mały włos nie uderzył w bramę. Jeszcze przez chwilę słychać było odgłos kół na zamrożonej ziemi. Roześmiałam się. Wizyta pana Miecia była zawsze gwarancją dobrego humoru przez cały dzień.

Spojrzałam na list z sądu. Ostrożnie go otworzyłam i zaczęłam czytać. Tak jak się spodziewałam. Dawne sprawy urzędowe, nic więcej. Niedługo minie pół roku, odkąd jestem po rozwodzie. A ponadto do więzienia! Powinnam świętować, taka teraz podobno moda. Przy rozwodzie drugie wesele się wyprawia. Ja nawet pierwszego nie miałam, bo Paweł uznał to za zbędny wydatek. Było skromnie, nudno i do bólu poprawnie. A jakie wesele, takie i wspólne życie. U nas ta zasada wyjątkowo się sprawdziła.

Przemarznięta weszłam do domu, zrobiłam sobie gorącą herbatę z malinami i ukryłam się pod ciepłym kocem. Powróciły wspomnienia. I niestety koszmar małżeństwa z Pawłem. Trzydzieści lat smutku. Do dzisiaj nie mogę się nadziwić, że udało mi się zebrać w sobie dość sił, by uciec z tej sieci kłamstw, zdrad i poniżenia.

Wszystko dzięki Dorocie. Wyrwała mnie z letargu i skłoniła do przyjazdu do Pniewa. To był naprawdę początek nowego życia.

Pawła widziałam ostatni raz w szpitalu. Na koniec zostawił dla mnie list, w którym zarzekał się, że jeśli wygra z nowotworem, wróci do Polski, by mnie odzyskać. Minęło pół roku. Nie miałam od niego żadnych wieści. Czasami się zastanawiam, czy żyje. Jak sobie radzi z chorobą?

– A co moja ukochana tak się przede mną schowała pod tym kocem? – Na te słowa aż podskoczyłam. Nawet nie zauważyłam, że Adaś wszedł do domu. Od rana ciężko pracował. Był skoro świt na targu, a potem sprzątał swoją pracownię.

– Ciepły koc i gorąca herbata są najlepszym lekarstwem na wszystkie zmartwienia – westchnęłam.

– Aż tak zimno? – Schylił się, by mnie pocałować. Pociągnęłam go za znoszony sweter i mocno przywarłam do jego ust.

– Czekałam, aż sam mnie rozgrzejesz – wyznałam szeptem. Jego bliskość,

dotyk i zapach zawsze wywołują motyle w moim brzuchu i przyprawiają mnie o zawrót głowy.

– Podobno jestem od tego ekspertem, sama tak mówiłaś. – Poglądził mnie po włosach i jeszcze mocniej zaczął całować.

Każdego dnia dziękuję opatrności za nasze spotkanie. Mogło, co prawda, skończyć się wtedy tragicznie, ale na szczęście tak się nie stało. To był tylko mało udany wstęp do pięknej historii dwojga ludzi, którzy musieli w życiu przejść bardzo dużo złego, by móc odnaleźć siebie.

Każdego dnia staraliśmy się budować naszą przyjaźń. To od niej zaczęliśmy. Dwie zranione przez życie istoty, które bały się zaufać światu na nowo. I wciąż na naszej drodze pojawiały się nowe problemy.

Ale, jak widać, dobrze wykorzystaliśmy swoją szansę.

Mamy własną rodzinę, chociaż oficjalnie, czyli na papierze, jeszcze nic nas nie łączy. Dla nas to nie ma żadnego znaczenia. Życie toczy się według innych reguł. W przyszłości na pewno będziemy się starali sformalizować wszystko, co prawnie potrzebne jest, by stworzyć z nas rodzinę. Nie będzie łatwo. Adaś musi odnaleźć swoją żonę Joannę i dostać od niej rozwód. Od czasu, kiedy porzuciła jego i małą Rozalkę, minęło kilka lat. Ani razu się nie odezwała. Życie doprawdy pełne jest dziwnych niespodzianek.

– Z nas wszystkich wychodzę na największego lenia! Ty od rana pracujesz, Michałek i Rozalka w szkole, babcia Jasia wyszywa serwetki. A ja?

– A ty, moja droga, zrób sobie wreszcie wolne. Myślisz, że nie wiem, o której się dzisiaj położyłaś? Było dobrze po trzeciej. – Spojrzał na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Projekt się sam nie robi. Ale idzie mi naprawdę dobrze. Może nawet skończę przed czasem. Pan Orłowski będzie zachwycony. Przecież ogród to całe jego życie.

– Co mu nie przeszkadza ciągle cię adorować – oburzył się Adaś.

– Przesadzasz. To tylko starszy pan o nienagannych manierach. Takich mężczyzn już teraz nie ma. No, może poza tobą – wyznałam.

– A właśnie, dzwonił rano z hurtowni. Sprowadzili dla ciebie te rośliny z Kanady. Lada dzień trzeba je będzie odebrać.

– Tak szybko? Są genialni! Teraz będę mogła ruszyć z realizacją projektu dla właściciela zajazdu pod Wyszkowem.

– Zwariuję zaraz, ta kobieta mnie wykończy! Pracuje wyłącznie dla facetów!

Adaś tylko tak mówi, a sam staje na głowie, by moje „Wrzosowisko” było najlepszą pracownią projektowania ogrodów w okolicy. I tak właśnie jest. Dowodem na to są tłumy klientów i coraz lepsze projekty. Duża w tym zasługa Adasia. Wziął na siebie wszystkie sprawy związane z reklamą i radzi sobie z tym jak mało kto. Moja pracownia projektowania ogrodów ma swoją renomę, a terminarz zamówień jest wypełniony po brzegi. Już teraz planuję zatrudnienie kogoś do pomocy. Tylko czasu na realizację tego pomysłu ciągle mi brakuje. Jak zwykle.

– Trzeba będzie pomyśleć o remoncie strychu. To dobre miejsce na twoją pracownię.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Zrobiłam z pokoju graciarnię i nawet nie mam gdzie przechowywać projektów. A to jest mało profesjonalne.

– Jak sprzedam najnowszą rzeźbę, będziemy mogli pomyśleć o śmielszych planach.

– Co masz na myśli? – zapytałam ciekawa, co szykuje.

– Przed czasem nie mogę się wygadać. O niespodziankach się nie mówi – dodał tajemniczo i pocałował moją dłoń.

– O nie, moja ciekawość tego nie wytrzyma.

– Trudno się mówi, moja droga. Dobra, muszę się zbierać. Mam dzisiaj na głowie stolarkę dla hotelu w Pułtusku. Wrócę na osiemnastą. Nie pogardzę pysznymi pierogami.

– Zobaczą, co da się zrobić – odpowiedziałam.

Adaś pocałował mnie równie namiętnie jak na powitanie, przy okazji zostawiając na moich kolanach mały pakunek.

– To na słodki dzień. Do zobaczenia! – Wymknął się szybko na werandę, a ja zabrałam się do sprawdzania, co też znajduje się w fioletowej paczusce.

Myślałam, że to owocowe żelki, ale zamiast nich znalazłam kilka pysznych czekoladek. Ależ on mnie rozpieszcza!

Adaś bardzo się zmienił, odkąd spotkaliśmy się pierwszy raz. Nie jest już tym samym przygnębionym mężczyzną, który myślał, że wraz z odejściem żony skończyło się jego życie. Co mnie najbardziej cieszy, powrócił do swojej pasji, do rzeźbienia. Znowu zaczął marzyć o wielkich wystawach. Jak dawniej, gdy był u szczytu kariery.

Ostatnio odezwał się do niego profesor z czasów studiów na Akademii Sztuk Pięknych. Zaproponował Adasiowi prowadzenie ze studentami cyklu zajęć praktycznych z rzeźby. Przegadaliśmy wiele godzin, zanim się zdecydował. Ale się udało. Pod koniec lutego rusza nowy semestr i mój kochany Adaś zostanie wykładowcą. Tak się cieszę! Widzę, jak w jego oczach na nowo zapłonęła miłość do sztuki.

Mam dla niego małą niespodziankę...

Tajemnice z przeszłości

– Zaskakują mnie na każdym kroku. Wyobraź sobie, że wczoraj dostałam nowiutki gabinet. Świeżo po remoncie, czuć jeszcze zapach farby. – Tego dnia moja ukochana Dorotka dzwoniła już chyba z piętnasty raz, by przekazać mi najświeższe newsy z nowej pracy. – Ale to nie wszystko! Dzisiaj pojawiła się prawdziwa bomba wśród niespodzianek. Chyba mi nie uwierzysz. I uprzedzam. To nie jest byle co.

– Jeśli powiesz, że na dzień dobry wysyłają cię na zagraniczne wakacje, to uznam to za wielką niesprawiedliwość. – Słuchając jej, miałam wrażenie, że opowiada o świecie, który można zobaczyć jedynie w hollywoodzkich filmach z happy endem.

– Mam coś lepszego. Dzisiaj wezwał mnie mój szef. Tak na marginesie powiem ci, że tak przystojnego faceta dawno nie widziałam. Jak z nim rozmawiam, to zaczynam się jąkać jak jakaś małolata, która nie zna życia. Przypominają mi się czasy liceum.

– Dorota! Opanuj się!

– Wiem, wiem, co chcesz mi powiedzieć. Nikt nie przebije mojego Maćka. Mąż mi się udał jak mało co w życiu. Ale Maciej sam omal nie zemdleł, jak zobaczył to moje cacko.

– No dawaj, wszystko zniosę.

– Dostałam samochód służbowy. Nowego forda, prosto z salonu! Czarny jak noc!

– Fiu, fiu... To się mojej drogiej przyjaciółce powodzi. Zawsze byłaś większą szczęściarą ode mnie! Chociaż zaczynam się martwić.

– Nawet już wiem o co. Możesz być spokojna. Na pewno mi nie odbije. Już raz omal nie rozpieprzyłam swojej rodziny przez własną głupotę. Nie zamierzam znowu pakować się w żadne cholerne romanse. Jedna kraksa w życiu wystarczy.

– Czyli mogę spać spokojnie? – zapytałam z niepokojem. Po kryzysie w ich małżeństwie już dawno nie było nawet śladu, wołałam jednak dmuchać na zimne.

– Masz słowo honoru jednej z najlepszych architektek w Warszawie. Od jutra zaczynam projekt dla milionera z Piaseczna. Czuję w kościach, że to będzie niezła przygoda. Tfu! Wyzwanie zawodowe!

– Błagam, żadnych przygód. I żadnych tajemnic przed Maćkiem.

– Moja droga, akurat specem od tajemnic jesteś ty sama. I nie grzeb ciągle w rupieciach z przeszłości, bo znowu wpadniesz na dziwny list albo znajdziesz trupa w szafie.

– Też mi dobra rada! – oburzyłam się.

– Odkąd przeprowadziłaś się do Pniewa, na jaw wychodzą same tajemnice. Aż strach pomyśleć, co będzie za kilka lat. Może trzeba jakieś czary odczytać?

– Też masz pomysły. Czary nic nie dadzą. Trzeba rozwikłać kilka tajemnic i tyle.

– Uwielbiam tajemnice. Na studiach omal nie zostałam asystentką detektywa.

– Pamiętam. Wtedy też wpakowałaś się w niezłe tarapaty – przypomniałam jej.

– Wtedy byłam jeszcze młoda i głupia. Teraz jestem już tylko młoda – zaśmiała się radośnie. Dobry humor jej nie opuszczał.

Dorota ma rację. Przez ostatni rok światło dzienne ujrzało wiele tajemnic. Jedna z nich zaboląla najbardziej. Chyba nie ma dnia, żebym nie myślała o chwili, gdy w starej szafie na strychu znalazłam stary dokument. Wystarczyło kilka sekund, by wizja mojej idealnej rodziny legła w gruzach. Tych kilka zdań zapisanych na pożółkłej kartce zburzyło cały mój świat. Bo jak to? Mój ojciec okazał się zdrajcą i oszustem?

Tajemnica z przeszłości nie daje mi spokoju. Zamęczam nią wszystkich domowników, rodzinę, przyjaciół. Najgorzej ma Adaś. Ciągłe musi słuchać moich coraz to śmielszych pomysłów dotyczących dokumentu ze starej szafy.

– Nie możesz zgłosić tej sprawy na policję. No bo jak? Powiesz im, że szukasz kobiety, której nigdy nie widziałas, a podejrzewasz, że jest twoją siostrą? Odeślą cię do domu. Albo powiedzą, że taką sprawę to chętnie weźmie co najwyżej prywatny detektyw – kolejny raz tłumaczył swoje racje.

– Adasiu, detektyw jest kimś od zadań specjalnych. To nie jest wcale głupi pomysł.

– Jeszcze tego brakowało. Myślisz, że wykopie Ewę spod ziemi? – zdenerwował się.

– No nie, przecież Ewa razem z matką jest gdzieś na Mazurach.

– Były tam, ale ponad trzydzieści lat temu. A teraz szukaj wiatru w polu.

– Na pewno daleko nie wyjechały. Tam był ktoś bliski, kto dał im schronienie.

– Nie podoba mi się to, że chcesz je odszukać – grzecznie wyraził swój sprzeciw.

– Jeszcze tydzień temu mówiłeś co innego. Sam obiecałeś zrobić wszystko, żeby mi pomóc. Teraz zmieniasz zdanie?

– Doskonale o tym pamiętam. Ale widzę, ile ta sprawa cię kosztuje. Masz wreszcie spokojne życie, wymarzony dom i święty spokój. Po co szukać problemów?

– Chcę rozwiązać sprawę z przeszłości i dowiedzieć się, czy mój ojciec był zdrajcą, za jakiego go co niektórzy mieli. I najważniejsze, jeżeli to

wszystko jest prawdą, to gdzieś tam w świecie mam siostrę. Chyba nie powiesz, że na moim miejscu nie chciałbyś jej odnaleźć?

– Załóżmy, że w jakimś stopniu cię rozumiem. Mam tylko jedno pytanie. Jak chcesz to zrobić? Jak zamierzasz je odnaleźć?

– No to jest problem. Nie mam nikogo, kto mógłby mnie nakierować na ich ślad.

– A najważniejszy świadek od kilku tygodni nie żyje.

– Może i tak... Ale na pewno znajdę sposób, żeby rozwiązać sprawę z przeszłości mojej rodziny. Inaczej nigdy nie zaznam spokoju. Ksiądz Jankowski zmarł i zabrał tajemnicę do grobu, ale nie zapominaj, że została jego gosposia. Mam przeczucie, że ta kobieta sporo wie.

– Na przeczucia nie licz. Trzeba się trzymać faktów. A te są takie, że nie masz żadnych tropów ani nie znasz osób, które mogłyby cię na nie naprowadzić.

– Jesteś okrutny. Wszystko utrudniasz. Nie tak się umawialiśmy. – Poczulałam się mocno urażona.

– Dla mnie możesz ich szukać nawet od jutra. Chętnie ci w tym pomogę. Tylko potem nie miej do mnie pretensji, jeśli się okaże, że sprowadziłaś na siebie kolejne kłopoty.

– Nic złego się nie wydarzy. Chcę ją tylko odnaleźć, potem każda z nas może iść w swoją stronę. Tylko tyle, a ja będę mogła o wszystkim zapomnieć.

– I tak cię nie powstrzymam – stwierdził zrezygnowany.

Nie mówię tego głośno, ale podzielam obawy Adasia. Kto powiedział, że Magdalena i Ewa Kawalec czekają na mnie z otwartymi ramionami? Chciały przecież zniknąć raz na zawsze.

Ale ja muszę poznać prawdę. Dokument ze starej szafy nie daje mi spokoju. Spisany w pniewskiej kancelarii parafialnej jest jasnym dowodem szemranej przeszłości mojego ojca.

Za milion starych złotych Magdalena Kawalec wraz z maleńką córką Ewą zgodziła się zniknąć z jego życia. Miała nie starać się o ustalenie ojcostwa, a mój ojciec miał zrezygnować z jakichkolwiek roszczeń w przyszłości. Prosty układ. Pieniądze za zniknięcie i uciszenie plotek. A wszystko to za

zgodą księdza Jankowskiego. Staram się księdza zrozumieć. Chciał zapewne ratować reputację swojej młodziutkiej siostrzenicy, która słynęła z licznych przygód z mężczyznami. Mój ojciec miał być jednym z nich. Ewa Kawalec, według dokumentu, jest jego córką, a moją siostrą! Nie mogę zostawić tej sprawy bez wyjaśnienia.

Ksiądz był jedynym człowiekiem, który mógłby mnie nakierować na jakiś ślad Magdaleny i jej córki. Nachodziłam go przez kilka miesięcy, błagając o jakąkolwiek wskazówkę. A on bronił prywatności swojej siostrzenicy i jej córki. Bał się, że moje nagłe pojawienie się po latach może sprawić im ból. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie jego gosposia z informacją, że ksiądz zaprasza mnie na spotkanie w najbliższą sobotę. Przez kilka dni żyłam nadzieją, że wreszcie się przekonał i będzie chciał mi powiedzieć prawdę. Ale nie zdążyłam się z nim spotkać. Zmarł nagle na atak serca. Zabrał do grobu swoją tajemnicę.

Jedynie Dorota wierzy w sukces moich poszukiwań. Nawet zrobiła pierwszy krok bez mojej wiedzy. Niby nic specjalnego. Przeszukała wszystkie portale społecznościowe, mając cichą nadzieję, że w tak banalny sposób trafi na Magdaleny lub Ewę. Ale nic z tego. Jakby się zapadły pod ziemię. Może zmieniły nazwisko? Albo Adaś ma rację, twierdząc, że wyjechały gdzieś za granicę? To takie moje gdybanie. Dorota się nie poddaje, szuka dalej i próbuje wpaść na jakiś genialny pomysł. W to wszystko oczywiście wplątała swojego Maćka.

– Z prawnego punktu widzenia nie ma podstaw, by wystąpić do sądu o udostępnienie danych i miejsca pobytu obydwu pań. Nie popełniły przestępstwa – tłumaczył cierpliwie Maciek na kolejnym naszym spotkaniu w sprawie odnalezienia Magdaleny i Ewy.

– Nic się nie da zrobić? – pytałam z nieukrywaną nadzieją.

– Można jedynie przyczepić się do kwoty, jaką twój ojciec rzekomo jej zapłacił. Ale to wydarzyło się tak dawno, że wszystkie sprawy są przedawnione. Poza tym nie masz dowodów, że to prawda. Na podstawie domysłów nie da się rozwiązać czegoś takiego. Nawet jeśli je znajdziesz, to co wtedy? Będziesz chciała zwrotu pieniędzy? Oskarżysz Magdaleny o wymuszenie?

– Nie chcę jej o nic oskarżać, nawet jeżeli mój ojciec dał jej taką dużą

sumę.

– Ciężka sprawa... Nigdy wcześniej czymś takim się nie zajmowałem. Ten dokument i cała historia to tylko poszlaki. Trudno będzie logicznie powiązać wszystkie tropy. Alicjo, moim zdaniem szkoda twojego czasu. To jak szukanie igły w stogu siana. Nie umiem ci pomóc.

– Wiem, że wszystko wygląda beznadziejnie i pewnie masz mnie za wariatkę, ale nie odpuszczę. Znasz mnie, jak coś mnie dręczy, muszę się z tym zmierzyć – wyznałam szczerze.

– Zaczekajmy jeszcze. Czas bywa dobrym doradcą.

Rozdział II

*O strachu przed utratą nadziei, małej
dziewczynce z zapomnianego zdjęcia
i podziemnym schronie, będącym miejscem
dla osamotnionych*

Szepty serca

Adopcja. To słowo na stałe zamieszkało w mojej głowie. I tam będzie tkwiło, dopóki Michałek nie zostanie oficjalnie moim synem. Postanowiłam działać. Na razie na własną rękę. Maciek kazał mi poczekać, aż zakończy jakąś ważną sprawę. Tylko że ja już nie mogę czekać. Nawet jednego dnia.

Dla mnie każda stracona godzina to stracona szansa na powodzenie tego zamysłu. Zaczęłam od poszukiwań w internecie. Przejrzałam, co się dało. W wyszukiwarce słowo adopcja odmieniłam na wszystkie możliwe sposoby. Naczytałam się artykułów, opinii, orzeczeń sądu. Z każdym kolejnym zdaniem, które czytałam na ten temat, czułam, jak maleją moje szanse na pomyślne załatwienie mojej sprawy. Szukając ostatniej deski ratunku, postawiłam wszystko na jedną kartę. Na największym forum dyskusyjnym pod nickiem *Zdesperowana 123* zadałam pytanie: *Czy jako samotna kobieta przed czterdziestką mam szanse na adopcję?* Zamknęłam laptopa i modliłam się o cud. O małą iskierkę nadziei. Gdy ponownie zalogowałam się na forum, przeżyłam prawdziwy szok. Przez łzy czytałam kolejne odpowiedzi na moje pytanie:

MOONSKI: Próbowałam. Poruszyłam niebo i ziemię, by adoptować dziecko. Nic z tego. Jestem samotna, a dla ośrodka adopcyjnego znaczy to tyle samo co trefna. Musi być mąż, inaczej to się nie uda. Ja już nie próbuję, bo lata swoje mam, a na siłę faceta nie znajdę.

ONA_BEZ_DZIECKA: Adopcja przez singla to jak rozmowa o yeti. Wszyscy o nim mówią, a jeszcze nikt go nie widział. Właśnie tak jest z adopcją. Wszyscy będą ci mówić, że masz takie same szanse jak para. Guzik prawda! Gadanie swoje, a życie swoje. A o noworodku nawet zapomnij. Jakby się nawet zdarzył cud i dostałabyś zgodę na adopcję, to w przydziale przypadnie ci dziecko chore lub niepełnosprawne. Mała rada. Masz czas, szukaj faceta i planuj ciążę. Na pomoc ośrodka nie licz. Tylko robią niepotrzebnie nadzieję.

ZUZAMARZYCIELKA: Nie chcę cię załamywać, ale jak dla mnie to jest pozamiatane. Nie masz szans. Moja samotna ciotka starała się o adopcję dziecka przez kilka lat. Na koniec jej powiedzieli, że już na wszystko jest za stara. Także wybacz, ale nie masz szans.

Poczułam, jak w jednej chwili wszystkie moje nadzieje rozpadają się na miliony kawałków. Serce krzychało, że to nie może być prawda, a rozum podpowiadał, że jeszcze na pewno da się coś zrobić. To przecież nie może się tak skończyć! Nie tak miało być! Czułam się oszukana i pozostawiona na pastwę losu.

– Chyba nie dam rady... – wyszeptałam do słuchawki. Chwilę wcześniej wybrałam numer Maćka. Szukałam ratunku. Dla mnie i Michałka.

– Halo? Alicja? Co się dzieje? – Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam jego zmęczony głos. – Możesz powiedzieć, co się stało?

– Tak się boję, że nie mam najmniejszych szans na adopcję Michałka. Czytałam fora internetowe. Ludzie piszą, że samotna osoba jest skreślona już na samym początku.

– Po co to czytasz? To są same głupoty. Niepotrzebnie się nakręcasz. Spokojnie. Do sprawy trzeba podejść rzeczowo. To nie czas i miejsce na mądrości z internetu. W tej sprawie będzie się liczyło coś innego – Maciek mówił bardzo szybko. Słysząc było, że jest zdenerwowany.

– Co? – zapytałam z nadzieją, że szybko znajdzie dobre rozwiązanie.

– Dowody na to, że nikt nie będzie lepszym opiekunem dla Michałka niż ty.

– Bo przecież tak jest... – dodałam zdesperowana.

– Słuchaj, Alicjo. Jestem teraz przed rozprawą i nie mogę dłużej rozmawiać.

– Jasne, już nie przeszkadzam.

Żałowałam jednak, że nie może poświęcić mi więcej czasu.

– Ale dam ci dobrą radę. Skup się teraz na sobie i pracy. Sprawę adopcji zostaw mnie. I wyluzuj, okay?

– To nie takie proste. Ale postaram się. Inaczej zwariuję.

– I nie czytaj tych głupot. Prawo jest prawem i tego się trzymajmy. Muszę uciekać. Trzymaj się i głowa do góry.

– Dziękuję, do usłyszenia.

Rozmowa z Maćkiem mnie uspokoiła. Tyle razy wyciągał mnie przecież z tarapatów. To dzięki niemu rozwiodłam się z Pawłem i ostatecznie nie tak źle się to dla mnie skończyło. Ale teraz walka będzie trudniejsza. Nie o jakiś tam majątek czy o to, kto ma rację. Tu przecież chodzi o mojego Michałka. Mój najwięszy skarb. Nie odpuszczę. Choćbym miała walczyć latami.

Wieczorem dzieciaki szybko zasnęły. Tego dnia w szkole były tańce i po powrocie do domu szybko opadły z sił. Próbowałam zająć myśli pracą nad projektem, ale szło mi bardzo opornie. Adaś zaszył się w kuchni i tam szkicował projekt kolejnej rzeźby.

Chciałam koniecznie z kimś porozmawiać. Czułam wewnętrzną pustkę. Przypomniały mi się słowa pani Irenki, że najlepszy na wszystkie problemy jest sen. Przynosi gotowe rozwiązania i rano człowiek budzi się z głową pełną pomysłów. Postanowiłam się położyć. Zajrzałam do pokoju maluchów. Spały sobie spokojnie. Usiadłam obok Michałka. Ile bym oddała w zamian za to, by wreszcie formalnie stać się jego mamą! Michałek to moje życie. Dlatego muszę zrobić wszystko, by załatwić formalności. Mam czas. Nie poddam się.

Spokój okazał się być złudzeniem. Obudziłam się w środku nocy zlna potem. Znowu miałam zły sen. Koszmar. Byłam w lesie. Dookoła hulała burza. Rozpaczliwie szukałam Michałka. Zgubił się. Czułam potworny strach i niepewność, czy go odnajdę. Przedzierałam się przez gąszcz pośród szalejącej nawałnicy. Pioruny strzelały w drzewa tuż obok mnie. Nagle wybiegłam na przepiękną zieloną polanę. Była cała skąpana w słońcu, porośnięta stokrotkami i mleciami. Pośród nich siedział Michałek i machał do mnie ręką. Nie mogłam zrobić ani kroku w jego stronę. Jakby ktoś postawił między nami szybę, której nie można pokonać. Byłam bezsilna.

Wstałam z łóżka i włożyłam szlafrok. Postanowiłam wyjść na werandę. Otuliłam się ciepłym kocem. Zauważyłam świecącą się w kuchni lampkę. Adaś jeszcze pracował. Pomyślałam, że pracuje za dużo. Ciągłe jest przemęczony. Trzeba będzie pogadać o tym rano. Nacisnęłam klamkę. Drzwi cicho zaskrzypiały. Poczułam zimno. Taki urok marcowych nocy. Głęboko

wciągnęłam powietrze. Mój strach powoli mijał, chociaż serce waliło jak oszalałe.

– Alicjo, kochanie, przecież się przeziębisz – usłyszałam za sobą spokojny głos Adama. Odwróciłam się w jego stronę. Podszedł bliżej i mocno mnie przytulił. Jego silne ramiona były murem, który odgradzał mnie od wszystkich niebezpieczeństw świata. – Moje słońce. Zamartwianie się nic nie da.

– Sama już nie wiem, czy dam sobie ze wszystkim radę. – Odchyliłam głowę i spojrzałam mu oczy. Bardzo spokojne. – To jest takie trudne.

– Wiem, że ci ciężko. Przecież widzę, że wciąż tylko myślisz o adopcji. Tak się nie da. Trzeba normalnie żyć. Wierzyć, że będzie dobrze. Przecież nie z takim sprawami sobie radzimy.

– Tak, wiem, ale nie zaznam spokoju, dopóki Michałek nie zostanie oficjalnie moim synem.

– Naszym synem. Może nie od razu, ale kiedyś na pewno – powiedział ciepło.

– Naprawdę? Tak kiedyś będzie? – Nie mogłam uwierzyć, że marzy o tym samym.

– Przysięgam. Najpierw ty zostaniesz mamą Michałka, a potem ja jego tatą. Tylko po drodze muszę się jeszcze rozwieść z Joanną, ale to drobnostka – zażartował. Jego dotyk, oddech, uśmiech, spojrzenie były najlepszym lekarstwem na moje skołatane nerwy.

– Kocham cię. Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. – Pocałowałam jego ciepłe usta. Odwzajemnił pocałunek i jeszcze mocniej mnie przytulił. Adaś mnie rozumie. Jest moim oparciem, na dobre i na złe.

– Szanowna pani, jest już pani na mnie skazana. I to dożywotnio. Akurat w tej sprawie to nawet i sam Maciek ci nie pomoże.

– Przyjmuję ten wyrok z nieukrywaną radością!

Miarą wartości człowieka jest jego wnętrze. A także to, jak do nas mówi, jak nas traktuje i jakie podejmuje działania, gdy do naszego życia wkradają

się czarne chmury. Do człowieka wraca to, co od siebie daje.

Zdjęcie sprzed lat

Dzisiaj znowu dręczyły mnie senne koszmary. Widziałam pokój pogrążony w mroku. Pośrodku stał stolik i dwa krzesła, które zapraszały, by usiąść. Bałam się tego miejsca. Czułam, że za chwilę wejdzie do pokoju nieproszony gość, który zmusi mnie do rozmowy. Nasłuchiwałam kroków, ale towarzyszyła mi jedyne przerażająca cisza. Nie było tam nikogo. Tylko po co były te dwa krzesła?

Obudziłam się jeszcze przed wschodem słońca. Odetchnęłam z ulgą, że straszny pokój był tylko złym snem, a ja jestem w bezpiecznych ścianach starego domu. Spojrzałam na Adasia. Spał spokojnie. Pogłodziłam jego dłoń. Poczułam się szczęśliwa, że w moim życiu zamiast potwornej pustki jest dom pełen ludzi, których tak kocham.

Ranek upłynął leniwie. Adam wyszedł z domu bardzo wcześnie na umówione spotkanie z klientem. Dzieci szykowały się do szkoły i były w wyśmienitych humorach. Nie to, co ja. Babcia Jasia widziała moje zmęczenie i zaproponowała, że sama odprowadzi Rozalkę i Michałka do szkoły, a przy okazji wstąpi do mamy Adasia na ploteczki. Poczułam ulgę, że za chwilę zostanę sama i będę mogła odespać ciężką noc. Byłam na siebie wściekła, bo zaległości w projektach rosły, a ja marnowałam czas na jakies durne sny.

Gdy wszyscy wyszli, zamknęłam drzwi na klucz, zasunęłam zasłony i dorzuciłam drewna do kominka. Miałam zamiar zaszyć się pod ciepłym kocem. Mój plan jednak szybko legł w gruzach. Usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

– Dzień dobry, dziecko drogie. Adaś mówił, że masz dziś gorszy humor, więc przynoszę coś na jego polepszenie. – W drzwiach stała uśmiechnięta pani Irenka, trzymając w dłoniach blachę świeżo upieczonego ciasta z powidłami.

– Dzień dobry, zapraszam. Zaraz zrobię pyszną kawę – powiedziałam, rada z odwiedzin.

– Ty się lepiej zajmij sobą, bo, moja droga, nie za dobrze wyglądasz. Co się dzieje?

– Nic poważnego. Miałam niespokojną noc. Zły sen. Jestem trochę zmęczona.

– Koszmary nie dają człowiekowi spokoju. Ale pamiętaj, że wierzy się w Boga, a nie w sny.

– Ten sen akurat był dosyć dziwny. Ale co tam, zjemy dobrego ciasta i humor powróci.

– Oby, moje dziecko. Za pół godziny będziesz miała gościa. Radzę zrobić porządek z włosami i przebrać się w coś bardziej wyjściowego. Ja tu wszystko przygotuję, ty zajmij się sobą. Relaks jest ci potrzebny.

– Gościa? Co też pani Irenka mówi? Kogo? – zdziwiłam się niezmiernie.

– Przyjdzie, to się przekonasz. Nic ze mnie nie wyciągniesz. Słowo dałam, a u mnie słowo to rzecz święta. – Spojrzała na mnie karcącym wzrokiem i pośpiesznie wyszła do kuchni.

– To chyba jakiś poranny żart?

– Żarty, moja droga, to się w tej sprawie już dawno skończyły – dodała pani Irenka z przekąsem.

Stałam jak zaczarowana. Gość? O tej porze? Niezapowiedziany? Nic mi tu nie pasowało. Ale widziałam, że pani Irenka jest poważna, więc czym prędzej poszłam do łazienki. Różne myśli przychodziły mi do głowy.

Zdażyłam się ubrać i umalować, gdy znowu usłyszałam pukanie do drzwi. Pani Irenka pobiegała je otworzyć. Usłyszałam nieznanym mi głos. Wyjrzałam z pokoju i zaniemówiłam. W drzwiach stała była gosposia księdza Jankowskiego. Ta sama, która tyle razy przepędzała mnie z plebanii, gdy chciałam się dowiedzieć czegoś o starym dokumencie znalezionym w szafie na strychu.

– Dzień dobry, pani Alicjo. Nazywam się Regina Sokolik. Byłam gosposią księdza. Poznałyśmy się w niezbyt sprzyjających okolicznościach... – powiedziała z wahaniem.

– Nie da się tego ukryć – odparłam chłodno.

– Alicjo, nie denerwuj się, proszę. Pani Regina chce z tobą porozmawiać,

bo ma ci do przekazania pewne informacje. Ma dobre intencje. Moze dasz jej szansę? – Pani Irenka starała się załagodzić sytuację.

– Tak naprawdę jestem bardzo ciekawa, co pani chce mi powiedzieć. Kiedyś nie była pani w ogóle skora do rozmów – przypomniałam jej niechęć wobec mnie.

– Tych kilka miesięcy wszystko zmieniło. Nie ma już wśród nas księdza Jankowskiego. Niech odpoczywa w pokoju. Ja też chcę mieć spokój i przekazać pani to, o co mnie prosił.

Miałam wielką ochotę jeszcze jej coś wypomnieć, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Pomyślałam sobie, że przecież jest dla mnie ostatnią szansą na poznanie tajemnicy, która dotyczy mojego ojca.

Zaprosiłam ją zatem do domu i postanowiłam, że nie wyjdzie stąd, póki wszystkiego mi nie opowie. Takiej okazji nie mogłam przepuścić! Pani Irenka zaparzyła kawę, pokroiła ciasto i starała się chociaż trochę złagodzić napięcie między mną a panią Reginą.

– Ciekawe, dlaczego akurat teraz postanowiła pani ze mną porozmawiać. Coś się wydarzyło? – Zdecydowałam się być konkretna i nie dać się zwieść kolejnym wymówkom.

– Na początek chcę przeprosić... – powiedziała gospościa łamiącym się głosem. Drżały jej dłonie. – Źle panią wtedy potraktowałam. Nie tak się z ludźmi rozmawia. Przepraszam.

– Nasze spotkania do najmiłszych nie należały – wtrąciłam nerwowo.

Pani Irenka skarciła mnie wzrokiem i dała znać, że przesadzam. Miała rację, ale nie mogłam się uspokoić.

– Chciałam chronić księdza Jankowskiego. Gdy dowiedział się o pani przyjeździe do Pniewa, od razu zrozumiał, że lada dzień na nowo odżyje sprawa jego siostrzenicy Magdaleny i pani ojca. W tamtych czasach romans młodej dziewczyny z żonatym mężczyzną był skandalem. To mała miejscowość, ludzie od razu o wszystkim wiedzą.

– Rzekomy romans. Nie ma na razie żadnych dowodów na winę mojego ojca.

Emocje wzbierały we mnie na nowo. Nie chciałam kolejny raz słuchać oskarżeń dotyczących ojca.

– Alicjo, proszę cię, wysłuchaj pani Reginy. Później podejmiesz decyzję, co z tymi informacjami zrobić. – Pani Irenka kolejny raz próbowała mnie uspokoić.

– Przepraszam panią. Nerwy mnie ponoszą.

– Rozumiem. Nas wszystkich dużo to kosztowało i nadal tak jest. Po pani przyjeździe ta sprawa wróciła na nowo. Ksiądz sobie z tym nie radził. Miał ogromne wyrzuty sumienia. Wiele razy chciał do pani iść i porozmawiać, ale się bał. Bał się tego, że jego decyzje i działania mogą zrujnować pani życie i zburzyć spokój. Ludzie w okolicy o tym nie zapomnieli. Dlatego ksiądz uznał, że lepiej do tego nie wracać. To było dla niego trudne.

– Mógł do mnie przyjść. Sama bym zdecydowała, co chcę zrobić. Nie dał mi wyboru. Mam prawo wiedzieć, czy mój ojciec był takim draniem, za jakiego wszyscy go mają. Zła opinia ciągnie się za człowiekiem wiele lat.

– Pani Regino, pamiętam tamte czasy i plotki o romansie Magdaleny i Piotra. Było o tym głośno. A pani była bardzo blisko Magdaleny i księdza. Myśli pani, że naprawdę mogli mieć romans i dziecko Magdaleny jest też dzieckiem Piotra? – Pani Irenka zadała to pytanie i poblądła. Spojrzała na mnie. Była przerażona. Bała się mojej reakcji.

A ja? Poczulałam ulgę. Wreszcie ktoś zapytał wprost. Tylko chwila dzieliła mnie od poznania prawdy.

– Wiem, że oczekujecie ode mnie jasnej odpowiedzi. Owszem, byłam blisko księdza i jego siostrzenicy Magdaleny, ale wiedziałam o tej sprawie tyle, co i inni. Ksiądz nie pozwolił na to, by ktokolwiek poznał prawdę. Nawet ja. Nie wiem, czy Ewa Kawalec jest pani siostrą. Może tak być. Ale pewności nie mam.

– Ksiądz zmarł. Pani nic nie wie. To już koniec tej historii? Nigdy nie dowiem się prawdy? Ja się na coś takiego nie zgadzam! – Wściekła walnęłam pięścią w stół. Na śnieżnobiały obrus wylała się kawa. Zobaczyłam wielką czarną plamę. Taką samą jak plama na przeszłości mojej rodziny.

– Alicjo, proszę, uspokój się. – Pani Irenka nigdy nie widziała mnie w takim stanie.

Chodziłam po pokoju jak w jakimś transie. Słuchałam tego, co mówiła pani Regina. Że ksiądz Jankowski do końca życia bił się z myślami. Chciał

się rozliczyć z przeszłością. Coraz gorzej się czuł. Myślał, że to zmęczenie, ale diagnoza była okrutna. Rak płuc. Jego dni były policzone. Podjął decyzję. Planował się ze mną spotkać i wyjawić prawdę. Nie zdążył. Zmarł nagle na zawał. Prawdę o przeszłości zabrał ze sobą do grobu.

– Jednak na kilka godzin przed śmiercią polecił mi, by przekazać pani rzeczy, które zostały na plebanii po Magdalenie i jej córce – wyjawiała wreszcie pani Regina.

– Dlaczego? Przecież nie jestem dla nich nikim bliskim.

– Taka była prośba księdza. Zrobi pani, co zechce. Ja już gosposią na plebanii nie jestem. Swoje lata mam i wraz ze śmiercią księdza Jankowskiego skończyła się i moja rola. Rzeczy po Magdalenie i Ewie są na plebanii w kartonie. W najbliższy czwartek nowy ksiądz proboszcz wyjeżdża na rekolekcje. Umówiłam się, że wtedy wraz z synem zabiorę z plebanii swoje ostatnie rzeczy. Jak pani chce, proszę w czwartek przyjechać.

– A nie może pani przekazać ich Magdalenie i jej córce? Byłoby prościej.
– Miałam złudną nadzieję, że gosposia wie, gdzie mieszkają.

– Żebym to ja wiedziała, gdzie ich szukać. Wiem tylko tyle, że jak mała Ewa nieco podrosła, jej matka zerwała ze swoim wujem kontakt. Miała do niego żal, że wysłał ją i Ewę do obcych. Musiał ukryć przed światem wstydliwą prawdę o złym prowadzeniu się własnej siostrzenicy. Takie to były wtedy czasy. Ludzie by im żyć tu nie dali. Ksiądz musiał coś z tym zrobić.

– Wiadomo, gdzie teraz przebywają? – wtrąciła pani Irenka.

– Ich adres na Mazurach mam, ale one tam już od dawna nie mieszkają. Gdy Ewa była mała, ksiądz często je odwiedzał. Potem matka się z nią gdzieś przeprowadziła i szukaj wiatru w polu. Ksiądz był bezradny.

– Nie miał już nigdy z nimi kontaktu? – zdziwiłam się. Coś mi tu nie pasowało.

– Tego nie wiem. Nie wtajemniczał mnie. Przed śmiercią cały swój dobytek zapisał Ewie. Podobno stawiała się na odczytanie testamentu. Dostała od księdza pokaźną sumę pieniędzy i mieszkanie w Pułtusk.

– Ciekawe, gdzie teraz może być... – Pani Irenka nie mogła się pogodzić z tym, że ta historia wciąż ma nowe wątki i jest tak skomplikowana.

– A może życie znowu mnie zaskoczy i okaże się, że obie mieszkają od dawna w Pułtusku. Może nawet miałyśmy się wiele razy na ulicy? – zastanawiałam się.

– Nic mądrego więcej nie powiem. Nie wiem, jak Ewa teraz wygląda. Nigdy jej nie widziałam jako dorosłej osoby. A jak była dzieckiem, to tylko kilka razy. Śliczna dziewczynka. Ciężki los jej przypadł w udziale.

– Jak nam wszystkim – dodałam rozżalona. Byłam wściekła. Mój ojciec mógł przecież być zwykłym zdrajcą... lub Bogu ducha winnym człowiekiem.

Gospośia się zamyśliła. Trwała w skupieniu przez kilka minut. Jakby pamięcią wróciła do tamtych wydarzeń. Z letargu wyrwał ją dzwonek komórki.

– Mój syn dzwoni. Muszę już wracać. Czekam na panią w czwartek na plebanii. Jeśli jednak pani się nie zdecyduje, będę musiała te rzeczy wyrzucić. Proszę to przemyśleć.

– Tak zrobię. Dziękuję za spotkanie i rozmowę. Były mi potrzebne.

– Więcej nie mogę pomóc. Tyle wiem, tyle pamiętam. – Już miała wychodzić, gdy nagle coś jej się przypomniało i sięgnęła ręką do torebki. Wyjęła z niej szarą kopertę. – Byłabym zapomniała. W środku jest zdjęcie Magdaleny i Ewy. Jedyne, jakie mam. Czas na mnie.

– Do widzenia – odpowiedziałam drżącym głosem. W dłoniach trzymałam właśnie dowód na istnienie obu kobiet.

– Otworzysz? – Słowa pani Irenki wyrwały mnie z zamyślenia.

– Chyba to właśnie ten moment, by wreszcie przekonać się, jakie były, a raczej jakie są. Ciekawa jestem, jak wyglądają.

– Alicjo, wiesz dobrze, że nie musisz brać na siebie tej sprawy. Możesz ją zostawić. Życie toczy się dalej. To, co było, już nie wróci. Może nie warto tego rozpamiętywać?

– Nie zaznam nigdy spokoju. To będzie wracać. Nie chcę tak żyć. Muszę mieć pewność co do swojego ojca. Albo był uczciwym człowiekiem, albo zdrajcą, który o mało nie rozbił własnej rodziny, a drugie dziecko zostawił na zmarnowanie.

– Nie dręcz się. Tak nie można. – Czułam, że pani Irenka bardzo się o mnie martwi.

Zdecydowanym ruchem odkleiłam kopertę. Wyjęłam z niej czarno-białe zdjęcie. Serce na chwilę zamarło mi w piersi. Z fotografii spoglądały na mnie dwie kobiety. Jedna dorosła. Niezwykle piękna. Oczy, nos, usta jakby stworzone przez najlepszego malarza. Do tego jasne, lekko pofalowane włosy. Spojrzenie pełne niepokoju, a zarazem waleczne. Kobieta pełna sprzeczności. A na jej kolanach mała dziewczynka o twarzy anioła. Dwa jasne warkocze, wesołe oczy, delikatne rysy twarzy. Z radosnym uśmiechem patrzy w dal. Jakby widziała kogoś poza kadrem. I taka podobna do mnie. Niemal moje lustrzane odbicie sprzed lat.

– To już chyba wszystko jasne...

Nie wiem, co czułam w tym momencie. Niepokój? Wstyd? Złość? A może totalną pustkę? Jakby ktoś zabrał moje wspomnienia.

– Alicjo, cokolwiek się wydarzy, pamiętaj, że zawsze będziemy cię wspierać. Nawet jeśli wszystko się potwierdzi, ty ciągle będziesz sobą. I nic tego nie zmieni.

– Ale będzie oznaczało, że mój ojciec nas oszukał, a ja głupia całe życie wierzyłam, że był ideałem. A teraz muszę to przekreślić!

– Tak naprawdę nic nie musisz. To twój wybór i twoja decyzja.

– Nie odpuszczę, póki nie wyjaśnię wszystkich wątpliwości. To mi się należy.

Schron dla szukających trudnych odpowiedzi

Marcowy wschód słońca wprowadził mnie w znakomity humor. Jeszcze trochę i nie będzie nawet śladu po mroźnych porankach, a w powietrzu pojawi się zapach wiosny. Pełna energii pogałam z samego rana do sklepu Basi po świeże pieczywo, by moje dzieciaki miały pyszne śniadanie. Poza przyjacielską rozmową czekały na mnie niepokojące wieści. Basia powiedziała, że od kilku dni Sokolski chodzi w pobliżu cmentarza i zachowuje się tak, jakby czegoś uporczywie szukał. Zdziwiłam się, ale i zawstydziłam. Przez ostatnie dni go nie widziałam. Miałam tyle spraw na głowie, że zapomniałam całkowicie o Henryku. Nie mogłam sobie darować

własnej niefrasobliwości.

Koło południa udałam się w okolice cmentarza. Jak zwykle miałam więcej szczęścia niż rozumu. Sokolski stał nad grobem moich rodziców i dziadków. Odkąd postawiłam nowy pomnik, na którym umieściłam tablicę upamiętniającą jego ukochaną Małgorzatę, coraz częściej można było Henryka spotkać właśnie tutaj.

– Dzień dobry. Przychodzi do ciebie kobieta o zimnym sercu, która przez nawał obowiązków w ogóle o tobie zapomniała – przywitałam się zawstydzona.

– Witaj. Miałem was dziś odwiedzić, ale skoro już tu jesteś, to zapraszam do schronu.

– Mogłabym nawet w nim z tobą zamieszkać. Takie ukrycie się przed wszystkimi dobrze by mi zrobiło – odparłam bez namysłu.

– Coś nie tak? – Spojrzał na mnie zatroskanym wzrokiem. Ja też mu się uważnie przyjrzałam. Wyglądał na zmęczonego.

– Nie, wszystko dobrze, tylko obowiązków wciąż mi przybywa. „Wrzosowisko” nie daje mi odetchnąć. Chyba wzięłam za dużo zleceń. Myślę o tym, żeby kogoś zatrudnić. Tylko jak? Kto się zgodzi pracować w małej miejscowości? Szkoda gadać. A co u ciebie?

– Po staremu. Chodź, napijemy się gorącej herbaty.

Szliśmy przez leśną gęstwinę. Henryk opowiadał, że w lesie buszują kłusownicy. Przegania ich, jak tylko może. O schron jest spokojny. Nikt go nie znajdzie.

Mnie samej wydawało się, że ciągle idziemy tą samą drogą. Doskonale wiedziałam, że to tylko złudzenie. Podziwiałam Sokolskiego, że tak sprytnie potrafi zwodzić wszystkich, którzy szukają jego kryjówki. A odkąd zrobiło się o nim trochę głośniejsze za sprawą spotkania w pniewskiej szkole, chętnych z dnia na dzień przybywa. Na nic jednak ich starania.

Po jakimś czasie dotarliśmy wreszcie do schronu. Sokolski podniósł górny wąż i zaprosił mnie do swojego królestwa. Na dole czekała na nas jeszcze ciepła herbata i miód z polnych mleczków. Przepyszny!

– Przez kilka dni robiłem kosze z wikliny. Dla pani Halinki. Ma na nie kupca.

– To świetna wiadomość! Zobaczysz, jeszcze trochę i wszyscy będą chcieli od ciebie kupować te cudenka.

– Nie narzekam. Zawsze jakiś grosz wpadnie. Wtedy ty mniej na mnie wydasz.

– Oj, nie lubię, jak tak mówisz, nie lubię. Akurat tym się nie przejmuj. Lepiej powiedz, czego szukasz przy cmentarzu. Ludzie o tym gadają.

– Gadali i będą gadać. Taka ludzka przywara.

– Racja. Ale akurat to przyciąga ich uwagę. Możesz powiedzieć, o co chodzi?

– To sprawa, która i twoją głowę zajmuje. Sprawa dokumentów, o których wspomina Jan w swoim pamiętniku.

– Dziękuję! Już dawno chciałam o tym z tobą porozmawiać, ale wiem przecież, jak reagowałeś na moje wcześniejsze próby.

Zdziwiłam się jego pozytywnym nastawieniem. Temat dokumentów, które mój dziadek tłumaczył w obozie dla Elizabeth, żony komendanta, nie był tematem, do którego Henryk lubił wracać. A tu nagle taka zmiana.

– Nie daje mi to spokoju. One muszą gdzieś tu być.

– Zaczekaj, zrobiłam zdjęcia fragmentów pamiętnika, w których dziadek pisze o dokumentach. To jest poważna sprawa. Zobacz, na przykład ten...

Dzisiaj była selekcja. Kilku z naszych trafiło do szpitala. Elizabeth mówi, że już stamtąd nie wróci. Sama też się boi. Swojego męża. Wstydzi się, że mógł dopuścić się tak nieludzkich czynów. Żal mi jej. Mamy coraz mniej czasu, a dokumentów zostało jeszcze dużo. Dzisiaj powiedziała, że gdyby coś jej się stało, wtedy mam zawieźć te najważniejsze do Gdańska, na ulicę Spokojną 28. Ale czy dobry Bóg da nam obojgu dożyć takich czasów?

– Powraca Gdańsk. Ale moim zdaniem to miejsce było zaplanowane tylko na początku. Sprawy potoczyły się inaczej. Plan się zmienił. Gdy Duńczycy cudem uratowali naszą barcę, którą naziści chcieli zatopić w głębokich wodach Bałtyku, Jan miał te dokumenty przy sobie. Nosił je w specjalnej kieszeni.

– Albo to tylko część dokumentów. Inne Elizabeth mogła ukryć właśnie w Gdańsku na ulicy Spokojnej.

– Wszystko możliwe. Ale mam takie przeczucie, że Jan te dokumenty przywiózł do Pniewa.

– Podpowiedzią jest na pewno drugi fragment. Posłuchaj.

Elizabeth, dotrzymałem danego ci słowa. Dokumenty są bezpieczne, schowane pośród polskich drzew na polskiej ziemi. Tak jak tego pragnęłaś. Nie wiem, gdzie jesteś, czy jeszcze żyjesz. Może kiedyś cię odnajdę. Możesz żyć spokojnie. Nie zdradzę twoich sekretów.

– One muszą gdzieś tu być – ekscytował się Henryk. – Polska ziemia! Jan tak bardzo miłował Pniewo. Nie mógł ukryć dokumentów w innym miejscu.

– Polskie drzewa... – dodałam w zamyśleniu.

– Dlatego szukam pośród drzew w miejscach, gdzie potajemnie spotykałem się z Janem. To było w czasach, gdy musiałem ukrywać się przed władzą.

– Podejrzewasz, że mógł je zakopać przy cmentarzu?

– Jest na to duża szansa. To były miejsca naszych spotkań. Nikt inny o nich nie wiedział.

– Ale jedno mnie bardzo dziwi. Dlaczego właściwie dziadek po prostu nie powiedział ci, gdzie ukrył te dokumenty i czego dotyczyły? – Zadałam wreszcie pytanie, które od kilku miesięcy nie dawało mi spokoju.

– Powiedział kiedyś, że to sprawa życia i śmierci. Sprawa szczególnej wagi. Uszanowałem to. Ufałem Janowi i wierzyłem, że wie, czego tak naprawdę się podjął. Zawsze mógł na mnie liczyć. Czekałem na moment, kiedy sam zdecyduje się wyjawić swoją tajemnicę. Jednak to nigdy nie nastąpiło. Wierzę, że chciał w ten sposób chronić Elizabeth. Przed czym? Tego nie wiem.

– I pewnie nieprędko dowiemy się prawdy – dodałam z wielkim smutkiem.

– Elizabeth na pewno już nie żyje. Zostaliśmy z tą sprawą sami.

– Małe są szanse na jej pomyślne zakończenie. Nie mogę sobie darować,

że tajemnica mojego dziadka nie zostanie odkryta.

Czułam w sercu wielki żal.

– Widocznie tak miało być.

Sokolski nagle złapał się za prawą nogę i zaczął ją rozcierać.

– Przepraszam, czasami boli mnie mocniej niż zwykle.

Podwinął nogawkę, bo ból był chyba coraz większy i chciał mu jakoś zaradzić.

– Boże! Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś? – Noga Henryka wyglądała fatalnie. Sina, z popękanej skóry sączyła się krew. – Jak najszybciej musi zobaczyć ją lekarz!

– Daj spokój... Dwa dni i się zagoi. Raz na jakiś czas wygląda trochę gorzej. I boli.

– Wygląda bardzo źle! Przecież za chwilę wda się zakażenie albo martwica. Musimy działać.

– Zrobię okład z ziół i przejdzie. Zawsze mi to pomaga.

– Dobrze wiesz, że ja tak tego nie zostawię.

Mimo protestów Henryka zajęłam się opatrywaniem jego nogi. I przysięgam mu, że poruszę niebo i ziemię, by jak najszybciej znaleźć najlepszego lekarza. Nie był tym zachwycony. Ciągle powtarzał, że dla takich jak on nie ma już ratunku i żebym dała mu wreszcie święty spokój.

Wracałam do domu z głową pełną pytań. Wszystko wskazywało na to, że dokumenty powinny być w Polsce. Najpewniej w Pniewie, ale na to nie ma dowodów. Oj, dziadku! Gdybyś wiedział, jak trudno będzie rozwiązać tę zagadkę, może zostawiłbyś jakąś wskazówkę. Lub nie wspominałbyś w pamiętniku o tych dokumentach i byłby święty spokój. Ale podobno wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.

Powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Przypomniałam sobie coś niezwykłego! Przecież jako mała dziewczynka też miałam schron. Starą spiżarnię. To był schron mój i dziadka. Zwłaszcza w czasie burzy, której obydwójce nie znosiliśmy. Pamiętam, jak w dzieciństwie razem z dziadkiem liczyliśmy sekundy od momentu błysku do grzmotu. Ile sekund naliczyliśmy, tyle kilometrów od nas była burza. Jednoczesny grzmot i błysk mówiły, że

jest naprawdę źle. Ale mieliśmy kilka sposobów, które zawsze pomagały nam oswoić strach.

Gdy tylko zbliżała się burza, schodziliśmy do podziemnej spiżarni. Do dzisiaj jest to jedno z najbardziej tajemniczych miejsc w starym domu. Nikt nawet nie wie, że tam jest takie чудо! Piwniczkę zrobił dziadek, kiedy budował stary dom. Chciał mieć miejsce tylko dla siebie. A może miał wewnętrzną potrzebę wybudowania schronu? Może chciał mieć gdzie się ukryć w razie niebezpieczeństwa? Nigdy tak naprawdę nie dowiedziałam się, w jakim celu powstała ta piwnica.

Wejście do niej jest w kuchni. Na klapie w podłodze zawsze leży mały dywanik. Strzeże pilnie wejścia do środka. Klapę unosi się specjalnym hakiem i od razu widać drewniane schodki. Pomieszczenie ma szerokość i długość połowy domu. Piwnica jest na tyle wysoka, że może się w niej wyprostować dorosły człowiek. Wyłożona jest cegłą i drewnem. Dziadek zrobił specjalne stojaki na swoje nalewki i wina. Zabudowane są nimi dwie piwniczne ściany.

Pozostałe dwie zajęte są przez wielkie regały, na których królują stare książki. Wspaniały księgozbiór dziadka. Piwnica przypomina uroczy pokój. Jest tam ława, stoją trzy fotele. U sufitu wiszą trzy piękne lampki, które swoim światłem nadają temu miejscu nadzwyczajny charakter. Ma się wrażenie, że w jednej chwili człowiek przeniósł się do innego wymiaru. Teraz już wiem, dlaczego to było ulubione miejsce dziadka. Mógł się tu schować przed całym światem i czuć bezpiecznie. A do tego miał swoje ukochane książki!

Ale gdy nadchodziła burza, piwnica była świetnym schronieniem i dla dziadka, i dla mnie. Wystarczył jeden błysk, jeden grzmot, a już schodziliśmy na dół. Wtedy zaczynały się dzieć niesłychane rzeczy! Dziadek zamieniał naszą piwnicę w niesamowite miejsce wprost z bajki. Był to statek piratów, dzika dżungla, odległa wyspa, kosmos, tajemnicza komnata. Nasza wyobraźnia nie miała granic! Wtedy nie straszna nam była żadna burza! W piwnicy nikt ani nic nie mogło nas zaskoczyć. Ale był też czas i miejsce na poważne rozmowy. Takie o życiu, które na zawsze miały zapaść w pamięci małej dziewczynki.

– Dziadku, dlaczego boisz się burzy? Przecież już nie jesteś dzieckiem.

– A widzisz... Ciężka z tym sprawa. Po prostu burza przypomina mi bardzo zły czas w moim życiu. Nie miałem wtedy domu i często musiałem stać w czasie burzy na dworze.

– Jak byłeś na wojnie?

– Można tak powiedzieć. Byłem wtedy w obozie. Tam wszystko przypominało burzę.

– Nie ma na to lekarstwa? No wiesz, żebyś się przestał bać.

– Jest jedno lekarstwo... Można zapomnieć. Tylko że to nie jest takie proste. Poza tym nie chcę tego zapominać.

– Dlaczego?

– To było moje życie, właśnie takie. Z kolei ktoś inny miał inne życie. Tak to jest, że każdy człowiek ma swoją historię. Nie można o niej zapominać. Ty też za jakiś czas będziesz wspominać swoje dzieciństwo. I to właśnie będzie twoja historia.

– Opowiem, jak się chowaliśmy przed burzą w piwnicy! Pewnie nikt mi nie uwierzy!

– No widzisz, już masz co opowiadać.

– Ale ty nie chcesz mówić o swojej przeszłości.

– Bo to ważne, by dziadek opowiadał wnuczce same dobre historie. Do złych wrócimy, jak już będziesz trochę starsza.

– Dzisiaj opowiadamy same dobre historie. Dziadziusiu, proszę, opowiedz mi bajkę o czterech rozbójnikach i ich psie.

– Bardzo chętnie. To przecież nasza ulubiona bajka.

Wiele razy było tak, że burza już dawno minęła, a my siedzieliśmy w piwnicy jeszcze przez długie godziny. Nic innego się dla nas nie liczyło. Żałuję tylko jednego. Że nigdy nie doczekałam się poważniejszych rozmów z dziadkiem. Odszedł za wcześnie. A ja przecież chciałam zadać mu tyle pytań. Poznać jego przeszłość pełną tajemnic.

Rozdział III

*O nowych perypetiach Doroty, kartonowym
pudełku pełnym skarbów z przeszłości,
tajemniczym adresie i dziwnym najściu na
dom babci Jasi*

Nie wszystko złoto, co się świeci

Dzieciaki rosną, a my wciąż jesteśmy młode, prawda? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Dorota. Siedziałyśmy w kameralnej kawiarence w samym centrum Warszawy.

– Odkąd mam blisko siebie Michałka i Rozalkę, czuję się o dziesięć lat młodsza. No i Adam... Naprawdę nigdy nie byłam tak szczęśliwa – mówiąc to, odruchowo zasłoniłam usta dłonią. Znów gdzieś tam we mnie odezwał się strach, że wypowiedziane na głos słowa sprawią, że szczęście zaraz minie.

– Alicjo, kochana moja, wszystko, co złe, już dawno za tobą. – Dorota chwyciła moją dłoń. Poczułam spokój. Właśnie siedziała przede mną kobieta, która była blisko mnie w każdym złym momencie mojego życia. A przecież było ich tak wiele. Zbyt wiele.

– Ten strach, że moje szczęście, moja rodzina są jakby na chwilę, chyba nigdy mnie już nie opuści. Strasznie mnie to męczy.

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, żebyś przestała tak myśleć.

– To musi wyjść ode mnie. Jestem ci bardzo wdzięczna za twoje bezcenne wsparcie, ale też wiem, że niektóre sprawy muszę załatwić sama.

– A jak tam twoja rodzinna tajemnica? – zapytała Dorota ostrożnie.

– Są dni, kiedy całkowicie się poddaję. Ale dopóki jej nie rozwiążę, nie będę mieć spokoju.

– Wszystko się ułoży. Na to trzeba czasu. Ale mamy go dużo – roześmiała się.

– Musimy częściej robić sobie wychodne.

Leniwe popołudnie z Dorotą było mi bardzo potrzebne. Była dobra kawa, motywująca rozmowa i udane zakupy. Czyli to wszystko, czego potrzebuje prawie każda kobieta. Przy okazji Dorota opowiedziała mi więcej o swojej nowej pracy, w której, jak się okazało, nie jest wcale tak różowo. Zdecydowanie jest ulubienicą szefa, przez co nie znoszą jej inne kobiety

w firmie. Do tego dochodzi ciągle zostawanie po godzinach, co coraz bardziej nie podoba się Maćkowi. Bywa i tak, że wraca z pracy, gdy dziewczynki dawno już śpią. Za to szef ciągle powtarza, że jest jego najlepszym pracownikiem, więc ma coraz to nowe obowiązki. Jasne, idzie za tym konkretne wynagrodzenie. Ale ile można pracować? Nie samymi pieniędzmi przecież człowiek żyje. Dorota wygląda na zmęczoną i tak jak wcześniej życzliwość szefa jej schlebiała, tak teraz wzbudza w niej zakłopotanie.

– Jak dla mnie to jest wszystko grubymi nićmi szyte – tak podsumowałam jej relację.

– Czyli, że jestem frajerką?

– Bez przesady. Zwyczajnie musisz być ostrożna.

– Może facet ma po prostu dobre chęci?

– Którymi wiesz, co jest wybrukowane... – Jej naiwność czasami mnie drażniła.

– Piekło.

– No właśnie. Bądź czujna i ostrożna. Jeżeli będzie się działo coś złego, od razu rzucaj to w cholerę i przyłączaj się do mojego „Wrzosowiska”.

– O to chodzi?! Ty cwaniaro! – Dorota ucałowała mnie w policzek.

– O co? Podsuwam ci tylko propozycję nowej pracy. Nigdzie takiej nie dostaniesz.

– Dobrze wiesz, że rzuciłabym to wszystko w cholerę i wyjechała na wieś. Tylko jest jeszcze Maciej i są dziewczynki.

– Da się to zorganizować.

– Jasne. Lepiej zaczekam, żebyś ty otworzyła oddział „Wrzosowiska” w Warszawie.

– Chyba najpierw musiałabym wygrać w totka!

Czas z Dorotą minął tak szybko, tak mnie zagadała, że wróciłam do domu, kiedy moje dzieci już dawno spały. Niezła ze mnie mamuśka! Sama sobie udzieliłam nagany i modliłam się, by Adaś nie był na mnie zły. Nie był. Wręcz przeciwnie. Zachęcił mnie do częstszych spotkań z Dorotą

i stwierdził, że wyglądam promiennie. Czekał na mnie z dobrą kolacją i kieliszkiem czerwonego wina. Czym sobie na to zasłużyłam?

– Nie chcę cię martwić, ale jest jedna sprawa, która nie daje mi spokoju.

Siedzieliśmy wtuleni w siebie na kanapie. Kolejne minuty mijały leniwie, a my nie mogliśmy nacieszyć się swoją bliskością.

– Tylko mów prawdę.

– Chodzi o Henryka. Był dziś u nas.

– Że też ja zawsze w takim momencie muszę być gdzieś poza domem. I co mówił?

– Nie za wiele. Widać było, że bardzo boli go noga. Nawet zaproponowałem, że zaraz możemy pojechać do ośrodka zdrowia, by lekarz go zbadał. Ale sama wiesz, jaki jest Henryk.

– Pewnie się zdenerwował i nie chciał o tym słyszeć.

– Ogólnie był jakiś milczący. Nawet Michałek nie umiał mu poprawić humoru.

– Co ty mówisz?! – zdziwiłam się. Akurat Michałek był ostatnią osobą, wobec której Henryk mógł chociaż przez chwilę pozostać obojętny.

– Nie jest z nim dobrze – podsumował Adam.

– Ojej, musimy coś z tym zrobić. Widziałam jego chorą nogę. Naprawdę bardzo źle wygląda. Martwię się. To może być zakażenie albo nawet martwica. A wiesz, że to jest bardzo niebezpieczne dla życia.

– Zróbmy tak. Od jutra rozmawiasz z Henrykiem o konieczności leczenia. Zadzwoń do zaprzyjaźnionego ordynatora. Bardzo mi pomógł, gdy Rozalka zachorowała na płuca zaraz po zniknięciu Joanny. To on wtedy uratował jej zdrowie. Na pewno zna kogoś, kto nam pomoże. Zgoda?

– No jasne! Kocham cię za wszystko.

Adaś poszedł już spać po ciężkim dniu, a ja usiadłam przy kominku, by poczytać swoje branżowe pisma. Lubię być na bieżąco z najnowszymi trendami, a inspiracji przecież gdzieś szukać trzeba. Nagle zadzwonił telefon. Wyświetlił się numer Doroty. O ja głupia!

– Hej, bardzo przepraszam, zapomniałam dać znać, że cała i zdrowa dotarłam do domu – zaczęłam się tłumaczyć.

– Ja nie w tej sprawie. Chociaż oczywiście się cieszę, że bezpiecznie dojechałaś. Ale słuchaj, mam takie newsy, że się zdziwisz – mówiła bardzo szybko. Dało się wyczuć jej podekscytowanie.

– Dawno nie słyszałam, żebyś była tak rozemocjonowana. No mów, co to za wieści?

– Wyobraź sobie, że jak się pożegnałyśmy w centrum, to mi się przypomniało, że nie wzięłam z pracy ważnego projektu. A wiesz, jutro niedziela i chcę nadgonić z robotą.

– Ciekawe, kto jeszcze kilka godzin temu narzekał na nadmiar pracy?!

– Oj tam, to mało ważne. Słuchaj dalej. Wchodzę do naszego biura. A uwierz mi, że jest wielkie. I tak patrzę... u szefa świeci się światło. To dziwne, bo obsługa budynku gasi światła w biurach, tylko w holu zostawia włączone.

– I co dalej? – Zaczęłam się niecierpliwić. Dorota ma niesłychany talent do robienia afery z najmniejszej błahostki.

– Zakradłam się po cichu pod drzwi szefa i zajrzałam do środka. A tam! No czegoś takiego bym się nie spodziewała!

– Dorota! Opowiadasz, jakby to była sprawa wagi państwowej.

– No nie państwowej, ale wcale nie jest mniej ważna. Zaglądam, a tam, wyobraź sobie, szef obściskuje się z naszą Renatką z sekretariatu. No coś takiego! I to był dopiero wstęp do dalszych igraszek!

– No to tak, jak przeczuwałam. Twój szef to niezły kochaś. Tym bardziej uważaj.

– Ewakuowałam się stamtąd szybko. Ale żałuję, że tego nie nagrałam.

– Chyba zwariowałaś! Po co ci to? Sama się prosisz o problemy. Daj spokój. Widocznie mu to odpowiada. Renatka też pewnie wie, co robi. Lepiej skup się na sobie.

– Wiem, wiem. Ale mówię ci, czegoś takiego nigdy sama bym nie wymyśliła. Mam na niego haka! I jak będzie trzeba, nie zawaham się go użyć! – dodała z wyraźną satysfakcją.

A mnie ręce opadły. Dorota wyraźnie szuka nowych kłopotów.

Po nitce do kłębka

– Musimy poważnie porozmawiać. Jak mężczyzna z mężczyzną. – Tymi słowami Michałek sprawił, że wszyscy zdębieli. Rozalce aż kanapka wypadła z dłoni, a babcia Jasia wstrzymała oddech. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Adasia, który był adresatem tej niezwykle poważnej deklaracji Michałka.

– Oczywiście – wydukał Adaś. Spojrzał na mnie pytająco, a ja aż dusiłam się ze śmiechu. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. – O czym chcesz rozmawiać?

– Chodź do pokoju. Nikt nie może nas słyszeć – niezwykle poważnie odpowiedział Michałek i wyszedł.

– Taki mały, a już wie, jak innych podejść. Strach pomyśleć, jakim bystrym będzie nastolatkiem. – Babcia Jasia była pełna uznania dla wnuczka.

Wszyscy uwielbiamy nasze leniwe poranki. To czas tylko dla nas i dla naszych spraw. Chociaż mamy jedną zasadę. Nigdy nie narzekamy. Bo kto narzeka z samego rana, ma potem zły dzień. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy Adaś skończy rozmowę z Michałkiem. Liczyliśmy, że powiedzą nam o swoich wspólnych tajemnicach. Nic z tego. Wrócili z poważnymi minami i zapadła grobowa cisza. Na szczęście, jak tylko dzieciaki poszły do szkoły, Adaś był nieco bardziej rozmowny. Okazało się, że mój Michaś się zakochał! W koleżance z klasy! W takiej wesołej Julce, co to ciągle za nim chodzi i chce nosić jego plecak w ramach przyjacielskiej przysługi. Michałek chciał, by Adaś wytłumaczył Rozalce, że wciąż będzie jej braciszkiem i najlepszym przyjacielem. Na wypadek, gdyby była zazdrosna. Coś takiego! W życiu bym się nie spodziewała. A do tego Michałek chce się nauczyć tańczyć, bo zbliża się klasowa dyskoteka. Co robić? Jak mus to mus, potańczymy!

Taki miły poranek nastroił mnie pozytywnie na cały dzień. I nastawił optymistycznie do tego, co na dziś było zaplanowane: spotkanie z byłą gosposią księdza i wizyta na plebanii. Denerwowałam się, jednak moja ciekawość była silniejsza.

O jedenastej podjechałam pod bramę plebanii. Wzięłam kilka głębszych oddechów i wysiadłam z samochodu. Pani Regina już na mnie czekała.

– My tu z synem od rana pakujemy moje rzeczy do kartonów. Szybko nam poszło. Będzie więcej czasu dla nas. Zapraszam do środka.

– Ksiądz na pewno nie będzie miał nic przeciwko? – zapytałam ze zwykłej grzeczności.

– O pani wizycie nic nie wie i niech tak zostanie – odpowiedziała z uśmiechem. – Wiadomo, czego oczy nie widzą... Nikogo poza nami tu nie ma.

Weszłyśmy przez wielkie dębowe drzwi. Od razu rzucił mi się w oczy duży wieszak na ubrania zrobiony z poroża jelenia. Aż mnie ciarki przeszły. Obok wieszaka w równych odstępach wisiały obrazy polnych kwiatów. Jak się okazało, wisiały praktycznie w każdym pomieszczeniu i było ich naprawdę dużo. Do tego mnóstwo zabytkowych mebli. W powietrzu unosił się zapach pasty do drewna. To miejsce bardzo mnie zaintrygowało. Wydawało mi się, że każdy element wystroju wnętrza plebanii był bardzo przemyślany. Jak w muzeum. Wszystko takie idealne.

Gospościa zaprosiła mnie do przestronnego salonu, pośrodku którego stał dębowy stół z dwunastoma krzesłami. Poprosiła, żebym usiadła i zapowiedziała, że za chwilę wróci z dobrą herbatą i ciastkami. Tak też zrobiła. Zaraz potem przyniosła wielki brązowy karton i z hukiem postawiła go na stole.

– Tu ma pani wszystko, co znalazłam w rzeczach księdza seniora i co w jakikolwiek sposób może wiązać się z Ewą i Magdaleną. Sama pani oceni, co jest ważne, a co do wyrzucenia.

– Strach otwierać – powiedziałam niepewnie.

– Jaki strach? Raczej ciekawość. Może sprawa ruszy do przodu i odzyska pani spokój.

– Oby tak było – dodałam z nutką nadziei w głosie.

Delikatnie otworzyłam karton i zajrzałam do środka. Nie tego się spodziewałam. Zamiast równo ułożonych dokumentów zobaczyłam jeden wielki stos pomiętych kartek, starych przedmiotów i kilka zabawek z dawnych lat. Moją uwagę przykuła gazeta. Z roku 1984. Wyjęłam ją

i ostrożnie przeglądałam kolejne strony. Nagle pomiędzy nimi zobaczyłam równo złożony dokument. Delikatnie go rozłożyłam. Poczułam nagłe ukłucie w sercu. Nie dowierzałam swoim oczom. Oto trzymałam w dłoniach akt urodzenia Ewy Kawalec. Nadeszła chwila prawdy. Zaczęłam czytać kolejne rubryki.

Nazwisko: Kawalec

Imię: Ewa Weronika

Data urodzenia: 19 czerwca 1984 r.

Miejsce urodzenia: Giżycko

Nazwisko i imię ojca: nieznany

Nazwisko i imię matki: Kawalec Magdalena

O ja głupia! A już myślałam! Że tu, teraz, właśnie w tej chwili dostanę odpowiedź na pytanie, przez które od kilku miesięcy nie mogę spać. Czy mój ojciec jest też ojcem Ewy Kawalec? Czy jakiś dokument może dać mi pewność? Tu nic nie jest już oczywiste. Mnożą się pytania i wątpliwości.

– Akt urodzenia Ewy widziałam już dawno. – Z zamyślenia wyrwał mnie spokojny głos gosposi. Patrzyła na mnie z wyrazem współczucia na twarzy.

– Dawno? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak, tylko bałam się podjąć decyzję. Bałam się pani reakcji. Wiele razy chciałam przyjść i pokazać pani ten akt. Coś mnie jednak powstrzymywało. Dopiero śmierć księdza uzmysłowiła mi, że za chwilę mnie również już może nie być na tym świecie. A pani zostanie z tą sprawą sama.

– Nie wiem już, kto w tym wszystkim jest bardziej pokrzywdzony. Ja? Ewa? Ksiądz? Ktoś inny? Nie mam już siły... – głos mi się załamał. Do oczu napłynęły łzy. Chciałam się rozpłakać i wykrzyknąć cały swój ból.

– Spokojnie. Proszę się napić herbaty. – Gospośia położyła dłoń na moim ramieniu.

– Przepraszam. – Wytarłam rękawem mokre policzki i wzięłam głęboki oddech.

– A może nie warto wracać do przeszłości? – zapytała wprost.

– Nie, już wszystko w porządku. Chwila gorszego samopoczucia. Nic mi

nie jest.

– Można się domyślać, że nie jest pani łatwo. Naprawdę współczuję.

– Niepotrzebnie. Poradzę sobie. Dziękuję za te rzeczy. Mogę je zabrać?

– Oczywiście. Od teraz są pani własnością. – Gospościa przesunęła karton w moją stronę.

– Akt urodzenia jest ważny. To dowód na to, że Ewa w ogóle istnieje. Mogłam się spodziewać, że w rubryce z danymi ojca nie będzie żadnej informacji.

– Ksiądz i jego siostrzenica Magdalena nigdy przy mnie o szczegółach nie rozmawiali. Nigdy ani nazwisko, ani imię ojca Ewy nie padło. Słyszałam jedynie plotki o pani ojcu.

– Ale jedno może się zgadzać. Mój ojciec zapłacił Magdalenie milion starych złotych za to, by nigdy nie dochodziła ojcostwa i ona tak zrobiła. Ojciec nieznany. Wywiązała się z umowy.

– Tego nie wiem. Tylko ich obserwowałam. Mieli wiele tajemnic.

– Pewne jest jedno. Ewa urodziła się w Giżycku. Czyli cała historia o ich przenosinach na Mazury potwierdza się – zauważyłam trzeźwo.

Czas jakby się zatrzymał. Siedziałyśmy w miejscu, gdzie kilkadziesiąt lat temu rozegrały się zdarzenia, które wpłynęły potem na życie wielu ludzi, w tym moje. Nic się nie zmieniło. Tylko niektórych ludzi już nie ma. A tajemnica z przeszłości jest wciąż żywa. Kolejne osoby nie mogą zaznać spokoju.

Moja wizyta na plebanii trwała długo. Pani Regina wspominała dawne lata. Mówiła chętnie. Jednak nie powiedziała nic, co mogłoby pomóc mi odnaleźć Magdalenę i Ewę. Ale jej opowieść była piękna. O ludziach tak samo zagubionych jak ja. I tajemnicy, która była jak rodzinna klątwa.

– Na spokojnie przejrzę dziś te wszystkie pamiątki z przeszłości – powiedziałam z ulgą. Chciałam mieć czas na przemyślenia.

Pani Regina odprowadziła mnie do samochodu.

– Proszę, tu jest jeszcze coś – powiedziała nagle, wyjmując z kieszeni kartkę papieru i wręczając mi ją.

– Co to jest? – zapytałam zdziwiona.

– To adres mieszkania w Pułtusk, które ksiądz zapisał Ewie w testamencie. Przyjęła je. Potwierdził to adwokat. Chociaż raczej marne są szanse, że może tam teraz być.

– Nie wierzę... – Rozwinęłam pogiętą kartkę. Widniały na niej równo nakreślone litery. *Pułtusk, ul. Rynek 15, m. 5*. Tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Zawsze to jakiś nowy trop.

– Dziękuję! Jadę! – krzyknęłam i pospiesznie wsiadłam do samochodu.

Gdzie teraz jest Ewa? W Pułtusk? Za chwilę ją zobaczę?

Jechałam jak szaleniec, który prosi się o coś złego. Złamałam chyba wszystkie możliwe przepisy. Ale dotarłam.

Zaparkowałam tuż pod kamienicą. Było już ciemno. Wieczór był zimny.

Przez chwilę się wahałam. Tyle razy wyobrażałam sobie ten moment. Moment spotkania z Ewą. Nie tak miało być. Nie w takim miejscu. Nie w takich okolicznościach. Ale życie decyduje zazwyczaj za nas. Wzięłam głęboki oddech. Teraz albo nigdy! Weszłam do środka. Rozejrzałam się. Na parterze nie było mieszkania z numerem 5. Po chwili byłam już na piętrze. Stałam przed drzwiami, za którymi mogłam spotkać osobę, będącą kluczem do rozwiązania tajemnicy sprzed lat. Drżącą dłonią nacisnęłam dzwonek. Słyszałam każde uderzenie swojego serca. Z trudem przełykałam ślinę. Ta niezręczna cisza wzbudzała moją złość. Jeszcze raz nacisnęłam dzwonek. Potem znowu, i znowu, i znowu. Niech ktoś wreszcie otworzy te cholerne drzwi! Walnęłam w nie pięścią.

– Halo! Czego się tu pani dobija? – Usłyszałam za plecami złowrogi głos. Odwróciłam się. W drzwiach naprzeciwko stała starsza kobieta. Miała na sobie szlafrok, a na głowie wałki.

– Przepraszam. Nie chciałam pani wystraszyć. – Zrobiło mi się głupio.

– Ja się tam pani nie boję. Tylko nie lubię, jak ktoś mi się w kamienicy awanturuje. Zarządzam nią i lubię mieć porządek.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam. Zdenerwowałam się.

– Czego pani tu szuka? – zapytała, uważnie mi się przyglądając.

– Szukam kogoś. A dokładnie kobiety. W moim wieku, ma na imię Ewa.

– A w jakiej sprawie jej pani szuka? – Kobieta była podejrzliwa. Badała mnie wzrokiem i chciała ustalić, czego taki intruz jak ja szuka na jej terenie.

– To moja dawna znajoma. Nie widziałyśmy się przez wiele lat. Dziś dostałam jej adres, więc jestem. – Kłamstwo przyszło mi dosyć łatwo. Sama się tym zdziwiłam.

– Jak się ta pani nazywa? – Głos kobiety jakby złagodniał. Wyczułam w tym szansę.

– Ewa Kawalec, jest po trzydziestce.

– Nie znam takiej. Taka osoba tu nie mieszka.

– A ktoś w ogóle tu mieszka? – zapytałam zniechęcona.

– Ale pani jest ciekawska. Pani z daleka?

– Z Warszawy jestem. Przyjechałam tu specjalnie. – Kolejne kłamstwo przyszło jeszcze łatwiej.

– Po nocy zachciało się pani jeździć po obcym mieście. Dobrze pani z oczu patrzy, więc coś tam powiedzieć mogę.

– Będę bardzo zobowiązana – ucieszyłam się. Kobieta oparła się o framugę drzwi i przesunęła ręką po wałkach.

– Można powiedzieć, że tu nikt nigdy nie mieszkał. Nawet mnie dziwi, że pani szuka jakiejś młodej kobiety. To mieszkanie starego księdza z Pniewa. Zmarło się biedakowi jakiś czas temu. Niech mu ziemia lekką będzie. – Na te słowa spojrzała ku górze.

– Nikogo więcej pani tu nie widziała?

– Ostatnio była tu jakaś kobieta. Z małym dzieckiem. Dziewczynka to była. Tylko raz je tu widziałam. Weszły do tego mieszkania. Może to jakaś rodzina tego księdza.

– Jak ta kobieta wyglądała? – Uznałam, że to może być właściwy trop.

– Bo ja wiem? Może nawet trochę do pani podobna.

– Do mnie? – zdziwiłam się.

– No taka wysoka blondynka, szczupła. Nie chciała rozmawiać. Chyba się gdzieś śpieszyła. A dziewczynka to mała. Może z pięć lat miała. Jakaś taka wystraszona. Obie zresztą dziwne.

– Mam prośbę. Zostawię pani swoją wizytówkę. Jakby ta kobieta jeszcze się tu kiedyś pojawiła, proszę dać znać. Możemy się tak umówić?

– Może być. Dobry uczynek zrobić mogę. Ale ja tam swoje wiem. Ta kobieta tu nie wróci. Raczej to przypadkowa osoba była. Pewnie adres pomyliła.

– Miejmy nadzieję, że jednak wróci. Bardzo pani dziękuję. Proszę o mnie pamiętać.

– Ja tu mam wszystko pod kontrolą – zapewniła mnie o swoim profesjonalizmie.

– Dziękuję. Do widzenia pani.

Przed kamienicą stałam jeszcze z pół godziny. Miałam w sobie jakiś dziwny żal do ludzi i świata. Nareszcie pojawił się jakiś trop i nagle się urwał. Już byłam bliska rozwiązania tajemnicy sprzed lat, a ostatecznie okazało się to niemożliwe. Czułam się oszukana. I taka bezsilna. Gdy wróciłam do domu, dzieciaki już spały. Adam o nic nie pytał, tylko mnie mocno przytulił.

Dobrze, że moja rodzina jest czymś niezmiennym. To jedyny stały punkt. Łatwiej uwierzyć w siebie, gdy wierzy w nas ktoś drugi.

Szukanie dziury w całym

Dzień zapowiadał się bardzo spokojnie. Ostatnio polubiłam te swoje samotne przedpołudnia. Kawa, dobra muzyka i moja praca. Wielki projekt. Zlecenie dla biznesmena z Piaseczna. Spotkaliśmy się jesienią na imprezie branżowej. Od słowa do słowa i okazało się, że zna doskonale Pułtusk i ma z tym miastem związane bardzo dobre wspomnienia. Wymieniliśmy się wizytówkami. Zadzwoił na drugi dzień z propozycją projektu. Tak to się zaczęło. Dziś jestem na półmetku. Dużo pracy, ale też i duża satysfakcja.

Obiad tego dnia był zapewniony. Babcia Jasia zaprosiła mnie na żurek z porządną porcją swojskiej kielbasy. Miałam przyjść na czternastą. Od rana nie mogłam się doczekać, bo kuchnia babci Jasi jest słynna w całej okolicy.

Gdy stanęłam przed jej domem, poczułam niepokój. Drzwi były otwarte

na oścież. O tej porze roku? W pierwszej chwili pomyślałam, że to może włamanie. Ale intuicja podpowiadała mi coś zupełnie innego. Stałam ostrożnie na pierwszym schodku. Ze środka dochodził dziwny odgłos. Pewnym krokiem weszłam do domu, nie wiedząc do końca, co się może zdarzyć za chwilę. Zdziwiłam się. Babcia Jasia siedziała skulona na starej wersalce. Twarz miała zasłoniętą drążącymi rękoma i pasiastym fartuchem. Cała się trzęsła.

– Jezu! Co się stało? – Podbiegłam do niej i złapałam za rękę. Odsunęła je od twarzy, która była mocno spuchnięta z powodu płaczu. Babcia Jasia nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Tylko patrzyła na mnie jak człowiek, któremu przed chwilą wyrządzono ogromną krzywdę. Była przerażona. A jej wzrok mówił, że stało się coś naprawdę złego.

– Były tutaj. We dwie – wykrztusiła z siebie z trudem. Nie mogła złapać tchu. Zaczęła się robić błada. Wystraszyłam się. Przyniosłam szybko szklankę wody. Upiła łyk, potem drugi. Cały czas głaskałam ją po dłoniach, by chociaż tak zmniejszyć jej zdenerwowanie.

– Już dobrze. Napij się jeszcze trochę. I oddychaj głęboko.

– Ja o swoją śmierć się bałam, a oni chcą mi go zabrać jeszcze za mojego życia – powiedziała jednym tchem. A potem zaczęła przeraźliwie płakać. Objęłam ją bardzo mocno i w duszy modliłam się, by stał się jakiś cud i by babcia Jasia mogła się uspokoić. Zastanawiałam się, co to za „one” i co zrobiły, że babcia jest w takim stanie.

– Spokojnie, zaraz porozmawiamy i wyjaśnisz dokładnie, co się stało.

– Krople stoją na stole. Podaj mi je na łyżeczkę z odrobiną cukru. Serce mnie rozboleło.

Babcia oddychała ciężko.

– Wezwę lekarza. A najlepiej karetkę.

– Dobrze. Niech przyjadą – zgodziła się zaniepokojona swoim stanem.

Tak też zrobiłam. Karetka przyjechała po piętnastu minutach. Lekarz zbadał babcię Jasię i stwierdził, że jej stan to wynik bardzo silnego zdenerwowania. Zaaplikował zastrzyk na obniżenie ciśnienia i podał tabletki na uspokojenie. Nie było konieczności hospitalizacji. Zalecił dużo odpoczynku i mniej stresu. Jakby to było takie łatwe! Przestrzegł mnie, że

osoba w tak podeszłym wieku nie może przebywać sama w domu. Kazał zgłosić się na wizytę do lekarza prowadzącego. Karetka odjechała, a babcia Jasia wreszcie była w stanie wyjaśnić, co tak naprawdę się stało.

– Przyszły niespodzianie. Gotowałam obiad i usłyszałam pukanie do drzwi. Myślałam, że to ty jesteś trochę wcześniej.

Wciąż oddychała niespokojnie, a ja trzymałam ją za rękę.

– Kto to dokładnie był?

– Dwie kobiety. Jedna to Anna Nowakowska, a druga Klaudia, ale nazwiska nie pamiętam. Przedstawiły się i powiedziały, że są na polecenie sądu w Pułtusk. Nogi się pode mną ugięły. Rozumiesz? Ja i sąd?

– Co jeszcze mówiły?

– Że przyszły sprawdzić, w jakich warunkach mieszka Michałek. Przeraziłam się. Spójrz na wersalkę. To się na śmieci nadaje. Co ja mogę im pokazać? Kafłową kuchnię?

– Proszę, następnym razem powiedz, że mieszkasz u mnie w starym domu. Bo tak przecież jest. Tu przychodzisz, gdy zatęsknisz za swoim domem.

– Co z tego? W dokumentach ja i Michałek meldunek mamy tutaj. To i przyszły.

– No tak. Nie pomyślałam o tym. Co jeszcze mówiły?

– O sprawie.

– Sprawie? Jakiej? – Cała historia wydawała mi się jakaś dziwna.

– O opiekę nad Michałkiem. To chyba ta twoja sprawa, tak? O adopcję? – Spojrzała na mnie proszącym wzrokiem. A ja zbladłam. Właśnie dotarło do mnie coś okropnego. Przecież nie zdążyłam wnieść jeszcze żadnej sprawy o adopcję! O co tu chodzi?

– Babciu Jasiu, proszę, tylko się nie denerwuj. Ta wizyta nie ma związku ze mną. Tu chodzi o coś innego. Wyjaśnię to, obiecuję.

– Nie ma związku? Boże... Ja naprawdę nie przypuszczałam, że będą chcieli zabrać mi Michałka jeszcze za życia! – Zerwała się z wersalki i zaczęła w pośpiechu szukać czegoś w szufladzie.

– Nic złego się nie dzieje – próbowałam ją uspokoić. – To musi być

pomyłka. Proszę, usiądź. Musisz odpocząć.

– Jak odpocząć?! Trzeba znaleźć numer do tej kobiety z opieki społecznej. Może ona coś wie.

– Zaczekaj chwilę. Zadzwońię do sądu w Pułtusk i zapytam, co się dzieje.

Próbowałam się dodzwonić kilka razy. Najpierw było zajęte. Potem odsyłano mnie od jednej do drugiej sekretarki. Za każdym razem scenariusz był ten sam. Odmawiano udzielenia mi jakichkolwiek wyjaśnień. Prosiłam, tłumaczyłam, namawiałam na chwilę rozmowy. Nic z tego. Jakby się wszyscy razem zmówili, że takich informacji nie udzielają telefonicznie. Zrezygnowana miałam już sobie odpuścić, aż wreszcie ktoś zechciał ze mną porozmawiać. Miło nie było. Zero konkretów. Tylko jakieś zasłanianie się przepisami. Standard w świecie urzędów.

– Ale dlaczego? – To pytanie zadałam może już po raz setny.

– Przecież pani wyjaśniam, że takich informacji nie udzielamy przez telefon.

– Tłumaczę pani, że tu chodzi o staruszkę. Martwi się. Przed chwilą odjechała z jej domu karetka, a pani się zasłania przepisami? – Nie mogłam uwierzyć w aż taką urzędniczą bezduszość.

– Takie mamy przepisy. Pani, której dotyczy sprawa, powinna sama się do nas zgłosić lub wysłać w tej sprawie pełnomocnika. Nic więcej zrobić nie mogę.

– Chociaż słowo, uprzejmie proszę. – Nie poddawałam się.

– Wszystko pani wyjaśniłam. Dziękuję. Do widzenia.

– Niech to szlag trafi! Was i te wasze przepisy! – krzyknęłam do słuchawki. Nie wiem, czy kobieta mnie jeszcze słyszała, czy nie, ale nerwy całkiem mi puściły.

Potem musiałam uspokajać babcię Jasię, która miała sto przerażających wizji – jak to zabiorą jej Michałka, a ona nie będzie mogła umrzeć spokojnie. Na nic się zdały tłumaczenia, że poruszę niebo i ziemię, by wszystko wyjaśnić i zaadoptować Michałka. Wreszcie zasnęła ze zmęczenia, które i mnie się udzieliło. A do tego chciało mi się ryczeć. Z bezsilności. I ze strachu. Po co te kobiety tu przyszły? Czego chciały? Jaka sprawa?

Myślałam, że może telefon do Maćka chociaż trochę mnie uspokoi. Myliłam się. Dostałam kolejny ochrzan.

– Chcesz wszystko spieprzyć? Po cholere jasną tam dzwoniłaś?! – Maćkowi też puściły nerwy, chciał mi uświadomić moją lekkomyślność.

– Myślałam, że jak zadzwonię... – Nie dokończyłam nawet zdania, Maciek nie pozwolił mi dojść do słowa.

– Ja tu jestem od myślenia i ja mam być twoim adwokatem w tej sprawie, zgadza się?

– Tego bym chciała.

– To się nie wtrącaj, tylko czekaj na moje wskazówki. Daj mi trochę czasu. Jeszcze w tej chwili nie mogę się tym zająć. Potem będę wszystko załatwiał.

– Jasne. Rozumiem. Będę czekać na telefon od ciebie.

– Czekaj, odezwę się. A ty w tym czasie zajmij się czymś innym. Do usłyszenia.

Miło nie było, ale Maciek ma rację. Takim nieprzemyślanym działaniem mogę tylko zaszkodzić sobie i Michałkowi. A tego przecież nie chcę. Muszę czekać.

Maciek zadzwonił pod wieczór. Z przeprosinami. Było mu głupio, że tak na mnie naskoczył. Umówiliśmy się na spotkanie. Mamy działać i nie poddawać się.

Tak sobie pomyślałam, że naprawdę jestem szczęściarą. Mam rodzinę, która mnie kocha, kilku wspaniałych przyjaciół, pracę, która jest moją pasją, i dach nad głową. Kiedy ma się takie wsparcie, żadna porażka nie jest człowiekowi straszna.

Rozdział IV

*W którym układam z Maćkiem przemyślny
plan, dostaję dobrą radę od sąsiada,
spełniam dziecięce sny i wariuję razem
z miłością mojego życia*

W świecie paragrafów

Dokładnie o osiemnastej stawiałam się pod wielkim wieżowcem w centrum Warszawy, w którym siedzibę miała kancelaria Maciej Krajewski & Wspólnicy. Weszłam przez szklane obrotowe drzwi. W recepcji powitała mnie radosnym uśmiechem młoda kobieta. Zdziwiła się, gdy ją poinformowałam o umówionym spotkaniu z mecenasem Krajewskim. Moje zaskoczenie było jeszcze większe, gdy przekazała mi, że pan mecenas wyszedł dobrą godzinę temu. Jak to? Dopiero co udało mi się umówić z Maćkiem, a już mi uciekł?

– Halo? Maciek? Gdzie jesteś? Stoję pod twoją kancelarią, a ciebie nie ma.

– Wybacz! Dorota zadzwoniła, że dziś znowu do późna zostanie w pracy. Musiałem odebrać dziewczynki ze szkoły – wyjaśniał nerwowo.

– I wszystko spadło na ciebie?

– Żebyś wiedziała. Poczekaj chwilę. Zuzia, przycisz ten telewizor! Nie no, zaraz zgłupieję. Dom wariatów! Zosia, przestań! Chomiki nie jedzą cukierków! – Ton Maćka oscylował między prośbą a groźbą. Roześmiałam się.

– Dobra, jadę do was. Razem jakoś to ogarniemy.

W ciągu trzydziestu minut zaparkowałam pod ich blokiem. Winda była zepsuta, więc musiałam wdrapać się na piąte piętro. Oj, czas popracować nad kondycją! Już na klatce schodowej słyszałam dokazywanie dziewczynek. Nacisnęłam na dzwonek, a po chwili z uchylonych drzwi wystawały głowy moich uroczych diabełków.

– Ciocia przyjechała! – przywitały mnie tak głośno, że z pewnością było słychać to w całym bloku.

– Cześć, moje szkraby. Co u was?

– Mój chomik zjadł dzisiaj cukierka. A tata mówi, że to niemożliwe. – Zuzia była tak dumna z siebie, aż jej się oczy świeciły.

– Tata mówi, że Edward przez to zdechnie – oznajmiła poważnie Zosia.

– Nie zdechnie! Tato! Powiedz jej coś! – oburzyła się Zuzia.

– No już, dziewczynki, dajcie cioci chwilę spokoju. – Maciek pojawił się w przedpokoju. Był w garniturze, który przykrył kuchennym fartuchem w czerwone maki.

– To teraz tak się chodzi do sądu? – zapytałam rozbawiona jego strojem.

– A to... – Spojrzał na siebie z politowaniem. – A niech to... Przepraszam, musiałem zrobić naleśniki, bo się moim jaśnie paniom zachciało.

– Bo ciągle każecie nam jeść zupy! – zawołały dziewczynki.

– Widzisz, Alicjo, jak to jest, kiedy ma się za żonę bizneswoman. Tragedia jakaś!

– Nie narzekaj. Dorotka twoje dzisiejsze starania z pewnością wynagrodzi ci z nawiązką.

– Zaczekaj na mnie jakieś dwadzieścia minut. Muszę zawieźć dziewczynki na basen.

– Teraz? – Było późno i pomysł z basenem wydał mi się dosyć dziwny.

– Tak, za tydzień są jakieś ważne zawody. Zaraz wracam!

Dziewczynki pospiesznie założyły kurtki i wyszły na zewnątrz. Maciek w ostatniej chwili zorientował się, że niewiele brakowało, a wyszedłby w kuchennym fartuchu.

Zostałam sama. Towarzysząca mi cisza nie była komfortowa. Na kuchennym blacie znalazłam jeszcze dwa naleśniki. Bez pytania nałożyłam je na talerz i zjadłam z cukrem pudrem. Poczułam się senna. Usiadłam na kanapie i przykryłam się kocem. Postanowiłam chwilę odpocząć. Odpłynęłam.

– Królowna długo zamierza spać? – usłyszałam nad sobą przyjazny głos. Otworzyłam jedno oko. Nade mną stał Maciek.

– Zasnęłam?

– I to jak. Twoje chrapanie słyszałem już na dole.

– Ale mi się dobrze spało. Mogę jeszcze trochę? – Nakryłam głowę kocem.

– O nie, nie. Wstawaj, mamy dużo do obgadania. Ta cisza długo nie potrwa. Za godzinę wraca Dorota i po drodze odbierze dziewczynki. Przebiorę się i zrobię mocnej kawy.

– Tego mi właśnie trzeba.

Poza kawą czekały na mnie bezy i ciasto porzeczkowe. Do tego przemiła rozmowa z moim ulubionym panem mecenasem.

W jego rękach była przyszłość moja i Michałka. Od teraz to właśnie Maciek miał być moim przewodnikiem w labiryncie przepisów, kodeksów, ustaw, paragrafów i całej masy spraw, których ani trochę nie rozumiałam.

– Widzę jedno sensowne wytłumaczenie tej nagłej wizyty pań z opieki społecznej na polecenie sądu w Pułtusk. Ktoś musiał złożyć donos, że pani Janina Prusik nie zapewnia Michałkowi właściwej opieki i dziecko jest zaniedbywane.

– Kto mógłby zrobić takie świństwo? – Taka niegodziwość w głowie mi się nie mieściła. – Nikt nie przychodzi mi do głowy. Sąsiedzi mnie znają i szanują. Wszyscy chcą jak najlepiej dla Michałka. Wiedzą, że bardzo mnie kocha i że ja bardzo kocham jego.

– To już sama musisz ustalić. Sąd tego nie powie. Domyślam się, że to był anonim. Albo nawet kilka.

– Ale dlaczego? – Nie rozumiałam, kto mógłby zrobić coś takiego.

– Bo ja wiem? Ludzie, ogólnie rzecz biorąc, są wredni. Na co dzień nie takie świństwa widzę i powiem ci, że niektórym krzywdzenie innych tak wchodzi w krew, że traktują to jak sport.

– Co będzie dalej w tej sytuacji?

– Sąd teraz już nie odpuści, musi zbadać całą sprawę i zarzut niewłaściwego sprawowania opieki nad małoletnim. I rozważyć ewentualną konieczność odebrania prawa opieki.

– Ale to się chyba nie zdarzy, prawda? – zapytałam z wiarą małego dziecka.

– Słuchaj, zdarzyć może się wszystko. Nawet to, że sąd znajdzie jakieś nieprawidłowości albo stwierdzi, że pani Janina nie jest w stanie dalej opiekować się Michałkiem. Wtedy zostaną jej odebrane prawa i kto inny

będzie mógł wystąpić o opiekę nad Michałkiem lub o jego adopcję.

– Maciek! Co ty mówisz?! Jacyś obcy ludzie?! – Zerwałam się od stołu i zaczęłam nerwowo krążyć po kuchni. – Nie, ja tego nie wytrzymam! – rozpłakałam się.

– Alicjo, spokojnie. Realnie oceniam sytuację. To nie znaczy, że tak będzie lub że nie da się sprawić, by było inaczej.

– Przepraszam, przeraża mnie myśl, że ktoś obcy mógłby zabrać mojego Michałka. Ale jednego nie rozumiem. Można oddać dziecko komuś obcemu?

– Ogólnie wygląda to tak, że w chwili odebrania prawa opieki nad dzieckiem jego dane są wpisywane do ogólnego rejestru, z którego typuje się dzieci do adopcji.

– Jest dla nas szansa? Żebym to ja mogła adoptować Michałka? – zapytałam wprost. Nie rozumiałam tych wszystkich zawłości, które próbował mi wyjaśnić.

– Można działać na wiele sposobów. Wybrałem najskuteczniejszy. Teraz się skup, to ważne. Musimy działać rozważnie i w przemyślany sposób.

– Już, przepraszam, postaram się uspokoić.

– Zostanę pełnomocnikiem pani Janiny Prusik i będę ją reprezentował przed sądem we wszystkich sprawach. Oczywiście bezpłatnie.

– Adaś się pewnie nie zgodzi, żebyś pracował za darmo. Jest zbyt honorowy. Znasz go.

– Już moja w tym głowa, by nie miał z tym problemu. Pieniądzy od was nie wezmę. Przyjaciołom się pomaga. Słuchaj dalej. Ty z kolei będziesz przed sądem występowała sama. Bez pełnomocnika. Będzie to lepiej wyglądało.

– Co jeszcze będę musiała zrobić? – Chciałam jak najszybciej przejść do działania.

– Wszystko przemyślałem i mam taki plan. Jako pierwsza wniosek formalny do sądu złożę pani Janina. Będzie występowała o zrzeczenie się prawa do opieki nad Michałkiem.

– Co ty mówisz? – zareagowałam złością.

– Spokojnie. Już tłumaczę, co będzie dalej. W tym wniosku od razu

zapropnuje ciebie jako najlepszą osobę do przejęcia opieki nad Michałkiem.

– Rozumiem. Sama mam coś jeszcze zrobić?

– Tak. Żeby zaistnieć oficjalnie w tej sprawie, musisz złożyć wniosek o to, że zgłaszasz się jako osoba, która chce przejąć opiekę nad Michałkiem. Obok twojego wniosku pani Janina złoży do sądu ten wniosek, w którym zapropnuje, by odebrać jej prawo do opieki. Będzie argumentować, że niedługo może pogorszyć się jej stan zdrowia i może nie móc wypełniać obowiązków opiekuńczych. Wykaże, że dbałość i troska o dobro dziecka nie pozwalają jej tego ukrywać. Kierując się dobrem Michałka, wskaże ciebie jako potencjalnego opiekuna.

– Tak jest, babcia Jasia chce dla Michałka jak najlepiej. Znasz ją przecież.

– Oczywiście w tym piśmie wykażemy, że pomiędzy tobą a Michałkiem wytworzyły się silne więzi. Bardzo się lubicie, dużo ze sobą przebywacie, nawzajem się rozumiecie. To są bardzo mocne argumenty.

– Cała prawda! – przyznałam z nieukrywaną dumą.

– Ponadto wykażemy, że jesteś osobą dojrzałą, rozważną i odpowiedzialną. Masz warunki zdrowotne, psychiczne i materialne, by zaopiekować się dzieckiem. No a wiadomo, że dobro dziecko wymaga, że skoro jest bliska osoba, która idealnie kwalifikuje się do opieki, to wtedy niepożądanym byłoby poszukiwanie kogoś zupełnie obcego. W takiej sytuacji ktoś obcy nie daje takiej gwarancji wychowania i zaopiekowania się dzieckiem jak ty. Mówiąc najprościej, jesteś idealną kandydatką do sprawowania opieki nad Michałkiem.

– Boże... Wreszcie jakieś światło w tunelu. Naprawdę zaczynam myśleć, że będzie dobrze. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę, ale wiedz, że robisz dla mnie coś nadzwyczajnego.

– Alicjo, będzie dobrze! Na pewno nie zabraknie nerwów, bo w tej sprawie sąd może różnie zdecydować. Zapewne będą potrzebne dodatkowe działania. Może też się zdarzyć, że coś pójdzie nie po naszej myśli. Ale nie damy się! Najpierw wygramy sprawę o przejęcie opieki nad Michałkiem. Potem wystąpisz o jego adopcję.

– Będę spokojna dopiero wtedy, gdy Michałek zostanie formalnie moim synem.

Jeszcze długo rozmawiałam z Maćkiem. Wy tłumaczył mi, że mój wniosek będzie się opierał o zasadę dobra dziecka. Przemawia ona za tym, by opiekunem ustanowić osobę już związaną w jakiś sposób z dzieckiem. Do wniosku dołączone zostaną dokumenty, które potwierdzą, że spełniam też wymagania formalne.

Dorotka wróciła z dziewczynkami dosyć późno. Wystarczyło, że na mnie spojrzała, by od razu mieć pewność, że oboje z Maćkiem mamy dobry plan działania w sprawie adopcji Michałka. Oboje przysięgli, że we wszystkim mi pomogą.

Wracałam szczęśliwa do mojego starego domu w Pniewie. Do mojej rodziny. O tym marzyłam całe życie. By mieć do kogo wracać.

Dobra rada od sąsiada

Zdjęcie Magdaleny i Ewy włożyłam do drewnianej ramki i schowałam w szafie między ubraniami. Opowiedziałam Adamowi o swojej wizycie w pułtuskiej kamienicy przy rynku i rozmowie z sąsiadką. Podobnie jak ja był zdania, że kobietą z dzieckiem, która tylko raz pokazała się w mieszkaniu należącym wcześniej do księdza Jankowskiego, mogła być właśnie Ewa. A mała dziewczynka to zapewne jej córka. To by się wszystko zgadzało. Jest nadzieja, że Ewa jeszcze pojawi się w odziedziczonym po wuju mieszkaniu.

Od kilku dni czekałam na telefon od kobiety, która tamtego wieczoru przekazała mi kilka informacji. Nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia, ale musiałam jej zaufać. Była zarządcą tej kamienicy i wiedziała dużo więcej od innych. Telefon milczał jednak. Byłam wściekła na siebie, że sama nie wzięłam od niej numeru. Korciło mnie, by pojechać tam ponownie, ale Adaś skutecznie studził mój zapal.

Doszedł jeszcze jeden temat. Pani Regina, dawna gosposia księdza Jankowskiego, dała mi adres miejsca, do którego ksiądz skierował swoją siostrzenicę Magdalенę wraz z maleńką córką. Odwiedzał je tam przez lata. Potem powstał jakiś konflikt i Magdalena uciekła stamtąd razem z dzieckiem. Z wujem kontaktowała się sporadycznie. Nie chciała, by wtrącał się w jej życie.

Zastanawiałam się, czy tam nie pojechać, ale odpuściłam. Czułam, że wchodzenie z buciorami w czyjeś życie może się bardzo źle skończyć. Do tego byłam pewna, że i tak ich tam nie znajdę. Ale adres skrzętnie przechowywałam.

Wszczęłam za to własne śledztwo. Popytałam sąsiadów, co sądzą o plotkach na temat romansu mojego ojca z Magdaleną. Odważna to była decyzja i, jak się szybko okazało, nie do końca przemyślana. Sprawa odżyła na nowo. Jedni oskarżali mojego ojca, inni mu współczuli.

Po tygodniu dociekań dałam sobie spokój. Czułam się zmęczona. Mikulska ostrzegła mnie, że więcej będzie z tego kłopotu niż pożytku. Miała rację. Sama tylko ciągle powtarzała, że sprawę zna wyłącznie z plotek. Nigdy z Magdaleną nie rozmawiała.

– Wierzyć mi się nie chce, że w całym Pniewie nikt nie wie niczego konkretnego, tylko wszyscy zasłaniają się plotkami – wściekałam się.

– Tak było. Same plotki. Każdy miał swoją wersję. A twój ojciec na to nie reagował. Pamiętam, że tylko raz pod sklepem zwrócił uwagę jednej sąsiadce, żeby nie wtrącała się w nie swoje sprawy. – Mikulska za wszelką cenę chciała udowodnić, że mówi prawdę.

– Nie dziwię się. Ludzie gadali, w domu mama robiła mu awantury...

Tego dnia Mikulska przysłała przed ósmą, by odprowadzić dzieciaki do szkoły. Jako jedna z babć, chciała mieć pod kontrolą sprawowanie swoich pociech. Przy okazji żartowała, że przysłała też skontrolować Adasia i zapytała mnie, czy nie ma na niego skarg. Adaś podśmiewał się, że mama mu się udała, ale jako moja przysłała teściowa już za bardzo się wszędzie panoszy. Mikulska śmiała się, że będzie taką straszną teściową z dowcipów. Gdy wszyscy wreszcie sobie poszli, usiadłyśmy razem na werandzie. Tego dnia nie pracowałam, chciałam odpocząć.

Nagle zza domu wyłonił się pan Miecio na swoim rowerze, który miał zdezelowane obydwie koła. Wyglądało to paradnie. Ale nikt nigdy nawet nie śmiał zasugerować panu Mieciovowi, by zmienił rower, bo krytyczne uwagi zawsze były dla niego największą obrazą. Całe Pniewo wiedziało, że jego rower to rzecz święta i będzie mu służyć aż do emerytury. Wszyscy zatem trzymali kciuki, by rower się nie zepsuł.

– Witam! Moje uszanowanie dla pięknych mieszkańek Pniewa! –

przywitał się tak głośno, że aż Mikulskiej ciasto wysunęło się z dłoni.

– A dzień dobry, panie Mieciu. Pana wizyta to gwarancja, że dzień będzie bardzo udany – przyznałam z radością. Ten człowiek zawsze poprawiał mi humor.

– Sąsiadka wybaczy, że tak głośno się witam, ale starość już mnie bierze, to i głuchy jestem – wyjaśnił życzliwie. Nos i policzki miał zarumienione.

– Ale za to jaki zdrowy! – dodałam dla pochwały.

– Przecież się nie gniewam. A sąsiadowi to zdrowia zazdroścę. – Mikulska nie mogła wyjść z podziwu, że pan Miecio jest raptem kilka lat młodszy od niej, a zdrowia mógł mu pozazdrościć niejeden młodziak.

– Nie narzekam. Codziennie na śniadanie trzy surowe jajka wypijam, żeby się żadna cholera do mnie nie przyczepiła – dodał z jeszcze większym uśmiechem.

– U nas kawa i ciasto. Zapraszamy – zaproponowała Mikulska.

– A może i skorzystam. Pół godzinki przerwy nie zaszkodzi. Sąsiadki muszę rozweselić, bo dzisiaj coś smutne. Problemów dużo, czy jak?

– Panie Mieciu, same problemy! – skwitowałam i uniosłam ręce na znak bezradności.

No i się zaczęło. Pan Miecio powtórzył nam wszystkie zasłyszane przez ostatni tydzień plotki. Ciągłe niby podkreślał, że to go nic a nic nie interesuje, a znał takie szczegóły, że głowa mała. U Falbów urodziły się bliźniaczki, Julka i Ola. Stary Zdunek złamał nogę, jak poszedł z wnukami na plac zabaw. Najmłodszy chłopak u Janczewskich bardzo chory na zapalenie płuc, a rodzice to cały majątek na lekarzy wydali, by dzieciaka ratować. Tym na końcu wsi prąd odcięli, bo rachunków nie płacą. Chcieli kraść prosto ze słupa, ale ktoś ich podkablował. U Jabłońskich córka w ciąży jest. Lada chwila dziecko na świecie będzie. Ludzie gadają, że ojcem jeden z tych, co im w lecie remont domu robili. Ale dziewczyna nic mówić nie chce.

– Przez takie plotki to mało co i moja rodzina by się nie rozpadła – przerwałam rozzłoszczona opowieścią pana Miecia. W tej samej chwili zorientowałam się, że mój wybuch był niestosowny. – Przepraszam. Panie Mieciu, proszę się nie gniewać.

– Prędzej bym swój rower komu oddał, niż się na naszą Alicję gniewał.

– Wie pan, jak to jest. Człowiek żyje sobie, ma jakieś tam wyobrażenie o rodzinie, a nagle okazuje się, że ona wcale taka idealna nie była.

– Jak to mówią, rodziny się nie wybiera!

– Z tym się trzeba pogodzić – dodała Mikulska, która bacznie mi się przyglądała.

– Wiem, wiem, o co chodzi. Sprawa Piotra i siostrzenicy księdza. Oj, jak wtedy ludzie gadali. Każdy co innego. Ale coś musiało być na rzeczy. No i te pieniądze. Milion starych złotych. Nawet na tamte czasy to była taka suma, że nikt o niej nawet nie marzył.

– To pan Miecio coś wie o tym? – prawie zakrztusiłam się kawą z wrażenia. Nigdy bym się nie spodziewała, że poczciwy listonosz wie więcej niż reszta mieszkańców Pniewa.

– Za dobrze z Piotrem, twoim ojcem, nie żyłem, ale swoje wiem i widziałem.

– Może sąsiad opowiedzieć coś więcej? – Mikulska była równie zdziwiona.

– Mój daleki kuzyn w jednej pracy z Piotrem robił. Nawet jego szefem był. Dobrze ze sobą żyli, na imieniny do siebie przychodzili i czasem na kielicha wpadali.

– Ten kuzyn coś panu mówił? – Wreszcie poczułam, że właśnie wpadłam na właściwy trop.

– Gdzie tam, nic nie mówił. Raz tylko taka sprawa była, że twój ojciec kazał mu kupić udziały w zagranicznej spółce. Chyba amerykańskiej. Piotra znajomy mieszkał za granicą i dał znać, że nadarzyła się okazja. Pośredniczył w tym wszystkim i podpowiadał, co mają zrobić. Za jakiś czas kuzyn mówił, że ten zakup to był strzał w dziesiątkę, bo się nagle bogaty zrobił.

– Mój ojciec też?

– Wychodzi na to, że tak. Milion złotych w tamtych czasach to było dużo i niedużo. Zależy dla kogo.

– To by pasowało. Może właśnie wtedy twój ojciec zdobył potrzebny milion dla Magdaleny – zauważyła trzeźwo Mikulska. Serce zabiło mi szybciej.

– Musiało tak być. Kuzyn na pewno pieniędzy miał dużo. Zaraz kupił w centrum Wyszkowa działkę i w pół roku willę wybudował. Nawet tam raz byłem.

– I co? – zapytałyśmy chórem.

– No dziwna sprawa. Z żoną wtedy autobusem pojechaliśmy. Od przystanku trzeba było piechotą iść. Ale to blisko było. Przy furtce spotkaliśmy Piotra. Wychodził od naszego kuzyna. Przywitał się, pozdrowił.

– Wiadomo, po co tam był? – dopytywałam.

– Bo ja wiem? Może tak po prostu odwiedzić, może jakieś sprawy załatwić. Zaraz sobie poszedł, a my nie pytaliśmy kuzyna, jakie wspólne interesy z Piotrem mają.

– A teraz często pan jeździ do kuzyna? – W głowie dojrzywał mi właśnie całkiem sprytny plan. Pan Miecio był jego częścią.

– Wiesz, Alicjo, jak to jest. Jak ludzie się bogacą, to i o rodzinie szybko zapominają. Kuzyn od kilku lat się nie odzywa.

– Da mi pan jego adres? – zapytałam wprost.

– Żaden problem. Pewnie chcesz do niego pojechać?

– Jeśli pan pozwoli. To jedyna osoba, która może wiedzieć więcej o moim ojcu.

Pan Miecio podyktował adres swojego kuzyna. *Bogdan Zawadzki, Wyszków, ulica Prosta 19*. Przy okazji dowiedziałam się, że mojego ojca bardzo szanowali w pracy i koledzy stanęli za nim murem, kiedy pojawiły się plotki o jego romansie z Magdaleną. Nie było to dla mnie żadnym pocieszeniem. Wręcz przeciwnie. Właśnie przed chwilą uzyskałam dowód, że mój ojciec mógł w krótkim czasie zdobyć milion złotych. Dzięki temu mama nic nie zauważyła. No i cała sprawa przeszłaby prawie bez echa, gdyby nie ludzkie gadanie.

Uroczy listonosz posiedział z nami jeszcze chwilę. Potem zerwał się na równe nogi, bo przypomniał sobie, że do południa ma dostarczyć ważną paczkę na Lutobrok. Życzył mi powodzenia i zapewnił, że jego kuzyn chętnie ze mną porozmawia.

– Nie mam pojęcia, jak Adaś zareaguje na moje plany, ale muszę pojechać do pana Bogdana i zapytać wprost, czy coś wie o moim ojcu i Magdalenie.

Musi coś wiedzieć.

– Adasiem zajmę się ja. Przekonam go, że to dla ciebie jedyna szansa. Często się mnie radzi w trudnych sprawach. Mam nadzieję, że i tym razem posłucha.

– Dziękuję. – Przytuliłam Mikulską jak własną matkę. Bo tak ją właśnie traktuję. Jak matkę, której sama już dawno nie mam. Jej życzliwość daje mi ogromną siłę.

– A to za co? – zapytała zawstydzona moim nagłym przyływem uczuć.

– Za wsparcie i za to pyszne ciasto.

– Akurat to masz zawsze u mnie jak w banku.

Nabrałam energii do działania. Zaraz po wyjściu pani Mikulskiej zasiadłam przy komputerze. Szukałam informacji o spółkach, w których udziały z dnia na dzień mogły tak wzrosnąć. Wiele spraw się na to składało, ale wersja przedstawiona przez pana Miecia wydawała się być całkowicie prawdopodobna.

Od tej chwili miałam jeden cel. Jak najszybciej spotkać się z panem Bogdanem. Na pewno niejedno wie.

Wszystkie kolory życia

– Śniło mi się dziś niebo. Mama, tata i dziadek. Wiesz, co robili? – Michałek przyszedł do mnie nad ranem, wślizgnął się pod kołdrę i mocno przytulił. Od razu wiedziałam, że coś musi go martwić, że miał gorszą noc.

– Jestem bardzo ciekawa.

– Biegali po łące z balonami. Było ich bardzo dużo.

– To chyba miły sen, prawda?

– Tak. Kupimy dziś balony? – Objął mnie za szyję i przyglądał się mojej twarzy.

– Możemy jechać do sklepu zaraz po śniadaniu.

– Do cioci Basi?

– Tak. Widziałam ostatnio, że u niej w sklepie były piękne balony.

– Rozalka też pojedzie, prawda?

– Na pewno będzie chciała. Potem wujek Adaś pomoże nam je nadmuchać. Kilka przywiążemy do werandy. Będzie bardzo kolorowo!

– Ale najpierw z nimi pobiegamy! Kocham cię, wiesz? – powiedział z zadziornym uśmieszkiem na swojej prześlicznej buzi.

– Wiem. I ja też bardzo cię kocham. – Jeszcze mocnej go przytuliłam. Wzięłam głęboki wdech, by poczuć zapach jego włosów.

Na tyle dobrze znam swojego Michałka, że nie musiałam zadawać mu więcej pytań, by wiedzieć, skąd ma taki pomysł. Ten sen był dla niego ważny. W jego oczach widziałam szczęście. Przyśniły mu się najważniejsze osoby w jego życiu. I to w jakiej scenerii! Na łące, z mnóstwem kolorowych balonów. Był spokojny, że jego rodzice i dziadek są w niebie szczęśliwi. Chciał sam dokładnie powtórzyć to, co oni robili w jego śnie.

Przed południem byliśmy już w sklepie, by wybrać balony. Kupiliśmy sto, bo tak sobie zażyczyły moje dzieciaki. Basia śmiała się, że Adaś nas z domu wygoni, jak zobaczy, ile balonów ma do nadmuchania. Na szczęście nie był zły. Wyjął sprężarkę i po krótkim czasie sto balonów było nadmuchanych. Do każdego przywiązaliśmy sznurek, by było za co trzymać.

I się zaczęło! Dzieciaki biegały z nimi po całym podwórku. Babcia Jasia aż się popłakała ze szczęścia. Dawno nie widziała tak cudownej sceny. Nasze podwórko na dobre zamieniło się w rajski ogród. Tak kolorowe i wesołe chyba jeszcze nigdy nie było. Kilka balonów pękło, ale dzieciaki nic sobie z tego nie robiły. Zmęczone bieganiem stwierdziły, że przywiążą do brzegów werandy wszystkie balony. Miały nadzieję, że nasz dom uniesie się w powietrze!

Ten weekend zapoczątkował niezwykle czas w naszym życiu. Zbliżyły się Święta Wielkanocne i nasze dzieciaki niezwykle zaangażowały się w przygotowania. Całe szczęście, że pod czujnym okiem Adasia, babci Jasi, pani Irenki i Basi. Ja miałam ostatnie dni na zrobienie poprawek w ważnym projekcie, który trzeba było oddać przed świętami. Byłam bardzo wdzięczna, że dzieci mogły praktycznie codziennie chodzić do Kuźni Kurpiowskiej na

święteczne warsztaty. W tym roku pani Halinka przygotowała naprawdę mnóstwo atrakcji i dzieciaki nie były w stanie opowiedzieć wszystkiego, co stworzyły. Obdarowały mnie ręcznie robionymi palemkami, pisankami, a nawet przynosiły do spróbowania regionalne smakołyki. Widać było, że te zajęcia dają im wiele radości. Oby nauka nie poszła w las. Mogłam być pewna, że pod czujnym okiem pani Halinki poznają tajniki regionalnej kultury kurpiowskiej, a przy okazji miałam spokojną głowę o to, że są bezpieczne.

To już drugie nasze wspólne święta w Pniewie. Jeszcze rok temu nie wiedziałam do końca, co przyniesie mi los. I bardzo dobrze! Nigdy bym nie przypuszczała, że właśnie tu znajdę tak wiele szczęścia.

A dziś ci wszyscy ludzie zrobili, co w ich mocy, bym tylko mogła na czas nanieść poprawki w projekcie. Wszystkie święteczne prace spadły na nich. Babcia Jasia, pani Zosia i Basieńka jednogłośnie stwierdziły, że same przygotowują święteczne przysmaki. I dzięki nim nasz wielkanocny stół aż uginał się od przepysznych dań. Adaś z dziećmi zrobili piękne dekoracje. Henryk zrobił z wikliny święteczny koszyk, który Michałek z Rozalką ustroili i w sobotę zanieśli do kościoła. A ja, dzięki ich pomocy, ze wszystkim zdążyłam!

W niedzielny poranek pojechaliśmy do kościoła. Nawet dzieciaki wstały skoro świt i domagały się, by jechać jak najszybciej, bo w tym roku brały udział w procesji. Niosły szarfy. Ależ były z tego dumne!

Po uroczystej mszy czekała na wszystkich wielka niespodzianka – występ zespołu Dzieci Puszczy Białej, który działa przy pniewskiej szkole. Na środek kościoła wyszła młodzież ubrana w tradycyjne kurpiowskie stroje. Dziewczynki stanęły po lewej stronie, chłopcy po prawej. Policzyłam ich, było ponad pięćdziesiąt osób! Dołączył do nich akordeonista.

Pani dyrektor, opiekująca się zespołem, dała znać, by zaczynali. Zebrani w kościele ludzie usłyszeli pierwsze nuty niezwyklej melodii. Zaraz potem chóralny śpiew młodzieży. Zamknęłam oczy. Chłonełam całą sobą każdy dźwięk. To była prawdziwa uczta dla duszy.

Przypomniałam sobie, że kiedy miałam pięć lat i jeszcze żyła babcia, obiecała mi, że gdy podrosnę, to zapisze mnie do tego zespołu. Już wtedy słuchałam jego występów jak zaczarowana. Ale za chwilę babci już nie było,

a ja z powodu rodzinnych zawirowań musiałam wyjechać z Pniewa na wiele lat. O zespole nigdy jednak nie zapomniałam.

A teraz przyszedł czas na młodych i na promowanie ich talentów. Zaraz po mszy Rozalka i Michałek od razu zaczęli się upominać, że oni też tak chcą występować i mam zrobić wszystko, by ich przyjęli. Ależ ja z nimi mam!

W tę niedzielę Wielkanocną w odwiedziny przyjechała Dorota ze swoją rodziną. Na obiad przyszła też Basia z Jankiem i dziećmi oraz pani Irenka z mężem. Gośćmi honorowymi byli babcia Jasia i Henryk. W moim starym domu znowu spotkali się ci, bez których moje życie byłoby zupełnie puste. Spędziliśmy czas w świetnych humorach, bo opowiadane przez nas historie rozśmieszyłyby nawet największego ponuraka.

Maciek skarżył się, że jest zazdrosny o Dorotę, która ostatnio całe wieczory spędza w biurze. On przy okazji musi pracować na dwa etaty, bo prowadzi i kancelarię, i dom, czego dowód miałam podczas ostatniej u nich wizyty.

Dorota dużo opowiadała o swojej pracy. Gdy na chwilę zostałyśmy same, powiedziała mi coś, co wprawiło mnie w niemałe zakłopotanie.

– Tylko przysięgnij, że nie powiesz Maćkowi ani słowa. Dowie się na końcu.

– Przysięgam, ale mam nadzieję, że nie pakujesz się w jakieś kłopoty.

– Wręcz przeciwnie. Wyobraź sobie, że szef zaproponował mi procentowy udział w najnowszym projekcie. Całe dziesięć procent! A projekt jest wart dwa miliony, więc sobie policz. Nieźle, co?

– Niesamowite! Mam nadzieję, że dobrze wszystko sprawdziłaś? Wiesz, na co się zgadzasz?

– Wszystkiemu dokładnie się przyjrzałam. Nic złego mi nie grozi. Połowę ustalonej sumy będę dostawać w transzach w trakcie projektu. Drugą połowę na jego zakończenie. Ach, i jest jeszcze coś! Będę kierownikiem tego projektu! Powiedz, że cieszysz się tak samo jak ja.

– Bardzo, Dorotko, bardzo się cieszę twoim sukcesem! Jestem z ciebie dumna. Tylko byłabym spokojniejsza, gdyby Maciek rzucił okiem na ten kontrakt i potwierdził, że nie ma zastrzeżeń. Znasz mnie, wolę dmuchać na zimne.

- Jak zwykle panikujesz. Przecież ci mówię, że sama wszystko sprawdziłam dokładnie. Nie jestem głupia. Byle czego przecież nie podpiszę.
- Całe szczęście... To co? Kiedy zaczniesz?
- Projekt rusza za tydzień! Już odliczam dni! Maćkowi powiem, jak wpłynie pierwsza transza pieniędzy. Ale się zdziwi!

Tak bardzo zakochani, tak bardzo zwariowani

Dzwoniłam po raz piąty. W telefonie wciąż słyszałam, że abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon. W myślach układałam sobie scenariusz tego, jak wreszcie dorwę Adama i powiem mu kilka przykrych słów na temat tego, jaki jest nieodpowiedzialny. Ile czasu już nie można się do niego dodzwonić. A ja odchodzę od zmysłów! Rano pojechał do klienta i słuch po nim zaginął. No jak tak można?!

Wściekła pojechałam do Mikulskiej zapytać, czy może wie, gdzie teraz jest jej syn. Okazało się, że Adaś już od dawna siedzi w swojej pracowni. No ładnie! Już miałam tam wparować i go porządnie ochrzanić, gdy nagle usłyszałam jego głos.

– Do cholery jasnej! Dziadostwo pieprzone! – Jeszcze nigdy nie słyszałam go tak wściekłego.

– Chyba przychodzę nie w porę – oznajmiłam poważnym głosem. I omal nie wybuchłam od razu śmiechem.

Adaś stał przy stole kreślarskim i właśnie walczył z wielką płachtą szarego brystolu, która mu się zwijała w różne strony. Aż poczerwieniał ze złości.

– Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy, tak mówią – powiedział ironicznie.

– Mogę pomóc. Tylko powiedz, za co mam się zabrać.

– Akurat to jest mały kłopot – odpowiedział zrezygnowany.

– To co cię tak denerwuje?

– Jutro mam pierwsze zajęcia na uczelni. Wprowadzenie do zajęć

praktycznych z rzeźby. Zaczynam o dziesiątej.

– I co? – próbowałam ustalić, o co właściwie chodzi.

– Nie wiem, czy to był do końca dobry pomysł.

– Co się nagle wydarzyło, że tak myślisz?

– Niby nic, ale mam świadomość, że wiedza teoretyczna już dawno mi gdzieś uleciała z głowy, a moja praktyka może nie do końca się podobać – przyznał szczerze. – To raczej mój warsztat i dzielenie się jego tajnikami nie ma sensu. Narzucę go komuś? Powiem, że jest najlepszy? – W jego głosie dało się wyczuć wątpliwości.

– Nie narzucisz, tylko pokażesz. Kto wie, może kogoś to zainspiruje?

– Może i tak – przyznał mało entuzjastycznie.

– Adamie Mikulski, przywołuję cię do porządku. Nie lubię, jak zbytnio marudzisz.

– Ja marudzę? Chyba, moja droga, przesadziłaś!

Podszedł do mnie szybkim krokiem. Objęłam go. Wzięłam głęboki oddech, by poczuć jego zapach. Aż mi się w głowie zakręciło. Nasze usta spotkały się. Spragnione coraz mocniejszych pocałunków. Adaś posadził mnie na stole. Spojrzałam w jego oczy. Zobaczyłam w nich mieszankę miłości, pragnienia, obłędu. Moje ciało przeszył dreszcz pożądania. Poczułam na sobie jego ciepłe dłonie. Chciałam, by zawładnął mną szybko i gwałtownie.

– A jak ktoś wejdzie? – zapytałam na wpół przytomna.

– To będzie jego problem – odpowiedział ochrypłym głosem i zaczął mnie całować z jeszcze większą pasją.

Cały świat przestał istnieć. Liczyliśmy się tylko my. Rozbierał mnie powoli. Całował każdy centymetr mojego nagiego ciała. Jego dotyk sprawił, że moje zmysły eksplodowały. Gdy nasze ciała się wreszcie połączyły, chciałam, by ta chwila trwała wiecznie. Poruszaliśmy się w rytmie naszych serc. Coraz szybciej i coraz bardziej namiętnie. Taniec naszych ciał przypominał ogniste płomienie. Niecierpliwi, nienasyчени sobą, na granicy obłędu. Eksplozja rozkoszy i spełnienie przyszły jak nagła burza. Taka jest właśnie nasza miłość. Burzliwa, nieprzewidywalna, ale też niosąca ukojenie.

Od dawna porzuciłam swój wstyd, brak wiary w siebie i w to, że jeszcze ktoś może mnie kochać i pożądać. Każde nasze zbliżenie jest dla mnie zwycięstwem nad złą przeszłością i dowodem, że właściwy mężczyzna sprawia, że kobieta może być tak świadoma swej wartości.

Każde spojrzenie Adama, jego dotyk, bliskość, czułe słowa dają mi wielkie spełnienie. Na nowo nauczyłam się być kobietą i czerpać z tego pełnymi garściami.

– Kochasz mnie? – zapytał Adam. Otworzyłam oczy. Patrzyłam na jego zarumienioną twarz, z której mogłam wyczytać całe spektrum emocji.

– Kocham. Z każdym dniem coraz bardziej.

Jeszcze chwilę trwaliśmy w objęciach. Ach, gdyby tak świat chciał zatrzymać się na kilka godzin i pozwolił nam delektować się tą bliskością. Ale nic nie trwa wiecznie. Nawet splecione dłonie kochanków muszą się rozstać na jakiś czas. Wdzięczni za chwile pełne napiętności zaczęliśmy w ciszy zbierać porzucane ubrania. Mieliśmy pewność, że to, co wydarzyło się przed chwilą, było nam bardzo potrzebne. Obydwoje wiedzieliśmy o tym doskonale.

– Teraz już nic nie zrobię – westchnął Adam. – Będę myślał o nas.

– Prawidłowo! Czekam na ciebie wieczorem. Możesz liczyć na dobrą kolację i kontynuację naszej przygody. Kocham cię.

Jak prawdziwa zdobywczyni męskich serc rzuciłam Adamowi zalotne spojrzenie i pewnym krokiem wyszłam z pracowni. Nie mogłam uwierzyć w swoją pewność siebie. Całe szczęście, że na podwórku nie spotkałam Mikulskiej, bo chyba nie mogłabym spojrzeć jej w oczy. Przecież kochaliśmy się z Adasiem kilka metrów od jej domu i w dodatku myśl, że w każdej chwili mogłaby wejść, jeszcze bardziej mnie podniecała...

Przy Adamie odzyskałam poczucie własnej wartości. Życie nauczyło mnie, że w desperackim poszukiwaniu bliskości drugiej osoby bardzo łatwo wpaść w nieodpowiednie ramiona. A stąd prosta droga do błędnej definicji miłości. Miłość nie jest rezygnacją z siebie. Miłość to wspólne trwanie i podążanie w tym samym kierunku.

Wsiadłam do samochodu i pojechałam wprost do starego domu. Zamknęłam drzwi i rzuciłam się na łóżko. Z wypiekami na twarzy

odtwarzałam przeżyte niedawno chwile. I już planowałam, co zrobimy z Adasiem, gdy tylko wieczorem dzieci pójdą spać, a my zostaniemy sami. Miałam nadzieję, że nie może skupić się na pracy, tylko myślami jest teraz ze mną. Bycie niegrzeczną dziewczynką zaczęło mi się bardzo podobać.

Zrobiłam coś jeszcze. Z tym zamiarem nosiłam się od dawna. Ale dziś zrozumiałam, że nie ma na co czekać. Zadzwoiłam do pani Halinki z zapytaniem, czy ma numer telefonu do dyrektora Domu Polonii w Pułtusku. Co tu dużo gadać, byłam pewna, że go ma. Nie pomyliłam się. Po chwili dzwoniłam do człowieka, w którym pokładałam wielkie nadzieje związane z realizacją przemyślnego planu. Przedstawiłam się i wyjaśniłam pokrótce, że chodzi o zrobienie wystawy prac mojego Adasia. I znowu spotkała mnie niespodzianka.

– Adama dobrze znam. Chodziliśmy razem do ogólniaka Piotra Skargi w Pułtusku. Siedzieliśmy zgodnie w jednej ławce przez cztery lata. Ech... To były wspaniałe czasy.

– Czyli pan się zgadza? – dopytałam, bo nie do końca umiałam wyczuć jego intencje.

– Oczywiście! Tylko czasu mamy mało. Plan imprez na cały rok już dawno jest ustalony, ale dla Adama zrobię wyjątek. Co pani powie na wrzesień?

– Będę zobowiązana za każdy termin. Wrzesień jest idealny.

– Ale ostrzegam, że będę potrzebował pani pomocy. Bo taka wystawa to bardzo dużo pracy. Także ze strony artysty.

– Zrobię wszystko, by nasz plan się powiódł.

– Nie ukrywam, że jakiś czas temu pomyślałem o tym. Ale ludzie mówią, że Adam całkiem się wycofał z rzeźbienia.

– To za dużo powiedziane. Po prostu zrobił sobie przerwę. Ze względu na swoją rodzinę.

– Rozumiem. Czyli co, możemy się spotkać w przyszłym tygodniu?

– Kiedy mam przyjechać?

Od razu chciałam przystąpić do działania.

– Zadzwońię do pani. Sprawdzę wrześnieowe terminy i zaproponuję jakiś

harmonogram. Jak już wszystko ustalę, możemy ruszać.

Rozdział V

*Życie w rytmie tajemnic – o wersalce pełnej
skarbów, przyjacielu z dawnych lat,
podstępnej grze świata biznesu i liście od
wnuka niezwyklej kobiety*

Stosy dokumentów, stosy kłopotów

Wszystko na mojej głowie! Niedokończony projekt, bałagan w domu, sprawa adopcji, zbieranie dokumentów i dwoje urwisów, no i właśnie przysłała kolejna plaga przeziębień! Zaraz oszaleję!

Dwoję się i troję, a roboty nie ubywa. Zwariuję, jak Boga kocham, za chwilę zwariuję. I jeszcze coś się stało z rurą w łazience. Od wczoraj cieknie. Już nie nadążam ze zmienianiem misek i ręczników. Pan Leszek, szef mojej dawnej ekipy remontowej, obiecał mi solennie, że załatwi to wieczorem. Mój dom i moje życie wyglądają dzisiaj niczym jedno wielkie pole bitwy.

Umówiłam się na spotkanie z Maćkiem w sprawie adopcji. Wcześniej dostałam od niego całą listę dokumentów, które należało przygotować, by w ogóle zacząć cokolwiek robić w sprawie planowanych wniosków do sądu. Wpadłam w popłoch, bo nie spodziewałam się, że będę musiała aż tyle się nabiegać po urzędach.

Miałam nadzieję, że babcia Jasia ma akt urodzenia Michałka i postanowienie z sądu, w którym została uznana za jego prawnego opiekuna. Pojechała z Basią do Pułtusza, by zrobić nowe zdjęcia do dowodu. Poprzedni gdzieś zgubiła. Nie mogłam się do nich dodzwonić. Jeżeli nie ma jednak tych wymaganych dokumentów, będziemy musiały jechać po nie do gminy i sądu. Do tego potrzebne są dziesiątki dokumentów z mojej strony. Pierwszy raz będę się starała o zaświadczenie o niekaralności. Obowiązkowo muszę mieć zaświadczenie o zarobkach i PIT za ubiegły rok.

Pół dnia miotałam się po domu i kompletowałam papiery. Dzieciaki mi niczego nie ułatwiały. Wręcz przeciwnie. W holu z krzeseł i koców zrobiły sobie magiczną twierdzę i ciągle zadawały jakieś pytania. Miałam chwilę spokoju dopiero wtedy, gdy przyjechała pani Irenka i zaczęła opowiadać im bajki. Potem opiekę nad nimi przejął Adaś, a ja mogłam iść wreszcie do babci Jasi i sprawdzić, co ma, a co trzeba będzie odszukać.

– Jak się udał wyjazd? – Od razu po wejściu do domu zauważyłam jej zły humor.

– A daj spokój, na starość jeszcze mi przyszło zdjęcia robić.

– To ważne. Dobrze, że wójt się zgodził, by przyspieszyć wydanie nowego dowodu.

– Nie narzekam, tylko nieswojo się tam czułam – przyznała szczerze babcia Jasia.

– Ważne, że zdjęcie jest i możemy iść do przodu. Teraz dokumenty. Najważniejszy jest akt urodzenia Michałka i dawne postanowienie z sądu. Masz je? – zapytałam z nadzieją, że mimo sędziwego wieku moja ukochana staruszka zadbała o ważne dokumenty.

– Tego pilnuję jak największej świętości. Schowałam w wersalce.

– W wersalce? – zdziwiłam się.

– To przecież najlepsze miejsce. Kto by wpadł na to, że akurat tam trzymam ważne dokumenty? – zapytała z wielkim zadowoleniem.

– Chyba nikt.

– A widzisz. Pomóż mi. Razem ją uniesiemy.

Tak też zrobiliśmy. Jak się okazało, w wersalce babcia Jasia ukryła wiele dziwnych skarbów. Znalazłam tam nawet starą suszarkę do włosów z ubiegłego wieku. Od dawna do niczego się nie nadawała, ale babcia trzymała ją tak na wszelki wypadek. Takich wszelkich wypadków było tam jeszcze więcej. Chociażby stare ubrania, gazety sprzed kilkadziesiąt lat, kilka dziwacznych przedmiotów i zabytkowe radio. Na szczęście były też i dokumenty starannie poskładane w czerwonej teczce. Uff! Jeden problem z głowy.

Przy okazji znalazłam kilka starych zdjęć Michałka i jego rodziców. Od razu wpadłam na pomysł, by zrobić z nich kolaż. Babcia Jasia uznała, że to świetna myśl. Z zadowoleniem stwierdziła, że trzymanie rzeczy tak na wszelki wypadek wcale nie jest złe.

Wyłumaczyłam jej, w jaki sposób będzie działał Maciek i jakie to przyniesie skutki. Od razu się zaniepokoiła.

– Sama nie mogę iść do sądu? Adwokat potrzebny? – zdziwiła się.

– Tak będzie lepiej dla całej sprawy, dla Michałka i dla nas.

– Jeszcze powiedzą, że taka starowina, a nagle adwokata ma. Tak być nie

może.

– Babciu Jasiu, spokojnie. Sąd tak tego nie rozpatruje.

– A ile pan Maciek będzie chciał pieniędzy?

Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

– Nic. Chce nam pomóc. Bez pieniędzy.

– Tak wypada?

– Jeśli ktoś oferuje bezinteresowną pomoc, to się ją przyjmuje. Sama tak zawsze mówisz.

– Masz rację – przyznała.

– Poza tym musimy mieć kogoś, kto zna się na prawie i będzie umiał nam doradzić.

– Ostatnio te panie mówiły, że teraz to już dokładnie wszystko sprawdzą. Boję się.

– Masz moje słowo, że będzie dobrze.

Podeszłam do niej i przytuliłam ją. Było mi jej tak bardzo żal. Tyle w życiu przeszła. A jeszcze teraz, na stare lata, przyszło jej udowodniać, że jest najlepszą babcią, jaką Michałek mógł sobie wymarzyć.

– W tobie cała moja nadzieja.

Odsunęła się ode mnie. Jej oczy mówiły więcej niż sto wypowiedzianych słów. Widziałam w nich ból, ale i nadzieję, że Michałek będzie szczęśliwy.

– Trudno przewidzieć, co może się wydarzyć na kolejnych rozprawach. Ale wiem jedno. Maciek zrobi absolutnie wszystko, by nam pomóc.

Wreszcie udało mi się przygotować komplet wymaganych dokumentów. Całe szczęście, że te dotyczące zarobków mogą być kopią. To ułatwiło mi zadanie. Pamiętałam słowa Maćka, że sąd będzie oceniał, czy mam warunki, żeby zapewnić Michałkowi właściwą opiekę. Skserowałam jeszcze akt własności starego domu i po namyśle zrobiłam kilkanaście zdjęć jego wnętrza. Może Maciek je wykorzysta przy złożeniu wniosku? Sam zdecyduje.

Pojechałam od razu do Warszawy, niezwykle szczęśliwa, że tak szybko

udało mi się wszystko pozbierać. Maciek mnie pochwalił i przyznał, że przy tak sprawnym działaniu nasze szanse zwiększają się wielokrotnie. Przedstawił mi swoje kolejne przemyślenia i nakazał, by od teraz mieć babcię Jasię na oku i uważać, co i do kogo mówi. Jak widać, komuś coś się nie spodobało w relacji babci Jasi i Michałka i z jakichś powodów ten ktoś postanowił złożyć donos. Maciek spróbuje ustalić, kto to był.

Przekazałam mu plik dokumentów. Przy mnie bardzo dokładnie je przejrzał. Całe szczęście, że wszystko się zgadzało. Umówiliśmy się na telefon za kilka dni. Polecił, by uzbroić się w cierpliwość. Miałam dostać do wglądu gotowy wniosek. Potem ruszy machina sądowa. Złożenie wniosku będzie pierwszym krokiem do wymarzonego happy endu.

Przyjaciół z dawnych lat

Długo biłam się z myślami. Analizowałam różne scenariusze. Rozmawiałam z najbliższymi i brałam pod uwagę ich zdanie. I wciąż nie wiedziałam, co właściwie mam zrobić. Dopiero rozmowa z Henrykiem dała mi odpowiedź na nurtujące mnie wątpliwości. Wczoraj pojawił się w swoim mieszkaniu, które ubiegłej jesieni dla niego wyszykowałam. Czasami lubi posiedzieć tam ze dwa dni i znowu wraca do swojego schronu. Nie pytam, dlaczego tak rzadko tu bywa, nie doradzam, nie pouczam. Akceptuję jego decyzje. Za to chętnie słucham jego rad. Tak było i tym razem.

– Co mogę powiedzieć? Jaką mądrą podpowiedź dać? Jak się jest tak starym jak ja, zupełnie inaczej patrzy się na życie.

– Czyli jak? – Wpatrywałam się w jego zmęczoną twarz. Od zeszłego lata bardzo się postarzał. I jego oczy były jakby bardziej smutne.

– Widzi się tylko to, co w życiu jest najważniejsze. Moje dni dawno są policzone. Co mnie staremu zostało? Inni ludzie. Tylko oni mają znaczenie. Reszta to nic niewarte sprawy.

– To co byś mi doradził? Mam adres przyjaciela mojego ojca. Na pewno wie, co ojciec zrobił z nieoczekiwane zdobytymi pieniędzy. Istnieje szansa, że wie coś o sprawie Magdaleny.

– Co ci serce podpowiada? – Dotknął mojej dłoni.

– Żeby jechać. Jak najszybciej, już teraz. Ale za to rozum mówi, że może nie warto, że szkoda mojego czasu, a co gorsza, że sprowadzę na siebie jeszcze poważniejsze kłopoty.

– Po co masz się bić z myślami? Jedź i porozmawiaj z nim. Będziesz może bogatsza o tych kilka informacji, a jak nie, to świat się nie zawali.

– Tak myślisz?

– To twoje życie i twoje wybory. Wiem tylko, że jeśli tego nie sprawdzisz, będziesz nad tym rozmyślać do końca życia. Ja tak mam. Niezałatwione sprawy nie dają mi spokoju.

– Dużo ich jest?

– Bardzo dużo. Ale i życia mało. Nie zmarnuj swojego czasu. Każdy dzień to nowa szansa.

Nowa szansa pojawiła się już następnego dnia. Rano pojechałam do Wyszkowa. Ale nie od razu pod adres, który dostałam od pana Miecia. Najpierw chodziłam dobrą godzinę po wyszkowskim parku. Zeszłam w dół, na skarpe Bugu. Podziwiałam z oddali most kolejowy, który majestatycznie łączył dwa odległe krańce miasta. Myślałam nad tym, co powiem, kiedy przyjaciel mojego ojca sprzed lat otworzy mi drzwi swojego domu. I jak na mnie zareaguje.

Przypomniały mi się słowa Henryka. Nie chciałam marnować czasu. Po dziesięciu minutach zaparkowałam przy stalowym ogrodzeniu, które otaczało bardzo duży dom – murowany, dwupiętrowy, z bladożółtym tynkiem i mnóstwem małych okien na poddaszu. Musiał kosztować majątek. Czy to efekt udanej transakcji sprzed lat?

Wsiadłam z samochodu. Spojrzałam na furtkę. Zobaczyłam skrzynkę pocztową z napisem Bogdan i Alina Zawadzcy. Czyli dobrze trafiłam. Pchnęłam furtkę. O dziwo, była otwarta. Jakby właściciele domu zapraszali wszystkich do siebie. Przeszłam przez niewielki ogród i stanęłam na schodach prowadzących do wejścia. Nacisnęłam dzwonek. Po chwili otworzyła mi starsza pani, na jej twarzy gościł serdeczny uśmiech.

– Dzień dobry, nazywam się Alicja Pniewska. Czy zastałam pana Bogdana?

– Dzień dobry pani. Męża nie ma, wyszedł godzinę temu po zakupy, powinien zaraz wrócić. A można wiedzieć, w jakiej pani sprawie? Bo chyba się nie znamy, prawda?

– Nie znamy się. Chciałam porozmawiać z panem Bogdanem o moim ojcu. Nazywał się Piotr Pniewski. Wiem, że razem pracowali.

– Piotr Pniewski? Tak, pamiętam. – Kobieta wypowiedziała te słowa z nieukrywaną niechęcią i zaczęła bacznie mi się przyglądać.

– To może ja zaczekam w samochodzie? – zaproponowałam nieśmiało.

– Nie, proszę wejść, zapraszam do środka. Mąż powinien zaraz wrócić.

Poczęstowała mnie herbatą. Pokazała mi zdjęcia wnuków i opowiadała o ich życiu. Nie zadawała żadnych pytań. Zerkała na wiszący na ścianie zegar. Jakies dwadzieścia minut później przyjechał jej mąż. Jeszcze go nie zobaczyłam, a już polubiłam. Dlaczego? Gdy stał w holu, opowiadał radośnie o tym, kogo spotkał na targu i co mu się przydarzyło po drodze. Zdziwił się, gdy wszedł do salonu. Nie spodziewał się gości. Jego żona przedstawiła mnie.

Był to rosły mężczyzna, tak szeroki w ramionach, że ledwo mieścił się w drzwiach. Miał szpakowate włosy i długie czarne wąsy. Przypominał mi jakąś postać z bajki. Pomyślałam sobie, że Michałek od razu by go polubił.

Zaczął naszą rozmowę od wspomnień z Pniewa. Mieszkał tam przez kilkadziesiąt lat. Zapytał, skąd ja pochodzę. Gdy padło nazwisko mojego ojca, serdecznie się uśmiechnął. Czułam, że szybko się zaprzyjaźnimy. Zaproponował zejście do garażu. Mocno mnie tym zaskoczył.

– Wie pani, ja jestem z tych, co lubią majsterkować, i tak sobie garaż upodobałem, że tam mi się najlepiej rozmawia.

– Świetnie pana rozumiem. Sama uwielbiam siedzieć na strychu swojego domu.

– Żona się ze mnie śmieje, że dla gości takie mało eleganckie miejsce wybieram. Ale dziś to bym się prędzej ducha spodziewał niż kogoś takiego jak pani.

Zeszliśmy schodami wprost do garażu, który wyglądał bardziej jak warsztat samochodowy.

– Dostałam adres od pana Miecia, mojego listonosza, którego wprost

uwielbiam.

– Miecio da się lubić. To mój kuzyn, ale tak jakoś wyszło, że rzadko się widzimy.

– Wahałam się, czy przyjechać do pana, ale jest sprawa, która nie daje mi spokoju.

– Chodzi o romans pani ojca z Magdaleną? – zapytał wprost.

– Tak. Jest pan jedyną osobą, która może mi pomóc – odpowiedziałam szczerze.

– Co tu dużo mówić. Dzięki Piotrowi stać mnie było na ten dom. Teraz to nie ma znaczenia, ale kiedyś to ja byłam gościem. Pieniądze były przepustką do lepszego świata.

– Czyli to prawda?

– Nie da się ukryć. To była okazja życia. Piotr, jako inspektor budowlany, miał dostęp do różnych spółek zagranicznych i wiedział o nich dużo więcej niż inni. Pewnego dnia przyjechał do mnie i powiedział, że właśnie trafia się okazja, z której musimy skorzystać. Chodziło o udziały w amerykańskiej spółce z branży przemysłowej.

– Dlaczego to panu zaproponował? Przecież mógł tylko sam skorzystać.

– Byłem wtedy wicedyrektorem firmy, w której Piotr pracował. A do tego przyjaźniliśmy się. Powiedział mi, że jakaś amerykańska spółka będzie za chwilę bardzo tanio wyprzedawać swoje udziały. To była nowa spółka, zapowiadano jej bankructwo z powodu złej kondycji finansowej. Przyjaciel Piotra mieszkał w Nowym Jorku i miał dostęp do poufnych danych. To był ktoś wysoko postawiony, z możliwościami. Piotr dostał od niego informację, że za kilka miesięcy udziały tej spółki pójdą mocno w górę.

– I skusił się pan?

– Nie miałem wiele do stracenia. To były bardzo małe pieniądze. Najwyżej bym ich nie odzyskał. Razem z Piotrem wykupiliśmy udziały po połowie. Na sukces nie trzeba było długo czekać. W ciągu kilku miesięcy wszystko, co obiecywał Piotr, sprawdziło się co do joty. Cena naszych udziałów wzrosła o niewyobrażalny procent. Sprzedaliśmy je za pośrednictwem tego znajomego Piotra i z dnia na dzień staliśmy się bogaci. Jak na tamte czasy byliśmy milionerami.

– Łatwe i szybkie pieniądze. – Na chwilę się zamyśliłam. Czułam coś dziwnego. Sama nie wiem co. Zdziwienie? Wstyd? Zażenowanie? Jakby mój ojciec zrobił coś złego.

– Tak, to dzięki Piotrowi mamy ten dom.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Pan Bogdan podszedł do wielkiego pieca i coś przestawił na ogromnym liczniku. Przyglądałam mu się uważnie. Nie mogłam wyjść z podziwu, że tak spokojnie mówi o przeszłości. Ja tak nie umiem. Szczególnie, jeżeli dotyczy mojego ojca. Jakbym go w ogóle nie znała. Te opowieści nie mają nic wspólnego z tym, jak go zapamiętałam. Był przez krótki czas milionerem? Coś takiego.

– Co pan wie o romansie mojego ojca z Magdaleną? – zapytałam wprost.

– A chce pani znać prawdę? – upewnił się.

– Tak. Domyślałam się, że może być nawet gorsza, niż się spodziewam. Jednak wolę prawdę niż kolejne dni życia w kłamstwie.

– Byłem bliskim przyjacielem pani ojca. Dlatego wiedziałem dużo więcej niż inni. Tak, Piotr miał romans z Magdaleną. Może nie romans, ale bardzo krótką przygodę.

– A więc to prawda – przyznałam ze smutkiem.

– Tak, zdradził pani matkę. Ale bardzo tego żałował. Dużo o tym rozmawialiśmy. Przeklinał dzień, w którym poznał Magdalenę. Wuj Jankowski, w tamtych czasach pniewski proboszcz, załatwił jej posadę sekretarki w naszej spółce w Pułtusk. Od początku nie miała dobrej opinii. Chodziły plotki, że nie przepuści żadnemu.

– Ludzie w Pniewie też tak źle o niej mówią – dodałam jakby na usprawiedliwienie.

– Wuj miał z nią wiele problemów, ale starał się jej pomagać. Z tego, co wiem, to ona była sierotą. Matka jej wcześniej zmarła. To i przypilnować dziewczyny nie było komu.

– Co jeszcze pan wie?

– Nie ukrywam, że czuję się trochę winny, że na Piotra spadły takie problemy – wyznał szczerze. Spojrzał na mnie, jakby się bał osądu.

– Dlaczego? – Jego słowa mnie zaintrygowały.

– Piotr musiał jechać w delegację, by zrobić pomiary i sprawdzić teren pod budowę. Razem z nim wysłałem Magdalenę. Druga sekretarka wtedy chorowała. Nie miałem wyjścia, ale i nie przewidziałem, że z tego może wyjść coś złego.

– Wtedy to się stało?

– Tak. Piotr mówił, że towarzystwo za dużo wypilo i... – tu zawiesił głos.

– Przespał się z Magdaleną – dopowiedziałam.

– No właśnie. Miał ogromne wyrzuty sumienia. Chciał o wszystkim powiedzieć pani matce, ale go powstrzymałem.

– Ale to był dopiero początek problemów, prawda? – zauważyłam trzeźwo.

– Magdalena nie chciała Piotrowi odpuścić. Chodziła za nim, chciała być jego sekretarką, szukała kolejnych sposobów na wspólny wyjazd. Piotr jej unikał. A pewnego dnia przysłała do pracy i oznajmiła, że jest w ciąży. Właśnie z nim.

– Co z tym zrobił?

– Początkowo nic. Nie wierzył jej. Ale wkrótce ciążę było już widać. W spółce aż huczało od plotek. Zaczęła go szantażować. Z tego, co mówię, wiem, że nie przebierała w środkach. To była kobieta, która z zemsty mogła zrobić dosłownie wszystko.

– Nie dziwię się, tak się kończą przelotne przygody. Trudno ocenić, kto jest ofiarą, a kto winnym. Przestaje to mieć znaczenie.

– Piotr chciał ustalenia ojcostwa, ale ona się nie zgodziła. Zwierzył mi się, że Magdalena zagroziła mu, że jeżeli nie zapłaci jej wielkich pieniędzy, to rozpowie w całej okolicy, kto jest ojcem jej dziecka.

– A mój ojciec stchórzył i jej zapłacił – skomentowałam jego słowa pełną gniewu.

– To nie tak. Piotr nie chciał rozbijać swojej rodziny. Kochał ciebie i twoją mamę.

– Tak kochał, że aż musiał nas zdradzić. Bo inaczej tego nazwać nie można.

– Ciężko oceniać. Pewnie każdy człowiek postępuje inaczej. On wybrał

takie rozwiązanie. Tym bardziej że Magdalena naciskała. Potem dołączył jej wuj. Chciał po cichu załatwić sprawę.

– Ale przecież to mogło nie być dziecko mojego ojca?!

– To prawda. Ale to były inne czasy. Takie sprawy były skandalem. Piotr chciał tego uniknąć. Chronił panią i swoją żonę.

– Błagam! Niech pan nie robi z niego świętego! Jeszcze może uznamy go za poszkodowanego! – krzyknęłam w złości. – Przepraszam. To nerwy, poniosło mnie.

– Nic się nie stało. Rozumiem panią.

– Co było dalej?

– Wiem, że Piotr zgodził się na układ. Pieniądze w zamian za milczenie i zniknięcie.

– Milion wystarczył?

– Tak, równo milion. Ten sam, który dostał ze sprzedaży udziałów. Piotr długo bił się z myślami. Uznał, że chce oszczędzić upokorzenia pani i pani mamie. Nie miał pewności, czy jest ojcem dziecka Magdaleny, ale miał związane ręce. Trudny to był wybór. Pieniądze zapłacił. Magdalena wyjechała. Domyślałam się, że nigdy dziecka nie widział. Po Magdalenie wszelki ślad zginął. Ksiądz zachowywał się tak, jakby całej sprawy w ogóle nie było. Wy, w sensie wasza rodzina, wyprowadziliście się do Warszawy.

– Przez plotki. Moja mama nie mogła tego dłużej wytrzymać. Pamiętam, jak potwornie się kłócili. Nie rozumiałam tego. Teraz już wiem, o co chodziło. Co było potem?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, czy Magdalena kiedykolwiek odezwała się do pani ojca. Sam też straciłem z nim kontakt. Raz na zawsze odciął się od swojej przeszłości.

– Która właśnie dała o sobie znać. I muszę coś z nią zrobić.

Jeszcze długo ze sobą rozmawialiśmy. Bogdan opowiadał o moim ojcu, ich wspólnej pracy i życiu w tamtych trudnych czasach. W jego oczach widziałam głębokie współczucie. Wiedział, że nie jest mi łatwo żyć ze świadomością, że mój ojciec zdradził moją mamę i że jest prawdopodobne, że mam siostrę. Chciał pomóc. Obiecał, że mogę na niego liczyć.

Wracałam z Wyszkowa w ponurym nastroju. Zdenerwowana. Zatrzymałam się w lesie przed Pniewem i tam się rozpłakałam. Z żalu. Nad sobą, nad moją rodziną i przeszłością, która wciąż nie dawała mi spokoju. Nie mogłam wybaczyć swojemu ojcu, że przez jego głupotę moja mama musiała doznać tak wielkiego poniżenia, a na koniec uciekać z miejsca, które ja tak mocno pokochałam jako mała dziewczynka. Miałam dziwną pewność, że gdybyśmy zostali w Pniewie, moje życie potoczyłoby się inaczej i wyglądałoby dużo lepiej. Straciłam tyle lat.

Gra w kotka i myszkę

Obmyśliłam taki fantastyczny plan, że Dorota od razu chciała do mnie przyjechać i brać się za jego realizację. Mowa oczywiście o wystawie prac Adasia.

Postanowiłam, że wszystko odbędzie się w tajemnicy. Oczywiście Adaś dowie się o wystawie, ale będzie święcie przekonany, że to kolejna z wielu przeciętnych wystaw, które są udziałem każdego artysty.

Ale tym razem będzie inaczej. Byłam pewna, że jeśli Dorota podchwyci mój pomysł, to ta mała wystawa zamieni się w wydarzenie kulturalne, na które ściągniemy media z całej Polski, ogłaszając wielki powrót Adama Mikulskiego.

Trochę obawiam się jego reakcji. Ale przecież mam jeszcze sporo czasu, by go przekonać, prawda? A w przekonywaniu go jestem ostatnio coraz lepsza!

– Już namówiłam swoją koleżankę z „Faktów Dnia”. Zrobi relację z wydarzenia i wywiad. Jej pismo ma taki nakład, że każdy marzy, by się pojawić chociaż na jednej kolumnie.

– Dorota, ale powiedz, że my chyba nie przesadzimy, prawda? – zapytałam przerażona.

Nasz śmiały plan zaczął nabierać realnych kształtów. Do tej pory to były raczej takie sobie swobodne pomysły, ale Dorota przeszła od planu do działania.

– Daj spokój. Wiesz, jaki jest Adam. Skromny. Najgorsza cecha, jaką może mieć artysta. Chcesz, żeby ten facet się zmarnował? Chcesz, żeby do końca życia siedział w tym swoim warsztacie i okna robił?

– Nie chcę. Pewnie, że nie chcę. Ale liczę się z jego zdaniem. Nic na siłę.

– Kochana, teraz są takie czasy, że jak nie rozpychasz się łokciami i nie idziesz śmiało po swoje, to zaraz inni cię prześcigną. Nawet tacy, co talentu nie mają za grosz.

– Adaś go ma. Sama przecież wiesz. Jest cenionym artystą, kiedyś bardzo znanym. Wszyscy pewnie do dziś zastanawiają się, czemu tak nagle zniknął z branży.

– Alicjo, rzeźba to wielka pasja Adama. Sama wiesz, że zanim Joanna na dobre nie spieprzyła mu życia, to zapraszały go największe galerie na świecie. On to naprawdę kocha!

– Jak zwykle masz rację. Porozmawiam z Adasiem.

– Tylko nie wygadaj mu, co dokładnie planujemy. A teraz głowa do góry. Dawno nie miałam wolnego i chcę odpocząć. – Siedziałyśmy w Wyszkwowie w uroczej kawiarni. Dorota przyjechała do mnie na babskie ploteczki.

Wyglądała na zmęczoną. Jak zwykle umiała świetnie doradzać innym, tylko zapominała o sobie. Od jakiegoś czasu bardzo się o nią martwię. Za dużo pracuje. Nie dba o siebie. Obrywa się też Maćkowi i dziewczynkom, które widują matkę tylko od święta. Wytrzymałość Maćka też ma swoje granice. Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd ich małżeństwo omal się nie rozpadło, a Dorota znowu przegina. Kiedy ona zmądrzeje?

– Wybacz, muszę zapytać. Ostatnio jakoś mało mówisz o swoim wspaniałym szefie...

– Bo robi się coraz mniej wspaniały – odpowiedziała smutnym głosem i wbiła wzrok w wielki kielich lodów, który kelnerka przed chwilą postawiła na stoliku.

– Co konkretnie się dzieje? – Przeczynałam, że to początek kolejnych problemów.

– Chociaż może jestem przewrażliwiona, ale wydaje mi się, że ostatnio dochodzi do jakichś niezręcznych sytuacji. Niby nic złego. Wiesz, to jest przy okazji omawiania projektów czy w trakcie zebrania. Ale czuję, że

jednak przekracza pewną granicę. Jego zachowanie nie jest do końca profesjonalne.

– Dorota, sama sobie odpowiedziałas na własne wątpliwości. Czujesz, że coś jest nie tak. No to tak właśnie jest. Od początku ten facet nie wyglądał na porządnego gościa.

– Może panikuję? A jeśli mi się wydawało?

– Dorota, nie kombinuj.

– Masz rację. I co teraz?

– Jak najszybciej zrezygnuj z tej roboty, póki nie masz większych problemów. Mogę się założyć, że za chwilę facet będzie chciał się do ciebie dobrać.

– Zrezygnować? Nie ma takiej możliwości. To robota moich marzeń. Kilka dni temu podpisałam kontrakt życia. Na pewno nie zrezygnuję.

No cóż, czarne chmury zawisły nad Dorotą szybciej, niż się mogłam spodziewać. Już następnego dnia zadzwoniła roztrzęsiona ze skargą na szefa. Zaczęła się klasyczna gra w kotka i myszkę. Szef zaproponował Dorocie wspólny wyjazd na zagraniczną konferencję. Oczywiście wyjazd służbowy. Na szczęście Dorota ma jeszcze trochę oleju w głowie i wszystko dokładnie sprawdziła. Hucznie zapowiadana konferencja okazała się być bankietem dla snobów, którzy przyjeżdżają tam w wielce podejrzanych celach. Zrozpaczona Dorota szukała u mnie ratunku.

– Co mam robić? – To pytanie słyszałam w słuchawce po raz kolejny. Szkoda mi jej było i nie chciałam od razu rzucać w odpowiedzi „A nie mówiłam?”.

– Nic innego nie wymyślę. Zrezygnuj z tej pracy. W tydzień znajdziesz inną.

– A kontrakt? Przecież nie mogę go zerwać tak z dnia na dzień.

– Tego nie wiem. To musiałby sprawdzić Maciek.

– Błagam cię, Alicja, nie mów nic Maćkowi. Strasznie by się wściekł.

– Ukrywanie przed nim tych problemów to też nie jest najlepsze wyjście.

– Dam sobie tydzień. Może ta sprawa jakoś sama się dobrze zakończy.

W to akurat ani przez chwilę nie wierzyłam. Takie sprawy nigdy nie kończą się dobrze. Cały wieczór myślałam, jak pomóc Dorocie. I co? Nic nie wymyśliłam. Byłam na siebie wściekła! Adaś od razu to wyczuł i drażył uparcie temat. Grzecznie dałam mu znać, że tajemnic przyjaciółki nie zdradzę. Poprosił mnie tylko, bym nie wpakowała się w jakieś kłopoty. Jego dobre rady na nic się zdały. Rankiem, zaraz po przebudzeniu, wpadłam na szatański pomysł.

Wkrótce jechałam już do Warszawy. Zaparkowałam na Mokotowie, przed wejściem do olbrzymiego wieżowca, w którym na ostatnim piętrze urzędowała moja Dorota. Jej mina, gdy zobaczyła mnie w drzwiach swojego gabinetu, była komiczna.

– Alicja? Stało się coś? – zapytała blada jak ściana.

– Nie. Wszystko w porządku. Postanowiłam odwiedzić ukochaną przyjaciółkę i sprawdzić, jak wygląda ten jej wypasiony gabinet. – Teatralnym gestem odgarnęłam włosy z czoła, usiadłam na obrotowym krześle i założyłam nogę na nogę tak, że prawie majtki było mi widać. Dorota bardzo się zdziwiła moim zachowaniem.

– Dorotko... Czy mogłabyś zerknąć? – Do biura Doroty wszedł szalenie przystojny brunet o oczach tak czarnych jak nocne niebo.

Uśmiechnął się. Jego białe zęby stanowiły kontrast z lekko zarysowaną brodą, na której widocznych było kilka srebrnych akcentów. Wyprostował się. Poprawił szarą idealnie skrojoną marynarkę. Dorota stała jak zaczarowana. Zerkała raz na mnie, raz na niego. A ja przez dłuższą chwilę obserwowałam go. Wreszcie wstałam i przedstawiłam się. Mocno uścisnęłam moją dłoń i stwierdził, że zrobi wszystko, by przekonać mnie do pracy w swojej firmie. Nie odrywał ode mnie wzroku. Niesamowicie mnie to bawiło. Czułam, że mam nad nim władzę. Ale miałam też pewność, że gdyby nie to miejsce i obecność Doroty, zdarłby ze mnie ubranie i pokazał, kto tu tak naprawdę rządzi. Od razu przeszedł do konkretów i zaprosił nas obie na kolację. Jakże się zdziwił, gdy powiedziałam mu, że na kolację to my się, owszem, wybieramy, ale ze swoimi mężami. Adaś byłby wniebowzięty, że tak go nazwałam. Alan Sadowski, bo tak nazywa się szef Doroty, nie krył rozczarowania. Wręczył mi swoją wizytówkę i poprosił o pilny kontakt w sprawie pracy. Podobno czekało na mnie idealne stanowisko.

Na kolację poszliśmy. Ale tylko we dwie. Dorota nieco się uspokoiła i miała lepszy humor. Dostrzegła, że jej szef żadnej nie przepuści. Jej także. Będzie ją osaczał coraz bardziej. Ustaliliśmy, że jutro porozmawia z nim i przekaże mu, że nigdzie nie jedzie. Doda też, że sprawdziła dokładnie i wie, że w tym dniu nie ma żadnej konferencji dla architektów. Dodatkowo poprosi o zakres obowiązków, bo jak się okazuje, do dzisiaj go nie dostała. Byłam o nią spokojniejsza. Czy na długo?

Tajemniczy list od Jonasa

Końcówka kwietnia rozpieszcza nas piękną pogodą. A mój ogród wynagradza mi ciężką jesienną pracę. Było warto, bo rezultat przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Od rana chodziłam po moim ogrodowym królestwie. Najbardziej cieszy mnie, że udało mi się uratować przed zmarnowaniem stare jabłonie. To właśnie pośród nich siedziałam z moim ukochanym dziadkiem. Pamiętam, że pod jabłonią posadzoną na samym końcu naszego ogrodu dziadek postawił dwie małe ławeczki i uwielbiał tam przesiadywać całymi dniami. Jeżeli nie było go na werandzie, to było pewne, że siedzi wśród jabłoni. Zawsze się do niego skradałam i miałam nadzieję, że mnie nie zauważy. To była taka nasza gra. Ale baczne ucho dziadka zawsze wychwyciło odgłos moich kroków. Wiele razy przytulałam się do niego, a on głaskał mnie po włosach i mówił o sprawach, które dla małej dziewczynki były czasami trudne do zrozumienia. Teraz już wiem, że zwyczajnie chciał przygotować mnie do dorosłego życia. Jakby przeczuwał, że wkrótce zostanę na tym świecie sama.

– Dziadku, dlaczego drzewa przy płocie mają najbardziej połamane gałęzie?

– Ponieważ są najsilniejsze.

– Najsilniejsze?

– Tak. Odgradzają wszystkie inne drzewka. Jak wieje silny wiatr lub jest burza, to właśnie one narażone są na najmocniejsze uderzenia. Dlatego mają połamane gałęzie. Ale to dowód, że są najsilniejsze. Inaczej by ich tu nie było.

- To tak jak u nas. Ty i tata jesteście najsilniejsi i nas bronicie.
 - Tak właśnie jest.
 - Kiedyś ja będę silna i was wszystkich obronię.
 - Razem damy sobie radę. Pamiętaj tylko o tym, że siła to nie tylko odporność na różne złe rzeczy, które się w życiu dzieją.
 - A co jeszcze?
 - Siła to także umiejętność wybaczenia.
 - Wybaczenia?
 - Tak. To taka sytuacja, że ktoś zrobił ci coś złego, ty przez długi czas jesteś zła na tę osobę i nie chcesz jej znać. Ale potem wybaczasz jej, czyli nie zapominasz wyrządzonej ci krzywdy, ale starasz się już do niej nie wracać. Ciągłe o niej nie myślisz.
 - To chyba jest trudne?
 - Bardzo trudne, ale też bardzo dla nas ważne.
 - Dlaczego?
 - Pozwala nam cieszyć się tym, co dzieje się teraz. Nie musimy ciągle wracać do przeszłości i mieć żalu do tych, którzy nie byli dla nas dobrzy.
 - A ty komuś wybaczyłeś?
 - Wiele razy. Bardzo często wybaczymy innym, by wciąż byli częścią naszego świata. Większym wyzwaniem jest ponownie komuś zaufać.
 - Wtedy jest lepiej?
 - Dużo lepiej. Cieszę się każdym dniem i nie wracam do tego, co było kiedyś. Jestem teraz z tobą, to daje mi wielką radość.
- Dziadek miał rację. Wybaczenie to danie szansy sobie i innym. Nie można ciągle wracać do przeszłości i krzywd, które zostały nam wyrządzone. Ale co wtedy, gdy w przeszłości kryją się tajemnice? Jak ta zapisana w pamiętniku dziadka, dotycząca dokumentów schowanych na polskiej ziemi pośród polskich drzew? Oczywiście można dalej żyć bez jej rozwiązania. Ale zaznać spokoju nie można.

Stojąc pośrodku ogrodu, usłyszałam szcęk zamykanej furtki. Ruszyłam w stronę domu, który o tej porze był zupełnie pusty. Kogo licho niesie

w samo południe? Odpowiedź pojawiła się bardzo szybko. Przy werandzie stał pan Miecio i zaglądając przez okno, próbował się zorientować, czy ktoś jest w domu. Wyglądał na zdenerwowanego. Krążył po werandzie jak ktoś, komu bardzo się spieszy.

– Tu jestem, panie Mieciu. – Na moje słowa aż podskoczył i złapał się za serce.

– O matko, jak mnie wystraszyłaś.

– Przepraszam. A co pan dziś taki nie w humorze?

– A wiesz, dziwna sprawa dziś wyszła. Chodzi o ciebie – powiedział z poważną miną i wyjął ze służbowej torby białą kopertę.

– O mnie? Co się dzieje? – zaniepokoiłam się.

– List dla ciebie mam. Prosto z Berlina. Ale poza tobą adresatem jest twój dziadek Jan.

– Mój dziadek? – Poczułam dreszcz emocji.

Ostrożnie wzięłam w dłonie list i dokładnie go obejrzałam. Aż mi dech zapało, gdy przeczytałam, kto jest jego nadawcą i odbiorcą. Nie wiedziałam, czy to jakiś żart, czy może właśnie dopadła mnie przeszłość. Byłam przerażona.

Nadawca: Jonas Klein

Hannoversche Str 147

10115 Berlin, Germany

Odbiorca: Jan Pniewski

Alicja Pniewska

07-217 Pniewo, Poland

Pan Miecio chciał wyciągnąć ze mnie jakieś informacje. Najlepiej by było, gdybym przeczytała list w jego obecności i dokładnie zdała mu relację, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mogłam tego zrobić. Nie byłam w stanie. Grzecznie go przeprosiłam i czym prędzej zamknęłam się w domu.

Cała się trzęsłam. Czułam, że ten list jest początkiem lawiny zdarzeń, które zmienią moje życie. Chodziłam nerwowo po kuchni i myślałam, co

powinnam zrobić. Otwierać? Czytać? Poczekać na Adasia? Udawać, że ten list w ogóle do mnie nie dotarł? Byłam kłębkim nerwów. Spojrzałam na stojące na kominku zdjęcie dziadka. Przypomniały mi się jego słowa, że mam być silną kobietą i stawić czoło temu, co przyniesie życie. Zdecydowanym ruchem otworzyłam list. Był napisany po polsku. Zaczęłam czytać.

Szanowni Państwo,

bardzo długo nosiłem się z zamiarem napisania do Państwa tego listu. Nie mam nawet pewności, czy adres, który dostałem od swojej Babci, jest właściwy. Nie wiem też, czy Państwo mieszkacie nadal w Pniewie. Myślałem nad tym, czy wypada pisać i czy takim działaniem nie zburzę Państwa spokoju. Tego nie chcę. Jednak po długim namyśle zdecydowałem się wypełnić ostatnią wolę Babci. Tym bardziej że dołożyła wszelkich starań, bym nie zapomniał o tym, że w moich żyłach płynie również polska krew.

Nazywam się Jonas Klein. Jestem wnukiem Elizabeth Klein, z pierwszego męża Bauer. Babcia niedawno zmarła, a jednym z jej ostatnich życzeń było odnalezienie Państwa. Nie wiem, kto dokładnie czyta ten list, ale chcę wyjaśnić, że początkiem tej trudnej historii była niezwykła przyjaźń łącząca moją Babcię Elizabeth Klein z Janem Pniewskim. Na potwierdzenie swoich słów przesyłam zdjęcie mojej Babci z Janem. Wykonane zostało w obozie.

Mój dziadek, którego zawsze będę nazywał potworem, był komendantem obozu zagłady w Stutthofie. Babcia musiała tam przebywać razem z nim. Tam poznała Jana, jednego z więźniów obozu. Poza przyjaźnią połączyła ich pewna misja, o której Babcia wiele razy wspominała, jednak nie chciała powiedzieć, na czym dokładnie polegała. Wciąż mówiła o tym, że Jan tłumaczył dla niej ważne dokumenty. Do końca twierdziła, że to on jest w ich posiadaniu i że na pewno zrobił wszystko, by były bezpieczne. Ich odnalezienie da mi odpowiedź na pytania dotyczące ciężkiego życia mojej Babci i pozwoli rozwikłać tę tajemnicę. Wiem na pewno, że moja Babcia Elizabeth i jej przyjaciel Jan przeszli bardzo wiele. Omal nie zginęli z powodu donosu niejakiego Henryka. To był przyjaciel w wilczej skórze.

Nie chcę Państwa do niczego zmuszać ani zmieniać Waszego życia.

Napisałem, bo tak mi nakazywało moje sumienie. Jeżeli podejmiecie decyzję o nawiązaniu ze mną kontaktu, będę się starał z całych sił, by odpowiedzieć na wszystkie Wasze pytania. Jeśli jednak nie odpiszą, życzę Wam dobrego życia i proszę o dobrą myśl w intencji mojej Babci Elizabeth. Dobra to była kobieta, ale okrutnie skrzywdzona przez los. Do końca życia ani na chwilę nie zapomniała o tych wszystkich ludziach, z którymi dzieliła obozowe piekło. Była żoną komendanta, a to oznaczało całkowite posłuszeństwo. Ale w tym piekle było też miejsce na przyjaźń. Ona pozwoliła mojej Babci przetrwać.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Jonas Klein

Rozdział VI

*Siła kilku zapisanych słów – o tym, jak
trudno czasem odpowiedzieć na list,
o sfałszowanym kontrakcie, dawno
zapomnianym adresie i wniosku, który ma
być biletem do szczęścia*

Napisz chociaż krótki list

Jedna chwila. Jedno zdarzenie. Jeden list. Tyle wystarczy, by z dnia na dzień w dotychczas poukładane życie wprowadzić zamęt. List od Jonasa był jak huragan. Nagły, silny, niszczący wszystko, co spotka na swojej drodze. Może zbyt wielkiej krzywdy mi nie wyrządził, ale na pewno zburzył mój spokój.

Całe popołudnie czytałam go zdanie po zdaniu, jakbym chciała się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wpatrywałam się w załączone zdjęcie Elizabeth i mojego dziadka Jana. Obydwoje tacy młodzi. Ale też niezwykle smutni. Widać było, że zdjęcie zrobiono w pośpiechu. Nie było pozowane. Po co było im potrzebne to zdjęcie? W obozie? A może to taka próba potwierdzenia przyjaźni? Albo dowód, że istnieli i byli w Stutthofie? Bo przecież nikt nie mógł dać im gwarancji, że przeżyją. Szczególnie mojemu dziadkowi.

Adam od razu zauważył, że wydarzyło się coś dziwnego, bo miałam wisielczy humor. Nie zadawał pytań, bo domyślał się, że to nie jest temat na rozmowę przy dzieciach. Czekał. Późnym wieczorem położył maluchy spać i znalazł mnie owiniętą kocem na mojej ukochanej werandzie. Po raz kolejny wpatrywałam się w list.

Zdałam mu relację z tego, co się dzisiaj wydarzyło i opowiedziałam o swoich wątpliwościach, strachu, a jednocześnie nadziei na to, że nadarzyła się okazja, by wyjaśnić zagadkę dokumentów, tych schowanych podobno na polskiej ziemi pośród polskich drzew. Tak bardzo tego chciałam.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam z wielkim strachem w sercu. Znam Adasia i wiem, że bardzo nie lubi, jak na własne życzenie pakuję się w kolejne tarapaty.

– Trudno mi udzielić jakiejś mądrej rady. Nie mam pojęcia, co mogłabyś zrobić. Tylko jedna rzecz mnie zastanawia.

– Jaka?

– Skąd możemy mieć pewność, że facet jest tym, za kogo się podaje?

Różnie się na świecie dzieje. Różne świry po nim chodzą. A jeśli to ktoś, kto się podszywa pod prawdziwego wnuka Elizabeth? Zobacz, taki adres można ot tak sobie znaleźć i po prostu wpisać.

– Też o tym myślałam. Trochę uspokaja mnie przesłane zdjęcie. Nie wiem, czy ta kobieta to właśnie Elizabeth, ale swojego dziadka rozpoznaję. Nie mogłabym się pomylić.

– Alicja, przecież ten ktoś mógł znaleźć to zdjęcie lub dostać je przez przypadek.

– A opisana historia? To też przypadek? Wszystko się zgadza.

– Ten fragment o obozie na pewno. A reszta? Masz od razu uwierzyć w to, że jakaś tam babcia zostawia testament i chce, żeby wnuk rozwiązał zagadkę? No proszę cię...

– To co mam robić? Udawać, że listu nie było? Czy poprosić o udowodnienie, że jest tym, za kogo się podaje i na pewno nie chce mnie oszukać?

– A jak czujesz?

– Jestem pewna, że chcę nawiązać kontakt z Jonasem. Tak, nie mogę mu do końca ufać, ale z drugiej strony, co mam do stracenia? Gdyby chciał, już dawno mógłby tu przyjechać. Adres ma. Tego jednak nie zrobił. Nie przyjechał. Pisze list i daje mi szansę zdecydować, czy chcę w to wchodzić, czy jednak nie. Nie narzuca się.

– Wiesz co, masz rację. – Adam kucnął przede mną i chwycił moje dłonie.
– Zgadzam się z tobą w stu procentach. Jonas nie jest nachalny, daje wybór, a to dobrze o nim świadczy.

– Czyli mam mu odpowiedzieć?

– Napisz chociaż krótki list. Tak będzie można wy badać jego intencje. Lepiej go poznać. Potem podejmiemy decyzję, co dalej robić.

– I podam swój numer telefonu. Niech zadzwoni. Co o tym myślisz?

– Świetny pomysł. Porozmawiacie i może będziesz mogła coś więcej o nim powiedzieć. Podczas rozmowy da się wyczuć, kto kim jest.

– Dziękuję, że mnie tak wspierasz.

– Bo jesteś dla mnie bardzo ważna. A poza tym, skoro pojawiła się taka

szansa, to trzeba z niej skorzystać. Sama ciągle mi to powtarzasz.

– Jak widzisz, łatwiej komuś doradzać, niż decydować samemu.

– Powoli wszystko razem wyjaśnimy. Czas jest tu dobrym doradcą.

– A co z Henrykiem? Myślisz, że Jonas pisze w liście właśnie o nim?

– Trudno ocenić. W tamtych czasach to było popularne imię. Na razie to zostaw.

– Nawet nie mogę myśleć, że Henryk mógłby być zdolny do wyrządzenia komuś krzywdy. Dziadek traktował go jak brata. Opowiadał mi w dzieciństwie o niezwykłym przyjacielu. Pocieszam się tym, że Jonas pisze jednak o kimś zupełnie innym.

– Zaczekaj z tym. Inaczej możesz skrzywdzić Henryka. A tego przecież nie chcesz.

– To ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić. Przecież to bohater, człowiek legenda, świadek okrutnej przeszłości. Dla mnie to po prostu mój przyjaciel. To jest w nim najcenniejsze. Wiele mu zawdzięczam. Nie pozwolę powiedzieć o nim złego słowa.

Ta rozmowa bardzo mnie uspokoiła. Przestałam się obawiać. W miejsce strachu pojawiła się ciekawość. Kim jest Jonas? Jaka była jego babcia Elizabeth? Dziadek tyle razy mówił, że to była kobieta o sercu anioła. To właśnie jej zawdzięczał życie, pomogła mu w najbardziej tragicznych momentach. Tłumaczył dla niej dokumenty, a ona bała się, że jeśli jej mąż dowie się o ich istnieniu, to ona od razu straci życie. To musiało być coś ważnego. Coś, przez co narażali się na największe niebezpieczeństwo. Co może być tyle warte? Chyba tylko drugi człowiek. Czy ta sprawa dotyczy innych ludzi?

Długo jeszcze siedziałam w bujanym fotelu na werandzie. Myślałam nad tym, co napisać w liście. Zdecydowałam, że będzie krótki, z prośbą o kontakt. Bez zbędnych wyjaśnień, tłumaczenia się czy planowania działań, które nigdy mogą się nie wydarzyć. Nie chciałam się nastawiać tak, jakby od mojego listu i tego, czy Jonas odpowie, czy nie, zależało całe moje życie. Tak nie jest. Mam kilka stałych punktów i się ich trzymam.

Gdy wszyscy poszli już spać, usiadłam przy drewnianym stole w kuchni i pisałam. Taki list, jaki sama chciałabym przeczytać. Wyobrażałam sobie

Jonasa w momencie, gdy go odbiera i czyta. Chciałam, by poczuł, że jestem kimś, kto ma dobre zamiary. Ale pewien dystans również jest potrzebny. By nie myślał, że od razu wszystko rzucę i moje życie zacznie się kręcić wokół tajemnic z dawnych lat. Wręcz przeciwnie. Dostał ode mnie jasny znak, że wspólnie podejmiemy decyzję, co z tym zrobić. Tak było uczciwie. Bez zbędnych obietnic. Bez nachalności. Bez wyrzutów. Jasne zasady, szczerze intencje i pole do współpracy.

Szanowany Panie Jonasie,

z tej strony kłania się Alicja Pniewska, wnuczka Jana Pniewskiego. Adres ma Pan dobry. List trafił do mnie bez żadnych problemów. Dziękuję serdecznie za to, że zdecydował się Pan do mnie odezwać. Nie ukrywam, że Pański list był dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nigdy bym się nie spodziewała, że kiedyś może do mnie napisać wnuk pani Elizabeth. Do tego w sprawie bardzo ważnej, w której udział miał mój dziadek, Jan Pniewski.

Nie mam dla Pana dobrych wiadomości. Mój dziadek zmarł, gdy miałam zaledwie pięć lat. Jako dziecko nie mogłam zatem poznać historii jego pobytu w obozie, przyjaźni z Elizabeth i tajemnicy dokumentów, o których Pan wspomniał w swoim liście. Jednak w moim życiu pojawiły się osoby i miały miejsce takie zdarzenia, które pozwoliły mi na odkrycie chociaż części tej niezwykłej historii. Ale to tylko ziarenko prawdy.

Długo się zastanawiałam, czy do Pana napisać. Jeszcze wczoraj wiodłam spokojne życie i nie byłam świadoma, że w sąsiednim państwie żyje ktoś, dla kogo ważne jest poznanie historii przyjaźni Elizabeth i Jana. Ale to przecież nie wszystko. Jest jeszcze wiele tajemnic, o których istnieniu Pan również wie. Co zatem proponuję? Przesyłam Panu swoją wizytówkę i proszę o kontakt telefoniczny. Taka rozmowa jest nam obojgu bardzo potrzebna. Poznamy się lepiej, wyjaśnimy wątpliwości. I co najważniejsze, wspólnie zdecydujemy, co zrobimy dalej. Teraz nie chcę Panu niczego obiecywać, ale też niczego nie oceniam. Wszystko jest możliwe i razem zdecydujemy, czy zrobimy następny krok i jaki on będzie.

Czekam na Pana telefon.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Gorzki smak rozczarowania

Swoje zmartwienia musiałam odłożyć na później. Wszystko z powodu Doroty. Kiedy zobaczyłam ją zapłakaną na progu starego domu, od razu wiedziałam, że sprawa z jej szefem wygląda bardzo źle. Płakała jeszcze przez dobre dziesięć minut, a ja w ogóle nie mogłam jej uspokoić. Adaś zabrał dzieci do babci Jasi, bo nie chciałam, by widziały ciocię Dorotę w takim stanie. Sama też chyba nigdy jej takiej nie widziałam. Czasami miała gorsze momenty w życiu, ale była twarda. Walczyła do końca. Tym razem było inaczej.

– Już po mnie. A Maciek to na pewno mnie zabije – wydukała przez łzy.

– Powiesz, co się stało?

– Boże, jaka ja głupia jestem – zawodziła.

– Chodzi o szefa, tak?

– Tak.

– Zrobił ci coś złego? – zmartwiłam się. Moje pierwsze i, mam nadzieję, ostatnie spotkanie z tym gościem pokazało, że lepiej nie mieć z nim do czynienia. A ja takich jak on potrafię wyczuć nawet na kilometr.

– Jeszcze nie, ale teraz to on mnie zniszczy.

Dorota siedziała skulona na łóżku i zanosila się od płaczu. Byłam wściekła. Na nią, że nie może nic mówić i na siebie, że marna ze mnie pocieszycielka.

– Dorota, błagam cię, powiedz, o co chodzi.

– O co? O ten pieprzony kontrakt.

– Zerwał go?

– To byłoby idealnie rozwiązanie. Nie ma tak łatwo.

– No to co się stało?

– Rozmawiałam z nim. Powiedziałam wszystko to, co razem ustaliliśmy.

To nic nie da. Ten głupi kontrakt podpisałam! Tak bez zastanowienia. A w nim jest mnóstwo haków!

– Przecież mówiłaś, że dobrze się z nim zapoznałaś. Każde zdanie sprawdziłaś. Nic nie budziło twoich wątpliwości.

– Wiesz, jaka jestem. Jak mi się coś spodoba, to nie ma zmiłuj. Kontrakt wydawał się być w porządku. No ale w pośpiechu nie zauważyłam tych pułapek.

– Jakich znowu pułapek? – Aż mi się słabo zrobiło. Tyle razy prosiłam Dorotę, by przed podpisaniem kontraktu pokazała go Maćkowi. A ona jak zwykle musiała postawić na swoim.

– Szef się wściekł, jak mu powiedziałam o tym, że żadnej konferencji nie ma, i nie rozumiem, dlaczego wyciąga mnie na wyjazd, który nie ma nic wspólnego z pracą.

– Co na to powiedział?

– Pokazał mi kontrakt, a tam jasno było napisane, że jestem zobowiązana jeździć na wyjazdy służbowe lub inne, które mają na celu promocję firmy. I ten wyjazd do takich należy.

– Nie widziałaś tego zapisu wcześniej? – zapytałam zdezorientowana.

– Alicja, ty nic nie rozumiesz. To nie jest kontrakt, który podpisałam!

– Ale jak to w ogóle jest możliwe? – Coraz mniej rozumiałam. – Inny kontrakt? Coś mi tu nie pasuje.

– Byłam taka głupia. Podpisałam go tylko na ostatniej stronie. Reszty nawet parafką nie oznaczyłam. On na pewno te strony podmienił.

– Nie dostałaś swojego egzemplarza? – zapytałam z naiwną wiarą, że jeszcze nie wszystko stracone. Ale intuicja podpowiadała mi, że Dorota wpakowała się w naprawdę poważne kłopoty.

– Dostałam. Właśnie teraz. Wcześniej była wymówka, że jeszcze inni święci muszą go podpisać. Mam go ze sobą. – Wyjęła z torebki egzemplarz kontraktu. Płakała. Zabrałam się do jego wnikliwego czytania.

– Dwieście tysięcy kary za przedwczesne zerwanie kontraktu? – Nie wierzyłam własnym oczom.

– To jest najgorsze. Nie mogę teraz odejść. Nieźle mnie urządził, co?

- Trzeba mu udowodnić oszustwo! – zdenerwowałam się.
- Ciekawe jak?
- Musisz jak najszybciej powiedzieć o wszystkim Maćkowi.
- Nie zrobię tego. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak zareaguje.
- Dorota, żarty się skończyły. Maciek jest twoją ostatnią deską ratunku.
- Co on sobie o mnie pomyśli? Jak to wygląda? – łkała zmartwiona.
- To akurat jest najmniej ważne. Maciek musi się o wszystkim dowiedzieć.
- Boję się. Pojedziesz ze mną, żeby z nim porozmawiać?
- Pojadę. Inaczej znowu możesz zrobić coś głupiego.
- Jeszcze nigdy nie wdepnęłam w takie bagno – przyznała skruszona.

Dorota została u mnie na noc. Oficjalnie, żeby pomóc przy moim najnowszym projekcie. Maciek kręcił nieco nosem, ale ostatecznie się zgodził. Miałyśmy z Dorotą kilka godzin na przemyślenie, w jaki sposób o wszystkim mu powiedzieć i co dalej zrobić z jej szefem i całą sytuacją, która wyglądała beznadziejnie. Widziałam przerażenie Doroty. Sama też byłam wszystkim zniesmaczona i nie mogłam sobie wyobrazić, że ktoś może zrobić drugiej osobie takie świństwo.

Dorota dokładnie wszystko przeanalizowała. Wniosek był jeden. Jej szef musiał podmienić kolejne strony kontraktu. Dorota je czytała, ale ich nie podpisała, więc mógł zrobić z nimi, co mu się podobało. Ale jak to udowodnić? Maciek był naszą ostatnią nadzieją.

Rano pojechałyśmy do Warszawy. Dom i dzieci zostawiłam na głowie Adasia i babci Jasi. Dorota wzięła urlop na żądanie. Maciej czekał na nas w mieszkaniu. Zapewne wściekły, bo nie chciałyśmy mu powiedzieć, o co dokładnie chodzi, ale przeczuwał, że nie będą to dobre wieści. Dorota była aż sina ze strachu i przez całą drogę powtarzała, że to już koniec jej kariery, a przy okazji i małżeństwa, bo założyła, że Maciek nie będzie tak wyrozumiały jak wcześniej.

Maciek od razu postawił jasne warunki. Miałyśmy bez owijania w bawełnę powiedzieć, co złego się stało i z jakiego powodu. Dorota zaczęła od płaczu i przysięgania, że nie chciała źle i jej zażyłość z szefem nie ma

żadnego podtekstu. Tym stwierdzeniem od razu wyprowadziła Maćka z równowagi, bo pomyślał, że tu chodzi o kolejny romans żony. Widząc, że nasze spotkanie zaczyna przypominać pole bitwy, wzięłam sprawy w swoje ręce.

Wyjaśniłam Maćkowi, w co wplątała się Dorota, i od razu przeszłam do ustalania planu awaryjnego. Oczywiście nie był zachwycony. Wściekł się. Nosił go po całym mieszkaniu. Klął jak szewc. Trudno mu było uwierzyć, że Dorota mogła być aż tak naiwna. Po chwili wyciągnął najcięższe działa.

– Zaćmienie rozumu miałaś? – wrzasnął tak głośno, że na pewno słysząc go było na ostatnim piętrze.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Tak? A może to twoja kolejna przygoda? Wcześniej szanowny pan Borys, a teraz palant od kontraktu? Znowu szukasz wrażeń?

– Jak możesz tak mówić? – Dorota była w szoku. Oskarżenie Maćka było mocne i podważało jej prawdomówność.

– Maciek, musisz trochę ochłonać. Nie można tak – próbowałam go uspokoić. Było mi żal przyjaciółki, a tym razem Maciek posunął się za daleko.

– Masz rację, muszę ochłonać. – Wyszedł i trzasnął drzwiami.

– Mówiłam, że mi tego nie wybaczy. A za chwilę mnie zostawi. Bo ile można wytrzymać z tak głupią kobietą jak ja? – rozpaczła Dorota.

– Nie pozwalam ci tak mówić. Znajdziemy sposób na to bagno.

Maciek wrócił po godzinie. Bardzo żałował wypowiedzianych słów. Przytulił Dorotę i obiecał, że zrobi wszystko, by wyciągnąć ją z kłopotów.

Zadzwoił do swojego wspólnika. Następnego dnia umówili się na spotkanie, by razem ustalić, co można w tej sprawie przedsięwziąć. Dorota postanowiła iść na tygodniowe zwolnienie, by odseparować się od szefa. Maciek zapowiedział, że czeka ich trudny czas, bo ciężko będzie udowodnić podmianę dokumentów. Nie ma świadków, nie ma dowodów. To tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Wracałam do domu nieco spokojniejsza. Wierzyłam, że Maciek znajdzie sposób, by wyciągnąć Dorotę z tego chorego układu. Życzyłam im jak najlepiej. Przecież dopiero co opadły emocje po ich romansach, Doroty

z Borysem, a Maćka z młodą aplikantką z jego kancelarii. O mały włos ich małżeństwo i rodzina się nie rozpadły. Tak trudno im było odbudować miłość i zaufanie. A teraz taka historia. Widać, że Maciek ma pewne obawy wobec Doroty. Niby jej wierzy, ale gdzieś tam w jego głowie pojawił się cień wątpliwości. Trudno o zaufanie.

W domu czekała na mnie kolacja i moja rodzina. Trochę nietypowa, bo według prawa i biologii nie jesteśmy rodziną. Dobrze, że serce podpowiada co innego. Adaś udawał kelnera, a maluchy dokazywały na każdym kroku.

– Ciocia Dorota jest chora? – zapytał zaniepokojony Michałek.

– Nie. Ma trochę problemów i dlatego płakała – odpowiedziałam.

– A Zuzia i Zosia są smutne? Mogłaś je do nas przywieźć. – Rozalka na swój dziecięcy sposób chciała wesprzeć swoje małe przyjaciółki.

– Dziewczynki są razem z ciocią Dorotką i wujkiem Maćkiem. Tak samo jak wy jedzą teraz smaczną kolację i są wesołe. Lepiej powiedzcie, jak było dziś w szkole? – Dzieci nagle spojrzały na siebie, potem na Adasia. A on zrobił taką minę, jakby czekał na wyrok.

– Kochanie, mamy się stawić jutro w szkole. Wzywają nas na rozmowę.

– Co? Dlaczego? Co przeskrobaliście? – Spojrzałam na maluchy, które miały na twarzach uśmiech od ucha do ucha i widać było, że mają z tego wielką frajdę.

– Chcieli sprawdzić, jak długo rybki wytrzymają poza akwarium – wyjaśnił Adaś.

– I co? – zapytałam przerażona.

– No i w ostatniej chwili do klasy wszedł dyrektor.

– Matko! Co wy znowu narozrabialiście?!

– Nie martw się, mamusiu, rybki żyją – powiedział uradowany Michałek.

Dobry adres to drugi człowiek

Mam za sobą kolejną nieprzespaną noc. Myślałam o Dorocie i jej

problemach. Wczoraj była całkiem rozbita. Gdy się zegnałyśmy, poprosiła mnie o modlitwę i stwierdziła, że chyba tylko to może ją jeszcze uratować. Obiecałam, że tak zrobię. Całe szczęście, że Maćkowi przeszła złość i już w nocy przestudiował dokładnie podpisany przez Dorotę kontrakt. Ukradkiem zadzwonił do mnie rano. Przekazał, że sprawa jest śmierdząca i trudna do udowodnienia. Poprosił współnika o pilne spotkanie, by szybko podjąć decyzję, co należy dalej zrobić.

W tym całym zamieszaniu nie było okazji, by porozmawiać z Dorotą o liście od Jonasa. Liczyłam na jej dobrą radę, ale to nie był najlepszy czas na takie sprawy. Zresztą postanowiłam przez kilka dni wstrzymać się z rozmową na ten temat z kimkolwiek. Chciałam, by ta sprawa była tylko moja. I Adasia, bo on od początku znał każdy jej szczegół. Nawet panu Mieciowi, który wypytywał mnie oczywiście o tajemniczy list z Berlina, nic nie powiedziałam.

W sobotnie południe poszłam z dziećmi do Basi. Miała mnie zrobić na bóstwo, bo wieczorem Adaś zaprosił mnie kolację. To była niespodzianka z okazji podpisania umowy na nowy projekt. Ucieszyłam się, bo dawno już nigdzie nie wychodziliśmy i miałam wreszcie szansę oderwać się od wszystkich zmartwień. Basia zrobiła wszystko, by na mój widok Adasiowi szybciej zabiło serce. Wyglądałam przepięknie! W tym czasie moje maluchy były pod opieką Moniki, córki Basieńki. Namówiły ciocię na wspólne wyjście do sklepu na lody.

Miałam do nich iść, jednak gdy zbliżałam się już do furtki, zawołała mnie pani Regina Sokolik. Poprosiła, bym do niej przyszła na chwilę, ponieważ ma dla mnie ważne wieści. Zaciekawilo mnie to. Od razu wyczułam, dlaczego pani Regina mnie zawołała.

Okazało się, że tego dnia przyjechała do niej znieńcka dawna znajoma księdza Jankowskiego, Cecylia Brek. Staruszka, ale ciesząca się niezwykłym zdrowiem. Nie mogła przeboleć, że z powodu wyjazdu za granicę do córki nie była na pogrzebie. Miała z tej przyczyny wyrzuty sumienia. Otóż znała kilka szczegółów z życia Magdaleny, z czasów, kiedy wyprowadziła się ona na Mazury. Staruszka chciała się nimi ze mną podzielić.

– Andrzej ciężko z nią miał. Mówię Andrzej, bo byliśmy kolegami z jednej klasy. Potem się życie różnie potoczyło. Ja wyszłam za mąż,

a Andrzej poszedł do seminarium. Dobry był to człowiek, ale ciężkie miał życie. I z Magdaleną sobie nie radził.

– Czy wie pani coś o romansie mojego ojca z Magdaleną?

– Wiem tyle, co mi Andrzej powiedział. A nie mówił wiele, bo bardzo go ta sprawa bolała. Nie mógł się pogodzić z tym, że pani ojciec wpadł w sidła jego siostrzenicy. Tylko że to były inne czasy, panna z dzieckiem to była wielka plama na honorze. A co tu dopiero mówić, jak taka panna była pod opieką swojego wuja, w dodatku księdza. Wstyd na całą parafię.

– Ja też dowiedziałam się kilku szczegółów. Wiem na pewno, że w zamian za milion starych złotych Magdalena miała zniknąć z życia mojego ojca. Zapłacił jej tę okrągłą sumę, a ona wywiązała się z umowy. Jednak nie jest stuprocentowo pewne, że to mój ojciec jest ojcem jej dziecka.

– To prawda. Dostała od niego taką sumę. Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale to był pomysł Andrzeja.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. Dotychczas trzymałam się kurczowo myśli, że to był pomysł Magdaleny, a ksiądz nie miał wyjścia i musiał się zgodzić. – Sam wpadł na pomysł wyciągnięcia od mojego ojca miliona złotych?

– Do końca powtarzał, że przyjdzie mu za ten grzech zapłacić. Ale co miał robić? Sam swoje lata miał, siostrzenica bez matki się chowała, a jeszcze sama za chwilę miała urodzić dziecko. A wszystko kosztuje. Pieniądze są potrzebne. Nie miał innego wyjścia.

– A wie pani coś o Magdalenie i Ewie już po tym, jak się stąd wyprowadziły? Czasami ksiądz je odwiedzał, ale nic mi nie mówił – wtrąciła się pani Regina.

– Po jakimś czasie Magdalena, bez wiedzy swojego wuja, znowu odezwała się do Piotra. Chciała więcej pieniędzy. Szantażowała go.

– Czy moi rodzice mieszkali wtedy jeszcze w Pniewie? – zaciekało mnie.

– Przykro mi, tego nie wiem. Ale mogę powiedzieć, że ksiądz Andrzej szybko się o tym dowiedział i przegonił Magdalenę. Nie chciał, by robiła pani ojcu kolejne problemy, miał na uwadze spokój pani rodziny. Od tamtego momentu Magdalena unikała wuja.

– Czy to prawda, że Magdalena z Ewą zamieszkały na Mazurach? –

zapytałam wprost.

– Tak. Mam adres, ale nieaktualny, bo wiem na pewno, że ich tam dawno nie ma.

– Adres już mam od pani Reginy. Dlaczego się stamtąd wyprowadziły?

– Magdalena nie była dobrą matką. W ogóle nie jest dobrym człowiekiem. Tak było kiedyś i nie sądzę, że się zmieniła. Ksiądz miał z nią wiele problemów.

– Buntowała się? – dopytywałam.

– Raczej zachowywała się w sposób, który nie przystoi kobiecie. Lubiła mężczyzn. Lubiła się dobrze bawić. Prowadziła hulawcze życie. Po urodzeniu Ewy nic się nie zmieniło, a doszło jeszcze coś. Magdalena zaczęła pić. Andrzej chciał jej pomóc, szukał dla niej lekarzy, ale jak już było trochę lepiej, znowu wracała do nałogu.

– Widziała pani Ewę? – Moja ciekawość była ogromna.

– Tak, wiele razy, gdy była mała. Nawet byłam u nich w odwiedzinach.

– Jaka ona jest?

– Pamiętam ją tylko jako dziecko. Potem nasz kontakt się urwał, bo miałam swoje życie i rzadko przyjeżdżałam do Pniewa. Moje i Andrzeja drogi rozeszły się. Ewa była uroczą, cudowną dziewczynką. Śliczna, mądra, dojrzała jak na swój wiek. Bała się matki, która nie była dla niej najlepszym przykładem.

– Ksiądz nie mógł jej pomóc? – zapytałam pełna złości. – Przecież Ewa z taką matką nie mogła mieć spokojnego dzieciństwa.

– Chciał, wiele dla niej robił. Ale nie mógł jej zabrać na plebanię. Co by ludzie powiedzieli? Na pewno, że to jego dziecko i je sprowadził od matki. To było bardzo trudne.

– Może by gadali. Czy to miało aż takie znaczenie?

– Bardzo duże. Magdalena wiele krwi napsuła mieszkańcom Pniewa. Nikt jej tu nie chciał. Ani jej dziecka. Wielu mężczyzn zbałamuciła. Jak była w ciąży, szantażowała kilku z nich, że to ich dziecko. Chciała pieniędzy.

– Jak widać, przegonili ją. Tylko mój ojciec taki durny, że dał się zrobić – wyznałam z wielkim żalem. – Może to nie jest jego córka? Jak pani myśli?

– Tego ci, drogie dziecko, nie powiem.

Ze spotkania wyszłam wzburzona. Znowu byłam wściekła na ojca. Co za głupi człowiek! A do tego było mi żal Ewy. Trudne miała dzieciństwo. Tym się na pewno różnimy. Tylko że ja wciąż muszę żyć z myślą, że mój ojciec oszukał tak naprawdę nas wszystkich.

Zajechałam do sklepu. Dzieci bawiły się na pobliskim placu zabaw. Pani Irenka obiecała jeszcze się nimi zająć. Pojechałam więc do Pułtusza.

Stanęłam pod drzwiami mieszkania, które Ewa odziedziczyła po swoim wuju. Miałam jakąś głupią nadzieję, że tym razem ją spotkam. Tak się oczywiście nie stało. Znowu rozmawiałam z kobietą z sąsiedniego mieszkania. Nie miała dla mnie żadnych wieści. Od czasu mojej ostatniej wizyty nikogo tu nie było. Zdecydowałam, że w takim razie pojedę na Mazury, gdzie Ewa spędziła swoje dzieciństwo.

Wróciłam do Pniewa. Po drodze zajrzałam jeszcze raz do pani Irenki sprawdzić, jak się mają moje dzieci. Pan Leszek zabrał je do stodoły, gdzie skakały na kopach siana. Przypomniałam sobie, że w dzieciństwie robiłam dokładnie to samo. A ile z tego było radości! Pani Irenka obiecała, że zajmie się Rozalką i Michałkiem.

W domu szybko przebrałam się w elegancką sukienkę. Adaś aż zagwizdał na mój widok. Sam wybrał elegancki garnitur. Pojechaliśmy do naszej ulubionej restauracji w Wyszkanie. Podczas kolacji nie byłam rozmowna. W ogóle miałam paskudny humor. Adaś od razu to zauważył, ale rozumiał, że jestem przytłoczona nadmiarem wydarzeń. Może nie był to jeden z najbardziej udanych wieczorów, ale takie wyjście było nam potrzebne. Nabranie dystansu zawsze pomaga.

Pierwsze koty za płoty

Czas mi się dłuży. Ostatnio tylko czekam. Na co? Na wieści od Maćka w sprawie wniosków do sądu. Na telefon od Jonasa. Na trochę wolnego czasu, by wreszcie pojechać na Mazury. Moje życie jest ostatnio jednym wielkim czekaniem. A czekanie to inaczej ciągle rozmyślanie o wszystkim.

Nie daje mi spokoju niepewny los Michałka. Wiem, że Maciek zrobi wszystko, by mój chłopczyk stał się formalnie moim synem. Ale w sercu od dawna kiełkuje mi ziarenko niepewności. Zawsze może wydarzyć się coś, co zburzy każdy misterny plan. Robię wszystko, by odgonić złe myśli.

Pociesza mnie to, że blisko nas będzie Maciek. Ja sama dam sobie radę, ale babcia Jasia będzie go potrzebowała na każdym kroku. I cieszę się każdego dnia, że możemy liczyć właśnie na niego. Nikomu obcemu chyba bym nie zaufała. Maciek to prawdziwy skarb. Już po kilku dniach zadzwonił, że ma gotowe obydwie wnioski. Umówiliśmy się na spotkanie. Tym razem w jego kancelarii. Nikt nam nie przeszkadzał. Dorota też nie wiedziała, że akurat tego dnia mieliśmy omówić nasz plan działań na rozprawach w sądzie. Sama zresztą miała na głowie aferę z kontraktem i nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

– To jest wniosek, który złoży pani Janina. Tak, jak wyjaśniałem wcześniej, jego celem jest wskazanie ciebie jako osoby najwłaściwszej do przejęcia opieki nad Michałkiem.

– Czyli ona rezygnuje ze swoich praw, żeby przekazać je mnie?

– Tak, to jest wniosek pani Janiny o odebranie jej prawa opieki nad Michałkiem z powodu nasilającej się powoli, ale systematycznie, choroby. Jest coraz starsza, choruje, a bardzo zależy jej na dobru wnuka.

– Dlatego proponuje mnie? – dopytywałam się.

– Tak. Sąd, upewniwszy się, że pani Janina w sposób prawidłowy opiekowała się dzieckiem, zdecydowanie weźmie pod uwagę jej wskazanie ciebie jako kolejnego opiekuna.

– Tym bardziej że spełniam warunki – podkreśliłam swoje mocne strony.

– Dlatego w twoim wniosku jest uzasadnienie, że masz wszelkie predyspozycje i warunki oraz że się zgadzasz na obowiązek opieki nad małoletnim.

– I to są mocne argumenty, prawda?

– Dla sądu na pewno. Kluczowe jest dobro dziecka. A kto się nim lepiej zajmie od ciebie? Kto ma lepszy kontakt z Michałkiem niż ty? Nikt.

– Święte słowa. Co mam jeszcze zrobić?

– Pani Janina i ty musicie się podpisać pod swoimi wnioskami. Możemy

się umówić tak, że na spokojnie przeczytasz wszystko w domu. W razie wątpliwości mogę jeszcze coś zmienić.

– Nie ma takiej potrzeby. Tobie ufam jak mało komu.

Dopytałam Maćka jeszcze o kilka spraw i popędziłam do babci Jasi. Czekala na mnie bardzo zdenerwowana. Aż mnie coś w sercu ukłuło na jej widok. Ale jestem głupia! Złapałam się na tym, że ciągle przeżywam swoją sytuację i niepewność, a przecież babcia Jasia ma jeszcze trudniej! Tyle tragedii w życiu przeszła, coraz gorzej się czuje, a jeszcze teraz okazało się, że ktoś zarzuca jej złą opiekę nad Michałkiem.

Opowiedziałam jej o szczegółach spotkania z Maćkiem i przysięgam, że sprawa zakończy się dla nas pomyślnie. Uspokoila się, gdy położyłam na stole pisma i komplet dokumentów. Podpisała je szybko, jakby każda sekunda miała tu znaczenie.

– Mogę wysłać to pocztą lub jechać do Pułtuska i osobiście złożyć w kancelarii sądu.

– Jedź, proszę cię, jedź osobiście. Wiesz, że z pocztą różnie bywa.

– To może już dzisiaj je zawiozę?

– Koniecznie. Zaraz po obiedzie. Będę spokojniejsza. – Drżącymi dłońmi ściereczką zgarniała z kuchennego blatu okruchy chleba. Nerwowo zaciskała usta.

Podeszłam do niej. Dotknęłam jej dłoni i odłożyłam ścierekę na bok. Odwróciła się do mnie i rozplakała. Przytuliłam ją. Tak bardzo chciałam, by uwierzyła, że wszystko będzie dobrze. Na nic tu były kolejne słowa pocieszenia i zapewnienia. Liczyły się fakty.

Po obiedzie pojechałam prosto do sądu w Pułtusku. Zaparkowałam pod okazałym budynkiem na pół godziny przed zamknięciem urzędu. Denerwowałam się. Przecież za chwilę ruszy cała lawina zdarzeń, które mogą mieć różne konsekwencje. Ale chyba lepiej działać niż czekać! Czekanie nigdy nie jest dobre. Dzisiaj zrobię pierwszy krok, by Michałek został moim synem.

Pani w biurze podawczym sądu przywitała mnie groźnym spojrzeniem znad okularów. Potem zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Była za

kwadrans szesnasta. Zrozumiałam jej sugestię, że mogłam przyjść wcześniej.

– Słucham? – zapytał ochryplym głosem, nie odrywając wzroku od monitora.

– Chciałabym złożyć dwa wnioski.

– Bardzo proszę. – Wzięła ode mnie dokumenty, postawiła na nich pieczętki z datą nadania na dziennik i zrobiła kopię jako potwierdzenie ich złożenia.

– Przepraszam, czy mogłaby pani mi powiedzieć, ile mniej więcej będę musiała czekać na sprawę? To dla mnie bardzo ważne.

– Wszystko zależy od obciążenia sądu. Teraz z terminami ciężko, bo mamy dużo spraw. Ale jak się chce coś dobrze załatwić, to i poczekać można, prawda?

– Oczywiście. Bardzo pani dziękuję.

Jak to dobrze, że mam oparcie w Maćku. Jeśli trafię na sędziego tak nieuprzejmego jak ta pani w biurze podawczym, Maciek na pewno poinstruuje mnie, jak z kimś takim postępować.

Wreszcie poczułam, że wzięłam sprawy w swoje ręce. Dziś zrobiłam pierwszy krok. Za chwilę będą kolejne. Już mnie nic nie zatrzyma. Nie ma już znaczenia, jakie trudności napotkam po drodze. Ze wszystkim sobie poradzę. Mam wsparcie dobrych ludzi.

W domu czekał na mnie Adaś z dziećmi. A także mała niespodzianka. Olbrzymi bukiet sasanek. Moich ulubionych! Nazbierali w lesie, bo uciekł im Jowisz i szukali go po całej okolicy. Na szczęście kot się znalazł. Jak się okazało, Michałek zamknął go w ziemnej piwnicy i o nim zapomniał. Biedny kot. Podobno tak się rzucił na jedzenie, jakby chciał zjeść pół lodówki. A teraz musiał znieść dzielnie przymilanie się Michałka, który miał wyrzuty sumienia i chciał wynagrodzić kociakowi wyrządzone krzywdy. Przy Jowiszu dzielnie warowała Nadzieja, nasza suczka, która nie odstępowała swojego przyjaciela ani na krok.

– Myślałem, że Jowisz sobie poszedł. Pewnie schował się pod fotelem. Nie widziałem go. – Michałek z zafrasowaną miną tłumaczył, jak przez przypadek zamknął kota w piwnicy.

– Ja też was długo szukałem. Co wy tam robicie? – Adaś miał pewne

podejrzenia.

– Będziemy mieć swój gang! – Rozalka była bardziej rozmowna i od razu wydała tajne plany swoje, Michałka i wszystkich dzieci, które od pewnego czasu okupowały piwnicę.

– Przestań! Miałaś nic nie mówić! – Michałek był oburzony.

– Przecież już prawie wszyscy wiedzą! – broniła się Rozalka.

– No dobrze, tylko bez kłótni. Co to za gang? Bardzo jestem ciekawa.

– Powiemy wam, ale musicie przysiąc, że nie zdradzicie naszych tajemnic – bardzo poważnie stwierdził Michałek i zrobił groźną minę.

– I będziecie musieli złożyć przysięgę – dodała Rozalka.

– Brzmi niepokojąco, ale i ciekawe. Już teraz mam wielką ochotę na przystąpienie do waszego gangu. Jak się nazywa?

– Gang Złotej Strzały – dumnie oznajmił Michałek. – Będą do niego należeć tylko ci, co są odważni, niczego się nie boją i lubią przygody.

– Świetnie! Adaś, jak myślisz? Nadajemy się?

– I to jeszcze jak! Już dziś chcę się zapisać.

– Ale najpierw musicie nam pomóc napisać regulamin gangu! – stwierdził Michałek.

Śmiać mi się chciało. Od razu wróciły wspomnienia. Sama należałam do Gangu Czarnego Pioruna, który miał siedzibę w mojej ziemnej piwnicy. Teraz będzie tam Gang Złotej Strzały. Brzmi dumnie. I znowu moja piwnica będzie tętnić życiem. Zejdą się do nas dzieci z całej okolicy. To będzie dla nas wszystkich wielka frajda!

Rozdział VII

*O wyczekiwanych wieściach od Temidy,
zbuntowanym pacjentce, rozmowach
prowadzonych nocą i prawdziwym cudzie
w życiu Doroty*

Czekając na ważne wieści

Ostatnie dwa tygodnie upłynęły nam pod znakiem oczekiwania na pismo z sądu. Ileż mnie to wszystko nerwów kosztowało! Codziennie śniły mi się koszmary. Albo jakiś potworny las, albo słoneczna polana, albo ciemny pokój. Dlatego chodziłam spać coraz później. Uciekałam w pracę. Całe noce spędzałam nad projektami. Na tyle skutecznie, że zaległości zaczęły topnieć, a w moim grafiku pojawiło się miejsce na nowe zlecenia. Bardzo mi na nich zależało. Rynek projektowania ogrodów jest bardzo trudny i ciągle trzeba intensywnie pracować, by nie wypaść z obiegu. Na razie mi się udaje, chociaż czasami brakuje mi sił. Przydałby się ktoś do pomocy. Jestem na takim etapie, że stać mnie na zatrudnienie pracownika. Zmuszają mnie też do tego nowe pomysły Adasia. Okazało się, że ma prawdziwą smykałkę do marketingu i załatwia kolejne wywiady, artykuły w prasie, zdjęcia robione w miejscach, które zaprojektowałam.

Ostatnio wydarzyło się coś niezwykłego. Zadzwonili do mnie z pewnego pisma o aranżacji ogrodów i zapytali, czy zgodziłabym się na zrobienie sesji w moim własnym przedwojennym sadzie. A do tego to ja miałam być modelką! Bo kto inny jak nie sama właścicielka ma oprowadzać po swoim ogrodzie? Zgodziłam się bez namysłu. Pomysł był świetny, a i przy okazji miała to być reklama mojego „Wrzosowiska”. I jeszcze coś ważnego. Na początku maja mój sad wygląda obłędnie!

Każda aleja jest w innym kolorze. Środkowa jest cała w bieli. Za sprawą starych rozłożystych jabłoni, które w tym roku były dosłownie obsypane kwiatami. Ależ będzie owoców jesienią! Jabłonie rosną w kilku równych rzędach i wyznaczają ścieżkę po sam horyzont. Jest cała w żółtych mleczach! Michałek śmieje się, że wreszcie ma na ziemi swoją własną mleczną drogę. Wygląda to przepięknie! Aleja po prawej wygląda jak przysypana śnieżnym puchem. Można na chwilę poczuć się zupełnie jak w bajce! Po lewej stronie ogrodu jest jego nowa część, którą obsadziłam jesienią. Za kilka lat na jabłoniach i gruszach będą soczyste owoce. Poza zjawiskowym wyglądem

w moim ogrodzie warte uwagi jest coś jeszcze. Zapach! Tego nie da się opisać. Mogłabym w nim spędzać całe dni tylko po to, by ciągle móc rozkoszować się tym niezwykłym aromatem, który przebija najlepsze perfumy świata.

To właśnie docenili redaktorzy pisma i na początku maja przyjechali do Pniewa. W tym czasie zadbałam o swoje stroje. Przygotowałam trzy piękne zwiewne sukienki w kwiaty. Inaczej być nie mogło! Wyglądałam dzięki nim jak wróżka z bajki.

– Mamo, z nami też zrobisz sobie zdjęcie? – Michałek z wielką uwagą przyglądał się pracy fotografów i bardzo chciał, by i jego uwiecznili koniecznie na zdjęciach.

– Na koniec tobie i twojej siostrzyczce zrobimy minisesję. Chcesz? – Pan Szymon, wspaniały człowiek i artysta, od razu dostrzegł, co chodzi po głowie moim maluchom.

– Bardzo chcemy! – przyznał radośnie Michałek.

– Tak! Mam ładne sukienki, zaraz je założę! – Rozalka pognęła do domu po stosowne kreacje.

Adaś nie mógł wyjść z podziwu. Uznał, że świetnie sobie poradziłam i nie mógł już się doczekać efektu sesji. Podobnie jak ja. Zdjęcia ukażą się w czerwcowym wydaniu miesięcznika. Na koniec fotograf zgodził się zrobić kilka zdjęć naszej rodzinie w komplecie. Tak na pamiątkę, do rodzinnego albumu. Byłam zachwycona!

Co jeszcze się wydarzyło? Oficjalnie powstał Gang Złotej Strzały. Jego siedziba to nasza ziemna piwnica. Mimo że gang istnieje dopiero od tygodnia, ma już ponad dziesięciu członków. Ale wcale nie tak łatwo się do niego dostać. Najpierw trzeba przejść różne próby. Na przykład złapać do słoika dwie muchy, znaleźć czterolistną koniczynę lub po kryjomu wynieść coś z domu. Od razu przypomniały mi się czasy mojego dzieciństwa, kiedy w moim Gangu Czarnego Pioruna próbą odwagi było przejście nocą przez cmentarz. Na szczęście nasze maluchy takich pomysłów jeszcze nie mają. Za to pomogliśmy im w napisaniu regulaminu. Ma dziesięć punktów! No i najważniejsze – ja, Adaś, babcia Jasia, Henryk i pani Mikulska zostaliśmy

honorowymi członkami. Co za zaszczyt!

Teraz musiałam porządnie zająć się Dorotą, która przez aferę z kontraktem na dobre się rozkleiła i zaczęła mieć problemy z codziennym życiem. Nie chciała odprowadzać dziewczynek do szkoły, nie zajmowała się domem, nie gotowała i na dobre przestała też dbać o siebie. Dlatego przydzieliłam jej kilka zadań. Bo jak człowiek ma zajęcie, to nie myśli o głupotach.

Sprawa z wystawą Adasia ruszyła na dobre. Razem z Dorotą, babcią Jasią i dziećmi pojechaliśmy do Domu Polonii w Pułtusk, by omówić wszystkie szczegóły i zaplanować wraz z dyrektorem harmonogram prac. Po drodze, w urzędzie gminy, babcia Jasia odebrała swój nowy dowód. Pani z urzędu żartowała, że jeszcze nie spotkała się z tym, by staruszka tak dostojnie wyszła na zdjęciu do dowodu. Od razu humor babci Jasi się poprawił i przestała chociaż na chwilę się zamartwiać o złożone w sądzie wnioski. W Pułtusk poszliśmy od razu na rynek, by zrobić porządne zakupy. Dzieci bawiły się przy fontannie, a my siedziałyśmy w kawiarnianym ogródku i wprost nie mogłyśmy się napatrzeć na piękno tego miasta. Potem czekały nas ważne rozmowy i przygotowanie niespodzianki dla Adasia.

– Na pewno zaskoczeniem będzie zasięg tej wystawy. Myślę, że Adam nie spodziewa się aż tak wielkiego zainteresowania. – Dyrektor Domu Polonii obiecał dołożyć wszelkich starań, by całość wyszła znakomicie.

– Wie pan, że Adaś nie lubi się afiszować ze swoim talentem, jednak mam nadzieję, że nie będzie miał nam za złe kilku niespodzianek.

– Już moja w tym głowa, by przekonać go, że jest to potrzebne do promocji – wtrąciła Dorota, która zaraz na początku spotkania nabrała nowych sił i miała kilka ciekawych pomysłów.

– Moja przyjaciółka obiecała, że zaprosi ogólnopolskie media. Jest w tym naprawdę dobra. – Spojrzałam na zadowoloną z komplementu Dorotę.

– Tak, już wstępnie umówiłam kilka wywiadów. Będzie i prasa, i telewizja. Przy okazji zyska na tym miasto, bo będziemy chcieli zrobić też reportaż o Pułtusk jako miejscu bardzo przyjaznym dla artystów. – Dorota opowiadała o tych planach z niezwykłym zapałem.

– Bo to prawda. Chętnie będziemy gościć u nas pisarzy, malarzy, muzyków. Każdy znajdzie u nas wiele inspiracji – zachęcał niezwykle

sympatyczny dyrektor.

– Kto wie, może Adaś zostanie twarzą Pułtusa – zażartowała Dorota.

– Może lepiej taką wizją go nie straszmy, bo nam ucieknie – zaśmiałam się.

Omówiliśmy szczegóły naszej tajnej misji. Adasia czeka wspaniała wystawa. Tylko o niczym nie może się przed czasem dowiedzieć. Dzieci przysłuchiwały się naszej rozmowie, ale dostały przykaz, by nie wydać naszych tajemnic. Ciekawe, czy dotrzymają słowa?

To wszystko pozwoliło mi chociaż na moment oderwać się od myślenia o zbliżającej się batalii w sądzie. Z niecierpliwością wyczekiwałam najważniejszego w moim życiu urzędowego pisma. Przy każdej okazji pytałam pana Miecia, czy czegoś dla mnie nie ma. Kilka razy dziennie sprawdzałam skrzynkę na listy. Nawet dwa razy poszłam do urzędu pocztowego, by dowiedzieć się, czy pismo z sądu przypadkiem nie przyszło.

Z Domu Polonii wróciliśmy w dobrych humorach. Gdy zasiedliśmy do wyczekiwanej kolacji, przypomniało mi się, że tego dnia nie sprawdziłam skrzynki pocztowej. Natychmiast do niej pobiegłam. Reklamy, branżowe zaproszenia, gazetki i druczek z poczty! Tak się ucieszyłam, że Temida wreszcie do mnie napisała, że resztę makulatury wepchnęłam do skrzynki, docisnęłam drzwiczki i przekręciłam kluczyk. W euforii pobiegłam do domu. Czar radości jednak szybko minął. Uzmysłowiłam sobie, że dziś nie odbiorę listu. Poczta była już dawno zamknięta. Jutro jest sobota, potem niedziela, więc urząd pocztowy będzie nieczynny.

Tak jak na początku cieszyłam się z tego listu, tak po chwili wręcz panicznie się go bałam. A może w tej kopercie jest odmowa sądu? Albo napisali, że nie mam właściwych kwalifikacji do opieki nad Michałkiem?

Targana niepokojem spędziłam całe dwa dni na rozmyślaniach. W poniedziałek pojechałam na pocztę i w pośpiechu odebrałam przesyłkę. Rozerwałam kopertę. Ku mojemu zdziwieniu jej zawartością była jedna kartka, zapisana z przodu. Z tyłu było pouczenie. To wezwanie na świadka. Jak to? Przecież nie byłam świadkiem niczego! Ale przypomniałam sobie, że Maciek wspominał, że sąd najprawdopodobniej najpierw przesłucha mnie

właśnie w charakterze świadka. To standardowa procedura.

Zadzwoiłam do niego, by upewnić się, czy dobrze pamiętam. Tak, wszystko się zgadzało. Z wielką radością pobiegłam do samochodu. Wsiadając, zaczepiłam o leżącą na ziemi gałąź i rozdarłam sobie sukienkę. Ale co tam! Całe szczęście, że nie zgubiłam koperty. Jeszcze raz przeczytałam pismo. Za trzy tygodnie, dokładnie w środę. Już tylko trzy tygodnie i będzie o krok bliżej do tego, by Michałek został moim synem.

Gdy wróciłam do domu, na werandzie czekała już na mnie babcia Jasia. Zauważyłam, że jest lekko zdenerwowana. Wręczyła mi kopertę, w której było wezwanie dokładnie na ten sam termin, kiedy i ja miałam się stawić w sądzie. Zaraz po moim wyjeździe przyszedł pan Miecio i przekazał jej list. Nie wiedziała, czy to dobry znak, czy jednak należy się zacząć poważnie martwić. Mocno ją przytuliłam.

– To znaczy, że jest dobrze? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Bardzo dobrze! Wreszcie sprawa ruszy i z każdym kolejnym dniem będziemy coraz bliżej momentu, kiedy Michałek zostanie moim synkiem.

– To jedyne, czego jeszcze chcę, zanim odejdę z tego świata – dodała babcia Jasia ze smutkiem.

– A ja wiem, że za to, że jesteś tak wspaniałą kobietą o wielkim sercu, będziesz żyła jeszcze wiele lat i doczekasz czasów, kiedy Michałek będzie się żenił!

– Nie do pomyślenia. Ale kto wie.

– Głowa do góry. Idzie nam coraz lepiej. Mamy trzy tygodnie, by się dobrze przygotować. Maciek już wie, że moje pismo dotarło. Za chwilę dowie się o twoim.

– I powie nam, co dalej?

– Tak. Za trzy tygodnie wypadniemy w sądzie na szóstkę z plusem, zobaczysz!

Jesteś na mnie skazany

– Nigdy się na to nie zgodzę! – Henryk tak wrzeszczał, że chyba słyszeli nas ludzie na niedzielnej mszy w pniewskim kościele. – Idę do siebie. Jesteście niepoważni.

– Ciekawe, jak pójdiesz? Już nawet laska nie wystarcza. Z twoją nogą dzieje się coś naprawdę złego. Trzeba coś z tym zrobić – protestowałam.

– Nigdzie nie jadę! Jeszcze tego brakowało. A co będzie, jak szanowny pan lekarz zechce mnie zostawić w szpitalu? Wtedy już po mnie. – Henryk szukał sposobu na wywinięcie się od wizyty u lekarza. Ale my też byliśmy nieugięci.

– Nie będzie takich niespodzianek. To brat rodzony lekarza, który kiedyś bardzo pomógł Rozalce. Zna się na rzeczy.

– Nie ufam lekarzom. Tyle lat na tym świecie żyję i nigdy w szpitalu nie byłem. Dożyję swoich dni bez takich luksusów.

– Jutro jedziemy do lekarza, czy tego chcesz, czy nie! Masz ogromny problem z chodzeniem, a noga wygląda bardzo źle – nie ustępowałam. – Poza tym jesteśmy umówieni na jutro na wizytę w prywatnej klinice. To nie jest szpital. Lekarz obejrzy nogę, zbada cię i powie, co dalej.

– I co? Przepisze jakieś tabletki?

– Nie wiem, co zrobi, ale musi ci pomóc. Zaufaj mi. Czy kiedyś cię zawiodłam?

– Nigdy – odpowiedział głośno Henryk. Czułam, że powoli daje się przekonać.

– No widzisz, zatem zaufaj mi i tym razem.

– Czyli ta wizyta jest umówiona na jutro? – dopytywał zmieszany.

– Tak. Równo o osiemnastej w Warszawie.

– Dla mnie to koniec świata. Nie wychodzę dalej niż mój schron, moje dwa pokoje i granice Pniewa. – Nerwowo pocierał ręką o blat stołu.

– Czyli będzie okazja, by wreszcie zobaczyć coś innego!

Zwerbowałam na drugi dzień wszystkich, którzy mogli pomóc we właściwym przygotowaniu go do tej wizyty. Pani Irenka i Basia obcięły Henrykowi włosy i wyczesaly długą brodę. Adaś zadbał o właściwe ustawienie foteli w samochodzie, tak by podczas jazdy Henryk miał jak

najwięcej miejsca na swoją chorą nogę. Michałek narysował dla ukochanego dziadka laurkę, a Rozalka wyznawała mu raz po raz swoją miłość. A Henryk? O dziwo, nie mówił nic. Tylko od czasu do czasu coś tam mruczał pod nosem i kręcił głową. Chyba uznał, że jego bunt na nic się tym razem nie zda.

Punkt piętnasta wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Warszawy. Na tyle wcześnie, by nie utknąć w korkach. Całe szczęście, że obyło się bez zbędnych niespodzianek. Po drodze rozmawialiśmy o planach na wakacje. Henryk oznajmił, że tego lata chciałby zrobić z dziećmi olbrzymi szałas w sadzie. Taki, jaki robił za czasów swojego dzieciństwa. Wzruszyłam się. Patrzyłam na niego z tylnego siedzenia i nagle wyobraziłam go sobie jako małego chłopca. I poczułam nagły żal. Tyle człowiek żyje na tym świecie, a wciąż musi o siebie walczyć. Henryk ma za sobą bardzo trudną przeszłość. Wiele wycierpiał, nie był szanowany, do niedawna był wyjątkowo samotny. I wciąż musi walczyć. Teraz o własne zdrowie.

Zaparkowaliśmy tuż przed wejściem do kliniki. Przywitana nas bardzo miła recepcjonistka. Henryk jednak czuł się nieswojo. Nerwowo zaciskał dłonie. Widać było, że najchętniej uciekłby stąd w jednej sekundzie. Nic z tego. Po dziesięciu minutach wyszedł do nas lekarz. Przedstawił się i od razu zaczął rozmawiać z Henrykiem. My bacznie się przyglądaliśmy. Zapytałam lekarza, czy mogłabym wejść do gabinetu razem z Sokolskim. Zgodził się. Adaś miał na nas poczekać.

Lekarz zaczął od obejrzenia nogi. Ten widok był dla niego zaskoczeniem. Od razu przeszedł do zadawania pytań, by poznać powody tak złego stanu. Henryk mówił, ja w razie potrzeby dodawałam coś od siebie. Nie chciałam, by umknęło nam cokolwiek, co mogłoby mieć wpływ na leczenie. Lekarz był naprawdę w szoku. Chyba z początku nie dowierzał, że jego pacjent przeszedł piekło obozu i eksperymentów medycznych, które w bestialski sposób przeprowadzano na więźniach. Długo się zastanawiał i myślał nad tym, co dalej.

– Nie mam dla państwa dobrych wieści – wyznał po dłuższej chwili milczenia.

Henryk spojrzał na mnie z przerażaniem. Starłam się zachować spokój.

– Co się dzieje? – zapytałam przyciszonym głosem.

– To martwica.

– Jaka jest jej przyczyna? – Chciałam się dowiedzieć jak najwięcej.

– W pana przypadku mamy do czynienia z urazami mechanicznymi, czyli tym, co się działo w obozie. Ale też widzę, że są tu duże zaniedbania higieniczne. Domyślam się, że wpływ na tak zły stan nogi może mieć pleśń lub grzyb. Przepraszam, że pytam, ale w jakich warunkach pan mieszka?

– Mieszkam w schronie w lesie.

– Słucham? – Lekarz niesłuchanie się zdziwił.

– Panie doktorze. Mój przyjaciel mieszka w schronie w lesie. To jest prawda. Ma też u mnie dwa pokoje i kuchnię i bardzo dobre warunki. Ale czy wie pan doktor, jak trudno przekonać kogoś takiego do zmiany?

– Tu nie ma dyskusji. Musi pan zmienić warunki życia. Inaczej z nogą będzie coraz gorzej, aż konieczna będzie amputacja.

Pobladałam. Henryk wbił wzrok w podłogę i nie odzywał się.

– Na czym polega leczenie i jakie są szanse na jego skuteczność? – zapytałam.

– Zaczniemy od silnych antybiotyków. Będzie potrzebna odpowiednia higiena i stała kontrola ran. Kilka razy dziennie trzeba będzie zmieniać opatrunki. Będą połączone z właściwymi lekami i okładami, które za chwilę zapiszę. Czy podejmie się pani opieki nad panem Henrykiem?

– Oczywiście. Zrobię wszystko, by wyzdrowiał. Proszę o informacje i wskazówki, co mam robić.

– To właśnie chciałem usłyszeć. A teraz proszę się skupić.

Lekarz tłumaczył, jakie leki dostanie Henryk i na czym będą polegały kolejne etapy leczenia. Od nich będzie zależeć, w jaki sposób rany zaczną się goić i w którym momencie będzie potrzebne leczenie szpitalne. Wszystko skrupulatnie zapisywałam. Staralam się dopytać o każdy szczegół. Jednocześnie zapewniłam, że Henryk od zaraz będzie mieszkał w warunkach dla niego jak najlepszych i że będzie pod czujnym okiem całej rodziny.

Henryk wyszedł od lekarza zupełnie załamany. Chyba dotarło do niego, że sam sobie nie poradzi i musi wreszcie przyjąć pomoc od innych. Było mi go żal, ale lekarz jasno dał do zrozumienia, że żarty się skończyły.

– I na co ci biegać po lekarzach z takim dziwadłem jak ja? – zapytał już na

korytarzu.

- Bo jesteś dla mnie kimś ważnym i twoje zdrowie jest dla mnie bezcenne.
- Niewiele mi życia zostało. Szkoda twojego czasu. Zdrowia mi nie przybędzie. Tylko tobie i wam wszystkim zabiorę czas i pieniądze.
- Nie odpuszczę. Dobrze o tym wiesz. Poza tym jesteś na mnie skazany.

Rozmowy nocą

No i się zaczęło. Zaraz po powrocie do starego domu Henryk wszczął awanturę, że na siłę chcemy go ratować i burzimy jego spokojne życie. A przecież jego dni są od dawna policzone i nie ma sensu walczyć o coś, co już jest spisane na straty. I nie przeniesie się na stałe do tych czterech kątów, tylko wróci do swojego schronu i tam będzie w spokoju czekał, aż śmierć sama po niego przyjdzie.

Niestety nie spodziewał się jednego. Wszyscy powiedzieli mu stanowczo nie i dali jasno do zrozumienia, że jego rządy właśnie się skończyły. Nawet sama Mikulska zapowiedziała, że jeżeli chociaż raz Henryk postanowi uciec do swojego schronu, to ona go w lesie znajdzie i za uszy przyprowadzi. To samo oznajmiła babcia Jasia i zasugerowała, że na stare lata mógłby chociaż trochę zmańdrzeć i posłuchać tych, którzy chcą dla niego jak najlepiej. Co jak co, ale Henryk nie spodziewał się, że wszyscy zjednoczą siły i dadzą mu odpór. Skapitulował i pokornie poszedł do budynku gospodarczego, gdzie ma swoje dwa pokoje, kuchnię i łazienkę.

Poszłam razem z nim. Raz, żeby było mu raźniej po tak ciężkiej przeprawie i negocjacjach z nieustępliwą rodziną, a dwa, by właściwie zająć się nogą. Lekarz przepisał dużo leków, maści, okładów i dał wskazówki, co i kiedy należy robić. Do tego silne antybiotyki. Całe szczęście, że znaleźliśmy aptekę, w której wszystko mogliśmy od razu wykupić. Czekało nas teraz kilka tygodni intensywnego leczenia. Potem miało się okazać, co dalej. Nie dostaliśmy od lekarza żadnych gwarancji. Scenariusze były różne, łącznie z tym, że w razie niepowodzenia i coraz gorszego stanu nogi trzeba będzie ją szybko amputować, by martwica nie zajęła innych części ciała. Nawet nie chciałam o tym słyszeć. Dlatego przysięgam sobie, że zrobię

absolutnie wszystko, by Henryk odzyskał zdrowie.

– I na co mi to wszystko na stare lata. Spokoju potrzebuję, a nie takich medyków, co to każą na jeden raz więcej leków brać, niż dotąd na swoje oczy widziałem. – Henryk był zmartwiony nową sytuacją i źle się czuł z tym, że jest od kogoś zależny. Przecież jest jak wilk. Waleczny, chodzi swoimi drogami i nie lubi, gdy ktoś ogranicza jego wolność.

– Zajmiemy się twoją nogą, wyleczymy ją, a potem będziesz mógł się cieszyć zdrowiem i jak będziesz chciał, to wrócisz do schronu. – Tylko taka wizja mogła poprawić mu humor.

– Co ja teraz mogę? Uparliście się i tyle.

– To wszystko dla twojego dobra. Michałek się o ciebie martwi, Rozalka się martwi. Ich ukochany dziadek musi być zdrowy. Tak czy nie?

– Tak – odpowiedział z lekkim uśmiechem.

Rozmawialiśmy do późna. Jak zawsze wspominaliśmy mojego dziadka Jana. Ich przyjaźń, pobyt w obozie i dalsze życie, które nie sposób opisać w kilku słowach. Patrzyłam na Henryka, jak opowiada o ludziach, których spotkał na swojej drodze i jakie decyzje pod ich wpływem podejmował. Dla mnie zawsze będzie bohaterem, który musiał przejść obozowe piekło, a potem przez całe swoje życie chować się przed wścibskim wzrokiem obcych. Jakby miał wypisane na czole, że jest kimś, do kogo lepiej nie podchodzić. Ciężko sobie wyobrazić, co musiał czuć.

Długo zbierałam się z tym, by wreszcie powiedzieć Henrykowi o niespodziewanym liście od Jonasa. Wiązał się z nim przecież bardzo duży problem. Jonas wspomniał o jakimś Henryku, przez którego mój dziadek oraz Elizabeth omal nie stracili życia. Wiadomo, że to był ktoś inny. Ale spokoju nie dawała mi jedna myśl. Co zrobię, jeżeli mowa jednak o Henryku Sokolskim? O człowieku, którego mam za bohatera, a w jednej chwili może się okazać, że naraził mojego dziadka na wielkie niebezpieczeństwo? Nic mi się tu nie zgadzało. Dlatego postanowiłam akurat o tym nic nie wspominać. Tak było lepiej. Przynajmniej na razie. Opowiedziałam więc Henrykowi o samym liście, wielce ciekawa jego reakcji. Poza zdziwieniem na nic więcej nie mogłam liczyć.

– Niesamowita historia. Aż trudno uwierzyć. Życie potrafi zaskoczyć. A Elizabeth? Tyle lat o nas wciąż pamiętała?

– Nie dość, że pamiętała, to zrobiła dosłownie wszystko, by was odnaleźć i jeszcze do końca doprowadzić sprawę tych tajnych dokumentów.

– Muszą zawierać bardzo ważne informacje – przyznał zamyślony.

– To mnie w tym wszystkim najbardziej przeraża. I jeszcze ma ścisły związek z moim dziadkiem. Chyba nie zrobił nic złego? – zapytałam z przekorą, ciekawa reakcji Henryka.

– O to możesz być spokojna. Raczej obydwójce, Elizabeth i Jan, zrobili coś, co mogło zaszkodzić komendantowi obozu i wyciągnąć na światło dzienne coś przerażającego.

– Jonas też się nad tym zastanawia. Chce spełnić ostatnie życzenie swojej babci.

– Co teraz zrobisz? – Henryk czekał niecierpliwie na moją odpowiedź.

– A co ja sama mogę? Jeżeli zadzwoni, to wtedy podejmiemy decyzję, co dalej. Jeżeli nie zadzwoni, uznam sprawę za zamkniętą.

– Jakie masz przeczucia? – dopytywał z ciekawością.

– Zadzwoni. Przecież sam się odezwał, nie mając pewności, czy to dobry adres i czy ktoś list odbierze. Teraz to już z górki – tłumaczyłam prostą zależność tej relacji.

– Oby zadzwonił. Bardzo na to liczę – wyznał szczerze Henryk.

Zadzwonił. Dokładnie dzień po naszej rozmowie z Henrykiem. Siedziałam wtedy w kuchni nad projektem. Skupiona i zafascynowana kolejnym wyzwaniem myślałam, że to będzie wieczór jak jeden z wielu. Taki jednak nie był. Owszem, moje dzieciaki poszły spać zaraz po wieczornych bajkach, Adaś jak zwykle zaszył się w pokoju i rysował plany rzeźby, a stary dom wypełnił się ciszą. Nagle zadzwonił mój telefon. Nieznany numer.

– Dobry wieczór, Alicja Pniewska, pracownia „Wrzosowisko”, w czym mogę pomóc? – przedstawiłam się.

– Dobry wieczór, tu Jonas Klein. – Na te słowa zamarłam. Tyle razy wyobrażałam sobie, jak to będzie, a tu nagle Jonas dzwoni, a ja nie mogę wykrztusić słowa. – Nie przeszkadzam? Trochę późna pora, ale właśnie dziś odebrałam list i od razu dzwonię – mówił wolno i wyraźnie. Rozumiałam go.

Zdziwiłam się, że tak dobrze zna polski. Tylko akcent miał obcy. Spodziewałam się, że mówienie po polsku będzie mu sprawiało większą trudność.

– Pora jest idealna. Właśnie położyłam dzieci spać i mam dużo czasu.

– Ma pani dzieci? To fantastycznie! – Próbował skrócić dzielący nas dystans.

– Tak, mam dwójkę urwisów. – Taką odpowiedź uznałam za najlepszą. To nie był czas i miejsce na tłumaczenie, jaka jest moja rodzina i kim są moje dzieci.

– Czyli ma pani wesoły dom.

Rozmowa najwyraźniej nam się nie kleiła.

– Dziękuję za list. – Postanowiłam przejść do sprawy, która sprowadziła nas na wspólną ścieżkę w życiu. – Byłam nim bardzo zaskoczona. Ale dziękuję, że podjął pan decyzję, żeby do mnie napisać. Poruszył pan sprawy, które od dawna zaprzatają moje myśli.

– Jestem zdania, że zawsze trzeba próbować. Pani adres dostałem od swojej babci Elizabeth. Martwiła się, że może już nikt nie mieszka w domu, o którym Jan, pani dziadek, tak wiele jej opowiadał. Ale bardzo mnie prosiła, bym spróbował was odszukać.

– Odniósł pan połowiczny sukces. Jest stary dom, jestem ja, ale nie ma mojego dziadka.

– Bardzo mi przykro, że zmarł, gdy była pani małą dziewczynką. – W jego głosie usłyszałam smutek. Nie znałam go jeszcze, a już czułam, że ma wobec mnie dobre zamiary.

– Tego żałuję najbardziej. Pan miał więcej szczęścia. A list od pana uświadomił mi, że mój dziadek w pamięci niektórych zapisał się jako ktoś wyjątkowy.

– Moja babcia nazywała Jana dobrym człowiekiem. Zawsze to powtarzała.

Niezwykle długo ze sobą rozmawialiśmy. To była jedna z tych sytuacji, gdy rozmawia się z kimś pierwszy raz (i to jeszcze przez telefon!), a ma się wrażenie, jakby się znało tę osobę całe życie. Jonas ujął mnie szczerością i wielkim szacunkiem wobec Elizabeth. Dużo o niej mówił. Ciekawiło mnie, kim była kobieta, którą mój dziadek nazywał aniołem. To była niezwykła

rozmowa. Wstęp do wielu następnych.

Sezon na cuda

– I tak przy wszystkich? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Sama widziałaś, co to jest za człowiek. Na nic nie patrzy. Chce mnie zwyczajnie zniszczyć. – Dorota siedziała skulona na krześle. Tego dnia rano zadzwoniła do mnie, że już nie daje rady i muszę do niej przyjechać, bo złe myśli chodzą jej po głowie.

– Ale żeby sugerować przy innych pracownikach, że z nim sypiasz? – Nie mogłam uwierzyć w bezczelność tego palanta.

– Nie ma nic do stracenia. Zresztą sama się o to prosiłam. Od dawna i ty, i Maciek mówiliście, bym miała się na baczności, bo jego zachowanie jest niewłaściwe. I co ja teraz zrobię? – zapytała i chyba po raz setny się rozpłakała.

– No już, chodź, usiądziesz na kanapie, a ja zrobię dobrej kawy. Teraz najważniejsza jesteś ty i twoje zdrowie. Jeszcze mi się tu rozchorujesz przez te nerwy.

– A co zrobię, jeśli to on pierwszy przyjdzie do Maćka albo do niego zadzwoni i wmówi mu, że od dawna jestem jego kochanką? Swoje za uszami mam i Maciek mógłby uznać to za prawdę.

– Mógłby zrobić coś takiego? Twój szef?

– No wiesz, teraz biorę już pod uwagę każdy scenariusz.

– To go nagrywaj! Każdą waszą rozmowę. Masz telefon, więc masz tę możliwość. Takie nagranie może być dowodem.

– Tak można?

– Nie wiem, ale dowód to dowód.

– Pewnie masz rację.

– Dorota, to twoja jedyna szansa. Nie masz pewności, jak ta sprawa się rozwinie. Zbieraj mocne dowody. Nagrywaj go. Trzeba udowodnić jego nachalność.

– Tak właśnie zrobię. – Dorota wytarła nos rękawem i odgarnęła niechlujne, potargane włosy. Trudno było dostrzec w niej piękność, jaką była jeszcze kilka dni temu.

Cierpiała. Najgorsze było to, że ze swojej winy i doskonale o tym wiedziała. Nie mogła sobie darować swojej naiwności. Zachłysnęła się nową pracą i nie dostrzegła, że nie wszystko jest w porządku. Nie umiała jej pomóc. Mogła jedynie przy niej być i ją wspierać. Tego najbardziej potrzebowała.

– Maciek już podjął decyzję, co z tym zrobi? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Zbyt wiele nie może. Z prawnego punktu widzenia kontrakt jest w porządku. Nie udowodnię, że szef podmienił strony. No bo jak miałabym to zrobić?

– To jaki jest plan?

– Maciek pisze pozew ugodowy. Nie chce iść z tym do sądu, nie mam szans na wygraną. Chce, żebym po zwolnieniu lekarskim od razu złożyła wypowiedzenie umowy.

– Popieram go. Nie chce, by jego żona pracowała w takich warunkach.

– Dlatego chce ugody. Sto tysięcy złotych w zamian za odcięcie się i święty spokój. Jak szef nie wyrazi zgody, wtedy zostaje sąd i ryzyko, że ten bydlak wygra i trzeba będzie zapłacić dwieście tysięcy. Wszystko w jego rękach.

– Przepraszam za to pytanie, ale skąd weźmiecie tyle kasy? – zapytałam z ciekawości.

– Pamiętasz, jak na studiach mieszkaliśmy razem przez jakiś czas w mojej kawalerce, którą dostałam w spadku po śmierci babci?

– Jasne! To były najlepsze lata! Trudno te czterdzieści metrów nazwać kawalerką. Jak na tamte czasy dla mnie to był apartament.

– Właśnie wystawiłam ją na sprzedaż. W niej spędziłam swoje dzieciństwo. Mało co mi serce nie pęknie, ale nie mam wyboru. Za błędy trzeba płacić.

– Może się na razie wstrzymaj? – Było mi potwornie szkoda tego mieszkania.

– Nie mogę. Sprzedaż trochę potrwa, a pieniądze będą potrzebne bardzo szybko.

Takich spotkań i rozmów miałyśmy bardzo wiele. Dni mijały. Na horyzoncie nie było żadnych dobrych wieści. Miałam związane ręce. Co za potworne uczucie! Przyjaciółka znalazła się w tarapatkach, a ja mogłam jedynie biernie się przyglądać. Adaś pocieszał mnie i wymyślał różne sposoby rozwiązania problemu Doroty, ale zawsze wszystko sprowadzało się do jednego wniosku. Dorota podpisała kontrakt i nie ma dowodu na oszustwo swojego szefa. Maciek też ciągle to powtarzał i nie ukrywał, że muszą liczyć na wyrozumiałość szanownego pana Sadowskiego lub na cud prosto z nieba.

Widocznie jednak Dorota ma szczęście do cudów. Inaczej tego nazwać nie można. To było jak gwiazdka z nieba lub niezwykley prezent od losu. A wszystko zaczęło się banalnie. Dorota przyszła do pracy z wypowiedzeniem w garści. Chciała je złożyć osobiście, by zachować chociaż ostatnie okruchy godności. To miała być mała zemsta za wyrządzone jej krzywdy. Pech chciał, że tego dnia szefa nie było w biurze. Zastała jedynie Renatkę, która bacznie pilnowała swojego terytorium w sekretariacie. Gdy tylko zobaczyła Dorotę, od razu bardzo się spieszyła i nie chciała spojrzeć jej w oczy. Dorota, nie mając absolutnie nic do stracenia, pogratulowała Renatce okropnego gustu, który pchnął ją w ramiona szefa. A przy okazji wspomniała, że wciąż ma w pamięci widok ich igraszek na prezesowskim biurku. To był wstęp do tak wielkiej awantury między nimi, że chyba cała Warszawa ją słyszała. Finał był taki, że Renatka się popłakała i powiedziała Dorocie, że jest z szefem w ciąży.

Dorota, jak to Dorota, pocieszała ją z całych sił, a w duszy wyzywała wstrętnego szefa od najgorszych. Było jej szkoda młodej sekretarki. Domyślała się, że podobnie jak ona sama, Renata nabrała się na miłe słowa szefa. Z tą różnicą, że od razu wskoczyła mu do łóżka. Moja przyjaciółka za to nadal pragnęła zemsty! Postanowiła, że przyjdzie następnego dnia, by osobiście wręczyć szefowi swoje nieszczęsne wypowiedzenie.

Z pewną ulgą wróciła do domu i czekała, by jutro wreszcie spotkać się z nim twarzą w twarz. I tu stał się cud! Zadzwoiła Renatka z wieściami, które zmieniły dalszy ciąg tej nieszczęsnej historii.

– I co było dalej? Opowiadaj, bo aż mi się wierzyć nie chce!

Dwa dni po finale tej groteski siedziałam u Doroty, piłam wino i nie mogłam się nacieszyć, że wreszcie odzyskała spokój. Mogłyśmy świętować jej wielki sukces.

– Zadzwoiła i poprosiła o spotkanie – opowiadała Dorota.

– U niej w mieszkaniu, tak?

– Tak.

– Nie bałaś się do niej iść? – dociekałam.

– Nigdy mnie nie lubiła, ale też nie była dobrym materiałem na seryjną morderczynię.

– Nawet takie mają sumienie. I co było potem?

– Poszłam do niej. Czekala na mnie zapłakana. Zaczęła opowiadać, jak to się w naszym szefie zakochała, jak jej obiecywał złote góry i wspólne życie.

– I co? Bajka szybko się skończyła?

– Jak tylko dowiedział się, że Renata jest w ciąży. Wezwał ją i dał dziesięć tysięcy na zrobienie porządku z tym, jak on to nazwał, „popieprzonym bałaganem”.

– A to świnią niemyta! Palant, jakich mało! – wściekałam się.

– Teraz już nas nic nie zdziwi. Ale Renatę to bardzo dotknęło.

– Trudno sobie nawet wyobrazić, co czuła.

– No właśnie. Nie miała też nic do stracenia i postanowiła się zemścić. Miałam jej w tym pomóc. Bardzo chętnie to zrobiłam.

– Ale jak? – Moja ciekawość sięgnęła zenitu.

– Zwyczajnie. Renata jak na spowiedzi wyśpiewała, że szef ordynarnie oszukał mnie z tym kontraktem. Było tak, jak podejrzewałam. Podpisałam wersję, na którą się zgodziłam. Ale byłam niezłą frajerką. Podpis złożyłam jedynie na ostatniej stronie, więc inne podmienił. Aż trudno w to wszystko uwierzyć. Renacie zlecił, żeby mówiła, że kontrakt dostanę dopiero wtedy, gdy podpisze go ktoś ważny. Miał cały dzień na swoje machlojki. Mógł dowolnie podmieniać strony. Ale był na tyle leniwy, że zlecił to Renacie.

– A ona?

- Zrobiła, co kazał, ale coś ją tknęło, by zachować pierwszą wersję podpisanego kontraktu, a przy szefie wrzucić do niszcarki ksero.
- Czyli jednak cwana z niej bestia – przyznałam z wielką satysfakcją.
- Na pewno bardziej cwana niż ja. Jak byłam u niej w mieszkaniu, to dała mi oryginał. Klucz do rozwiązania zagadki.
- Ja nie mogę, co za czasy! Gdziekolwiek się obrócisz, tam chcą cię oszukać.
- Uratowała mój tyłek. Będę jej za to wdzięczna do końca życia.
- A szef co na to?
- Zwolnił mnie dyscyplinarnie. Maciek już się tym zajął. Będą dwie sprawy w sądzie. Jedna o zniesławienie i oszustwo. A druga o odszkodowanie za poniesione straty.
- Boże! Doti! Jak się cieszę! Wreszcie karta się odwróciła!
- Dla mnie tak. Powoli wyjdę na prostą. Maciek się wszystkim zajmie i jeszcze na tym zyskam. Gorzej z Renatą.
- Co z nią? Stało się coś złego? – zapytałam z wielką troską. W całej tej historii Renata była kozłem ofiarnym.
- Następnego dnia wyrzucił ją z pracy. Też dyscyplinarnie. Dziewczyna się załamała.
- Niech zaprowadzi dziada do sądu, jak dziecko się urodzi, ustali ojcostwo i wyciągnie takie alimenty, żeby im się spokojnie żyło.
- Chciałam jej pomóc. Nawet Maciek obiecał, że w zamian za uratowanie mojego tyłka poprowadzi bezpłatnie jej sprawy.
- I co ona na to?
- Nagle zniknęła.
- Co ty mówisz? – przeraziłam się. Pomyślałam w pierwszej chwili, że ktoś ją porwał lub stało się jej coś złego.
- Szef ją prześladował. Nachodził. Nie dawał spokoju. Z dnia na dzień spakowała się i wyjechała za granicę do swojej matki. Tak mi powiedziała jej sąsiadka.
- Pewnie nie mogła wytrzymać tej presji.

- Maciek ma jej szukać, by była świadkiem w sprawie.
- Biedna dziewczyna. Szkoda mi jej. Mimo jej własnej głupoty.
- Mnie też jakoś sumienie gryzie.

Dorota robi dobrą minę do złej gry. Wiadomo, najgorsze już za nią. Oficjalnie jest szczęśliwa i wdzięczna, że wszystko tak gładko się dla niej skończyło. Mogło być gorzej. Ale to tylko pozory. Przecież widzę, że ta sprawa jeszcze długo będzie ją dręczyła. To nie tylko siarczasty policzek od losu, ale i wielka kara za naiwność. No i nieźle podeptana duma. To najbardziej Dorotę boli. Miało być tak pięknie, a omal nie skończyło się na tragedii. Wstyd i przed rodziną, i przed znajomymi. Nie przekonam jej szybko, że może zacząć od nowa. Przed nami trudny czas. Ale nigdy jej nie zostawię.

Rozdział VIII

*Na tropie szczęścia – o nocnych rozmowach
z przyjacielem, kryzysie przyjaciółki,
udowadnianiu wielkiej miłości i adresie,
pod którym mieszka przeszłość*

Najlepsze rozwiązania przychodzą do głowy nocą

Codzienne rozmowy z Jonasem stały się pewnym rytuałem, który na dobre oderwał mnie od zamartwiania się sprawami bieżącymi. Sama już nie wiem, czy to zasługa jego spokoju, czy może pewnego rodzaju powrotu do przeszłości i tego, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu było bardzo ważne dla mojego dziadka. Gdy wszyscy kładli się spać, niecierpliwie czekałam, aż zadzwoni telefon. A potem gadaliśmy do późnej nocy. O czym? Każde z nas mówiło, kim jest, jaki ma charakter i czym się zajmuje.

Jonas na przykład ma pięćdziesiąt cztery lata, jest po dwóch rozwodach, bez dzieci. Za to z wielką energią i głową pełną pomysłów, jak na prawdziwego inżyniera przystało. Mieszka prawie w samym centrum Berlina. Ma dom, który nazywa swoją orbitą, bo tam czuje się dobrze. Od razu pomyślałam sobie, że w sprawie orbit i całego kosmosu najlepiej dogadałby się z Michałkiem.

Adaś widział, że rozmowy z Jonasem dają mi wiele satysfakcji, jednak trzymał rękę na pulsie. Przede wszystkim zaproponował, żebym zaprosiła Jonasa do Pniewa. Ile można rozmawiać przez telefon, prawda? Pomysł uznałam za świetny, a konieczność spotkania za oczywistą. Przy najbliższej okazji zaprosiłam wnuka Elizabeth.

– Nie ukrywam, że liczyłem na taką propozycję z twojej strony. Nie chciałem się sam narzucać, a zarazem wiem, że ty byś do mnie nie przyjechała. Zdecydowanie to rozumiem.

– Wiesz, ja mam na głowie faceta, dzieci i jeszcze kota, który od tygodnia chodzi zakochany i nie chce jeść – żartowałam.

– A to poważana sprawa. Z zakochaniem się nie ma żartów.

– Dlatego zapraszam do siebie, do Pniewa lub do Warszawy.

– Zaskoczę cię i trafię sam. Sprawdziłem na mapie, to prosta trasa.

– Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– Pozamykam w swojej firmie kilka spraw, zlecę pracownikom zadania i domknę ważny dla mnie projekt. Zajmie mi to ze trzy tygodnie do miesiąca – wyjaśnił dokładnie.

– Idealnie. Dla mnie to będzie najlepszy czas. Czekam teraz na coś ważnego i trochę się tym denerwuję, ale myślę, że za trzy tygodnie będę już w lepszym nastroju – tłumaczyłam się. Miałam na myśli sprawę adopcji, ale nie chciałam wtajemniczać Jonasa w szczegóły.

– Jesteśmy zatem umówieni. Prześlę ci e-mailem swoje zdjęcie, żebyś wiedziała, jak wyglądam.

Po zakończonej rozmowie otrzymałam e-mail ze zdjęciem. Patrzył na mnie z niego rosły mężczyzna o śniadej cerze z ciemnymi oczami. Nieco posiwiałe włosy dodawały mu uroku. Uznałam, że jest przystojny i aż się roześmiałam w głos na tak niestosowną do sytuacji myśl. Zamknęłam laptop. Podeszłam do kominka, gdzie pośród innych ważnych dla mnie zdjęć stoi fotografia Elizabeth i mojego dziadka. Czułam się szczęśliwa. Pełna dobrej energii poszłam wreszcie spać.

Nad ranem obudził mnie głośny płacz Rozalki. Zerwałam się na równe nogi i w samej koszuli nocnej wbiegłam do kuchni. Rozalka siedziała na kolanach Adasia, który ją przytulał, a Michałek stał obok nich i coraz mocniej pociągał nosem.

– Co się stało? – zapytałam wystraszona.

– Nie, no jeszcze chwila i nie wytrzymam. – Adam zmarszczył brwi i błagalnym wzrokiem dał znać, bym wreszcie coś zrobiła, żeby uspokoić towarzystwo.

– Michałku, powiesz mi, dlaczego Rozalka płacze?

Michałek nie odpowiedział, tylko rzucił mi się na szyję i zaczął płakać tak samo głośno jak Rozalka.

– Właśnie Rozalka się dowiedziała, że Michałek zakochał się w koleżance z klasy. Także widzisz, u nas w domu od samego rana mamy bardzo poważne problemy. – Widać było, że Adaś traci cierpliwość i najchętniej by wyszedł.

– Dobra! Dzieciaki, koniec płaczu. Zbieramy się i idziemy do siedziby waszego Gangu Złotej Strzały – rozkazałam groźnym głosem.

– Dlaczego? – zapytali jednocześnie Rozalka i Michałek. Nagle płacz

ustał, a na ich twarzach pojawiło się wielkie zdziwienie. Może myśleli, że zwariowałam?

– Dziś jest święto czerwonego nosa. Trzeba to uczcić! – wypaliłam bez większego namysłu. Adaś spojrzał na mnie rozbawiony.

– Czerwonego nosa? – dopytał Michałek.

– Tak. Za pięć minut wszyscy gromadzimy się w piwnicy. Uwaga, start! – Na moją komendę każdy pobiegł w inną stronę, a ja zaczęłam dumać, co dalej zrobię z tym pomysłem.

Po chwili wszyscy zebrali się w ziemnej piwnicy, gdzie szef Gangu Złotej Strzały, czyli mój Michałek, uroczyście rozpoczął świętowanie dnia czerwonego nosa. A potem były zabawy i poważne rozmowy o miłości. Trzeba było wytłumaczyć dzieciakom, czym ona jest. Michałek wyjaśniał Rozalce, że wcale koleżanki nie kocha, tylko ją bardzo lubi i może w przyszłości się z nią ożeni. Z Rozalką nie może, bo przecież jest jego siostrzyczką, chociaż mają inne mamusie i innych tatusiów. Rozalka przyjęła wyjaśnienie z pokorą i na koniec oznajmiła, że Michałek może się zakochać, w kim chce, a ona poczeka na swoją miłość.

Ależ my z Adasiem musimy się czasem nagimnastykować, żeby nasze pociechy żyły w zgodzie. Nawet babcia Jasia nas podziwia, że tak sprytnie radzimy sobie z problemami, które w oczach małych dzieci urastają do rangi tragedii. Często z winy dorosłych.

Tego dnia omal nie doszło do kolejnej wpadki. Chciałam dobrze. Ze starych zdjęć, które znalazłam w wersalce babci Jasi, wykonałam kolaż w wielkim formacie. Chciałam Michałkowi zrobić niespodziankę. Udało się. Był zachwycony i zażyczył sobie, by powiesić go nad jego łóżkiem.

Ale przykro zrobiło się Rozalce. Od razu zapytała, czemu nie ma podobnego ze swoją mamusią, za którą przecież tęskni, chociaż już prawie ją zapomniała. Omal mi serce nie pękło na widok jej smutnej miny. Trzeba było szybko działać. Adaś znalazł stosowane zdjęcia i zrobiliśmy kolaż podobny do tego dla Michałka. Tak jest na każdym kroku. Musimy bardzo uważać, by nasze pociechy czuły się równo traktowane. Bardzo różnie nam wychodzi, wciąż się uczymy i nawzajem poznajemy. Tworzenie takiej rodziny jak nasza jest wielkim wyzwaniem, ale warto zrobić dla niej dosłownie wszystko.

Do mojej rodziny zalicza się też Dorota. Kilka dni temu omal nie dostałam

zawału. Wszystko przez córki Dorotki, czyli Zuzię i Zosię.

Zadzwończyły do mnie jakoś tak po południu. Zosia od razu powiedziała, że bardzo martwi się o swoją mamę, bo ona ciągle płacze i nie chce nawet z nikim rozmawiać. Nie musiały nic więcej mówić. Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, wsiadłam do samochodu i po godzinie byłam już pod blokiem Doroty. Jechałam szybko, za szybko, ale serce podpowiadało mi, że z Dorotą jest źle.

Było jeszcze gorzej, niż się spodziewałam.

– A, to ty przyjechałaś... – Gdy otworzyła mi drzwi swojego mieszkania, omal nie zemdlałam. Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Wyglądała tragicznie.

– Dorota, kobieto! Sama siebie wykończysz!

– Moje życie nie ma już żadnego sensu – powiedziała przez łzy.

To była długa noc. Przegadałyśmy wszystko, co złe, a co wydarzyło się w ostatnim czasie. Potrzebowała tego szczególnie Dorota, która wzięła na siebie winy za całe zło tego świata. Ta, która zawsze była specjalistką od wyciągania innych z najgorszych tarapatów i dawania kopniaków na szczęście. Teraz to ona potrzebowała porządnego kopniaka.

Po raz kolejny zaproponowałam jej pracę w moim „Wrzosowisku”. Kategoriecznie odmówiła. No bo jak to? Ma mi wisieć na ogonie? To się przecież nie godzi! Tak po prostu zacząć pracę u koleżanki? A to tak można? A co ludzie powiedzą? Jak to będzie wyglądało? Takie i inne pytania padały jak kolejne strzały. Aż mnie głowa rozbolała. Ale pojawiło się też światełko w tunelu. Sama Dorota ten argument mi podrzuciła. A ja go skrzętnie wykorzystałam.

– Mam kryzys. Nie rozumiesz tego?

– Dorota! Kryzys jest jak przystanek. Siedzisz sobie na nim spokojnie i wybierasz, do którego autobusu byś chciała teraz wsiąść. Pamiętaj, że zawsze masz wybór – tłumaczyłam jak komuś, kto właśnie ma zaćmienie umysłu.

– Po mnie żaden autobus nie przyjedzie.

– Bo go nie widzisz. No dobra. Jakie masz jeszcze problemy?

– Maciek. Za chwilę mnie zostawi. Sama wiesz, jakie laski kręcą się po

jego kancelarii.

– A ty nie laska? Proszę cię. Wszystkie razem wzięte do pięt ci nie dorastają.

– Kiedyś może i tak było. A teraz? Spójrz na mnie.

– No to weź się za siebie! Wyglądasz jak topielica – wypaliłam.

– Jak tak możesz?! – zapytała zdziwiona Dorota. Zaskoczyłam ją. Moje słowa były jak siarczysty policzek.

– Przecież sama tak myślisz. – Szłam za ciosem i użyłam jej własnej broni.

– Nie myślę tak – oburzyła się.

– No nie dość, że myślisz, to jeszcze i robisz. Maciek nasłucha się tego twojego gadania i wreszcie stwierdzi, że masz rację.

– Jak to? – Dorota robiła coraz większe oczy.

– Zwyczajnie, ciągle powtarzasz, że jesteś marna i do niczego, to wreszcie Maciek w to uwierzy i poleci za jakąś młodszą panienką.

– Nigdy na to nie pozwolę! – zawołała.

Tak znalazłam sposób na Dorotę. Najlepszy! Następnego dnia zapisała się do fryzjera i kosmetyczki. Posprzątała mieszkanie i ugotowała porządny obiad. Wyrzuciła z biurka wszystko, co mogło jej przypominać szefa i firmę, za którą jeszcze miesiąc temu dałaby się pokroić. Za to dostała pracę znacznie lepszą! Zgodziła się pracować w moim „Wrzosowisku”!

– Tylko obiecaj, że nie będę mieć żadnej taryfy ulgowej – poprosiła. – I mam pracować jak wół, bo jak nie, to mnie wylejesz. Zgoda?

– A co ty myślałaś, że u mnie to tak różowo będzie? Nie ma mowy! Od poniedziałku bierzesz się do roboty. Jeszcze się okaże, że ten twój były szef w porównaniu ze mną to całkiem przyjazny gość. U mnie czeka cię harówka i ochrzan co dwa dni – groziłam.

– Na to liczę! I chcę dostawać najtrudniejsze zlecenia. – Dorota stawiała kolejne warunki.

– O nie, tu musimy się dogadać i podzielić. Ja też lubię wyzwania.

- Wyzwaniem dla ciebie będę ja!
- W to nie wątpię – odpowiedziałam z przekąsem.

Miłość do dziecka to największe prawo

Wreszcie nadszedł TEN dzień. Wyczekiwany, upragniony, niosący wielkie nadzieje i jeszcze większy niepokój. Nie spałam całą noc. Gapiłam się w okno, przez które wpadało do środka ostre światło ulicznej latarni. Wiele bym dała za pewność, że wschód słońca sprowadzi na nas szczęście. Sen z powiek spędzał mi także strach o babcię Jasię. Wiadomo, ja jakoś sobie poradzę, ale ona? Na stare lata przyszło jej zмагаć się z sądem. Podziwiam jej odwagę. Właśnie dziś przyzna się przed wszystkimi, że z racji wieku już sobie nie radzi z opieką nad Michałkiem. Nie wiem, czy sama bym tak potrafiła zrobić. Łączy nas jedno. Obie chcemy, by Michałek był szczęśliwy. Darzę ją ogromnym szacunkiem.

Rano Adaś robił wszystko, by chociaż na chwilę przegonić mój strach. Nawet chciał ze mną jechać do sądu, ale wolałam zostawić dzieci i dom pod jego czujnym okiem. Chociaż tym nie chciałam się martwić tego dnia. Adaś mocno mnie przytulił i obiecał, że ten dzień zapamiętam na długo, ponieważ będzie dla nas wszystkich wspaniały. Uwierzyłam mu i coraz bardziej się uspokajałam.

Poszłam do domu babci Jasi, która minionej nocy postanowiła spać u siebie. Byłam pewna, że przez kilka godzin modliła się o szczęśliwy dzień i szybkie załatwienie sprawy w sądzie. Przywitała mnie w odświętnym ubraniu. Biała bluzka, czarna spódnica, wygodne botki, włosy spięte w delikatny kok. Uśmiechała się. Na jej twarzy widać było spokój.

Razem poszliśmy do mnie. Na podwórku stał już samochód Maćka. Z domu dochodziły radosne okrzyki dzieci. Domyśliłam się, że pewnie zagoniły do zabawy swojego ulubionego wujka. Gdy weszliśmy do środka, Maciek akurat siedział przy stole i zjadał naleśniki przygotowane przez Adasia. Śmiał się, że taki już los facetów, których ukochane stawiają na karierę. A że naleśniki lubią, to i są one głównym daniem w ich męskiej kuchni.

– Pani Janino, zabrała pani dowód? – Maciek dbał o każdy formalny szczegół.

– Mam. Wszystko sprawdziłam trzy razy – dumnie odpowiedziała babcia Jasia.

– Dobry humor też ze sobą zabieramy. Jeszcze tylko wyprawię Michałka i Rozalkę do szkoły i możemy jechać. – Poczułam ulgę. Dzień zapowiadał się dobrze.

– Jak wrócić, to wujek może się z nami pobawić w piwnicy? – dopytywał Michałek.

– Będziemy się bawić, jak tylko zechcecie – obiecał Maciek.

– A Zuzia i Zosia kiedy nas odwiedzą? – Rozalka tęskniła za swoimi przyjaciółkami.

– Powiem cioci Dorocie, że ma z dziewczynkami natychmiast do was przyjechać.

Adaś odprowadził dzieci do szkoły, a my wyjechaliśmy sporo wcześniej. Tak na wszelki wypadek. Do Pułtuska mamy raptem dwanaście kilometrów, ale wiadomo, że lepiej jest dmuchać na zimne. Na miejscu byliśmy godzinę przed czasem. Maciek zaprosił nas na kawę. Usiedliśmy wygodnie w kawiarnianym ogródku. Uważnie rozglądałam się po rynku i obiecałam sobie, że jak najszybciej przyjadę tu z Adasiem i dziećmi, by spędzić czas nad przystanią. Maciek wskazał na lewą stronę rynku. Na końcu kolumny budynków stał jeden z największych, który wyróżniał się wspaniałą architekturą. Maciek wyjaśnił, że to właśnie siedziba sądu. Dzieliło nas od niej raptem kilkadziesiąt metrów. Serce biło mi szybciej.

– Babcia Jasia podpisała pełnomocnictwo? – zapytałam nagle. W głowie miałam mnóstwo pytań i wątpliwości.

– Tak – odpowiedział Maciek z taką miną, jakby miał mnie za chwilę zatłuc.

– Kiedy? – nie dawałam spokoju.

– Jak byliśmy rano u ciebie, a ty się stroiłaś w łazience – odpowiedział z ironią.

– Jasne, stroiłam się. Stroić to ja mogę chyba tylko nerwy.

– Wszystko podpisane. Pan Maciej pilnuje każdej rzeczy – pochwaliła go babcia Jasia. Spokojnie piła herbatę. Na jej twarz padały delikatne promienie majowego słońca. Wyglądała pięknie. W tej jednej chwili zdałam sobie sprawę, jak bardzo ją kocham.

– A potwierdzenie masz? – Coś mi w głowie zaświtało. O jakimś dokumencie.

– Nie rozumiem. O jakie potwierdzenie ci chodzi? Pani Janina wszystko podpisała, ty i ja również. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Sama nie wiem. Coś mi się kojarzy, jakieś potwierdzenie.

– Wiem! Pewnie masz na myśli potwierdzenie uiszczenia opłaty od pełnomocnictwa.

– Chyba tak – odpowiedziałam niepewnie.

– Opłaciłem wczoraj, przekazem internetowym. Mam wydruk potwierdzenia. Wszystko jest. Nie musisz się przejmować, Colombo – Maciek zaczął się ze mnie nabijać.

– Muszę wyluzować, bo inaczej stwierdzą, że coś ze mną jest nie w porządku.

– Myśl o Michałku. O jego psotach. To poprawia humor – poradziła babcia Jasia.

Trochę głupio mi się zrobiło, że tak kontroluję Maćka, ale to chyba żaden nietakt. Chodzi tu przecież o dobro dziecka. Babcia Jasia przysłuchiwała się naszej rozmowie, nie do końca rozumiejąc, o czym mowa. Ale skoro odetchnęłam z ulgą, ona zrobiła to samo. Po pysznej kawie i herbacie udaliśmy się spacerkiem do sądu. Na korytarzu poza nami nie było praktycznie nikogo. Usiedliśmy pod wyznaczoną salą rozpraw. Czekaliśmy w skupieniu.

W końcu wybiła jedenasta. Chwilę później drzwi od sali rozpraw otworzyła młoda kobieta. Była schludnie ubrana, do żakietu miała przypiętą plakietkę. Maciek uśmiechnął się do niej serdecznie. Kobieta spojrzała na swoje zapiski i odczytała z nich:

– Sprawa powierzenia opieki nad Michałem Bilskim. Osoby przybyłe na sprawę proszone są o wejście na salę rozpraw. – Ruchem ręki zachęciła nas do wejścia.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Weszłam jako pierwsza. Za mną babcia Jasia, a na końcu Maciek, który w drzwiach przepuścił protokolantkę. Wskazał nam, które miejsca mamy zająć. Czekaliśmy cierpliwie. Do sali wszedł zespół sędziów i otwarto rozprawę. Po krótkim wprowadzeniu sędzia przewodniczący sprawdził obecność. Dowiedziawszy się, że jestem w sprawie świadkiem, a zarazem autorką wniosku, poprosił mnie o opuszczenie sali i poinformował, że we właściwym czasie wrócę, by złożyć zeznania. Ruszyłam w stronę drzwi. Spojrzałam na babcię Jasię i posłałam jej serdeczny uśmiech. Odwzajemniła go, a ja wyszłam. W tej chwili rozpoczęła się walka o opiekę nad Michałkiem.

Na sądowym korytarzu byłam całkiem sama. Tylko od czasu do czasu wychodził ktoś z sekretariatu. Zagryzałam wargi i ścisnęłam dłonie, by chociaż trochę się uspokoić. Nie rozumiałam, dlaczego sędzia nie pozwolił mi zostać na sali rozpraw. Zdenerwowało mnie to. Byłam przerażona, że babcia Jasia musi być tam sama i zeznawać. Był z nią Maciek, ale to nie to samo. I co z donosem? Czy dowiemy się, kto go złożył? A jeżeli babcia Jasia zna dobrze tę osobę, to jak zareaguje na takie wieści? Co z jej sercem? Czy potrafi się uspokoić?

Z zadumy wyrwał mnie głos protokolantki, która wychyliła się zza drzwi, by wezwać mnie na salę rozpraw. Wstałam i jak mantrę powtarzałam sobie, że będzie dobrze. Mam mówić tylko prawdę. To nic strasznego. Stałam pośrodku sali w miejscu przeznaczonym dla świadków. Sędzia przewodniczący wyjaśnił, że będę przesłuchana w sprawie swojego wniosku. Odetchnęłam. Wniosek nie poszedł na marne. Potem odpowiadałam na serię pytań. Dotyczyły one sposobu wychowania Michałka i naszych relacji.

– Czy mały Michał Bilski ma własne łóżko w domu swojej babci Janiny Prusik? – Pytania sędziego były bardzo szczegółowe i wnikliwe.

– Tak, ma swoje łóżko. Bardzo lubi spędzać czas w swoim pokoju. Kocha babcię – mówiłam dokładnie to, co podpowiadało mi serce.

– Jak pani ocenia relację małego Michała Bilskiego z jego babcią? Czy mały wie, że pani Janina jest jego biologiczną rodziną?

– Są ze sobą bardzo związani. Michałek wie, że babcia jest osobą, która się nim opiekowała od śmierci jego rodziców i dziadka. Jest świadomy tego, że z najbliższej rodziny ma tylko babcię. Michałka poznałam ponad rok

temu. Od tamtej pory bardzo mnie pokochał i traktuje jak osobę z najbliższej rodziny.

– W jaki sposób małe dzieci się do pani zwraca? – To pytanie bardzo mnie zaskoczyło. Nie wiedziałam, co zrobić, by dobrze wypaść. Spojrzałam na Maćka. Skinął głową.

– Michałek mówi do mnie „mamo”. Kilka miesięcy temu zapytał, czy mógłby tak mnie nazywać. Tłumaczył mi wtedy, że jego prawdziwa mama jest w niebie i bardzo mocno go kocha. Ale mnie traktuje jak drugą mamę i chciałby tak do mnie mówić. Zgodziłam się.

– Jak pani ocenia swoje możliwości opieki nad małym dzieckiem?

– Od ponad roku pomagam w opiece nad Michałkiem jego babci Janinie Prusik. Uważam, że bardzo dobrze sobie radzę z wszelkimi zadaniami, które wiążą się z opieką nad dzieckiem. Nie sprawia mi ona żadnej trudności. Wręcz przeciwnie, daje mi wiele satysfakcji. Bardzo Michałka kocham i zrobię wszystko, by był w życiu szczęśliwy.

Odpowiadałam szczerze. Po kilku kolejnych pytaniach sędzia powiedział, że to już koniec przesłuchania i polecił, żebym usiadła z przodu w ławce. Spojrzałam na zegarek. Odpowiadałam przez godzinę. Zerknęłam na Maćka, który się uśmiechnął i dał znać, że było dobrze. Babcia Jasia również się uśmiechała. Miała takie radosne oczy. Czułam, że swoimi odpowiedziami dałam jej ostateczny dowód na to, że Michałek jest dla mnie najważniejszy.

Po przerwie sędzia poinformował nas, że odracza rozprawę. A ja miałam wielką nadzieję, że już dziś będzie po wszystkim... Maciej miał rację. Od dawna studził moje emocje, mówiąc, że może być nawet kilka rozpraw. Sędzia powiedział też, że sąd może podjąć jeszcze dodatkowe czynności zmierzające do zbadania okoliczności, które uzna za niewyjaśnione. Ustalono nowy termin rozprawy. Za dwa tygodnie. Skinęłam głową, jakbym chciała dać znać, że się zgadzam. Nie miało to znaczenia. Maciek podniósł się zza ławy. Pokazał, że można wyjść. Mechanicznie powiedziałam „do widzenia” i wyszłam jako pierwsza.

– No i jak było? – dopytywałam Maćka.

– Trzeba być dobrej myśli – odpowiedział zmęczony. Ach, ci prawnicy!

– Ten ktoś od anonimu jeszcze nam napsuje krwi! – Babcia Jasia była

wzburzona. Na jej twarzy pojawiły się wyraźne rumieńce. Jej dłonie drżały. Złapałam ją za rękę i pomogłam usiąść na ławce. Z trudem oddychała. Było jej duszno. Maciek otworzył okno.

– Wiadomo, kto złożył donos? – zapytałam z ciekawości.

– Nie. Ale się dowiem. Są na to sposoby – zapewnił Maciek.

– Może nam to zaszkodzić? – Babcia Jasia wciąż dręczyła się donosem.

– Niech się pani nie martwi. Sąd zrozumiał, że ta skarga była wyimaginowanym pomówieniem. Zresztą opinia z wywiadu i wasze słowa, które padły dziś na sali, potwierdzają, że Michałek otoczony jest bardzo dobrą opieką.

– Mogę być spokojna? – dopytywała babcia Jasia.

– Z pewnością. Do tego pani troska o opiekę nad Michałkiem w przyszłości zostanie oceniona jako przejaw wysokiej odpowiedzialności. No cóż, za dwa tygodnie powtórka.

– Będzie dobrze! A teraz opowiadajcie, jak to wszystko wyglądało, gdy wyszłam z sali. To trwało wieczność! – Zżerała mnie ciekawość.

Z sądu wszyscy wychodziliśmy w zdecydowanie lepszych humorach niż przed rozprawą. Zaprosiłam naszą gromadkę na pyszny obiad do znakomitej restauracji na zamku. Stres zniknął. Babcia Jasia była szczęśliwa i chętnie opowiadała, co się działo za drzwiami sali rozpraw, gdy byłam na korytarzu. Dowiedziałam się, że po moim wyjściu sędzia zapytał, czy są jakieś wnioski formalne. Maciek wtedy wstał, przedstawił się raz jeszcze i wręczył pełnomocnictwo, które zostało przyjęte.

Sędzia prostym językiem wyjaśnił babci Jasi, że wpłynął anonim, w którym zarzucono, że źle wychowuje Michałka, że jest niedołączna i nie radzi sobie z codziennością i że przez to Michałek jest zaniedbany. Dlatego sąd musiał zająć się donosem i sprawę wyjaśnić. Podjął decyzję i zwrócił się o przeprowadzenie wywiadu i ustalenie, w jakich warunkach żyje Michałek i jego opiekun prawny. Wywiad miał być dokonany przez rozmowę z babcią Jasią, przeprowadzenie obserwacji i oględzin Michałka, jego miejsca zamieszkania oraz przez rozmowy z sąsiadami. Stąd się wzięła wizyta dwóch pań z sądu. Z tego wywiadu został sporządzony dokument, w którym zawarto ustalenia. Generalnie nie stwierdzono, aby opieka nad Michałkiem

sprawowana była niewłaściwie. Ustalono, że dziecko ma poprawne warunki bytowe. Nic nie wskazywało, by dobro dziecka było w jakiś sposób zagrożone. Sędzia jeszcze wyjaśnił, że dwoje sąsiadów potwierdziło te ustalenia. Próbowano jeszcze skontaktować się z jedną sąsiadką, ale ona usłyszawszy wyrażenie „na polecenie sądu”, przestraszyła się, powiedziała, że źle się czuje, że innym razem, i z impetem zatrzęsnęła drzwi swojego domu.

– Alicjo, twoje podejrzenia chyba się sprawdziły. Za donosem stoi z pewnością ta urocza sąsiadka. – Maciek uśmiechał się sam do siebie. Wiele razy powtarzał, że zawsze najciemniej jest pod latarnią i donos musiał napisać ktoś z sąsiadów.

– Ręki nie dam sobie uciąć, ale wszystko wskazuje na to, że to Rejterowa. Ona zwyczajnie nie cierpi innych ludzi i robi wszystko, by im dopiec.

– Czego ona może ode mnie chcieć? Nigdy w życiu nic złego jej nie zrobiłam – zdziwiła się babcia Jasia. Przez kilka tygodni odchodziła od zmysłów z powodu wrednej sąsiadki.

– Niektórym dużo nie trzeba, by znaleźć powód do krzywdzenia innych – wyjaśniałam.

– Nic więcej już nie robi. Zobaczyła, że żarty się skończyły i sprawą zajął się sąd. Na pewno teraz siedzi i zamartwia się, czy jej do więzienia nie wsadzą – roześmiał się Maciek.

– I dobrze jej tak! – Stwierdziłam, że jeszcze znajdę sposób na małą sąsiadzką zemstę.

Pytałam, co było dalej. Sędzia przewodniczący wyjaśnił babci Jasi, że przesłucha ją odnośnie całego procesu sprawowania opieki nad Michałkiem. Zasugerował, że może siedzieć, jeżeli stanie sprawia jej trudność. Babcia Jasia dumnie odparła, że sobie poradzi. Sędzia zadawał pytania ogólne i szczegółowe. Wszystko szło bardzo dobrze. Tylko niektóre pytania były zaskakujące, na przykład, czy babcia Jasia robi przetwory na zimę. Jednak niezrażona pytaniem odpowiedziała dumnie, że jak najbardziej. Maciek z początku liczył pytania, ale gdzieś koło dwudziestego stracił rachubę, bo zaczął się zastanawiać, w którym kierunku sąd pójdzie. Po sposobie podejścia sędziego przewodniczącego do sprawy miał wielką nadzieję, że uda się nasz zaplanowany manewr ze zmianą opiekuna. Szanse były coraz

większe.

– Zamyśliłem się. Z odrętwienia wyrwało mnie zapytanie sędziego, czy sam chciałbym pani Janinie zadać jakieś dodatkowe pytania. Zdecydowałem się na jedno, najbardziej istotne w całej sprawie.

– I trudne – przyznała szczerze babcia Jasia.

– Ale świetnie sobie pani z nim poradziła. Byłem pod wielkim wrażeniem.

– Czego dotyczyło? – Byłam bardzo ciekawa.

– Poprosiłem, by pani Janina zgodziła się wyjaśnić sądowi, dlaczego złożyła wniosek o zmianę osoby sprawującej opiekę, skoro sama jeszcze może ją wykonywać.

– Co odpowiedziałaś? – zapytałam.

– Po chwili namysłu powiedziałam, że dla mnie dobro Michałka i jego przyszłość są najważniejsze. Jestem świadoma, że nie dam rady wychowywać Michałka do czasu, aż będzie pełnoletni. Dlatego też, żeby nie miał nagle traumy, że opieka nad nim przypadnie komuś obcemu, powoli podjęłam działania. I powiedziałam, że Michałek bardzo mocno cię kocha i uważam, że to właśnie ty jesteś najlepszą osobą do opieki nad nim. Przecież traktujesz go jak swoje dziecko. Nic więcej nie trzeba.

– Bardzo dziękuję za tak piękne słowa... – Podeszłam do niej i ucałowałam w policzki, po których płynęły łzy. Ja też się wzruszyłam.

– Było jeszcze jedno ważne i trochę podstępne pytanie – wtrącił Maciek.

– O tak. Ale powiedziałam prawdę. Sędzia zapytał, z kim zostawiłam dziś Michałka. Powiedziałam, że rano Michałek poszedł do szkoły, z której odbierze go Barbara Stasiak. Moja sąsiadka, do której mam duże zaufanie. Michałek będzie u niej około godziny.

– Sprytnie sąd sprawdza, czy Michałek faktycznie ma zapewnioną przez cały czas opiekę. Pani Janina dodała jeszcze, że Barbara Stasiak to osoba, która ma własne dzieci i ma do nich świetne podejście. Michałek bywa często w jej domu – dodał Maciek.

– Bardzo dobrze mówiłaś. Jesteś fantastyczna! – cieszyłam się.

– Następnie sędzia przewodniczący zwrócił się do protokolantki, aby wezwała ciebie. No i tak to przebiegło... – zakończył relację Maciek.

– Jestem z nas wszystkich bardzo dumna! Poradziliśmy sobie! – Byłam naprawdę szczęśliwa.

– Panie Macieju, dziękuję za pomoc. – Babcia Jasia chciała jakoś wyrazić swoją wielką wdzięczność.

– To wszystko wasza zasługa. Byłyście wiarygodne. Przekonałyście tym sąd.

– Miłość do dziecka jest prawdziwa, nie da się jej udawać – dodałam w zamyśleniu.

Chciałam teraz jak najszybciej wrócić do domu i przytulić mojego Michałka.

Adres, pod którym cię znajdę

Czasami potrzeba wielkich zdarzeń, by podjąć wielkie decyzje. W sądzie też o tym dużo myślałam. Doszłam do jednego wniosku – nie mogę zamartwiać się sprawą przejęcie opieki nad Michałkiem. Powinam się z niej cieszyć. Bo to dla mnie ogromna szansa na upragnione dziecko. Wiadomo, Michałek już jest moim synem. Był nim od chwili, gdy zobaczyłam go pierwszy raz w moim sadzie. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy. Właśnie wtedy go pokochałam, tak jak matka potrafi kochać swoje dziecko.

Wieczorem podjęłam wreszcie decyzję o wyjeździe na Mazury w poszukiwaniu Ewy. Wszystko dobrze przemyślałam. Rozpatrzyłam każde za i przeciw. Ale jeden argument miał największy wpływ na moją decyzję. Sprawa była dla mnie prosta. Jest duża szansa na to, że mam siostrę. I muszę zrobić wszystko, by to sprawdzić. Życie jest zbyt krótkie, by długo czekać.

Adam przyjął moją decyzję ze spokojem. Zapowiedział jedynie, że samej mnie nie puści. Poprosił o dwa dni czasu, by mógł dokończyć ostatnie zamówienie.

Mogłam skupić się na zaplanowaniu trasy i dopięciu ważnych spraw. Planowałam, że wyjazd zajmie nam dwa, trzy dni. Michałek i Rozalka mieli przez ten czas mieszkać u Basi. Tak samo babcia Jasia. Nie mogłam przecież zostawić jej samej. Przy jej słabym stanie zdrowia trzeba mieć ją na oku. Na

szczęście nie miała żadnych uwag. Tak samo Henryk. Dostał zakaz chodzenia do schronu. Nauczyłam panią Irenkę, jak ma dbać o jego chorą nogę i jak zmieniać opatrunki. Henrykowi się to nie spodobało, ale wizja pobytu w szpitalu w przypadku pogorszenia się stanu jego zdrowia skutecznie odwiodła go od narzekania. Wszystko dopięłam zatem na ostatni guzik.

Podróż nie była taka trudna. Mieliśmy z Adasiem wreszcie więcej czasu na rozmowę. Kiedy przedstawił mi harmonogram dalszych działań promocyjnych dotyczących mojego „Wrzosowiska”, nie mogłam uwierzyć, że to może być sprawka tylko jednej osoby. Sama w duchu śmiałam się z tego, że Adaś nawet nie przeczuwa, jakie niespodzianki planuję w związku z wystawą jego prac. Na mnie zaś czekały ze cztery zaplanowane wywiady do „Moich Ogrodów”, „Działkowca”, „Kwiatowych Inspiracji” i „Starego Sadu”. Do tego miałam napisać trzy reportaże o tradycji ogrodów na Kurpiach i roli rodzinnych sadów. Czekala mnie kolejna sesja. Tym razem w wyszkowskim parku i nad Bugiem. Zastanawiałam się, czy Adaś przypadkiem nie oszalał, stawiając przede mną aż tyle wyzwań.

Po kilku godzinach dojechaliśmy na miejsce. Dotarliśmy do obrzeży Mikołajek. Pod wskazanym adresem stał parterowy czerwony dom z cegły przykryty blaszanym dachem. Niczym się nie wyróżniał. No może tylko wyjątkowo zadbanym przydomowym ogródkiem, w którym rosły bardzo stare odmiany kwiatów. Otworzył nam niemłody mężczyzna. Miał bardzo duże wąsy i nieco przydługie siwe włosy. Dostrzegłam, że ma sińce pod oczami. Ciężko oddychał. Był bardzo spocony, z trudem trzymał się na nogach.

– Państwo do kogo? – zapytał, zmrużywszy zmęczone oczy.

– Nazywam się Alicja Pniewska. Dostałam ten adres od byłej gospodyni księdza Andrzeja Jankowskiego. Szukam Magdaleny Kawalec i jej córki Ewy.

– Nie znam – odpowiedział szybko. Zauważyłam, że bardzo się zdenerwował.

– Z tego, co wiem, Magdalena i Ewa dosyć długo mieszkały w tym domu. Czy nadal tu są? – nie dawałam za wygraną. Przecież było widać, że ten mężczyzna kłamie!

– Prosimy pana jedynie o kilka informacji. To dla nas bardzo ważne.

Chcemy wyjaśnić pewną historię sprzed lat – wtrącił Adaś.

– Nie mam państwu nic do powiedzenia. Nie znam tych osób i nigdy nikt taki w tym domu nie mieszkał.

Mężczyzna brnął w swoje kłamstwo. Nasza wizyta wytrąciła go z równowagi. Od razu sobie pomyślałam, że musi za tym stać niezbyt ciekawa historia.

– Nie rozumiem, czemu pan zaprzecza. Proszę, mam tu zapisany adres. Mało tego, widziałam go na listach, które Magdalena pisała do swojego wuja.
– Sama też pokusiłam się o małe kłamstwo. Przecież żadnych listów nigdy nie widziałam.

– Czego państwo ode mnie chcecie? One od wielu lat tu nie mieszkają. A takiego dziadostwa jak ta cała wasza Magdalena to ze świecą trzeba szukać! – wrzasnął.

– Czyli pan je zna? – upewnił się Adaś.

– Nie, proszę pana. Ja ich nie chcę znać! Rozumie pan? Rozmowa skończona. Proszę tu więcej nie przychodzić. Do widzenia! – Z hukiem zamknął nam przed nosem drzwi.

– I co teraz? – zapytałam zrezygnowana.

– Spokojne. Chodź do samochodu. Musimy wszystko przemyśleć.

Przy furtce natknęliśmy się na starszą kobietę. Właśnie zsiadła z roweru. Przyznała, że podsłuchiwała naszą rozmowę ze swoim mężem. Była bardzo zdenerwowana. Przedstawiła się jako Danuta Soliwoda. Poprosiła, byśmy poszli z nią do pobliskiego lasu. Nie chciała, by jej mąż widział nas razem. Wyjaśniła, że jest on bardzo nerwowym człowiekiem, a każde wspomnienie Magdaleny Kawalec wywołuje u niego niepotrzebne nerwy. Jest bardzo chory i nie można go narażać na takie emocje.

– Bardzo państwa przepraszam, że my tu tak w lesie, ale nie mam wyjścia.
– Było widać, że jest mocno zawstydzona. Nerwowo odgarniała siwe włosy.

– Rozumiemy. Proszę się nie denerwować. Nie mamy złych zamiarów. Chcemy tylko zdobyć jakieś informacje – wyjaśnił Adam.

– W czym mogę państwu pomóc? I dlaczego szukacie Magdaleny? Poza księdzem Andrzejem, który nie żyje od kilku miesięcy, nie znam osoby, która by chciała ją znać.

– To dosyć nietypowa sytuacja. Nazywam się Alicja Pniewska. Pochodzę z Pniewa, gdzie przez wiele lat ksiądz Jankowski był proboszczem.

– Zgadza się. Byłam tam u niego kilka razy. Czyli pani tam mieszka?

– Tak. Mieszkam od ponad roku. W Pniewie spędziłam też dzieciństwo, ale gdy miałam pięć lat, razem z rodzicami się wyprowadziliśmy. Wróciłam rok temu.

– To szmat czasu. Długo pani w rodzinnych stronach nie było. Ale co z Magdaleną? Kim ona dla pani jest? Nigdy ksiądz o Alicji Pniewskiej nie wspominał – nie kryła zdziwienia.

– Poznałam księdza kilka miesięcy przed jego śmiercią. Nie była to wielka przyjaźń. Wręcz przeciwnie. Trochę skomplikowałam jego życie – zaczęłam się tłumaczyć.

– To znaczy?

– Alicjo, proponuję wytłumaczyć pani Danucie, kim możesz być dla Ewy Kawalec. Nie ma co udawać, że jest inaczej. – Adaś, widząc moją niepewność, postanowił zareagować.

– Masz rację – zgodziłam się. – Pani Danuto, jestem córką Piotra Pniewskiego. Istnieje bardzo duża szansa, że jest on również ojcem Ewy. Gdy byłam mała, mój ojciec miał bardzo krótki romans z Magdaleną. Mówiła, że zaszła z nim w ciążę. Nikt nigdy tego nie sprawdził i nie potwierdził. Wtedy były zupełnie inne czasy. Ponieważ bali się, że wyniknie z tego wielki skandal, ksiądz Jankowski i mój ojciec dogadali się. W zamian za dużą sumę pieniędzy Magdalena miała zniknąć i nie upominać się o ustalenie ojcostwa. Wiem, że zamieszkała wtedy u państwa. Jej dalszych losów niestety nie znam.

– Tak... rozumiem... – potakiwała pani Danuta. Jej twarz nagle spoważniała. Patrzyła gdzieś w głąb lasu i przez chwilę milczała. – Bardzo pani współczuję – powiedziała wreszcie.

– Historia z Magdaleną nie daje mi spokoju. Chcę odnaleźć Ewę i upewnić się, czy jest moją siostrą, czy jednak sprawa, która omal nie rozbiła mojej rodziny, była tylko pomówieniem.

– Cholernie trudne jest życie... Pani taka młoda jeszcze, a ma taki problem na głowie. Mnie starej jeszcze trudniej to wszystko zrozumieć.

Czasami wolałam nie wnikać. Tak było z Magdaleną, jak pani mówi. Przyjęłam ją do siebie i o nic nie pytałam.

– Czyli to prawda, że ona tu mieszkała? – wtrącił Adaś.

– Tak, była tu. Razem z Ewą.

– Mówiła coś o tym, kto jest ojcem Ewy? – zapytałam wprost.

– Nie, nigdy. Sam ksiądz tego nie wiedział. Mówił, że nie ma pewności, kto jest ojcem. Bardzo przez to cierpiał, sumienie nie dawało mu spokoju.

– Może nam pani opowiedzieć, jak to się stało, że Magdalena tu trafiła? – poprosił Adaś. – Alicji i mnie również bardzo zależy na poznaniu prawdy.

– Mogę. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Ksiądz Jankowski był naszym przyjacielem. Jako młody duchowny przyjeżdżał do Mikołajek na wakacje i zawsze u nas wynajmował kwaterę. Tak się właśnie poznaliśmy. Potem przyjeżdżał tu z siostrą. Poznała tu chłopaka, zakochała się. Szybko wzięli ślub i urodziła się Magdalena. To było dobre małżeństwo. Żyli zgodnie i dużo pracowali. Gdy Magdalena miała dziesięć lat, jej ojciec zmarł na zapalenie płuc. Bardzo to przeżyła. Od tamtej pory jej mama z roku na rok coraz gorzej się czuła. Nie radziła sobie bez męża. Przez co i córką zająć się nie mogła odpowiednio. Magdalena zaczęła chodzić własnymi drogami. A wiecie państwo, jak to jest. Jak matka nie czuwa nad dzieckiem, to ono szybko wpada w jakieś tarapaty.

– Ksiądz pomagał? – zapytałam z ciekawości.

– Pomagał, ale i swoje obowiązki miał. Nie mógł ich do siebie zabrać, bo sam proboszczem już wtedy był i dużo spraw miał na głowie. Martwił się o Magdalенę. Matka jej chorowała, a ona co innego miała w głowie. Z piętnaście lat miała, jak za chłopami zaczęła się uganiać. Nic jej matka nie interesowała. Ani w szpitalu jej nie odwiedziła, ani w codziennym życiu nie pomogła. Zostawiła matkę na pastwę losu. Zmarło się biedaczce na raka, gdy Magdalena miała dziewiętnaście lat. Strasznie to przeżyła. Szalała po okolicy. Zaraz po śmierci matki komornik zajął dom za długi. Potem sprzedał. Ksiądz nie miał wyjścia. Musiał ją zabrać do siebie.

– I liczył na to, że Magdalena przy nim się uspokoi – skomentował Adaś.

– A niedługo potem przyjechał powiedzieć, że Magdalena w ciąży jest. Nie wiadomo z kim. Był załamany. Raz, że dziewczyny nie dopilnował,

a dwa, to wielki wstyd dla niego był. Cała okolica huczała od plotek. A on musiał dbać o dobre imię parafii, której był gospodarzem. Zapytał nas, czy przyjmujemy Magdalenę do siebie, a potem nią i jej dzieckiem się zajmujemy. My swoich dzieci nie mieliśmy. Chyba pan Bóg poskąpił dobroci. Zgodę daliśmy i jak swoją córkę chcieliśmy Magdalenę traktować. Jak Ewa się urodziła, nic więcej do szczęścia nie było nam trzeba. Ksiądz dał nam pieniądze, pomagał z całych sił.

– To gdzie one teraz są? Magdalena i Ewa? – To pytanie miałam w głowie od początku naszej wizyty.

– Magdalena po urodzeniu Ewy uspokoila się tylko na chwilę. Potem wróciła do dawnych nawyków. Potrafiła zostawić małą na dwa tygodnie. Gdzieś znikala z obcymi chłopami. Całe dnie nie było z nią kontaktu. Nieraz i policja przyjechała się o nią dopytać. Złe rzeczy robiła. A my? Zaciskaliśmy zęby, bo dziecka szkoda było. No i księdza. Oj, miał on z tą Magdaleną... Nikomu nie życzę takich problemów.

– A Ewa? – ciekawiło mnie, jaka była.

– Ewa to wspaniałe dziecko. Grzeczna, nie sprawiała problemów. Tęskniła za matką. Wiele razy dopytywała o ojca. Nazywała go potworem. Nie rozumiała, dlaczego ją porzucił. – Te słowa zabolaly mnie najbardziej.

– Jak widać, jej też było w życiu bardzo ciężko – stwierdziłam gorzko.

Rozdział IX

W którym szukam śladów dziewczynki ze zdjęcia, udowadniam, że serce nie może się mylić, świętuję wielką wygraną i spotykam wnuka niezwyklej kobiety

Szukam cię, idąc po twoich śladach

Pani Danusia nie mogła z nami długo rozmawiać. Bała się, że mąż będzie miał jej za złe takie spoufalanie się z nieznajomymi. Chciała, żeby ta rozmowa została między nami. Przyznała, że jej mąż choruje także przez wybryki Magdaleny, która przysporzyła mu wiele nerwów. Byliśmy wdzięczni, że zechciała nam pomóc i nie zbyła nas byle jaką wymówką. Dzięki niej dowiedzieliśmy się, że gdy Ewa miała szesnaście lat, jej matka pokłóciła się ze swoim wujem, który miał już dosyć jej złego prowadzenia się. Magdalena z dnia na dzień zabrała Ewę i wyprowadziła się do Giżycka. Ksiądz długo jej szukał. Potem do niej jeździł i prosił, żeby się opamiętała przez wzgląd na córkę. Nic to nie dało. Chciała coraz więcej pieniędzy i straszyla, że przyjedzie do Pniewa i narobi wujowi problemów. Pani Danusia dała nam adres mieszkania, w którym ostatni raz ksiądz odwiedził Magdalенę.

Przenocowaliśmy w hotelu. Jak zwykle nie mogłam spać. Leżałam w wielkim łóżku i gapiłam się w sufit. Adaś spał obok spokojnie. Wyobrażałam sobie, jak to będzie, gdy za kilka godzin spotkam Magdalенę i Ewę. Co im powiem? Hej, to ja, Alicja, córka Pniewskiego, co to z tobą, Madziu, miał romans? Jak wam się żyje? Sprawdzimy, czy jesteśmy siostrami? Takie właśnie głupoty chodziły mi po głowie przez całą noc.

Ranek był przyjemniejszy. Przyniósł nowe nadzieje i lepszy humor. Pojechaliśmy do Giżycka. Byłam bardzo podekscytowana. Przecież wreszcie miałam zobaczyć Ewę. Tyle czasu czekałam na ten moment. Samochód zostawiliśmy przy jednej z głównych ulic. Z mapą w ręku szukaliśmy właściwego adresu. Po kilku nieudanych próbach i stu pytaniach zadanych przechodniom wreszcie dotarliśmy do celu. Czekają nas duże zaskoczenie. Mały zaniedbany budynek przypominał raczej ruderę niż miejsce, gdzie ktoś może mieszkać. Adres się jednak zgadzał.

– Coś mi tu nie pasuje – powiedziałam z zażenowaniem.

– Słuchaj, to jest ten adres. Widocznie one tak mieszkają – Adaś nie miał

żadnych wątpliwości.

– Aż strach pomyśleć, co zastaniemy w środku. I co? Ewa mieszka tu z małym dzieckiem? Przecież to miejsce jest obrzydliwe. – Wzdrygnęłam się.

– Chcesz czekać czy jednak sprawdzimy, jak to wygląda naprawdę?

– Idziemy. Ale mam cichą nadzieję, że jednak to zły adres.

Weszliśmy przez ledwo trzymające się na zawiasach drzwi. Na klatce przywitał nas odór moczu i alkoholu. Aż mi się w głowie zakręciło. Adaś zaproponował, żeby wyjść jednak na zewnątrz, ale zaprotestowałam. Weszliśmy na drugie piętro. Zaraz po lewej stronie było mieszkanie numer osiem. Rozejrzałam się. Nie znalazłam dzwonka do drzwi. Zapukałam. Nie wiedziałam, czy jestem bardziej tym wszystkim przerażona, czy jednak zniesmaczona. Nagle usłyszałam za drzwiami jakieś odgłosy. Jakby przesuwanie czegoś po podłodze lub szuranie nogami. Po chwili poleciały siarczyste przekleństwa. Spojrzałam na Adama. Dał znać, że będzie dobrze. Ktoś przekręcił zamek i otworzył drzwi.

Stała w nich kobieta. A raczej postać, która mogła kobietę przypominać. Miała bardzo pomarszczoną twarz, na której widać było kilka siniaków. Jedna powieka jej opadała, a nad drugim okiem miała wyraźne rozcięcie, z którego sączyła się krew. Posklejane włosy świadczyły o tym, że nie po drodze jej było z wodą i mydłem.

– Czego tu? – zapytała agresywnie.

– Czy pani Magdalena Kawalec?

– A kto pyta? – Splunęła na podłogę.

– Alicja Pniewska. Szukałam pani i pani córki Ewy.

– W jakiej sprawie? – zaczęła uważniej mi się przyglądać.

– Żeby wyjaśnić sprawy z przeszłości. Jestem córką Piotra Pniewskiego.

– Kojarzę palanta – odpowiedziała.

– Zastałam Ewę? Mieszka tu? Mogę z nią porozmawiać?

– Zara... zara... nie tak szybko. Informacja kosztuje. Dajesz, paniusiu, stówkę i powiem ci, gdzie znaleźć Ewę. – Wyraziła się jasno i wymownie wpatrywała się w moją torebkę.

– Może trochę grzeczniej? – zdenerwował się Adaś.

– Co, kurwa, grzeczniej? Wypierdalaj mi stąd, złamasie jeden. – Złapała stojącą przy drzwiach szczotkę i zaczęła nią wymachiwać. – Ja ci, chuju, pokażę. Będziesz mnie tu pouczał!

– Idziemy stąd! – Adam złapał mnie pod ramię i zaczął prowadzić po schodach.

– Ale ja muszę się wszystkiego dowiedzieć! – zaprotestowałam.

– To nic nie da. Widziałas, kim ona jest. Chodź, dłużej tu nie zostaniemy.

– Ale ja muszę! – rozpłakałam się.

Adam wyprowadził mnie na zewnątrz. Kręciło mi się w głowie. Objął mnie, ledwo trzymałam się na nogach.

– Już dobrze. Nie pozwolę, by ktoś tak cię traktował. Ta kobieta jest alkoholiczką. Sama widzisz, co to za osoba. Alkoholiczka, której w głowie tylko wyłudzenie kasy i poniżanie ludzi.

– Ale to była moja jedyna szansa.

– Będzie ich jeszcze wiele. Zobaczysz, znajdziemy Ewę.

– Wcale tak nie będzie. Ciągłe są jakieś przeszkody – dodałam rozgoryczona.

– Halo, proszę pana! – Nagle usłyszeliśmy czyjś głos. Spojrzałam w górę. Z okna wychylała się młoda kobieta. – Przepraszam, że się wtrącam, ale słyszałam państwa rozmowę z Magdą. Proszę poczekać, już do państwa schodzę – powiedziała i zniknęła w oknie.

Kobieta wyszła przed budynek. Była młoda, ale wyraźnie zmęczona i niechlujnie ubrana. Nerwowo miętoszyła brzeg bluzki.

– Dzień dobry, Anna Górka – przedstawiła się i podała nam rękę. – Tak się składa, że moja babcia jest sąsiadką Magdy. Okropne tu warunki mają, ale na razie babci stąd zabrać nie mogę. Sama na głowie mam trójkę dzieci, bo mąż kilka lat temu podziękował nam i zniknął.

– Zna pani Ewę? – zapytałam pełna nadziei, że może wreszcie znaleźliśmy kogoś, kto nam pomoże. Kobieta wzbudzała zaufanie.

– Znam, bardzo dobrze znam. Razem chodziliśmy do szkoły. I mieszkaliśmy na tym osiedlu, które, jak państwo widzicie, jest teraz w fatalnym stanie.

– Czyli Ewy już tu nie ma? – Adaś trzeźwo ocenił sytuację.

– Tak z pięć lat temu wyprowadziła się stąd do swojego mężczyzny. Powiodło się jej. Bogaty jej się trafił. Wszystkie dziewczyny na osiedlu jej zazdrościły. Taką tu bryką nieraz przyjechał, że okoliczna złodziejka tylko się czaiła, by mu coś zakosić. Ewa szybko w ciąży była. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Ale matka ją od najgorszych latawic wyzywała, to i dziewczyna wyboru nie miała dużego. A że chłopak ją chciał, to i poszła za nim.

– Może pani wie, gdzie teraz Ewa mieszka? – zapytał Adam.

– Wie pan, trochę się to wszystko wydaje dziwne jakoś.

– Dlaczego? – zaniepokoiłam się.

– Ewa czasami tu przejeżdżała. Niekiedy i ze swoją córką Sylwią. Raz mówiła, że wyszła za mąż, innym razem, że to taki luźny związek. Ja tam za bardzo nie dociekałam. Ale coś tam było nie tak u nich.

– Co ma pani na myśli? – dopytywałam.

– Jakby się Ewa tego swojego chłopca bała. Chyba Marek miał na imię. Tak, dobrze pamiętam, to był Marek. Raz tu przyjechał po nią i taką jej awanturę zrobił, że wszystkie chłopaki z osiedla się zbiegli, by Ewę ratować. Przy wszystkich ją uderzył.

– No i co? Nie odeszła od niego? – zdziwiłam się.

– Nie wiem, od tamtego momentu ani razu tu nie była i właściwie nie wiem, co się z nią teraz dzieje.

– Trzeba będzie ustalić, gdzie mieszka – wtrącił Adam.

– Może coś poradzi ten mężczyzna, co tu o Ewę tyle razy wypytywał.

– Jaki mężczyzna? – Pomyślałam, że to może być kolejny trop.

– Bo ja wiem. Chyba jakiś detektyw. Tak ma napisane na tej kartce, co mi zostawił. Mówił, że Ewy szuka jej mąż i bardzo się o nią martwi. Zadawał wiele pytań. Obiecał nawet pieniądze w zamian za informację i zostawił swój numer telefonu.

– Jak pani myśli, co mogło się takiego wydarzyć? – zaniepokoiłam się.

– Może Ewie coś się stało i ten mąż się martwi. Bo po co miałyby jej szukać? Coś musiało się złego stać. Szkoda Ewy. To dobra dziewczyna jest.

Ale dużo w życiu przeszła. Sama pani widziała, jaką matkę ma. Tatuś się o nią nigdy w życiu nie upomniał. Przez taką rodzinę to i zgłupieć można.

Poczułam ukłucie w sercu, gdy to powiedziała.

– Czy mogłaby pani dać nam namiary na tego detektywa? – Adaś przejął inicjatywę, widząc, że coraz gorzej się czuję.

– Mogę. Tylko tak z ciekawości zapytam, czemu szukacie Ewy?

– Jest duża szansa na to, że to moja siostra – powiedziałam bliska łez.

– A to ważna sprawa. Szkoda, że nie mogę bardziej pomóc. Ale numer do tego gościa zaraz przyniosę. – Weszła do środka i pobiegła na górę. Po chwili wróciła z wizytówką. Była zadowolona z tego, że może nam pomóc.

– Zrobię zdjęcie, to na pewno nie zgubimy – zaproponował Adaś. – Jeżeli można, do pani też poproszę numer telefonu.

– Nie ma sprawy. Tylko że ja już nic nie pomogę. Nie wiem, gdzie może być Ewa. Chyba że się jakoś do mnie odezwie. Ale to byłby prawdziwy cud.

Cudem było to, że przez przypadek natknęliśmy się na Annę i zdobyliśmy numer kogoś, kto mógł wiedzieć coś więcej o Ewie i jej życiu. Ale dlaczego jej mąż musiał aż wynająć detektywa? To mi śmierdziało czymś bardzo poważnym. Adam miał podobne obawy. Nie bez powodu szuka się kogoś w ten sposób.

Dzwoniłam do detektywa chyba ze sto razy. Miał wyłączony telefon. Chciałam zostać w Giżycku i czekać, aż łaskawie się odezwie. Jednak Adam uznał, że to zły pomysł. Nie wiadomo było, czy wreszcie włączy telefon, a na nas czekały w Pniewie obowiązki i przede wszystkim nasze dzieci, które się za nami bardzo stęskniły. Wysłuchałam Adasia i przyznałam mu rację. Czas było wracać do domu. Na Mazurach nasza misja nie za bardzo się udała, ale sprawdziliśmy każdy możliwy trop. Nic więcej zrobić się nie dało. Byłam przerażona odkryciem, kim jest Magdalena i współczułam Ewie, że miała z nią tak trudne życie. A teraz? Gdzie jest? I dlaczego się ukrywa?

Prawo pisane serca biciem

Zwątpienie skradało się wielkimi krokami. Dotąd go nie zauważyłam.

Moje myśli były zajęte codziennością, rozmowami z Jonaszem i poszukiwaniem Ewy. Ale równo tydzień po rozprawie i równo tydzień przed kolejną wtargnęło do mojego serca niczym walec drogowy. Nienawidzę tego stanu, gdy w głowie mam pustkę spowodowaną nawałem bardzo złych przeczuc. Zaczęłam poważnie się obawiać, że sąd jednak nie weźmie pod uwagę mojej kandydatury w sprawie opieki nad Michałkiem. No bo jak to? Jest tyle innych osób, które mają pełną rodzinę, sto razy lepsze warunki, no i mogą mieć jeszcze znajomości. A ja? Prawie nic nie mam!

Zaczęłam szukać w sieci odpowiedzi na dręczące mnie pytania, chociaż zdawałam sobie sprawę, że to nie jest najlepszy pomysł. Czytałam, czytałam, czytałam, ale znalazłam tylko same niedorzeczności. Zdaniem internautów ja, czyli kobieta przed czterdziestką, oficjalnie samotna i prowadząca własną działalność, która pozwala jakoś tak lepiej czy gorzej żyć, NIE MAM żadnych szans na przyznanie opieki nad dzieckiem, które musi mieć pełną rodzinę i właściwe (czytaj: wręcz luksusowe) warunki! No więc... Już mogę się szykować na totalną porażkę.

Zrezygnowana, z bolącymi od wpatrywania się w monitor oczami, przeklinałam w duszy cały świat. Długo siedziałam na łóżku i zadawałam sobie jedno pytanie: co teraz będzie? Pod wpływem impulsu sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Maćka. Chciałam się wyzalić. Miałam też cichą nadzieję, że jak zwykle podniesie mnie na duchu. Nacisnęłam na zieloną słuchawkę i dopiero potem spojrzałam na zegarek. Dwadzieścia po trzeciej. Środek nocy! Czym prędzej rozłączyłam się, ale i tak zabrzmiał pierwszy dźwięk w słuchawce. Cholera jasna! Po chwili telefon zawibrował. Odebrałam.

– Halo, dzwoniłaś. Stało się coś? – O tej porze głos Maćka brzmiał mało zachęcająco.

– Nie, nic, przepraszam, nie zablokowałam telefonu i tak jakoś przypadkiem wybrałam twój numer – wyjaśniłam, nieco odbiegając od prawdy.

– I tak sobie o tej porze siedzisz i myślisz? – Nie dał sobie zamydlić oczu i od razu wyczuł, że coś kombinuję.

– Co tu dużo mówić. Zamartwiam się – powiedziałam, tym razem zgodnie z prawdą.

– Czym? Sprawą?

– Tak. Jakaś taka dziwna panika mnie ogarnęła. Dużo brakuje mi do ideału. Samotna kobieta przed czterdziestką. Słabo to wygląda, nie?

– Przecież się umawialiśmy, że martwienie się zostawiasz mnie. Tak?

– Jak zwykle masz rację. Tylko że ja nic nie poradzę na te swoje wydumane problemy.

– Alicjo, odpuść i porządnie się wyśpij. Szukaniem rozwiązań zajmuję się ja.

Tym razem Maćka nie posłuchałam. Prawie do rana oglądałam swoje stare zdjęcia rodzinne i myślałam dużo nad tym, jak wielką wartość ma rodzina. Wspominałam rodziców i dziadków. Dla nich każdy dzień był świętem. Potrafili cieszyć się chwilą. Doceniali życie. Staram się ich naśladować. Chociaż różnie mi to wychodzi. Za dużo narzekam, za dużo się martwię. Dziadek po przejściu obozowego piekła nigdy nie martwił się codziennością. Nic w niej go nie męczyło, nic go nie smuciło. Przeżył przecież pobyt w miejscu, w którym każda chwila mogła przynieść śmierć.

Zajrzałam do jego pamiętnika.

Nie wiem, jaki dziś dzień. W takim miejscu czas nie ma znaczenia. Wystarczy chwila, by stracić życie. Każdą kolejną docenia się jeszcze bardziej. Ile w ogóle warte jest ludzkie życie? Tutaj nie ma żadnej wartości. Jesteśmy tłumem nic nieznaczących osób. Łączy nas tylko jedno. Wielka tęsknota za domem i rodziną. To jest sensem życia. W takim miejscu żałuje się straconych szans, niewyjaśnionych sporów, niewypowiedzianych słów. Czasu się nie cofnie, błędów się nie naprawi. Pozostają wspomnienia i nadzieja na lepsze jutro.

Czytałam te słowa i ogarnął mnie wstyd. Czym ja się tak naprawdę martwię? Wymyślam problemy, których nie ma. Zamiast czerpać z życia pełnymi garściami, ciągle marudzę. Dostyc tego! Będę walczyć o Michałka i nie dam się błahostkom!

Gdy nadszedł TEN kolejny dzień, wstałam pełna energii i dobrych myśli. To właśnie DZIŚ miałam się dowiedzieć, jaką decyzję podjął sąd. Nie panikowałam, nie zamartwiałam się. Babcia Jasia również była spokojna.

Powiedziała mi ukradkiem, że długo modliła się o to, by ten dzień był jednym z najlepszych w jej życiu. Czułam, że tak będzie. Maciek przywiózł ze sobą kilka kilogramów truskawek i powiedział, że to na ucztowanie po wygranej sprawie. Już miałam zacząć narzekać, że wyprzedza fakty i zapeszy, ale odpuściłam. Zjadłam kilka. Na szczęście.

Tak jak poprzednim razem nasza trójka pojechała do Pułtuska dużo wcześniej. Nie mogło się też obejść bez dobrej kawy i herbaty w cukierni.

Do sądu poszliśmy nieco spokojniejsi niż za pierwszym razem. Scenariusz się powtórzył. O dwunastej przyszła protokolantka, wykonała swoje czynności. Weszliśmy na salę rozpraw, sędzia otworzył rozprawę i sprawdził obecność. Zapytał, czy są jakieś inne wnioski. Nie było. Ponownie zapytał, czy ktoś chciałby jeszcze zabrać głos w sprawie. Nie było takiej potrzeby ani konieczności.

Ścisnęłam mocniej dłoń babci Jasi, była bardzo wzruszona. Za chwilę mieliśmy usłyszeć słowa, które na zawsze zmienią nasze życie. Czy na lepsze? Spojrzałam na Maćka. Uśmiechnął się i poprawił togę. Dał znać, że zaraz będzie TEN moment.

– Sąd Rodzinny w Pułtusku po rozpatrzeniu sprawy o powierzenie opieki nad małoletnim Michałem Bilskim postanowił: Punkt 1. Odebrać pani Janinie Prusik prawo do opieki nad małoletnim Michałem Bilskim. Punkt 2. Ustanowić panią Alicję Pniewską opiekunem prawnym małoletniego Michała Bilskiego oraz zawiadomić właściwą placówkę opiekuńczą wraz z przekazaniem odpisu postanowienia. Punkt 3. Ustanowić miejscem zamieszkania małoletniego Michała Bilskiego miejsce zamieszkania pani Alicji Pniewskiej. Punkt 4. Kosztami procesu obciążyć Skarb Państwa. Od niniejszego postanowienia...

Dalej już nie słuchałam. Serce mi waliło, nogi miałam jak z waty, z trudem oddychałam. Maciek uśmiechał się skromnie i próbował słuchać sądu.

Już po drugim zdaniu nie mogłam ukryć radości. Babcia Jasia płakała. Swoimi starymi dłońmi ocierała lecące ciurkiem łzy. Tym razem łzy wzruszenia i szczęścia. Wyszeptałam jej do ucha, że to jest nasz dzień. Nasze święto. Sama czułam, że to jeden z tych momentów w życiu, który zmienia

dosłownie wszystko. I wszystko inne przestaje mieć znaczenie.

– Szanowni państwo... – Sędzia przewodniczący odczekał chwilę i poprosił, by wszyscy usiedli na swoich miejscach. – Pani Alicjo... – zwrócił się bezpośrednio do mnie. – Wzięła pani na siebie ogromną odpowiedzialność. Za życie i zdrowie małego człowieka. Dobro dziecka jest najwyższą wartością, której nie da się sprowadzić do materialnego wymiaru. Sąd wyraża zdanie, że jest pani najlepszą osobą do sprawowania opieki nad Michałem Bilskim. Spełnia pani warunki formalne. Ponadto z małoletnim łączy panią silna więź. – To rzekłszy, sędzia przewodniczący zakończył posiedzenie.

Wyszliśmy z sali rozpraw. Uściskom, buziakom i słowom gratulacji nie było końca. Babcia Jasia chyba z dziesięć razy dopytywała, czy aby to wszystko dzieje się naprawdę i nie będzie trzeba czegoś znowu udowodniać. Odetchnęła z ulgą, gdy potwierdziłam, że najgorsze za nami i możemy świętować.

Budynek sądu opuszczaliśmy w prawdziwej euforii. Od razu zadzwoniłam do Adasia i do Doroty, by podzielić się dobrą nowiną. Oboje byli tacy szczęśliwi!

Tak samo Mikulska. Akurat pielęła świeżo wyrosnięte warzywa. Z motyką biegła po polu i krzyczała do sąsiadki, że ma dziś najlepszy dzień w życiu. Wszyscy w Pniewie cieszyli się ogromnie. Babcia Jasia zaraz po powrocie położyła się, by odpocząć. To był dla niej bardzo ciężki dzień. Zasnęła po kilku minutach.

– To na kiedy się umawiamy? – Maciek wstąpił do mnie na obiad. Zrobiłam na szybko truskawki z kluskami. Zajadaliśmy je jak największe rarytasy. Taki smak dzieciństwa.

– Na co? – zapytałam zdziwiona.

– Jak to na co? Na ciąg dalszy. Musimy dalej szybko działać.

– Nie dasz mi chwili wytchnienia – zażartowałam.

– Za nic w świecie! Pamiętaj, że idą wakacje, więc i czas urlopów. To taki trochę martwy czas w pracy sądu. Musimy być czujni. Nikt nas nie może ubiec. Już przygotowałam ogólny projekt wniosku o adopcję. Jak go przepracuję, wtedy się spotkamy. Przeczytasz go i przedyskutujemy ważne

kwestie. Na pewno będziesz chciała jeszcze coś dodać.

– Jasne, zrobię dokładnie tak, jak mi każesz. Ale co to znaczy czujni? Postanowienie sądu nie jest wiążące? – zmartwiłam się.

– Część dokumentów, które były dołączone do sprawy o opiekę, wykorzystamy przy wniosku o adopcję. Będzie też potrzebny odpis dzisiejszego postanowienia. Za dwa tygodnie pojedź do sądu i poproś o wydanie odpisu. Tak będzie najszybciej.

– A dlaczego nie mogę tego zrobić na przykład jutro?

– Sąd musi poczekać, czy ktoś nie wniesie zażalenia. Przewidziano na to siedem dni. A że można je nadać pocztą, sądy czekają na wszelki wypadek jeszcze kilka dni – wyjaśnił Maciek. – Po jakichś dwóch tygodniach możesz udać się do sądu i zapewne wtedy już uzyskasz postanowienie, które się uprawomocniło.

– Czyli co się wtedy wydarzy? – dopytywałam.

– Na podstawie tego postanowienia możesz legalnie wziąć pod opiekę Michałka. Już nikt ani nic ci w tym nie przeszkodzi.

– To będzie nasz nowy początek – stwierdziłam z ogromną satysfakcją.

Najważniejsza rozmowa czekała mnie jednak wieczorem. Michałek spędził popołudnie u babci Jasi. Gdy wrócił do domu, mocno się do mnie przytulił. Długo milczał, jakby chciał się nacieszyć chwilą. Całowałam jego mięciutkie włosy.

– Babcia mówiła, że dziś był bardzo ważny dzień. Że możesz już się mną opiekować.

– Tak, to był szczególny dzień. Stało się coś, na czym bardzo mi zależało.

– To znaczy, że już jesteś moją mamą? – zapytał z rozbijającą szczerością.

– Jestem nią od dawna. Ale teraz musimy jeszcze chwilę poczekać, aż sąd oficjalnie nam to powie. Takie są przepisy.

– To może tam z tobą pojedę i powiem im, że ty tak naprawdę już jesteś moją mamą?

– Nie trzeba. Wujek Maciek, babcia Jasia i ja już to mówiliśmy.

– I co? Zgodzili się? – Michałek patrzył na mnie wnikliwie i odgarniał

moje włosy.

– Zgodzili się, żebyś u mnie mieszkał. Tak jak do tej pory.

– Czyli kumają, że mnie kochasz? – Na te słowa omal nie parsknęłam śmiechem.

– Kumają bardzo dobrze. Chcą nam pomóc, więc trzeba być dobrej myśli.

– No to ich lubię!

Spotkanie bratniej duszy

Dorota odżyła. Takiej energii dawno w niej nie widziałam. Naprawdę wzięła się w garść. I postanowiła, że będzie pracownikiem roku. Oficjalnie została głównym architektem krajobrazu we „Wrzosowisku”. Ale jak to Dorota, dobrą posadę u przyjaciółki potraktowała jako megawyzwanie i robiła wszystko, by nasza firma stała się na rynku prawdziwą perełką.

Zapisała nas na szkolenie z wykorzystania nowych technologii do projektowania pięknych ogrodów w 3D. Nie dopytywałam o szczegóły, tylko grzecznie przybyłam na zajęcia. A tam tłumy ludzi! Aż nagle obie zaniemówiłyśmy z wrażenia. Jak się okazało, ważnym ekspertem na szkoleniu był nasz kolega z czasów studiów, Franek Bojarski. Nie dałoby się go zapomnieć. Świetnie grał na gitarze i śpiewał. Prawie każda dziewczyna na roku marzyła, że weźmie z nim ślub i będzie mieć gromadkę dzieci. Taki był przystojny! Nadal jest, może nawet bardziej!

– Prędzej bym się huraganu spodziewał niż was. Co za niespodzianka! Powiem wam, że nic się nie zmieniłyście. – Na dzień dobry obsypał nas komplementami.

– Nasza młodość to teraz jak stare kino – zaśmiała się Dorota. – Słyszałam kiedyś, że masz swoją pracownię i rozwijasz ją w Stanach, ale nie wiedziałam, że odniosłeś aż tak wielki sukces. Nasze gratulacje!

– Tak, świetna robota – wyrwałam się z zamyślenia. Wspominałam, jak to Franek i mnie na trochę zawrócił w głowie, ale nie miałam u niego szans. Nie ta liga.

– Alicjo... Boże jedyny... Jak ja się na studiach w tobie kochałem! –

wypalił Franek znieńcka. Czułam, że twarz zalewa mi rumieniec. Dorota omal nie zakrztusiła się winem. Jego wyznanie przyprawiło mnie o palpitację serca.

– Co ty mówisz? – zapytałam z niedowierzaniem.

– No tak. Kochałem się w tobie jak szalony. Ale nie miałem odwagi się przyznać. Byłaś taka inna niż wszystkie dziewczyny.

– Ładny mi komplement – udałam nieco urażoną.

– Poważniejsza od innych byłaś. Miałaś swoje życie i chodziłaś swoimi drogami. I to mi się w tobie najbardziej podobało.

– Kolego, nic z tego. Alicja jest szczęśliwie zakochana. Za chwilę zostanie mamą. A jej Adaś to świetny facet – wtrąciła się Dorota.

– Bardzo serdecznie ci gratuluję. I rodzina się powiększy. Znakomicie!

– A nie... Nic z tych rzeczy... Nie jestem w ciąży. Ale za chwilę adoptuję syna.

Franek był nieco zdziwiony, ale starał się tego nie okazywać. Zaprosił mnie i Dorotę na wystawną kolację ze swoimi kolegami z branży. Opowiadał wszystkim o naszej studenckiej przyjaźni i stwierdził, że lepszych na roku od nas nie było. Razem z Dorotą czułyśmy się wyróżnione. Franek nie odstępował nas na krok. Tak, nasza próżność została tego wieczoru mile połączona.

Dorota opowiedziała o naszym „Wrzosowisku”. Franek jak zwykle wykazał się refleksem i od razu zaproponował intratną współpracę. Mogłyśmy zostać u niego podwykonawcą drogich projektów. Dorota nauczona niedawnym przykrym doświadczeniem stwierdziła, że chętnie się nad tym zastanowimy, ale musimy na spokojnie wszystko przemyśleć.

Z kolacji wracałyśmy w wyśmienitych humorach. W mieszkaniu Doroty otworzyłyśmy wino i gadałyśmy do późna. Przyznałam się jej do wyjazdu na Mazury i do tego, że muszę zrobić wszystko, by odnaleźć Ewę. Poparła moje plany.

Tej nocy przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Żartowałyśmy sobie, że razem zajdziemy bardzo daleko, a jak uda się współpraca z Frankiem, to i świat podbijemy. Nagle Dorotę olśniło. Jej mina świadczyła, że to coś ważnego.

– Wiem! Przecież mam mieszkanie po babci! Zrobimy tam filię „Wrzosowiska”! Ty będziesz działać w Pniewie, a ja tu! Dotrzemy do jeszcze większej grupy klientów! Kochana, to rozwiąże wszystkie nasze problemy! – mówiła rozemocjonowana.

– Naprawdę byś tak chciała? – Pomysł Doroty był rzeczywiście świetny.

– Bardzo! Miałabym wspaniałą pracę, blisko domu, czas dla męża i córek. Czego chcieć więcej? A mieszkanie właśnie stoi puste. Wypowiedziałam umowę najmu, bo przecież miałam je sprzedać. Teraz wystarczy je odświeżyć, przerobić na biuro projektowe i jest!

– Ale wiesz, że nie mamy na to kasy? – zaniepokoiłam się.

– O to się nie martw. Mam trochę oszczędności. Poza tym Maciek mówi, że teraz bez problemów wygram z szefem sprawę w sądzie i dostanę odszkodowanie. Wszystko zwróci mi się z nawiązką. Chcę w nas zainwestować. W naszą wspólną, lepszą przyszłość. Pomogłaś mi, a teraz ja zrobię wszystko, by „Wrzosowisko” się rozwijało.

– To moje marzenie. Jestem za! – przyznałam z entuzjazmem.

– A jak Maciek sprawdzi tego naszego Franka i wszystko będzie w porządku, to od razu biorę od niego projekty do podwykonawstwa. Rozkręcę to na całego. Już mam plan!

Dorota szybko przeszła od planu do działania. Rankiem powiedziała o pomysłe Maćkowi, który od razu sięgnął po komórkę, by zadzwonić do znajomego architekta. Kazał się nam szykować na remont i obiecał kupić porządne stroje robocze! Miałam ochotę go ucałować!

Wysłałam od Doroty młodszą o dziesięć lat i tak szczęśliwą, że aż mi się w głowie kręciło. Tak świetlanej przyszłości to ja sobie nigdy nie wyobrażałam. Z tej okazji postanowiłam kupić wielki tort. Skręciłam do swojej ulubionej cukierni. Wchodząc do środka, przeżyłam szok. Jakbym ducha zobaczyła. Stała przede mną matka Pawła, moja była teściowa. Uśmiechnęła się do mnie. Wyglądała znacznie lepiej niż ostatnim razem, gdy mówiła mi o tym, że Paweł choruje na raka. Nie wiedziałam, o czym mogłabym z nią rozmawiać. Milczałam.

– Alicjo, jak dobrze cię widzieć. Pewnie przyszłaś po swoje ulubione bezy? – zapytała miło.

– Akurat dziś po coś innego – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Co u ciebie dobrego? Jak ci się mieszka w Pniewie? Remont domu skończony?

– Tak. Wszystko w porządku. Lepiej bym sobie nie wymarzyła. Oby tak było dalej. A czy mogłaby pani... – Słowo pani jakoś trudno mi było wypowiedzieć. W czasach małżeństwa z Pawłem zwracałam się do niej mamó, chociaż to było sztuczne i nie sprawiało mi żadnej radości. – Proszę powiedzieć, co u Pawła? Jak jego zdrowie?

– Paweł? No tak, ty nic nie wiesz.

– Boże, co się stało?

– Nie, nie, wszystko w porządku. Tylko teraz do mnie dotarło, że dawno Pawła nie widziałas. No cóż, leczenie w Szwajcarii dzięki Bogu się powiodło. Paweł zdrowieje, lekarze dają mu bardzo duże szanse. Jeszcze tam pobędzie ze trzy miesiące.

– Cieszę się, że mu lepiej. Bardzo się o niego martwiłam. Źle wyglądał, kiedy ostatni raz widziałam go w szpitalu.

– Na pewno się ucieszy, że o niego zapytałaś.

Na te słowa podeszła do mnie i przytuliła się. Stałam jak odrętwiała. Matka Pawła nigdy nie darzyła mnie sympatią. Wręcz przeciwnie. Byłam dla niej zmorą, która ukradła jej wspaniałego syna.

– Proszę go ode mnie pozdrowić. Przepraszam, trochę się śpieszę – skłamałam. To spotkanie nie było dla mnie miłe, więc chciałam je jak najszybciej zakończyć.

– Jeszcze raz dziękuję i odezwij się kiedyś do mnie. Mój numer masz. Do widzenia, Alicjo. Wszystkiego dobrego ci życzę. – Na koniec dotknęła dłonią mojego ramienia.

Wracałam do domu pełna sprzecznych uczuć. Cieszyłam się, że Paweł będzie zdrowy. Mimo tylu wyrządzonych mi krzywd nigdy nie umiałam źle mu życzyć. Gdy widziałam go po raz ostatni, był wrakiem człowieka. Żegnał się z życiem i właściwie nie chciał już żyć. To było najgorsze. A jednak okazuje się, że walczy i są tego efekty. Czy chciałabym go zobaczyć? Chyba nie. Bo i po co rozdrapywać zaleczone rany i rozmyślać o uczuciach, które dawno wygasły? Nic już do niego nie czuję.

Po powrocie do domu czekała mnie niespodzianka. Tego dnia dotarł do nas pocztą numer pisma, w którym opublikowano zdjęcia z majowej sesji w moim sadzie. Wyszły cudnie! Przytuliłam się do Adasia. Byłam taka szczęśliwa!

Następnego dnia miałam bardzo ważne spotkanie. Do Polski przyleciał na kilka dni Jonas. Chciał wreszcie mnie poznać i porozmawiać ze mną twarzą w twarz. Przy okazji miał załatwić w Warszawie kilka spraw. Pierwszą noc spędził w stolicy, ale kolejne noclegi zarezerwował w pułuskim hotelu. Chciałam po niego jechać, ale uparł się, że nie będzie robił problemów i przyjedzie taksówką prosto do Pułuska. Od razu widać było, że to mężczyzna, który lubi mieć wszystko zaplanowane. Dorota śmiała się, że to prawdziwy Niemiec, stąd i porządek jest mu bliski. Mitygowałam ją, że Jonas jest po części Polakiem, bo jego prababka była Polką. Przecież Elizabeth zadbała o to, by jej wnuk mówił w miarę dobrze w naszym języku.

Umówiliśmy się na pułuskim rynku. Zabrałam ze sobą Dorotę. Adaś tego dnia miał wykłady na uczelni i nie mógł mi towarzyszyć. A uparł się, że na takie spotkanie nie mogę iść sama. No bo właściwie nie wiadomo, czego się można spodziewać. To oczywiście były wątpliwości Adasia, nie moje. Doroty nie trzeba było długo prosić. Była szczęśliwa, że weźmie udział w, jak to nazwała, „historycznym spotkaniu”. Jeszcze bardziej mnie tym zestresowała. Niepotrzebnie.

Jonas czekał na nas w kawiarni, w której się umówiliśmy. Na przywitanie wręczył mi bukiet róż. Nieco się speszył, bo nie miał nic dla Doroty. Nie uprzedziłam go, że będę z przyjaciółką. Urzekł mnie swoją delikatnością i niezwykle serdecznym sposobem bycia. Dokładnie się mu przyjrzałam. Nie wyglądał na swój wiek. Raczej bym powiedziała, że ma około czterdziestu pięciu lat. Elegancko ubrany, z modnymi okularami na nosie wyglądał jak wzięty prosto z sesji modowej dla kolorowego pisma. I bardzo wysoki. Urzekł uśmiechem.

– Wreszcie możemy się poznać. Miło cię widzieć, Alicjo. – Jego głos miał ciepłą barwę, która dodawała jeszcze większego uroku przekręcanym słowom. Po polsku mówił dosyć dobrze, ale jak na obcokrajowca przystało, miał problem z trudnymi wyrazami i intonacją.

– Byłam ciebie bardzo ciekawa, witaj! – Przytuliłam go jak serdecznego

przyjaciela. Dziesiątki godzin spędzonych na nocnych rozmowach przez telefon sprawiły, że czułam się tak, jakbyśmy byli przyjaciółmi, którzy widzą się po kilkunastu latach. – A to moja przyjaciółka Dorota Krajewska – przedstawiłam Dorotę.

– I jakie są twoje wrażenia? – zapytał, zerkając przy okazji na Dorotę.

– Świetnie mówisz po polsku. Babcia byłaby z ciebie naprawdę dumna – przyznałam ze wzruszeniem.

– Mam ci tyle do opowiedzenia. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tak szybko udało mi się ciebie odnaleźć. W opowieściach mojej babci byłaś małą dziewczynką, którą poznała dzięki listom. Twój dziadek pisał do niej.

– Nic o tym nie wiem. Naprawdę? Pisał listy do twojej babci? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Chciałem zrobić ci niespodziankę, dlatego nic wcześniej nie mówiłem.

– Alicja chyba przyciąga tajemnice, w jej życiu ciągle jakieś wychodzą na jaw. Czasami jej tego zazdrozczę.

Dotąd Dorota uważnie przysłuchiwała się naszej rozmowie, ale postanowiła także upomnieć się o uwagę.

– A Dorota to mój dobry duch, który często ratuje mnie od złego – powiedziałam.

– Czasami role się odwracają. Teraz Alicja ratuje mnie. Ale o tym też na pewno opowie – przyznała Dorota.

– Chcę poznać ciebie i twoją rodzinę. Chcę pójść na grób Jana i złożyć na nim kwiaty. Nie da się opisać, jak wielkim był przyjacielem mojej babci. Był dla niej jak brat. Wszystko mnie bardzo ciekawi – mówił z entuzjazmem Jonas.

– Mamy czas. Ty opowiesz mi o Elizabeth, a ja opowiem ci o Janie.

– Może uda nam się rozwiązać tajemnicę dokumentów? – zapytał z nutką nadziei w głosie.

– Tego obiecać nie mogę. Wiem tyle, co i ty. Ale może los się do nas uśmiechnie.

Popołudnie spędziliśmy w Pułtusku, nie mogliśmy się nacieszyć z naszego spotkania. Dorota czuła się trochę niepotrzebna i w pewnym momencie dała

znać, że musi już iść, bo czekają na nią ważne sprawy. Od razu wyczułam, że chce nas zostawić samych. Nie protestowałam.

– I jak? Spełniam twoje oczekiwania? – Jonas zapytał wprost. Głupio mi się zrobiło, bo gdyby ktoś nie znał kontekstu naszego spotkania, mógłby pomyśleć, że jesteśmy na randce.

– Wiesz co? Dosyć śmiesznie to zabrzmiało – przyznałam.

– Mam czasami taki problem, że używam dziwnych słów lub przekręcam je. Musisz mi to wybaczyć. To po babci. Wychowałam się przy niej i przyjąłem jej sposób mówienia.

– Jaka była Elizabeth? Tyle razy próbowałam ją sobie wyobrazić.

– Najbardziej uderzało w niej to, że nie oczekiwała od życia zbyt wiele. Nigdy nie narzekała i zawsze doceniała każdy dzień. Tego mnie właśnie uczyła. W pewnym momencie zostaliśmy tylko we dwoje. Gdy miałem dwadzieścia lat, moi rodzice zginęli w wypadku. Zatonął statek, którym płynęli. Bardzo to wtedy przeżywałam. Babcia mi pomogła.

– Bardzo mi przykro. Rozumiem cię, też wcześniej straciłam rodziców.

– Babcia miała dobre serce. Co noc śniły jej się koszmary. Widziała w snach to wszystko, czego doświadczyła w obozie. Nigdy nie zaakceptowała tego, że człowiek może zrobić drugiemu człowiekowi tak wielką krzywdę. Walczyła o prawa rodzin osób, które zginęły w obozie.

– Dziadek też nigdy się z tym nie pogodził. Też miał koszmary. Obóz nazywał piekłem.

– Inaczej nie można tego nazwać – przyznał Jonas ze zrozumieniem.

– O życiu tysięcy decydowało kilku ludzi, którym przypadła ta rola.

– I pomyśleć, że jednym z tych szatanów był mój dziadek. Nigdy nie pogodzę się z tym, że jestem wnukiem potwora. Brzydzę się nim. We mnie płynie jego krew. Obawiam się, że jestem podobny do niego.

– Ej! Nie mów tak! Proszę cię – zdenerwowałam się. – Nie jesteś nim. Nie możesz czuć się winny ani tym bardziej odpowiedzialny za to, co zrobił!

– Nie da się inaczej. Jestem wnukiem potwora.

Spojrzałam na jego bardzo smutną twarz. Dopiero teraz do mnie dotarło, z jak wielkim ciężarem przyszło mu żyć.

Spacerowaliśmy nad pułtuską przystanią. Milczący, wpatrzeni w dal, rozmyślaliśmy o tym, jak życie potrafi czasem zaskoczyć i sprowadzić na wspólną drogę dwoje zupełnie obcych sobie ludzi. Było nam przeznaczone się spotkać. Mnie, wnuczce mężczyzny, który przeszedł przez piekło niemożliwe do opisania ludzkim językiem. I jemu, Jonasowi, wnukowi mężczyzny, który dla innych był katem. Oto spotkały się dwie przeciwne strony barykady. Dwie różne historie życia, które mają swój początek w wielkiej przyjaźni przodków. I JEDNA nadzieja na wspólne rozwiązanie tajemnicy sprzed lat.

Rozdział X

*Codzienne podarunki szczęścia –
o bohaterach obozowego piekła, psotnym
losie i spotkaniu, które zmienia całe życie*

Historia pewnej przyjaźni

Dziadek uwielbiał to miejsce. Tutaj czytał, rozmawiał z babcią lub zwyczajnie milczał. Czasami patrzył gdzieś w dal i wydawało mi się, że widzi więcej niż wszyscy – opowiadałam.

Siedzieliśmy z Jonasem na werandzie. Zbliżała się północ. Przez ostatnie cztery dni nie mogliśmy się nacieszyć rozmową. Adaś przejął na siebie wszystkie obowiązki, dom i dzieci. Rozumiał, że Jonas jest dla mnie kimś ważnym i że dzięki niemu dowiem się więcej o życiu mojego ukochanego dziadka.

– Babcia miała swoje miejsce w ogrodzie – wtrącił Jonas. – Pośrodku stała drewniana altana.

– Jak się potoczyło jej życie po wyzwoleniu obozu? Z relacji Henryka i zapisków w pamiętniku wiem tylko tyle, że po raz ostatni widzieli się w dniu wymarszu więźniów nad Bałtyk. Na pewno przekazała mojemu dziadkowi te tajemnicze dokumenty. Miał je zawieźć do Gdańska na ulicę Spokojną dwadzieścia osiem.

– Mąż mojej babci bardzo źle ją traktował i mówił wciąż, że ją również będzie musiał zabić. Gdy wojna zbliżała się ku końcowi i zaczęły wychodzić na jaw okrutne zbrodnie nazistów, wszyscy wpadli w popłoch. Chcieli szybko zdewastować obóz i zabić pozostałych przy życiu więźniów, by nie było żadnych dowodów na to, co się w nim działo. Jak sama wiesz, nie udało się im tego zrobić.

– Stąd wziął się pomysł zatopienia barek z więźniami w wodach Bałtyku – zauważyłam.

– Tak. Babcia też myślała, że to już koniec. Ponadto była wtedy w ciąży. Pierwsze miesiące. Twój dziadek o tym wiedział. Babcia bała się, że jej dziecko urodzi w się w tym piekle. Na wieść o kapitulacji obozu jej mąż popełnił samobójstwo.

– Elizabeth została sama i to jeszcze w ciąży. Co też musiała wtedy czuć?

– zastanawiałam się.

– Była załamana. Bała się wracać do swojego kraju. Przez ludzi była postrzegana jako żona potwora. A była tak samo ofiarą jak więźniowie obozu. Musiała się ukryć. Po wojnie udała się do Zgromadzenia Sióstr Elżbietanek. W Gdańsku mieszkała jej rodzina ze strony prababki, właśnie na ulicy Spokojnej dwadzieścia osiem. Sprawdziłem, jest tam teraz nowe osiedle mieszkaniowe. W Gdańsku urodził się mój ojciec, Anton Bauer. Po trzech latach babcia Elizabeth wróciła do kraju i dzięki staraniom zakonnicy podjęła pracę jako nauczycielka w niemieckiej szkole. Mieszkała w domu parafialnym katolickiej parafii.

– Musiało być jej bardzo ciężko. Sama, z dzieckiem, w nowym miejscu. – Ogarnął mnie wielki żal. Jakie to życie niesprawiedliwe.

– Na początku tak było. Potem przyszedł czas szczęścia. Przy parafii babcia miała dobre życie. Zarówno ksiądz, jak i zakonnice bardzo jej pomagali. Mój ojciec Anton miał dobrą opiekę, a babcia mogła wreszcie odpocząć i spróbować odciąć się od przeszłości. Nikt jej niczego nie wypominał, nie oceniał. Rozumieli, że w obozie było jej bardzo ciężko i nie mogła pogodzić się z tym, że ludzie ludziom zgotowali taki los. Czuła też wstyd. Nie mogła sobie wybaczyć, że jej serce wybrało człowieka, który okazał się takim potworem. Mówiła, że pod wpływem władzy bardzo się zmienił.

– To wszystko trudno jest oceniać – wyznałam szczerze. – Przecież to byli zwyczajni ludzie, którzy kochali, mieli swoje rodziny, a nagle pod wpływem ideologii stawali się kimś, kto tracił ludzkie odruchy i uczucia. Tego chyba nikt nigdy nie zdoła pojąć.

– Przy parafii było stowarzyszenie pomagające ludziom w potrzebie. Babcia wiele dla nich robiła. Pewnego dnia poznała jednego z darczyńców, Jakoba Kleina. On od razu zwrócił uwagę na młodą i piękną kobietę. Babcia wtedy nawet nie chciała słyszeć, że mogłaby jeszcze się z kimś związać. Ale Jakob był niezwykle dobrym człowiekiem.

– Zakochali się w sobie? – zapytałam z nadzieją, że w życiu Elizabeth pojawił się ktoś ważny.

– Tak. Jakob nie ustępował w staraniach o moją babcię. Wreszcie przyznała, że od dawna go kocha. Wzięli ślub. Mój ojciec Anton miał wtedy

sześć lat. Jakob również jego bardzo kochał.

– Wreszcie i do Elizabeth uśmiechnął się los. Jak im się powodziło?

– Jakob był niezwykle majątnym człowiekiem. I bardzo zakochanym w mojej babci. Zaraz po ślubie uznał mojego ojca Antona za syna i dał mu nazwisko. Dlatego i ja nazywam się Klein. Potem urodziła się moja ciotka, Carla Klein.

– Początek szczęśliwego życia, w którym pojawił się prawdziwy anioł – wyszeptalam. Sama przecież doskonale wiem, jak wygląda życie z mężczyzną, który ma kobietę za nic. Ale i u mnie wreszcie pojawił się anioł. Mój Adaś.

– Babcia była z nim szczęśliwa, mój ojciec i ciocia też. Ale Jakob zmarł bardzo młodo. Krótco po czterdziestce. Chorował na płuca. Lekarze nie mogli mu pomóc.

– Elizabeth znowu została sama. Jeszcze z dwójką dzieci. – Było mi ogromnie żal, że ta kobieta miała życie przeplatane kolejnymi nieszczęściami.

– Sama, z dziećmi, ale z dużym majątkiem, który pozwolił się jej nie martwić o codzienność. Przejęła interesy Jakoba i wraz ze współnikami świetnie sobie radziła. Jej całym światem były dzieci. Im się poświęciła. Do końca życia nie związała się już z żadnym mężczyzną.

– Całym sercem kochała Jakoba. Rozumiem twoją babcię. Nie chciała innej miłości. Pewnie by nawet nie umiała ponownie kogoś pokochać. Co było dalej?

Patrzyłam na mówiącego Jonasa i myślałam sobie, że przyszło mu żyć z piętnem złej przeszłości. Podobnie było z Elizabeth. Poznała potem wspaniałego człowieka, zmieniła nazwisko, urodziła drugie dziecko. Zaczęła nowe życie. Czy zapomniała o starym? Nie da się całkiem zapomnieć. To jest ciężar, który towarzyszy człowiekowi do końca jego dni. Jonas dalej opowiadał o życiu Elizabeth. Została sama, jednak bardzo dobrze sobie radziła. Zadbała o to, by jej dzieci uczyły się języka polskiego. Szukała swoich korzeni w Polsce. Odnalazła nawet krewnych ze strony prababki. Jednak gdy dowiedzieli się, czyją była żoną, zerwali z nią kontakt.

– Dorastałem w atmosferze pewnej tajemnicy. Czułem, że babcia coś

ukrywa. W domu nie mówiło się o jej przeszłości. Po prostu. Nie można było zadawać babci trudnych pytań. Wszystko się zmieniło, gdy moi rodzice zginęli w wypadku. Wtedy sam myślałem o najgorszym. Babcia stała się moim przyjacielem. Opowiedziała mi o obozie.

– To musiał być dla ciebie straszny wstrząs.

– Tak. Zupełnie inaczej zacząłem na nią patrzeć. Dużo rozmawialiśmy. Bardzo często mówiła o swoim przyjacielem Janie Pniewskim. Wspierał ją w obozie i uchronił przed śmiercią, gdy sama chciała odebrać sobie życie. Pewnego dnia obydwójce omal nie zginęli w komorze gazowej. Mówiła, że stał za tym jakiś Henryk. Nazwiska nie znam. Przez niego omal wydała się tajemnicza tłumaczonych dokumentów. Mąż Elizabeth, czyli mój dziadek, dowiedział się, że ona i Jan coś robią za jego plecami. Niewiele wtedy brakowało, a straciliby życie – mówił Jonas.

– A jeżeli to Henryk Sokolski? Co mam zrobić? Zapytać, czy to był właśnie on? I czy zrobił w obozie coś złego? To mój przyjaciel. Nie chcę go zranić. – Byłam zrozpaczona.

– Co mam powiedzieć? Trudna sytuacja. Może zwyczajnie trzeba z nim porozmawiać.

– Twoja babcia nic więcej o tym nie mówiła?

– Nie. Tylko tyle. W ogóle była tajemnicza. Ciągle mówiła o tych dokumentach, ale nigdy nie udało mi się przekonać jej, by wyznała, czego dotyczyły.

– Sama wiem tyle, co z pamiętnika dziadka. Raptem jeden krótki wpis – wyjęłam ze szkatułki skrzętnie schowany pamiętnik, owinięty pieczętowaną w folię. – To najcenniejsze, co zostało mi po dziadku. Posłuchaj, proszę:

Elizabeth, dotrzymałem danego ci słowa. Dokumenty są bezpieczne, schowane pośród polskich drzew na polskiej ziemi. Tak, jak tego pragnęłaś. Nie wiem, gdzie jesteś, czy jeszcze żyjesz. Może kiedyś cię odnajdę. Możesz żyć spokojnie. Nie zdradzę twoich sekretów.

– Przed nami trudne zadanie – przyznał Jonas z rezygnacją.

– Nie mówiłeś jeszcze o tym, skąd w ogóle pomysł, by nawiązać ze mną kontakt.

– Jak już wspomniałem, babcia była bardzo tajemnicza – mówił wolno i tak, by nie umknął mu żaden szczegół. – Odkąd zostaliśmy przyjaciółmi, cały czas mówiła o Janie. Twój dziadek był dla mnie niezwykłym bohaterem. Chciałem wiedzieć o nim więcej i więcej. Pewnego dnia babcia oznajmiła, że wymieniała z Janem listy. Potem kontakt nagle się urwał. Uznała, że albo wydarzyło się u niego coś nieprzewidzianego, albo najgorsze, czyli śmierć. Nie miała jednak odwagi, by to sprawdzić. Wtedy władza wciąż kontrolowała przepływ informacji przez granicę, a babcia bała się, że ktoś odkryje przy okazji, jaką ma przeszłość.

– To było straszne. Całe życie w ukryciu. Strach przed przeszłością. – Zamyśliłam się.

– Jakiś rok przed śmiercią babcia pokazał mi listy, które pisał do niej Jan. Niektóre pozwoliła mi przeczytać, ale nie wszystkie. Coraz gorzej się czuła. Jej pamięć szwankowała. Ciągle mówiła o Janie, o ich wspólnej tajemnicy i dokumentach, które ukryto w Polsce.

– To wiemy. Jednak nic poza tym. Nie zostawili nam żadnej wskazówki.

– Gdy babcia zmarła, myślałem, że zabrała swoją tajemnicę do grobu i już nigdy nie uda mi się ustalić, czego dotyczyła. Jednak przyszedł dzień odczytania testamentu. Babcia poza sprawami majątkowymi przekazała mi coś bardzo ważnego. Adres Jana Pniewskiego. Prosiła, żebym odnalazł jego rodzinę i spróbował ustalić, co się stało z dokumentami.

– Tylko co to nam daje? – zapytałam nerwowo. – W pamiętniku mojego dziadka, w opowieściach twojej babci, a także opowieściach Henryka ciągle przewija się sprawa dokumentów. Ale to za mało, by je odnaleźć. Albo odpuszczamy, albo musimy wreszcie znaleźć jakiś sposób.

– Tylko jaki?

– Nie wiem. Mogę przeczytać listy, które twoja babcia dostała od mojego dziadka?

– Tak. Ale ostrzegam, że nie ma w nich nic, co by mogło nas naprowadzić na jakiś ślad.

– Nic nie szkodzi. Chcę je po prostu przeczytać. To dla mnie bardzo ważne.

Godziny mijały. Otaczała nas gorąca letnia noc. Drewniana weranda była

świadkiem rozmów dwojga ludzi, których los sprowadził na jedną drogę. Inne historie, inne życia, ale ta sama wiara w to, że uda się rozwiązać tajemnicę dokumentów, które Jan tłumaczył dla Elizabeth. Była też sprawa Henryka. Czy chodziło o Sokolskiego? I czy byłby w stanie zrobić coś, co mogłoby narazić na śmierć mojego dziadka i Elizabeth? Czy jest przyjacielem mojej rodziny, za którego mam go od chwili pierwszego spotkania, czy jednak nie? Czy mogłam się aż tak pomylić w sprawie jego intencji i prawdomówności? Kolejne trudne pytania. I kolejny przymus zderzenia tego, co podpowiada serce, i tego, co nakazuje rozum.

Czasami los decyduje za nas, czasami my prowokujemy los

Henryk przepadł. Kiedy rano poszłam szukać go w jego czterech kątach, nikogo nie zastałam. Przepętałam domowników, czy ktokolwiek go widział, ale nikt nie potrafił wskazać, gdzie podział się Henryk. Czerwone światelko zapaliło mi się już wczoraj. Poszłam do niego wieczorem, by ponownie zmienić opatrunki, a on zachowywał się dziwnie. Narzekał, że go przetrzymuję, a on przecież musi wracać do schronu. To jego dom. Niestety nie do końca wierzył w to, że jeszcze będzie zdrowy. Jednak czułam, że tym razem chodzi o coś więcej. A raczej o kogoś. O Jonasa.

Odkąd przyleciał do Polski, Henryk robił dosłownie wszystko, by się z nim nie spotkać. Od razu nabrałam podejrzeń. Narastał we mnie coraz większy niepokój. Jak duża jest szansa, że Henryk to człowiek, przez którego mój dziadek i Elizabeth omal nie stracili w obozie życia? Ale jak mogę nie mieć podejrzeń, skoro Henryk po prostu tak nagle znika? Poszłam w okolice cmentarza. Miałam cichą nadzieję, że spotkam go przy pomniku, na którym znajduje się tablica upamiętniająca jego Małgosię. Nie znalazłam go. Pochodziłam po obrzeżach lasu, ale tam też go nie było. Nie miałam odwagi iść w leśne głębiny. Wróciłam do domu.

Od problemów i zmartwień oderwał mnie na chwilę Adaś. W południe przyjechał do mnie i stwierdził, że zabiera mnie na romantyczny wyjazd nad rzekę. Tego dnia do romantyzmu było mi dosyć daleko. Takie oderwanie się

było mi jednak bardzo potrzebne.

– No dobrze, to teraz już mi nie uciekniesz. – Adaś szybkim ruchem odepchnął mnie delikatnie od siebie, po chwili leżałam plecami na trawie. Delikatnie zaczął całować moje usta i szyję. Czułam, jak z głowy uchodzą wszystkie problemy, a ciało rozluźnia się i jest gotowe na coś więcej. – To teraz do czegoś mi się przyznasz.

– Ja? A co takiego zrobiłam? – zapytałam niewinnym głosem.

– Kto szanownej pani Alicji pozwolił za moimi plecami robić wystawę? – zapytał, udając gniew, ale słabo mu to wyszło.

– A skąd wiesz? Miałam ci powiedzieć w połowie lipca. Ekspozyty będą potrzebne.

– Mam takie małe dwie wtyki, które wszystko wyśpiwały.

– Rozalka i Michałek? O nie! Obiecali nic nie mówić!

Adaś zaczął mnie łaskotać, czego nie cierpię! Nie miał dla mnie litości. Dopiero jak zaczęłam błagać, by przestał, raczył darować mi winę. Potem zaczął całować jak opętany moje usta, policzki, szyję. Coraz mocniej, coraz zachłanniej. Jakby się bał, że to wszystko może się za chwilę skończyć. Błądzącymi palcami rozpinał kwiecistą bluzkę. Rozchylił ją, by zobaczyć moje delikatne piersi, które tylko czekały na jego dotyk. Spojrzałam w jego oczy. Były jak za mgłą, zza której przebijało wielkie pożądanie. Delikatnie gładził moje piersi, bym po chwili mogła poczuć na nich jego usta.

Dotarliśmy do mojego pępka, zanurzył w nim język. Jego dłoń wkradła się pod moją sukienkę, by szukać miejsca będącego przepustką do nieziemskiej rozkoszy. Wygięłam się w łuk. Jego język odkrywał coraz intymniejsze punkty na moich udach. Wydałam z siebie okrzyk. Oplotłam go nogami w pasie, przytrzymując bardzo blisko siebie w jedyny możliwy sposób. Moją kobiecość wziął mocno i zachłannie. Zaczęliśmy się rytmicznie poruszać. Jak fale rzeki, u której brzegów nasze ciała splotły się w jedno. Wszystko naokoło nas przestało się liczyć. Tylko my i rozkosz. Nasze oddechy były szybkie, a okrzyki stanowiły kulminację pożądania. Spełnieni trwaliliśmy chwilę w niemym bezruchu. Nasze spojrzenia się spotkały. Pełne szczęścia i wdzięczności za chwilę, które cementowały naszą miłość.

Wtuleni w siebie jeszcze długo siedzieliśmy nad rzeką. Adaś gładził mnie

po włosach i mówił, jak bardzo mnie kocha. Tego było mi trzeba. Oderwania się od codzienności. Dotyku mężczyzny, dla którego skoczyłabym w ogień. Dostałam wszystko. Nawet z nawiązką. Gdy wróciliśmy do domu, babcia Jasia dała nam reprimendę, że tak długo nas nie było i się martwiła. Za to Mikulska tylko na mnie popatrzyła, uśmiechnęła się pod nosem i rzekła, że nawet mi do twarzy z tymi liśćmi we włosach. Myślałam, że się spalę ze wstydu i czym prędzej uciekłam do łazienki.

Następnego dnia pokazałam Jonasowi dwa piękne miasta, Pułusk i Wyszaków. Był pod ogromnym wrażeniem i naszała go ochota, by kupić kawalerkę i przyjeżdżać latem w nasze strony. Sam też zapraszał do siebie i nawet obiecał, że jeśli tylko chcemy, możemy spędzić u niego całe lato. Propozycja była kusząca, ale od razu pomyślałam, że mam pod opieką nie tylko dzieci, ale i babcię Jasię z Henrykiem. Nie mogę ich przecież zostawić na tak długo.

Co innego Dorota. Jak tylko o tym usłyszała, gotowa była się pakować. Co za szalony człowiek! I jeszcze marudziła, że jako zła szefowa na pewno jej za dużo urlopu nie dam, a ona to mieszkanie całymi dniami odnawia, projekty po nocach robi, a za wszystko zero wdzięczności. Oj, lubi ona histeryzować czasami, oj, lubi. I Maciek ma z nią urwanie głowy. Czasami mu współczuję. Teraz jeszcze bardziej, bo Dorota nie odpuszcza i daje z siebie wszystko. Nawet Maciek już od kilku dni z pędzlem biega i remontuje mieszkanie. Podobno jest fantastyczne! W to nie wątpię. Czego jak czego, ale pomysłowości Dorocie nie można odmówić. Moja kochana wariatka!

Maciek zadzwonił kilka dni później i umówiliśmy się na sobotę. Sprawa adopcji znowu nabrała rumieńców, ale tym razem byłam nieco spokojniejsza. Był tego jeszcze jeden powód. Szczęście babci Jasi. Ilekroć spoglądałam na nią, widziałam zupełnie inną kobietę niż jeszcze kilka dni temu. Uśmiechnięta, radosna, kilkanaście lat młodsza. Tak bardzo się cieszyła, że sprawa została pomyślnie rozwiązana i Michałek nie trafi w obce ręce. Michaś w wielkiej tajemnicy powiedział Mikulskiej, że niedługo będę jego mamą i wszystkim w szkole o tym powie. Mój kochany szkrab. Taki mały, a tyle już rozumie. Nadszedł termin, kiedy oficjalnie Michałek mógł u mnie

zamieszkać. Tak jest od dawna, ale teraz już nie muszę się z tym kryć. Na tę okazję kupiłam wielki tort, a dzieciaki rozbawiły mnie dociekaniem, dlaczego w tym roku ich urodziny są wcześniej.

Na spotkaniu Maciek wręczył mi gotowy wniosek o adopcję Michałka. Kazał mi go wnikliwie przeczytać. Tak zrobiłam. Wcześniej jeszcze raz przejrzałam dokumenty, które miałam dodatkowo dostarczyć.

– I jak? – zapytał wreszcie.

– Co? A tak. Przepraszam. – ocknęłam się. – Wiesz, że się na tym nie znam. Brzmi bardzo mądrze i poważnie. Ufam ci, więc w twoje ręce oddaję los swój i Michałka.

– Będzie dobrze. Już połowa walki za nami. Zabierz wniosek do domu i na spokojnie go przeczytaj. Jak uznamy, że jest idealny, osobiście go podpiszesz. Gdy przyjdzie czas rozprawy, włączę się do niej jako twój pełnomocnik. Tak jak było w sprawie o opiekę.

– Świetnie! Jestem ci taka wdzięczna! – Rzuciłam mu się na szyję i pocałowałam w policzek.

– Dobrze, że Dorota tego nie widzi – zażartował.

– Podobno teraz z pędzlem biega i rządzi robotnikami, których załatwiłeś.

– Tak, tak. Ja tym panom naprawdę bardzo współczuję!

Maciek przypomniał mi jeszcze o czymś ważnym. Postanowienie sądu! Tyle dni je przeżywałam, a jak już nastał termin odbioru, to na śmierć o nim zapomniałam! Co za wstyd! Pojechałam po nie we wtorek.

W drodze do Pułtuska wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądał ten ważny dla mnie dokument. Tak jak wcześniej miałam wstręt do wszelkich pieczętek, tak teraz stempel sądu z orłem był dla mnie czymś niezwykle pożądanym.

Maciek ostrzegł mnie, że raz w tygodniu sądy zazwyczaj pracują w innych godzinach, więc wszystko wcześniej sprawdziłam na stronie internetowej. Wyjaśnił również, że w zasadzie powinnam się umówić w sprawie odbioru postanowienia, ale ze swojej praktyki wiedział, że obejdzie się i bez tego. Na miejscu od razu skierowano mnie do punktu obsługi interesantów i poinformowano, że muszę wypełnić wniosek.

– Postanowienie będzie gotowe po niedzieli – powiedziała leniwie pani w okienku. Od razu przypomniałam sobie słowa Maćka, że każdy dzień zwłoki rodzi niebezpieczeństwo.

– Chyba pani żartuje? Przecież termin już minął. Proszę to natychmiast sprawdzić.

– Proszę tu chwilę zaczekać. – Urzędniczka wzięła mój wniosek i wyszła na korytarz. Rozglądałam się nerwowo. Zaczęłam się zastanawiać, czemu to tak długo trwa, skoro to prosta sprawa. Pewnie jest jakiś błąd w postanowieniu. A jak jest błąd, to postanowienie nieważne. Kolejne czekanie. A ja nie mam na to czasu!

W sąsiednim okienku była już obsługiwana piąta osoba, a ja wciąż czekałam. Ogarniała mnie coraz większa panika. Wreszcie urzędniczka wróciła. Spojrzała na mnie niezyczliwie.

– Pojawił się mały problem, ale udało się go rozwiązać – powiedziała spokojnie. – Musiałam poczekać na sędziego, który miał jeszcze sesję. Dopiero wtedy sekretariat mógł przygotować odpis i opatrzyć stosownymi pieczętkami i podpisami.

– Czyli już wszystko jest załatwione tak, jak trzeba?

– Tak. Przepraszam, że pani tak długo czekała. Postanowienie jest pani. – Przez okienko podała mi dokument.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję! – byłam bardzo wylewna w stosunku do urzędniczki.

Z sądu wybiegłam jak na skrzydłach. Przeraziłam się, bo w pierwszej chwili pomyślałam sobie, że ktoś mi ukradł samochód. Nie było go tam, gdzie zaparkowałam! Po chwili odzyskałam trzeźwość umysłu i zorientowałam się, że wyszłam innymi drzwiami. Co za gapa ze mnie! Odetchnęłam z ulgą.

Od razu pojechałam do Warszawy, by podrzucić postanowienie Maćkowi. Śmiał się, że dawno nie miał tak pilnej klientki. Dorota jak zwykle była poza domem, a on próbował zszyć Zuzi bluzkę, którą podarła w szkole. Co za dom! Matka w pracy do północy, ojciec szyje jak ostatnia łamaga. Sama zszyłam tę bluzkę.

W drodze powrotnej, zaraz przy zjeździe do Pniewa, skręciłam w stronę

cmentarza. Dawno tędy nie jechałam. Po chwili zauważyłam znajomą postać. Od razu pomyślałam, że to Henryk. Zatrzymałam samochód i zaczęłam go wołać. Ale w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą go widziałam, nikogo już nie było. A może to tylko moja wyobraźnia? Albo Henryk celowo się przede mną ukrywa? Nie widziałam go od kilku dni. Jakby robił wszystko, by za nic nie spotkać Jonasa. Tym bardziej zaniepokoiły mnie podejrzenia, że to jednak Sokolski mógł być zdrajcą z obozu. Ale czy mógłby mnie aż tak oszukać? Nie wierzyłam w to.

Patrzę w twoje oczy i już wszystko wiem

Ostatnie wydarzenia oderwały mnie od jeszcze jednej ważnej sprawy. Opieka nad Henrykiem, pocieszenie Doroty, przyjazd Jonasa, a przede wszystkim rozprawa w sądzie były czymś, czemu poświęciłam się bez reszty. W sprawie Ewy też nie próżnowałam. No cóż, zaczęłam od rozmowy z tymi, których zdanie jest dla mnie ważne. Prawie wszyscy mnie poparli. Adaś tak jak zawsze oświadczył, że nigdzie sama nie pojedę i przykazał mi, żebym o wszystkim go informowała. Mikulska obiecała w razie czego zająć się dziećmi. Dorota natychmiast zaproponowała, że wszystko rzuci i tam, gdzie ja, tam i ona. Oj, bez przesady! Ktoś musi pilnować „Wrzosowiska”.

Jonas stwierdził, że nie zaznam spokoju, póki nie odnajdę kobiety, która może być moją siostrą. Rozumiał moje nadzieje, ale też obawy. Henryk na dobre się zapodział i od kilku dni wszelki ślad po nim zaginął. Martwiłam się jedynie o jego nogę, ale miałam nadzieję, że jest rozsądny i właściwie się nią zajmie. Tylko babcia Jasia nie była zachwycona moim uporem. Ciągłe powtarzała, że grzebanie w przeszłości to nic innego jak proszenie się o problemy.

Sama jednak już dawno podjęłam decyzję. Postanowiłam odezwać się do detektywa, którego numer dostałam od koleżanki Ewy z Giżycka. Nieśmiało się przedstawiłam i powiedziałam, że dzwonię do niego w sprawie Ewy Kawalec. Od razu zaproponował spotkanie. Już! Teraz! Natychmiast! Trochę mnie to zdziwiło. Spotkaliśmy się w Warszawie.

– Jerzy Bracki. Prywatny detektyw. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną

spotkać.

Przy stoliku czekał na mnie mężczyzna około czterdziestki, w szarym garniturze i w okularach założonych na głowę. Był niski, nieco przy kości i miał spocone czoło. Od razu mi się nie spodobał. Miał w sobie coś odpychającego.

– Dzień dobry. Dziękuję za tak szybkie spotkanie – przywitałam się.

Detektyw zamówił dwie kawy. Był zdenerwowany i ciągle się rozglądał.

– Jest pani rodziną Ewy Kawalec? – zapytał wprost. Szybko przeszedł do konkretów.

– Jesteśmy kuzynkami. Razem się wychowałyśmy – skłamałam. Tak podpowiadała mi intuicja. Nie ufałam mu.

– To dziwne, wie pani. – Podparł się na łokciu i spojrzał mi prosto w oczy.
– Jak do tej pory nie udało mi się potwierdzić, by Ewa miała rodzinę poza swoją matką i córką.

– Widocznie źle pan szukał – dogryzłam mu. Bardzo mnie drażnił.

– Lubię konkretnych ludzi. Dobrze. Czy ma pani jakąś wiedzę, gdzie mógłbym znaleźć Ewę Kawalec?

– Myślałam, że to właśnie pan udzieli mi takich informacji. – Miałam chęć uciec. – A poza tym, kto jej szuka? Bo na pewno ktoś poszukiwania Ewy panu zlecił, prawda?

– Jej mąż. Szuka jej od miesięcy. Pani Ewa zniknęła. Razem z ich córką – powiedział bardzo poważnym tonem. Spochmurniał. Jakby ta sprawa była dla niego bardzo ważna.

– Jak to zniknęła? To jej mąż nie wie, gdzie ona teraz przebywa? Nie martwi się o dziecko?

– Bardzo się martwi! – odpowiedział detektyw podniesionym głosem. – Dlatego jej szuka.

– No dobrze. Załóżmy, że jest tak, jak pan mówi. Ewa zniknęła wraz z córką Sylwią – gdy wypowiedziałam imię dziecka, wyraźnie się ożywił. Przeczuwał chyba, że mogę wiedzieć więcej. – Jednak musiało się wydarzyć coś złego, co ją do tego skłoniło... – nie odpuszczałam.

– Zgadza się. Powiedzmy, że Ewa ma pewne problemy. Problemy ze sobą.

– Jak to? – W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o czym mówi.

– Problemy psychiczne. Jest po ciężkiej depresji. Ma stany lękowe, urojenia. Powinna być pod stałą opieką lekarza. Wmówiła sobie, że ktoś porwie jej córkę. Dlatego pewnego dnia, gdy jej mąż był zajęty swoimi sprawami, wyszła z dzieckiem z domu i przepadła.

– To straszne, co pan mówi – przeraziłam się. Od razu pomyślałam o małej Sylwii.

– Dlatego jej mąż robi wszystko, by je odszukać. Ewa jest chora. Nie wiadomo, co jej może przyjść do głowy. A mała ma dopiero pięć lat. Sama sobie nie poradzi. Mąż Ewy zgłosił wszystko na policję. Ale wie pani, jak to jest. Dlatego wynajął mnie. Muszę je odnaleźć.

– A fundacje? Stowarzyszenia? Jest przecież tyle osób i instytucji, które pomagają szukać zaginionych – denerwowałam się.

– To wszystko już zrobione. Szuka jej mnóstwo ludzi. Ale Ewa przepadła jak kamień w wodę. Dlatego jak pani zadzwoniła, miałem nadzieję, że ma pani dobre wiadomości. Ewa przecież może szukać kontaktu z kimś z rodziny.

– Jak mogę w tej sprawie pomóc? – Chciałam jak najszybciej działać.

– Popytać o Ewę w rodzinie. Ma pani kontakt z kimś z jej znajomych?

– Nie. Sama dawno jej nie widziałam. Ale zrobię, co w mojej mocy, by ją odnaleźć.

– Na tym wszystkim nam zależy.

Rozstaliśmy się w pokojowej atmosferze. Każde z nas miało szukać Ewy i w razie czego dać znać. Detektyw został w kawiarnianym ogródku. Był jeszcze z kimś umówiony. Wróciłam do samochodu, w którym czekał na mnie Adam. Tak się umówiliśmy. Widział nas z samochodu i był spokojny, że w razie czego może zareagować. W kilku słowach streściłam mu przebieg naszej rozmowy. Od razu zauważył trzeźwo, że mogłam przecież wziąć od niego kontakt do męża Ewy. Że też sama o tym nie pomyślałam!

Wobec tego postanowiłam wrócić. Weszłam na taras kawiarni prowadzący do klimatycznego ogródka. Detektyw rozmawiał przez telefon. Mocno gestykulował. Widać było wyraźnie, że przed kimś się poważnie tłumaczy. Miałam się cofnąć i poczekać w środku, aż skończy rozmowę, ale

usłyszałam kilka słów, które bardzo mnie zaniepokoiły. Postanowiłam posłuchać dalej.

– Nie, no mówię ci... Jakaś taka lalka... Pierwszy raz ją na oczy widziałem... Pniewska czy jakoś tak. Gadała, że jest kuzynką tej twojej Ewy. Co? – mówił coraz głośniej. – A cholera jasna ją wie. Gdybym więcej dopytywał, toby się kapnęła, że coś nie halo jest. A tak to kobitka omal mi się tu nie poryczała, jak jej powiedziałem, że biedna Ewa ma coś nie tak z główką, zabrała ci dzieciaka i teraz szukaj wiatru w polu! – relacjonował dalej.

Podeszłam bliżej i schowałam się za rozrośniętą tują. Chciałam słyszeć dokładnie tę rozmowę. Czułam, że nie wróży nic dobrego. Ani dla mnie, ani dla Ewy.

– Dobra, nie ma co przeżywać. Poczekajmy ze dwa dni, może lalunia sama się odezwie. Bardzo się przejęła losem kuzynki. Czuję, że może odnaleźć tę lafiryndę. A wtedy się z nią policzysz. Pożądaj jeszcze, że tak cię wystawiła. Objemy jej tę śliczną buźkę.

Stałam przerażona. Detektyw skończył rozmowę i nerwowym krokiem wyszedł z kawiarni. Stałam w ukryciu jeszcze przez kilka minut. Wracając, wpadłam na Adama. Postanowił przyjść, bo zauważył moje dziwne zachowanie. Wszystko mu opowiedziałam. Byłam strasznie zdenerwowana. Kłuło mnie w piersi ze strachu.

– Uspokój się. Jeszcze tego brakowało, żebyś się rozchorowała. – Adaś martwił się o mnie. Zirytowała go sytuacja z podstawionym detektywem.

– Nawet nie wiesz, jak straszne rzeczy mówił. Jakby chcieli ją odnaleźć tylko po to, by wyrządzić jej krzywdę. Boże, co ona mogła im zrobić?

– Nie podoba mi się to. Powinnaś odpuścić poszukiwania. Ta cała Ewa może mieć więcej za uszami, niż nam się wydaje – nerwowo oceniał sytuację.

– Jak możesz tak mówić? – zapytałam zniesmaczona jego słowami. Po chwili zorientował się, że sprawił mi wielką przykrość.

– Przepraszam. Po prostu bardzo się o ciebie martwię. A ta sprawa nieciekawie wygląda.

Wróciliśmy do domu, gdy było już ciemno. Potwornie rozbolała mnie

głowa. Wzięłam tabletkę i położyłam się. Michałek głaskał mnie po włosach. Bardzo się o mnie martwił i cały czas powtarzał, że teraz będzie robił dla mnie dobre kanapki na śniadanie, żebym była zdrowa i silna. Mój kochany chłopczyk. Był przy mnie.

Wreszcie zasnęłam. Tuż przed północą obudził mnie dzwonek telefonu. Nieznany numer. Wystraszyłam się, ale odebrałam.

– Słucham? – odezwałam się.

– Pani Alicja? – Głos w słuchawce należał do bardzo zdenerwowanej osoby.

– Tak. Kto mówi?

– Tu sąsiadka Magdaleny Kawalec z Giżycka. Przed chwilą dzwoniła do mnie Ewa. Chyba ma poważne problemy. Proszę, niech pani jej pomoże – mówiła nerwowo.

– Dzwoniła? Powiedziała, gdzie teraz jest? – Zerwałam się z łóżka. Dopiero teraz do mnie dotarło, z kim i o czym rozmawiam.

– Tak, jest obecnie w Warszawie. Mam jej adres. Mogę go pani podać.

– Bardzo proszę. Już zapisuję.

Anna Górka podyktowała mi aktualny adres Ewy. Od razu skojarzyłam ulicę. Gdzieś na warszawskiej Pradze.

– Proszę, niech jej pani pomoże. Bardzo się bała. Pytała, czy ktoś jej szuka. Powiedziałam jej o tym detektywie.

– Pani Aniu. Spotkałam się dziś z nim. Wszystko wskazuje na to, że to nie jest detektyw. Bardzo proszę, jeżeli jeszcze raz do pani przyjedzie lub zadzwoni, to broń Boże proszę nie mówić, gdzie mieszka Ewa – poprosiłam trzeźwo. Jeszcze nie wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi, ale na pewno chciałam chronić Ewę i jej córeczkę.

– Nic nie powiem! Ale błagam panią, niech pani jej pomoże!

Jeszcze długo po zakończonej rozmowie miałam w pamięci jej przestraszony głos.

Obudziłam Adasia i o wszystkim mu opowiedziałam. Wściekł się, że znowu ściągam na siebie problemy, ale widząc moją determinację, postanowił działać razem ze mną. Kazał mi iść spać, a sam szukał w sieci

informacji o rzekomym detektywie.

Nie mogłam zmrzyć oka. Myślałam o Ewie i zastanawiałam się, co też mogło się zdarzyć, że musi ukrywać się wraz z dzieckiem. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że zrobiła coś złego. Chciałam wierzyć, że jest dobrym człowiekiem. Adaś po godzinie miał już pierwsze wieści. Sprawdził dane człowieka o nazwisku Jerzy Bracki i ustalił, że ktoś taki nie istnieje, a już na pewno nie jest licencjonowanym detektywem. Czyli moje obawy się potwierdziły. A przerażenie wzrosło.

Adam nie miał już nic do gadania. Przekazałam mu jedynie, że jutro po południu jadę do Warszawy, bo znam adres mieszkania, w którym przebywa Ewa. Widziałam, że jest niezadowolony, ale nie zamierzał mi przeszkadzać w realizacji mojego planu.

Rano odwiozłam dzieci do szkoły. Poprosiłam panią Irenkę, by je odebrała po lekcjach i wzięła do siebie na kilka godzin, zanim wrócimy do domu. Mocno mnie uścisnęła i obiecała, że zmówi zdrowaśkę za to, by moje pierwsze spotkanie z Ewą było udane. Ale nie tego się bałam. Raczej możliwości, że w ogóle nie będzie mi dane jej spotkać. Może już zmieniła miejsce pobytu? Przecież się ukrywa.

Wróciłam do domu. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęłam z ramki zdjęcie Ewy i jej matki. Intuicja mi podpowiadała, że może się przydać. Po kilku minutach wyruszyliśmy do Warszawy. Adaś prowadził. Miał nieco lepszy humor, ale wciąż wolał milczeć. Dał mi zakaz odłączania się od niego choćby na krok. Wszędzie mieliśmy chodzić razem.

Zaparkowaliśmy pod obskurną kamienicą, która wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się zawalić. Aż mnie ciarki przeszły na myśl, że Ewa może tu mieszkać z dzieckiem. Weszliśmy do środka. W drzwiach potracił nas i zwyzywał jakiś facet. Powstrzymałam Adasia, który chciał mu coś odpowiedzieć. Weszliśmy na piąte piętro. Stałam u progu mieszkania trzydzieści dziewięć. Serce waliło mi jak oszałałe. Przedemną była szansa, by za chwilę poznać Ewę.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Dosyć niska, z czarnymi włosami. Od razu wiedziałam, że nie może być Ewą. Nie przypominała dziewczynki ze zdjęcia.

– Nazywam się Alicja Pniewska. Wiem, że mieszka tu Ewa Kawalec. Czy

mogłabym z nią porozmawiać? – zagadnęłam.

Na twarzy dziewczyny pojawiło się nagle zmieszanie połączone ze strachem. Odruchowo trochę się cofnęła.

– Pomyłka. Nikt taki tu nie mieszka – odparła lekko drżącym głosem.

Ekspertką nie jestem, ale umiem się zorientować, kiedy ktoś kłamie.

– Bardzo panią proszę o pomoc. Nie chcę Ewie wyrządzić żadnej krzywdy. Chcę jedynie porozmawiać. To dla mnie bardzo ważne.

– Już pani mówiłam, że nie znam takiej osoby.

– O! Proszę bardzo. Tu mam zdjęcie. Ewa jako mała dziewczynka i jej mama Magdalena. Mam to zdjęcie od kobiety, która wiele lat była gospodynią u wuja Ewy, proboszcza z Pniewa. Jego też poznałam, ale niestety już nie żyje.

Kobieta wzięła do ręki zdjęcie i uważnie mu się przyglądała. Raz patrzyła na fotografię, raz na mnie.

– Przykro mi. Nie mogę pani pomóc – odpowiedziała już opanowanym głosem.

– Błagam panią. Wiem doskonale, że Ewa tu mieszka. To moja jedyna szansa... – nie dokończyłam, bo nagle w drzwiach stanęła młoda kobieta. Mojego wzrostu, o jasnych włosach i niebieskich oczach. Miała karminowe usta i bardzo jasną cerę nakrapianą gdzieniegdzie piegami. Szczupła, ubrana w zbyt obszerne ciuchy. Wyglądała na przerażoną i patrzyła na mnie, jakby właśnie zobaczyła ducha.

Nogi się pode mną ugięły. Spojrzałam na Adasia. Był równie zaskoczony jak i ja. Kobieta nie odrywała ode mnie wzroku, a ja miałam wrażenie, że właśnie przeglądam się w lustrze. Była do mnie bardzo podobna. Te same rysy twarzy, postura i w tej chwili ten sam strach w oczach. Przez moment trwałyśmy w milczeniu. Czas się zatrzymał. Nasze życie stanęło w miejscu.

– Dlaczego pani mnie szuka? – zapytała głosem, który był jak echo mojego głosu. Kobieta, która otworzyła nam drzwi, podała jej zdjęcie. Dłuższą chwilę się w nie wpatrywała. Spojrzała na mnie, była jeszcze bledsza niż kilka minut wcześniej.

– Chciałabym porozmawiać. O przeszłości... – mówiłam z trudem. Adam, widząc, w jakim jestem stanie, wziął mnie pod rękę. – Jestem córką

mężczyzny... – Czułam, że brakuje mi tchu. Kręciło mi się w głowie. – Jestem córką mężczyzny, który może też być pani ojcem – powiedziałam wreszcie. Obserwowałam jej reakcję. Była zszokowana. Zdenerwowana oddała mi zdjęcie.

– Mamusiu, pójdziemy do parku? – Nagle w drzwiach pojawiła się mała śliczna dziewczynka. Uważnie mi się przyglądała.

– Skarbie, poczekaj chwilę. Mamusia musi porozmawiać z panią.

– Dobrze. Pójdę po Bambinę, uwielbiam ją zabierać na długie spacerunki. – Dziewczynka posłała mi uśmiech i wróciła do mieszkania.

– Pani... Jak ma pani na imię? – Ewa zaczęła nerwowo przegarniać włosy.

– Alicja. Alicja Pniewska. Bardzo proszę o chwilę rozmowy.

– Dobrze. Tylko przebiorę córkę i możemy iść do parku.

– Zaczekam. Proszę się nie spieszyć.

Drzwi mieszkania zamknęły się. Słychać było zza nich głośny śmiech dziewczynki.

– To ona. Ewa – powiedziałam przez łyżę.

– Wszystko będzie dobrze. – Adaś mocno mnie przytulił.

Po dziesięciu minutach drzwi otworzyły się ponownie. Wyszliśmy na dwór. Ewa nerwowo rozejrzała się po okolicy. Zrobiło mi się jej żal. Tak teraz wygląda jej życie? Zaproponowała spacer po parku Skaryszewskim. Adaś chciał nas zostawić same. Usiadł na ławce i tylko poprosił, żebyśmy się zbytnio nie oddalały. Mała Sylwia pobiegła od razu w boczną alejkę, by nakarmić ulubione kaczki. Zostałyśmy same. Ja i Ewa. Usiadłyśmy na ławce.

– Myśli pani... Myślisz... będę mówić ci po imieniu... Myślisz, że możemy być siostrami? – zapytała z jakimś dziwnym żalem w głosie.

– Nie mam pewności. Wiem tylko tyle, ile udało mi się dowiedzieć od twojego wuja i od jego gosposi, pani Reginy Sokolik. Ostatnio byłam też na Mazurach. Rozmawiałam z twoją koleżanką, Anną Górską. Poznałam twoją mamę.

– Byłaś tam? – zapytała zdziwiona. – I co? Pewnie nie tak ją sobie wyobrażałaś?

– Sama nie wiem. Nie interesowało mnie, jaka jest. Bardziej myślałam

o tobie.

– O mnie? – Zdziwiła się. Spojrzała na mnie speszona.

– Tak. Z początku zastanawiałam się, czy istniejesz naprawdę. Potem, jak zobaczyłam to zdjęcie, chciałam wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz.

– Skąd w ogóle się dowiedziałas o mojej matce?

– Znalazłam w szafie pewien dokument, który podpisał mój ojciec i twoja mama.

Opowiedziałam jej o wszystkim. O tym, jak pewnego dnia poszłam na strych i w starej drewnianej szafie znalazłam ten dokument. Była to swego rodzaju umowa podpisana przez mojego ojca i jej matkę. Sporządzono ją w kancelarii parafialnej w Pniewie. Świadkiem był ksiądz Jankowski. Prosty układ. Pieniądze za milczenie. Romans był faktem, ale nikt nie miał pewności, z kim Magdalena Kawalec była w ciąży. Mój ojciec był głównym podejrzanym.

– Twoja mama mówiła coś o tym? – zapytałam nieśmiało. Nie chciałam jej zawstydząć.

– Kiedyś tylko powiedziała, że mój ojciec ma na imię Piotr. Wujka nigdy o to nie pytałam. Złościło go to. Nie mówił o przeszłości. Twierdził, że sam musi mi wystarczyć za ojca. Nie pozwalał mi go szukać.

– Nie chciałaś dowiedzieć się prawdy?

– Chciałam. Ale co ja mogłam? Widziałaś moją matkę. Taka jest, odkąd pamiętam. Innej jej nie znam. Dlatego brakowało mi ojca – powiedziała to z takim żalem, że aż ścisnęło mi się serce. Spojrzałam na nią. Była do mnie podobna. Bo przeszła w życiu wiele, tak samo jak ja. I wciąż walczyła.

– Powiedz mi, dlaczego się ukrywasz? – Czekałam na jej odpowiedź, ale pokręciła jedynie głową. Nie chciała mówić. – Proszę, nie wydam cię. Mogę za to jakoś pomóc – nalegałam.

– Szuka mnie mój partner. Były partner. To bardzo zły człowiek. Sama mogłabym znieść wiele, ale Sylwii nie dam mu skrzywdzić. To moje dziecko. Zrobię dla niej wszystko. Marek znęcał się nade mną. To chory człowiek. Jest zdolny do wszystkiego.

– Nie mogłaś tego gdzieś zgłosić? Na policję?

– To nic nie da. Ma pieniądze. Ma władzę. Niczego mu nie udowodnię.

– Wiesz, że szuka cię człowiek, który podaje się za detektywa? – Ewa, słysząc moje słowa, zbladła. Była przerażona. Nerwowo rozejrzała się za córką. Bawiła się nieopodal.

– Nie znam cię. Nie chcę nic więcej mówić. Proszę, zrozum mnie. – Widać było, że wpadła w panikę.

– Ewa... – Chwyciłam ją za dłoń. – Pomogę ci. Nieważne, czy jesteśmy siostrami, czy jednak nie. Możesz mi zaufać. Tylko daj sobie pomóc.

– Nie. Nikt o mnie nie może nic wiedzieć. Tak jest bezpieczniej.

– I co? Chcesz tak całe życie się ukrywać? A twoja córka? Chcesz dla niej takiego życia? Myślisz, że ona nie widzi, co się dzieje?

– A co mam zrobić?! – krzyknęła nagle. – Przyjeżdżasz znikąd i się wymądrzasz! A ja ciebie nie znam! Nie rozumiesz? Tu chodzi o życie mojego dziecka i moje!

– Nie chcę cię do niczego zmuszać. Chcę jedynie pomóc – wyjaśniłam grzecznie.

– Przepraszam. Nerwy mi puściły – zawstydziała się. Trzęsły się jej dłonie.

– Masz plan, co zrobisz dalej?

– Nie. I przepraszam cię, ale już nie mam siły o tym rozmawiać. – Chciała odejść.

– Zaczekaj chwilę. – Sięgnęłam do swojej torebki. – Masz tu moją wizytówkę. Dzwon, kiedy tylko zechcesz. Masz też mój adres. Tak na wszelki wypadek. Czy podasz mi swój numer telefonu? – zapytałam nieśmiało.

– Czy na pewno mogę ci ufać? – Wciąż miała wątpliwości.

– Przysięgam, że chcę dla was jak najlepiej.

– Co ja najlepszego robię? Miałam się ukrywać, nie zostawiać śladów – wyznała zmartwiona.

– Wiem, rozumiem. Nie znasz mnie. Zjawiam się nagle w twoim życiu i jeszcze mówię, że prawdopodobnie jesteśmy siostrami. Domyślam się, że jesteś wystraszona i nie masz pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Prawie rok zajęło mi podjęcie decyzji, czy cię odszukać. Ale nie zawiodę twojego

zaufania – mówiłam jak w transie. Chciałam przekonać Ewę, by dała mi szansę udowodnienia, że chcę dla niej jak najlepiej.

– Oto mój numer. O jeszcze jedno proszę. Potrzebuję trochę czasu. Muszę teraz załatwić coś, co pomoże mi wybrnąć z kłopotów. Na kilka dni wyjeżdżam.

– Dobrze to przemyślałaś? – Bałam się o nią.

– Tak sędzę. Zobaczymy. Potem... Potem zajmiemy się naszą sprawą. Nasi rodzice narobili wiele bałaganu. To taki mało wygodny spadek, prawda?

– Tak widocznie miało być. Ale musi nam się udać! – Spojrzałam w jej oczy pełna nadziei.

Rozdział XI

*Trudna sztuka wybaczenia – o wakacjach
pełnych wyzwań, ogromnej tęsknocie
i zdrajcy, który wybierał pomiędzy życiem
a śmiercią*

Wakacje od życia – istnieją takie?

Lubię szkołę, ale wakacje jeszcze bardziej! Wreszcie jestem wolny! –

Michałek siedział na werandzie i wkładał nowe buty, które idealnie pasowały do jego czarnych spodni, białej koszuli i czerwonej muchy.

– I ja też! – zawtórowała mu Rozalka, która układała fałdy swojej niebieskiej sukienki i od rana tłumaczyła wszystkim, że jest księżniczką.

– Jestem ciekawa, czy dzisiaj nauczyciele was pochwalą? – spytałam zadziornie.

– Tak! Dostaniemy książki! Za dobre oceny i wzorowe zachowanie! – chwalił się Michałek.

– W takim razie będę z was bardzo dumna.

– Ale czy ty i tata pamiętacie, że w nagrodę jedziemy na wakacje nad morze? – zapytała Rozalka.

– Pamiętamy. Za to, że nasze skarby są tak grzeczne, prezent musi być!

– Hura! Jedziemy nad morze! – zawołały dzieciaki chórem.

– A dziś idziemy na dyskotekę? – zapytał Michałek. Rozalka skarciła go wzrokiem, wciąż zazdrosna o koleżankę z klasy.

– Ze mną też będziesz musiał tańczyć. – Od razu zastrzegła sobie warunki wspólnego wyjścia. Śmiać mi się chciało z jej poważnej miny.

– Zawsze z tobą tańczę. Wczoraj na apelu też tańczyłem – stwierdził Michałek.

– Dyskoteka to co innego!

– Halo, halo, moje robaczki. Co to za kłótnia? Rozalko, nie martw się. Michałek będzie tańczył ze wszystkimi dziewczynkami, z tobą również. Prawda, Michałku?

– Prawda. Słowo honoru szefa Gangu Złotej Strzały! – Przyłożył dłoń do serca i przysiągł uroczyście, a ja nie mogłam się nadziwić ich wzajemnej zazdrości o siebie.

– Obiecujesz? – Rozalka usiadła obok swojego najlepszego przyjaciela.

– Obiecuję! Przecież jesteś moją siostrą! – Michałek mocno ją przytulił. A mnie aż się łezka zakręciła w oku na myśl, że moje maluchy mają teraz siebie. I już zawsze tak będzie!

Pojechaliśmy na zakończenie roku. Dyrektor szkoły podziękował nauczycielom, uczniom i rodzicom za cały rok ciężkiej pracy i życzył udanych wakacji. Potem poszliśmy do klas. Moje maluchy dostały w prezencie książki i nowe plecaki z całym wyposażeniem na nowy rok szkolny. Byłam z nich taka dumna!

Wieczorem była w szkole dyskoteka dla wszystkich uczniów. Rodzice też zostali zaproszeni. Trochę się obawiałam, jak moje dzieciaki rozwiążą sprawę tańczenia ze sobą, ale martwiłam się niepotrzebnie. Zabawa była bardzo udana, a i ja miałam wreszcie okazję, by porozmawiać z rodzicami innych dzieci, lepiej ich poznać i omówić sprawy, które dotyczą naszych pociech. To był bardzo udany wstęp do wakacji.

Ale dla mnie wakacje nie oznaczały jedynie odpoczynku. W lipcu ostro wzięliśmy się za sianokosy. Pani Irenka oraz jej mąż Leszek potrzebowali pomocy. Nas, sąsiadów wcale nie trzeba było prosić! Na pola wyjechały maszyny, o których istnieniu dotąd nawet nie wiedziałam. Na szczęście mnie przypadło w udziale grabienie siana. Opaliłam się jak w najlepszym kurorcie na egzotycznych wyspach. A dzieci ile miały przy tym frajdy! Leżały na kocach w cieniu drzew i wraz z całą ekipą Gangu Złotej Strzały obmyślały nowe psoty. Chodziły spać przed północą. Nie raz znalazłam Michałka śpiącego na schodach werandy! To się nazywa zmęczenie!

Niepokoiliłam się jedynie sprawą adopcji. Maciek co prawda wielokrotnie powtarzał, żeby się nie denerwować, bo w czasie wakacji sądy z powodu urlopów pracują dosyć opieszale. Nawet dzwoniłam do niego wczoraj, ale odebrał i dał znać, że jest bardzo zajęty. Już dawno nie rozmawialiśmy o wniosku o adopcję Michałka. Trzeba było jeszcze nanieść kilka poprawek. Miałam czekać. Więc czekałam. Martwiłam się. Odliczałam dni. Wreszcie znienacka Maciek do mnie przyjechał. Zadowolony jak nigdy.

– To cały wniosek. W dwóch egzemplarzach. Musisz obydwu podpisać i złożyć do sądu. – Jak gdyby nigdy nic wszedł do mojego domu. Postawił

wielką skórzaną torbę na stole i po kolei wyjmował z niej papiery. – Sprawa o adopcję będzie bardzo podobna do tej o opiekę. Sąd w zawiadomieniu poinformuje cię o terminie rozprawy. Pilnuj skrzynki i listonosza.

– Co za organizacja. Tak jest panie mecenasie. Zrobię wedle pana rozkazu!

– Ty się nie śmiejesz. Czeka nas jeszcze sporo pracy.

– Z tym nie będzie problemu. Mamy czas.

– Całe wakacje. Jestem całkowicie pewny, że rozprawa odbędzie się na początku września.

Zgodnie z poleceniem Maćka podpisałam obydwie wnioski. Wahałam się, czy wysłać je pocztą, czy złożyć osobiście, by było szybciej. Przy piątku wybrałam opcję wysłania pocztą. I tak pewnie dotrze do poniedziałku, a nie chciało mi się znowu męczyć z paniami z sądu. Zatem pojechałam na pocztę. Poprosiłam o polecony priorytet. Przepytalam panią w okienku, czy jest szansa, by list dotarł już w poniedziałek. Przytaknęła. Pismo poszło.

Potem o nim zapomniałam. Tyle się przecież działo! Przede wszystkim chcieliśmy przygotować dzieci do wakacyjnych szaleństw nad morzem, więc jeździliśmy prawie codziennie na kąpielisko do Wyszkowa. Ależ się bawiły! A pogoda była jak na zamówienie. Nie pamiętałam tak udanego lata. No może poza jednym.

To było ostatnie lato w Pniewie. Pośród starych gruszy dziadek zrobił dla mnie huśtawkę. Z dwóch linek i opałki! Czyli z czegoś, do czego zawsze jesienią zbierano z pola ziemniaki. Ależ to była zabawa. Ale okazało się, że i spore ryzyko. Tak się złożyło, że w konarach obydwu gruszy osy postanowiły zrobić sobie gniazdo. Raz na którąś nadepnęłam, innym razem któraś sama mnie zaatakowała. Pamiętam, że na schodkach starego domu zawsze stały ocet i wata. Gdy mnie osa ugryzła, sama robiłam sobie okład. Dziadek walczył z osami, jak tylko potrafił, ale jak przegonił je z gniazda, one zaraz budowały drugie.

Dziś osy na szczęście nie ma, ale dzieciaków trzeba i tak pilnować całe dni. Wczoraj na przykład miały w swoim Gangu Złotej Strzały dzień tajniaka. Czyli co? Dzień, w którym muszą się tak skutecznie chować, by ani

rodzice, ani sąsiedzi ich nie znaleźli. Wszystko było dobrze, dopóki nie zaczęło robić się ciemno. Bałam się, że może coś głupiego przyszło im do głowy. Adaś też zaczął się martwić. Na szczęście wkrótce przyjechała na rowerze pani Irenka, żeby powiedzieć nam o stadzie myszy grasującym w jej stodole. Dopiero po chwili domyśliłam się, że chodzi o moje szkraby i inne dzieci z gangu. Nie trzeba było długo czekać, żeby się pokazały. Rzuciłam tylko hasło „ognisko!” i po chwili cała ferajna była już na podwórku. A że słowo się rzekło, to i ognisko trzeba było przygotować. No i się zaczęło! Zabawa, wygłupy i pomysły, żeby przez ognisko skakać. Adaś surowo tego zakazał i postraszył dzieciaki, że jeszcze jeden taki pomysł i nie będzie wyjazdu nad morze. Od razu poskutkowało!

Adaś wziął sobie do serca sprawę wystawy i całe wieczory spędzał w swoim warsztacie. Już myślałam, że się tam przeprowadzi. Projektował, planował, rzeźbił. Widziałam, jak wiele to dla niego znaczy i że bardzo chce dobrze wypaść. Obiecałam, że specjalnie na jego wystawę sprowadzę z najlepszych hurtowni kwiatów jego ulubione narcyzy. Początkowo marudził, że nie trzeba, a za chwilę już nawet planował ich ustawienie.

Trochę się ostatnio mijamy. On w warsztacie, a ja ślęcę nad projektami. A czas pędzi jak oszalały. Nawet się tego nie zauważa. Dopiero jakieś zdarzenia, ważne terminy pokazują, że właśnie minął dzień, tydzień, miesiąc. Dziś w południe do drzwi zapukał mój ukochany listonosz, pan Miecio. W spodenkach i białym podkoszulku wyglądał na swoim starym rowerze, jakby miał z piętnaście lat mniej.

– Polecony dla szanownej sąsiadki. Prosto z sądu. Nawet w wakacje cholery spokoju nie dają. Tak ludzi mordować – mówił tak poważnie, że omal nie wybuchłam śmiechem.

– Panie Mieciu, akurat na ten list czekałam. To ważne. W sprawie adopcji Michałka.

– A to przepraszam. Jak ważne, to otwieraj! Co jak co, ale to ja przynoszę te dobre wieści.

– Najlepsze! – Znowu omal się nie zaśmiałam. Wzięłam leżący na stole nóż i otworzyłam białą kopertę. W oczy od razu rzuciły się wielkie pieczęcie sądu.

– I co? Już można się cieszyć?

– Można! – odetchnęłam z ulgą. – Sąd wyznaczył rozprawę na siódmego września.

– Jeszcze trochę i będzie po wszystkim. Przecież ty i tak dla Michałka jak matka jesteś, to co tu udowadniać – stwierdził nieco wzburzony.

– Ale prawo jest prawem i musimy się go trzymać. Mam nadzieję, że we wrześniu będziemy świętować. Czekam na chwilę, gdy sąd ogłosi, że Michałek jest moim synem.

– Oby tylko Rejterowa się dalej nie wpięprzała w nie swoje sprawy. Już raz bałaganu sporego narobiła. Niech się lepiej swoim synalkiem zajmie, co to lubi cudze rzeczy kraść.

– Panie Mieciu, spokojnie. Nie mamy pewności, czy to ona napisała donos. A poza tym, nic nam już nie przeszkodzi. Sąd też swoje wie i nie dopuści, by plotki nam zaszkodziły.

– Ja tam wiem, że to ona. Łazi całe dni po wsi i tylko nasłuchuje, co u kogo złego się dzieje. Ale przysięgam! – Na te słowa położył prawą dłoń na sercu. – Jak będzie chciała krzywdę zrobić tobie, Michałkowi lub Prusikowej, to jak tu stoję, przysięgam, że tego pożałuje!

– Poradzimy sobie i z nią. Na razie dała spokój. Zapraszam pana na herbatę i ciasto.

Odezwij się, bo tęsknię ogromnie

– Co zrobiłam źle? Wystraszyłam ją? – Siedzieliśmy z Adasiem na werandzie.

– Nie wiem. Może wystraszyła się nie ciebie, tylko ogólnie sytuacji. Zobacz, prawie bez problemów ją odnalazłaś. A jeśli tobie się udało, to i ten jej mąż czy tam partner też mógł odkryć, gdzie się przed nim ukrywa. Może już być w innym miejscu.

– Boże, co to za życie. Ciągły strach, ucieczki. Jak ona to wytrzymuje? Ten jej facet musi być jakimś potworem. Mam nadzieję, że nic złego się jej nie stało? – Martwiłam się o Ewę.

– Nic z tych rzeczy. Raczej bym stawiał na jej strach przed byłym facetem.

– Może powinnam jechać do niej jeszcze raz?

– O nie! Byłaś raz, wyciągnęłaś do niej rękę. Kolejny ruch należy do niej. Poczekaj, może się odezwie.

– A jeżeli tego nie zrobi?

– To mówi się trudno. Przecież nie będziesz jej szukać po całej Polsce.

– Adaś, co ty mówisz? Miałabym po prostu zrezygnować?

– Myśl realnie. Nie na wszystko masz wpływ.

– Nie wierzę! Mam po prostu odpuścić? Od roku, odkąd sprawa z moim ojcem i Magdaleną wyszła na jaw, nie mogę spać spokojnie, a ty mi każesz odpuścić? Chyba żartujesz!

Od naszego spotkania z Ewą minęło kilkanaście dni. Nie zadzwoniła. A ja cały czas miałam nadzieję, że za chwilę zobaczę na wyświetlaczu jej imię. Jednak telefon milczał. Nie traciłam jednak nadziei. Sama też próbowałam do niej dzwonić. Za każdym razem słyszałam jeden komunikat: „abonent czasowo niedostępny”. To bardzo źle wróżyło. I nie dawało żadnych szans na kolejny ruch z mojej strony.

Różne pomysły przychodziły mi do głowy. Bałam się, że Ewie i Sylwii stało się coś złego. Albo że dopadł je ten facet, przez którego musiały się ukrywać. Jednak najgorsza była zupełnie inna myśl. Broniałam się przed nią. Spychałam gdzieś w głębiny świadomości. A ona wracała, jak natrętna mucha. I nie dawała spokoju. Jakiś głos szeptał mi do ucha: „A co, jeśli Ewa zwyczajnie nie chce mieć z tobą nic wspólnego?”.

Może zerwała ten kontakt, bo ktoś taki jak Alicja Pniewska jest dla niej kolejną przykrą niespodzianką od losu? Może naprawdę nie chce mieć ze mną nic wspólnego? Albo zwyczajnie nie wierzy, że nie kłamię i jestem osobą, za którą się podaję? Albo... nie chce mnie znać. I tyle. Aż tyle.

Dzwoniłam do niej kilkanaście razy dziennie. Bez skutku. Zadzwoniłam do Anny Górskiej, sąsiadki Ewy z Giżycka. Uspokoila ją wiadomością, że znalazłam Ewę i rozmawiałam z nią. Sama nie wiedziała nic nowego. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, by pojechać jeszcze raz do mieszkania, w którym ukrywała się Ewa.

Adaś o niczym nie wiedział. Myślał, że to mój kolejny wyjazd do Doroty, byśmy mogły dopilnować ostatnich prac w remontowanym mieszkaniu. Jeszcze chwila i moje, to znaczy nasze, „Wrzosowisko” będzie mieć własną filię. Ale przez tę sprawę z Ewą nawet nie umiałam się tym cieszyć.

Podjechałam pod znaną mi kamienicę. Weszłam po schodach na górę. Nacisnęłam dzwonek. Potem kolejny raz. Uderzyłam pięścią w drzwi. Nikt nie otwierał.

Zrezygnowana wsiadłam do samochodu. Przygryzłam wargę. Chciało mi się płakać. Nie mogłam uwierzyć, że Ewa po prostu postanowiła się ode mnie odciąć. Przecież tak długo jej szukałam! Nie tak to miało wyglądać! Włączyłam silnik. Chciałam jechać prosto do Giżycka i chodzić od domu do domu, pytając ludzi, czy przypadkiem nie wiedzieli gdzieś Ewy.

Ochłonęłam trochę. Nie chciałam zrobić kolejnej głupoty. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zajrzałam do samochodowej skrzynki. Zawsze trzymałam w niej notes i długopisy. Tak na wszelki wypadek, gdyby nieoczekiwanie przyszedł mi do głowy ciekawy pomysł na plan ogrodu. Wyrwałam kartkę z notesu. Chwilę wahałam się, jak zacząć i w jakim tonie napisać wiadomość. A do cholery z tym myśleniem! Serce wie, co powinno powiedzieć.

Droga Ewo,

przyjechałam dziś do Ciebie, ponieważ bardzo mnie martwi, że się nie odezwałaś. Nie wiem dlaczego i nie chciałabym się tego domyślać. Nie chcę też się narzucać, ale napiszę ci szczerze, że miałam ogromną nadzieję, że chociaż spróbujemy zbudować naszą relację.

Może oczekuję dużo, może nie. Wiem tylko, że od roku nie mogę zaznać spokoju, ponieważ ciągle wraca do mnie sprawa mojego ojca i Twojej mamy. Nie chcę ich oceniać, nie chcę się wymądrzać. Zwyczajnie jest mi ciężko żyć z myślą, że przeszłość mojej rodziny jest zupełnie inna, niż sobie ją wyobrażałam przez całe dorosłe życie. Miałam i nadal mam dużą nadzieję, że zechcesz wspólnie ze mną ustalić, czy rzeczywiście jesteśmy siostrami, czy tylko plotki sprawiły, że zarówno Twoje, jak i moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Wtedy zaznam spokoju. Co z tym dalej zrobimy, zdecydujemy wspólnie.

Nie chcę na Ciebie naciskać ani Cię pouczać. Proszę jedynie o zrozumienie. Mogę Ci przysiąc, że ja Cię nie skrzywdzę. Jak mówiłam podczas naszego spotkania, możesz na mnie liczyć. Pomogę. Tylko proszę, odezwij się. Nawet tylko po to, by dać najmniejszy znak, że u Ciebie wszystko w porządku.

Zostawiam jeszcze raz wizytówkę. Może zwyczajnie ją zgubiłaś? Uściskaj ode mnie swoją córeczkę Sylwię. Już za Wami tęsknię, chociaż jeszcze dobrze się nie znamy. Mam wielką nadzieję na kolejne spotkanie. Życzę Wam dużo zdrowia i mniej zmartwień.

Pozdrawiam Was serdecznie

Alicja

List zostawiłam w skrzynce pocztowej. Wiązałam z nim wielkie nadzieje. Wielkie obawy też były. Zdałam się jednak na los. Moje serce podpowiadało, że Ewa jeszcze się do mnie odezwie. Muszę być cierpliwa.

Od zmartwień skutecznie oderwała mnie Dorota. A raczej nasze niezwykle „Wrzosowisko”. Uroczyście otworzyłyśmy jego filię w świeżo wyremontowanym mieszkaniu. Adaś jak je zobaczył, od razu chciał, by Dorota i w jego warsztacie zrobiła mały remont. Okazała się specjalistką od powiększania mieszkań.

Niby małą, niespełna czterdziestometrową kawalerkę Dorota tak pozmieniała, że starczyło miejsca na dwa duże biurka, trzy regały na projekty i stolik z trzema fotelami, przy którym będziemy przyjmować naszych klientów. Zrobiła jeszcze coś. Nigdy bym nie pomyślała, że z tej kawalerki da się wyczarować takie cudzińko. Mieszkanie jest wysokie, zlokalizowane w starej kamienicy. Dorota wymarzyła sobie, by zrobić antresolę. Zrobiła! I to jaką! Na górę prowadzą drewniane schody z metalową poręczą. Zmieściło się tam spore łóżko, mały stolik, dwie półki i szafka z telewizorem. To ma być nasze miejsce relaksu, będzie można tu także w razie potrzeby przenocować. Mieszkanie wygląda wspaniale! Dorota pierwszy raz od dłuższego czasu wreszcie w siebie uwierzyła i ma tyle energii, że mogłaby nią obdzielić ze trzy inne osoby. Była zwyczajnie szczęśliwa.

Chociaż ona zaczęła wychodzić na prostą. Jak zawsze. Odkąd się znamy,

to Dorota była specjalistką od szczęśliwych zakończeń. Nawet wtedy, gdy wszystko wskazywało, że szykuje się katastrofa życiowa, ona zawsze spadała na cztery łapy. Nie to, co ja. Zawsze obrywałam po tyłku. A teraz? Od jakiegoś czasu z Alicji, która na każdym kroku wpadała w niezłe tarapaty, stałam się świadomą siebie kobietą, a na dodatek potrafię pomagać innym. Teraz to właśnie Dorota jest osobą, której poświęcam szczególną uwagę. Jak to jest możliwe? Człowiek aż tak może się zmienić? To jest w sumie dobra wiadomość. Taki sygnał, że wszystko zależy od nas. Wystarczy tylko obrać dobry kierunek, złapać wiatr w żagle i chwycić szanse, jakie daje nam życie.

Po drodze do domu zajechałam na cmentarz. Było jeszcze dosyć widno. Stałam przed pomnikiem moich rodziców i dziadków. Zaczęłam się modlić. Bez ładu, jakby żadne słowa nie mogły opisać mojej tęsknoty. Tyle lat już minęło, a ja wciąż nie mogę się pogodzić z ich odejściem. Teraz i tak jest lepiej. Sama mam swoją rodzinę. A jeszcze ponad rok temu? Bałam się życia, bałam się ludzi, bałam się siebie. To nie było życie, tylko wegetacja. Czekanie na coś, co nigdy nie miało się zdarzyć. I tęsknota. Za miłością, szacunkiem, oddaniem i wsparciem. Tego nie miałam ani grama. A teraz? Miałam nadzieję, że Ewa właśnie czyta mój list i rozumie, dlaczego tak ważne jest dla mnie to, byśmy się lepiej poznały. Czy jest moją siostrą? Domyślałam się, ale pewność mogą dać mi jedynie badania genetyczne. Czy Ewa się na nie zgodzi? A przede wszystkim – czy się odezwie? Nie po to udało nam się spotkać, by teraz miałyby się to zakończyć tak banalnie. Czekam na odzew Ewy. Przecież każdy zasługuje na szansę.

Tylko jedna osoba przysparza mi teraz zmartwień. Henryk. Zaszył się w swoim schronie i mnie unika. Co się właściwie stało? Czy chodzi o przyjazd Jonasa? Czy to strach przed rozliczeniem z przeszłości? Przed nią nie da się przecież uciec, choćbyśmy nie wiem jak się starali. Sama najlepiej o tym wiem.

Spowiedź człowieka, który pobłądził

Sierpień w naszej rodzinie to potrójne urodziny! Rozalki, Michałka

i moje! A jak urodziny, to i pewne podsumowania. Trzydzieści dziewięć lat. U progu czterdziestki. Mało to czy dużo? Sama nie wiem. Nie myślę o tym. Moje nowe szczęśliwe życie zaczęło się ponad rok temu, ale nie liczę kolejnych kartek w kalendarzu. Zamiast dni liczę uśmiechy moich dzieci, razem spędzone chwile, wspólne obiady, spacer, trzymanie się za ręce, spokojne dni i noce. To jest mój kalendarz. A prezenty? Przecież mam już wszystko.

Dzieci nie były takie skromne i wypisały całą listę rzeczy, które chciałyby dostać z okazji urodzin. Okoliczne babcie, ciocie, kuzynki na głowie prawie stawały, żeby tylko spełnić marzenia Rozalki i Michałka.

Jedno zamówienie było szczególne. Dzieciaki chciały zrobić z ziemnej piwnicy „zaczarowane miejsce”. Tak, właśnie tak je nazwały. A to akurat było zadanie dla dziadków, wujków i kuzynów, którzy za punkt honoru obrali sobie to, żeby ziemna piwnica stała się taką siedzibą gangu, jakiej świat dotąd nie widział.

I zaczęło się. Stukanie, wbijanie, wiercenie. Głowa dosłownie pękała od tego hałasu. Po trzech dniach Adaś ogłosił: praca skończona! Siedziba Gangu Złotej Strzały gotowa! Przypadł mi wielki zaszczyt oficjalnego przecięcia czerwonej wstęgi.

Oniemiałam! Piwnica wyglądała, jak wyjęta wprost z jakiejś bajki. Nie dowierzałam własnym oczom. Adaś pękał z dumy, a wraz z nim pan Leszek, który nadzorował wszystko fachowym okiem.

Było uroczyście i z przytupem. Jeden z sąsiadów nawet na akordeonie zagrał. Babcia Jasia śmiała się, że ludzie ze wsi pomyślą, że u nas wesele. Basi tak się to spodobało, że przez pół dnia tłumaczyła wszystkim, że jak z Adasiem zdecydujemy się kiedyś na ślub, to ona najlepszą orkiestrę z regionu ściągnie i takie nam przyjęcie w ogrodzie wyprawi, jakiego w Pniewie jeszcze nie było. Wszyscy się śmiali z jej żartów. A ja? Nieco się rozmarzyłam. Ślub? Mój i Adasia? W ogrodzie? Ale by było pięknie! Ale marzenia mają to do siebie, że czasami trzeba długo czekać na ich spełnienie. A tu akurat zanoszą się na bardzo długie czekanie.

Urodziny były miłym akcentem mniej urokliwej codzienności. A tej na imię było „czekanie”. Czekałam zatem. Na co? Dobrze pytanie. Na znak życia od Ewy. Miałam nadzieję, że przeczytała mój list i niebawem się odezwie.

Tak się nie stało. Czekam dalej. Na sprawę adopcyjną też czekam. I tak się denerwuję, że przybyło mi siwych włosów.

Czas nie działa na naszą korzyść. Babcia Jasia jest coraz słabsza. Tydzień temu bardzo nas wystraszyła. Nie zapowiadało się, a jednak każda chwila potrafi zaskoczyć.

Tego dnia był potworny upał. Nawet dzieciaki narzekały na tak mocne słońce. Babcia Jasia od rana źle się czuła. W południe osunęła się na podłogę. W ostatniej chwili Adaś uchronił ją przed uderzeniem głową o kant stołu. Pobladła i bardzo ciężko oddychała. Wezwaliśmy pogotowie. Lekarz dał jej zastrzyk i zalecił dużo odpoczynku. Wiadomo, upał zrobił swoje, ale tego dnia babcia Jasia zapomniała też wziąć leki na nadciśnienie.

– Bardzo nas wszystkich wystraszyłaś. Od teraz codziennie rano będę sprawdzała, czy na pewno wzięłaś leki. Umowa stoi? – Siedziałam przy jej łóżku i trzymałam za rękę.

– Pilnuj, kochana moja. Umierać jeszcze nie mogę. Jeszcze czeka nas sprawa w sądzie. A potem, niech się dzieje wola nieba. Michałek musi zostać twoim synem za mojego życia.

– Nie denerwuj się. Nerwy w niczym nie pomogą. I przestać mówić takie rzeczy.

– Kiedy to prawda. Moje życie to Michałek. Jak będzie już bezpieczny, mogę umierać. Za wcześnie na to, więc i zdrowaśkę za mnie zmów, by zdrowie mi jeszcze dopisało.

– Zmówię, a ty się niczym nie martw.

Patrzyłam na jej stare schorowane dłonie, które na tle białej pościeli wyróżniały się bladożółtym odcieniem. W ciągu ostatnich trzech tygodni bardzo schudła. Tłumaczyliśmy sobie, że nie może jeść przez upał. Ale czułam, że powód jest inny. Powoli od nas odchodziła. Nie wiem, co było gorsze. Czy myśl, że przyjdzie kiedyś taki dzień, że nagle jej zabraknie, czy strach o to, by dożyła chwili, kiedy Michałek zostanie moim synem. Dawno nie czułam tak wielkiego żalu. Chciałam krzyczeć najgłośniej, jak się da, że jest jeszcze za wcześnie. Nie teraz, nie w takiej sytuacji. Ale czy na śmierć bliskiej osoby można się przygotować? Nigdy!

Przyszykowałam dla niej posłanie w gościnnym pokoju. Chciałam ciągle

przy niej być. Czuwać. Każdej nocy zasypiałam z modlitwą na ustach, by rankiem móc znowu zobaczyć jej uśmiech. Starła się, by nikt z nas nie odczuł, że koniec może być bliższy, niż nam się wydaje. Dopytywała o Henryka. Nie rozumiała jego zniknięcia. Chciała z nim jak najszybciej porozmawiać zatroskana tym, że trzeba z każdym rozliczyć się z dobrych i złych uczynków. Nie umiałam jej wytłumaczyć, dlaczego Henryk nas unika. Pokazał się kilka razy, ale tylko na chwilę. Nie chciał rozmawiać, zaszywał się u siebie.

Jonas ciągle o niego dopytywał. Nie dawała mu spokoju myśl, że Henryk, o którym tyle mówiła jego babcia, może być właśnie Henrykiem Sokolskim. Był zdrajcą? Mógł narazić na śmierć Elizabeth i mojego dziadka? Sama chciałam go o to zapytać jak najszybciej. Nie było jednak takiej możliwości. Unikał mnie, a każdą próbę rozmowy kwitował krótkim zdaniem, że nie można ciągle wracać do przeszłości.

Mój przyjaciel z Niemiec mieszkał w hotelu przez ponad dwa tygodnie. To był czas na nasze rozmowy, poznawanie się i próby ustalenia, gdzie są dokumenty, o których tyle mówiła Elizabeth i o których mój dziadek pisał też w swoim pamiętniku. Nie trafiliśmy na żaden sensowny trop.

Jonas wyjechał. Obiecał przyjechać za kilka tygodni. Wzywały go interesy. Zostawił mi listy, które mój dziadek pisał do jego babci Elizabeth. Schowałam je w szafie. Czy nie byłam ciekawa ich zawartości? I to jeszcze jak! Tyle że chciałam je czytać w ciszy i spokoju, a nawał tylu spraw i problemów na to mi nie pozwalał.

Wraz z wyjazdem Jonasa pojawiła się szansa, by wreszcie na spokojnie porozmawiać z Henrykiem. Sam też czekał na ten moment. Pewnego dnia poprosił Michałka, by przekazał mi pewną prośbę. Chciał, bym przysłała na cmentarz wieczorem, tuż po osiemnastej. Tak czułam, że chce mi powiedzieć coś bardzo ważnego. Czekał przy pomniku moich rodziców i dziadków. Zrobił znak krzyża. Spojrzał w moją stronę. Dostrzegłam w jego oczach lęk.

– Myślisz, że jak człowiek umiera, to wybacza swoim złoczyńcom wszystkie winy? Przebacza w godzinę śmierci? – zapytał spokojnym głosem.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać – odpowiedziałam szczerze. Jego pytanie mnie wystraszyło. Co też miało znaczyć? Miał poczucie winy? Bo cóż innego mogłoby to być? Strach przed czymś? Wielki żal?

– Czy w twoim życiu jest coś, co zrobiłaś wbrew sobie i teraz bardzo tego żałujesz? – Jego kolejne pytanie spowodowało, że zaczęłam się go bać.

– Nie wiem. Pewnie by się coś takiego znalazło. Może nawet kilka takich momentów. Ale chwila. Przepraszam, Henryku, że to powiem, ale zaczynam się ciebie obawiać.

– Bać się mnie nie musisz. Nie teraz.

– Co się dzieje? Dlaczego mnie unikasz? Chodzi o Jonasa? – zapytałam wprost.

– Wspominał, że jestem zdrajcą? – To pytanie było jak cios w serce. A jednak. Tajemniczy Henryk z listu i opowieści Jonasa to Henryk Sokolski!

– Ty nim jesteś? – zapytałam, jednocześnie bojąc się, że Henryk przytaknie.

– Zdradziłem Elizabeth i Jana. – Wycierał dłonią spływające po policzku łzy. – Jan mi wybaczył. Elizabeth pewnie też. Ale ja sam sobie nie umiem wybaczyć – dodał łamiącym się głosem.

– Powiesz mi, co się stało w obozie? Co takiego zrobiłeś? Przecież mój dziadek miał cię za najlepszego przyjaciela. Tak pisze o tobie w pamiętniku, tak mówił o tobie swojej rodzinie. Nie możesz być zdrajcą. Inaczej byś dla niego nie istniał. – Rozpaczliwie szukałam wytłumaczenia. Ale serce podpowiadało jedno. Henryk zrobił coś, co zabrało jego spokój.

– Czas najwyższy, byś się o wszystkim dowiedziała.

Szliśmy przez leśne chaszczki. W ciszy. Przeczynałam, że za chwilę wydarzy się coś, co może zmienić nas i naszą przyjaźń. Nie chciałam tego. Henryk był dla mnie jak dziadek. Jak najlepszy przyjaciel, który rozumie to wszystko, czego doświadczyłam w swoim życiu.

Nie wiem, jak długo trwała nasza wędrówka. Za każdym razem Henryk prowadzi do swojego schronu inną drogą. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nigdy nie umiem zapamiętać ani jednej wskazówki. Wszystko dookoła wygląda tak samo. Tajemnica schronu fascynuje mnie, ale i przeraża. Jak wielką trzeba mieć pomysłowość, by przez tak wiele lat tak skutecznie zwodzić tych, którzy podejmują śmiałą próbę odnalezienia tego miejsca. Na nic ich starania. Tego miejsca nie da się wytropić. Kiedyś Henryk wspominał, że tylko nieliczni myśliwi mogą mniej więcej orientować się,

gdzie jest jego schron, ale nie mają odwagi do niego podejść. Boją się min, które otaczają go z każdej strony. Ponadto przestrzegają podstawowego prawa lasu. Nie wchodzi się w drogę silniejszym. Henryk jest silny. Niezłomny. Ale czy idealny?

– Wejdz pierwsza, tylko uważaj na głowę. – Na samym końcu naszej drogi pojawiła się górka porośnięta gęstym mchem. Henryk odgarnął z niej kilka gałęzi i zdecydowanym ruchem otworzył wjazd do schronu. W oddali świeciło się delikatne światło.

– Zawsze mi to imponuje. Kiedy mam wszystkiego dość, marzę o takim schronie – powiedziałam szczerze, by pokazać Henrykowi, że jest dla mnie kimś wyjątkowym.

– Dlatego tak chętnie tu uciekam – odparł.

Zeszliśmy ostrożnie po wyrobionych w ziemi schodkach, utwardzonych drewnem i kamieniami. Poczulałam zapach herbaty. U Henryka zawsze pachnie herbatą. Lub ziołami, które potrafi zbierać całymi dniami na łąkach. Tak jak kiedyś moja mama. W średniowieczu pewnie nazwaliby ją czarownicą, bo robiła nalewki, kremy, przeróżne mikstury dosłownie ze wszystkiego, co dawały łąki, pola i co dawał las. Jest moim niedoścignionym wzorem.

– Jonas powiedział ci, że jestem zdrajcą? – Pytanie Henryka wprowadziło mnie w osłupienie. Nie tak sobie wyobrażałam naszą rozmowę. Nie chciałam go urazić ani pytać wprost. A nagle sam przechodzi do sedna tematu, który przez ostatnie tygodnie burzył mój spokój.

– Nic takiego nie twierdził – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Nadmienił jedynie w pierwszym liście do mnie, a potem w naszych rozmowach, że jego babcia Elizabeth wspominała wiele razy jakiegoś Henryka, przez którego ona i mój dziadek omal nie stracili życia.

– Myślisz, że to o mnie mowa? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy. To była dla mnie jedna z najtrudniejszych chwil w życiu. Żadna odpowiedź nie była dobra.

– Postanowiłam, że nie będę się niczego domyślać. Chcę, żebyś sam mi wszystko wyjaśnił.

Chwilę milczał. Moja postawa zaskoczyła go. Nie tego się spodziewał.

Pewnie czekał na atak, oskarżenia, pretensje. Nagle wstał. Podeszedł do szafki i czegoś w niej szukał. Po chwili wyjął zdjęcie, na którym widnieli ubrani w żołnierskie mundury razem z moim dziadkiem Janem. Takie samo mam u siebie. Henryk wpatrywał się w nie i ciężko oddychał.

– Pamiętasz, kiedyś opowiadałem ci, jak w obozie Jan pomógł pewnej kobiecie i za to spotkała go ciężka kara? – zapytał zniechęcony. – Nie mogła sama przenieść ciężkich paczek. Jan jej pomógł. Za karę wzięli go do szpitala. Nie wracał przez kilka dni. Po jakimś czasie znalazłem go leżącego na podłodze w zimnym baraku. Miał zasłonięte przepaską oczy. Robili na nim eksperymenty medyczne.

– Pamiętam – odpowiedziałam cicho. Miałam przeczucie, że ta historia to tylko wstęp do czegoś, co może przekroczyć granice ludzkiej wytrzymałości.

– Oszukałem cię. Jan trafił do szpitalnego piekła przeze mnie. To właśnie wtedy zdradziłem jego i Elizabeth – wyznał jednym tchem. A potem zaczął rozpaczliwie płakać. Nie wiedziałam, jak zareagować. Człowiek, którego od chwili poznania miałam za kogoś o nadzwyczajnej sile, właśnie siedział przede mną i płakał jak ktoś, kto wszystko stracił.

– Proszę, opowiedz, co się wydarzyło. Nie chcę cię oceniać ani rozliczać z przeszłości. To mógł zrobić jedynie mój dziadek. Wybaczył ci, skoro do końca pozostał twoim przyjacielem.

– Jan mi wybaczył. Ale ja nigdy nie wybaczyłem sam sobie. To moja kara za poniesione winy. Największa z możliwych.

– Co się stało w obozie? Czym naraziłeś ich na śmierć? – Byłam przerażona tym, że Henryk mógł zrobić coś bardzo złego.

– To było piekło. Ale wiem, że nic mnie nie usprawiedliwia. Zrobiłem coś złego i nigdy sobie tego nie wybaczę. Jednak tam, wśród tysięcy ludzi, którzy każdego dnia walczyli o przeżycie, wychodziły na jaw uczucia, postawy, zachowania, o których wcześniej nikt by nawet nie pomyślał.

– Gdy człowiek wie, że w każdym momencie może spotkać go śmierć, zdolny jest do podjęcia różnych decyzji. A za nimi stoją działania, które mogą przerażać – przyznałam.

– Gdyby chodziło jedynie o mnie, wtedy wybrałbym inaczej. W tamtym piekle śmierć była dla wielu najlepszym rozwiązaniem. Gwarantowała, że już

nic gorszego nie może się wydarzyć. Ale jak ktoś chce skrzywdzić osobę, którą kochasz nad życie, wtedy nie masz wyboru. To znaczy masz, ale jest on tylko jeden.

– Zrobić wszystko, by ją uratować.

– Dokładnie tak – przyznał i znowu spojrzął na stare zdjęcie.

– Chodziło o Małgosię? Twoją narzeczoną?

– Tak. Dla niej mogłem zrobić wszystko. Jej życie było najcenniejsze.

– Groziła jej śmierć? – Czułam, że moje pytanie jest bez sensu. Tam śmierć groziła na każdym kroku. Czaiła się jak złodziej. Szukała momentu, kiedy człowiek jest bezbronny.

– Pewnego dnia przyszedł do mnie strażnik i siłą zaprowadził do komendanta. Myślałem, że chodzi o źle wykonaną pracę. Nie spodziewałem się najgorszego. Komendant na wstępie uderzył mnie w twarz i wyzwał od polskich szcurów. Nagle otwarto boczne drzwi i siłą wprowadzono do środka kobietę z workiem na głowie. Moje serce stanęło w miejscu.

– To była twoja Małgosia?

– Tak. Gdy zdjęli z jej głowy worek, omal nie oszalałem z rozpacz. Całą twarz miała zakrwawioną. Była tak skatowana, że nie mogłem nawet dojrzeć jej oczu. Chciałem się wyrwać strażnikom i ją ratować. Dostałem kilka uderzeń batem. Ale to nie miało znaczenia. Było coś gorszego. Jeden ze strażników podszedł do Małgosi, chwycił ją za głowę i uderzył nią o ścianę. Zemdlała. Błagałem, by darowali jej życie. By zamiast niej zabili mnie. Nie chcieli tego zrobić. Wtedy komendant powiedział, że mam szansę ją ocalić. To wtedy stanąłem przed koniecznością podjęcia najtrudniejszej decyzji w moim życiu – wyszeptał. Jego stare, schorowane ręce pospiesznie wycierały łzy, których się wstydził.

Patrzyłam na niego i już przeczuwałam, jaką historię usłyszę za chwilę. Wcześniej myślałam, że jeżeli potwierdzi się, że Henryk zdradził mojego dziadka i Elizabeth, będę czuła do niego żal, obrzydzenie, niechęć. A teraz? Myślałam o tym, jak silny musi być człowiek, który w sytuacji granicznej, kiedy linia między życiem a śmiercią jest tak cienka, jest w stanie dokonać wyboru, chociaż każda decyzja jest zła.

– Co komendant kazał ci zrobić? – zapytałam pełna obaw.

– Powiedział, że mogę ocalić życie Małgosi, jeśli wyjawię tajemnicę Jana i Elizabeth. Chciał ich złapać na gorącym uczynku. Miałem wskazać czas i miejsce ich spotkania. Sprawić, by wydał się sekret dokumentów, które wspólnie tłumaczyli.

– Zdrada w zamian za życie ukochanej?

– Tak. Komendant przystawił pistolet do skroni Małgosi i kazał mi podjąć decyzję. Gdybym odmówił, moja narzeczona zostałaby zastrzelona w tej samej chwili. Decyzja o tym, by zdradzić Jana i Elizabeth, była szansą na ocalenie jej życia. To była sytuacja, w której żaden wybór nie był dobry. Nawet nie wiesz, jak było mi wtedy trudno! – wykrzyczał z całych sił. Podszedł do stolika i jednym ruchem zrzucił z niego wszystkie przedmioty. Potem usiadł na ziemi i zaczął okładać się pięściami po głowie. – Jestem zdrajcą! – wył jak wilk złapany w sidła, jak ktoś opętany przez diabła.

– Henryku! Już dobrze. Proszę. Spokojnie, to już przeszłość. Zobacz, jesteśmy w twoim schronie. Jesteś tu bezpieczny.

Podniósł głowę. Rozejrzał się wokół. Gdy zobaczył mnie, delikatnie się uśmiechnął. To był atak paniki. Pamiętałam przecież, że mój dziadek wiele razy przechodził coś podobnego. Czasami w nocy, innym razem w czasie burzy.

– Już dobrze. Tu jesteś bezpieczny. Nic złego się nie dzieje. Przepraszam, to wszystko moja wina. Naraziłam cię na taki stres. Głupia jestem. Innym razem o tym porozmawiamy.

– Nie, proszę. Chcę ci wszystko opowiedzieć do końca. Pozwól mi.

– To nie jest dobre dla twojego zdrowia – martwiłam się o niego.

– Już wszystko w porządku. Przeszło mi. – Ostrożnie wstał z podłogi i usiadł na łóżku. Podałam mu szklankę wody, którą wypił jednym haustem. – Mam obowiązek wyjawienia ci prawdy o mojej przeszłości.

– Henryku, nic nie musisz robić na siłę.

– Ale chcę. Dla Jana, dla Elizabeth. Zasługują na to. W tamtej chwili wydawało mi się, że nie mam żadnego wyboru. Nie chciałem, by zabili moją Małgosię. Wybrałem współpracę z komendantem. Wiedziałem, że Jan spotyka się z Elizabeth co czwartek, zaraz po południu, gdy komendant wychodzi na obchód obozu. W ogrodzie była wielka altana, gdzie chowano

narzędzia. Tam się spotykali, żeby tłumaczyć te nieszczęsne dokumenty.

– O których dziadek nic nie chciał ci powiedzieć – dodałam w zamyśleniu.

– Nie chciał. Mówił, że to sprawa życia i śmierci. Nie nalegałem. Ale swój rozum człowiek ma. Elizabeth bardzo bała się męża. Nie wiem, co stało za tymi dokumentami, ale byłem świadomy, że jeśli jej tajemnica wyjdzie na jaw, wtedy ona pójdzie na pewną śmierć.

– Od twojej decyzji zależało ich życie.

– Dlatego jestem zdrajcą. Dokonałem wyboru. Wyjawiłem komendantowi, gdzie i kiedy się spotykają. Pamiętam, że tego dnia Jan przed wyjściem na roboty uścisnął mnie po bratersku i powiedział, że przeżyjemy to piekło. Nie wiedział, że wydałem na niego wyrok. Wyszedł z baraku. Upadłem na kolana i żarliwie zacząłem się modlić i prosić Boga, by stał się cud, który ocali życie mojego przyjaciela i Elizabeth.

– Co było dalej? – zapytałam. Byłam rozgoryczona. Wzbierała we mnie złość. Sama nie wiem na co. Chyba na życie, które potrafi wystawić człowieka na tak wiele prób.

– Kolejne godziny były wiecznością. Czekałem na jakąś wiadomość, jakiś znak. Martwiłem się o nich i błagałem Boga, by ich ocalił. Gdy wróciłem przed nocą do baraku, Jana tam nie było. Ludzie mówili, że trafił do szpitala. To mogło oznaczać tylko tyle, że już stamtąd nie wróci. Tamtej nocy sam chciałem popełnić samobójstwo. Za zdradę przyjaciela. Ale zabrakło mi odwagi. Ponownie stchórzyłem. Zdradziłem przyjaciela i samego siebie.

– Ale coś musiało się wydarzyć, skoro przeżyli.

– Po kilku dniach znalazłem Jana leżącego w zimnym baraku. Pobitego prawie do nieprzytomności. Dopiero następnego dnia miał siłę się odezwać. Od razu przyznałem się do winy i błagałem o wybaczenie. I wiesz, co było wtedy najgorsze?

– Co takiego?

– Że mi wybaczył. Tak od razu. Jak brat wybacza bratu. Leżał tam jak zbity pies, nie widział, cierpiał, a jednak mi wybaczył.

Henryk łkał jak małe dziecko.

– A komendant? Odkrył tajemnicę dokumentów?

– Tamtego dnia stał się cud, o który tak długo się modliłem. Po latach dowiedziałem się, że już wtedy Elizabeth była w ciąży i bardzo źle się czuła. Posłała do Jana swoją służącą z wiadomością, że tego dnia nie mogą się spotkać. Komendant to wysłedził, jednak nie udało mu się przyłapać żony na gorącym uczynku. Wściekł się. Zabił służącą, Elizabeth dotkliwie pobił, a Jana kazał zabrać do szpitala i tam poddać torturom.

– Czyli to było szczęście w nieszczęściu? – Odetchnęłam, nie mogąc jednocześnie uwierzyć, jak wiele złego dziadek doświadczył w tym obozowym piekle. A wraz z nim Elizabeth. I Henryk, który kochał Małgorzatę ponad wszystko i chciał ją ocalić.

– Jan mi wybaczył. Elizabeth nazwała mnie zdrajcą. Dopiero później dowiedziała się o wszystkim. Może i mi wybaczyła. Tego nie wiem. A ja? Poniosłem karę. Los zaśmiał mi się prosto w twarz. Zdeptał to, co było dla mnie największą świętością.

– To znaczy?

– Po kilku dniach, na placu, na oczach wszystkich więźniów, komendant zastrzelił moją ukochaną Małgosię. Wtedy umarłem jako człowiek. Zostałem przeklętym zdrajcą! – krzyknął, łkając rozpaczliwie.

Nie da się dzisiaj pojąć ogromu cierpienia i strachu, jakie towarzyszyły więźniom obozów zagłady. Nie można ich wyborów mierzyć dzisiejszą miarą! Dlatego NIE WOLNO nam ich oceniać. Henryk znalazł się w takiej sytuacji, o której my teraz nawet nie chcielibyśmy myśleć.

Mój dziadek mu wybaczył. A ja? Ja nie mam prawa go oceniać.

Rozdział XII

O listach do Elizabeth, przeszkodach na drodze do rodzinnego szczęścia, sztuce niezwykłego artysty i dobrych chęciach, które mogą sprowadzić poważne kłopoty

Listy do Elizabeth

Mówimy o wydarzeniach, które miały miejsce kilkadziesiąt lat temu. W warunkach, których nikt z nas nawet nie potrafi sobie wyobrazić. – Jonas siedział zapatrzony w morskie fale i chciał zrozumieć historię Henryka, którą mu opowiedziałam.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. A raczej o nim. Ile ten człowiek musiał w życiu przejść? Ile razy można ciągle próbować od nowa i nie poddawać się? Dla mnie jest niezłomny.

– Oni wszyscy tacy byli. Babcia mówiła, że w tym piekle każdy chciał zachować resztki godności. Ale w obliczu śmierci to jest bardzo trudne.

– Dlatego nie oceniamy ich. Wiem, że twoja babcia zapamiętała Henryka jako zdrajcę, bo naraził ją i mojego dziadka na śmierć. Jego wybór może nas oburzać. Ale co z nim? Nikt z nas nie wie, co czuł, gdy kazali mu wybierać.

– Myślisz, że będzie chciał ze mną porozmawiać? – Jonas spojrzał na mnie jak na kogoś, kto zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Potrzebuje tego. Ma ogromne wyrzuty sumienia. Rozmowa z tobą pomoże mu chociaż na chwilę odzyskać spokój – powiedziałam zgodnie z tym, co czułam.

– Przekaż Henrykowi, że bardzo chciałbym go poznać. I podziękować. Wiesz za co?

– Nie chcę zgadywać.

– Za życiową odwagę. Podziwiam go. Za wszystko.

To spotkanie z Jonaszem nie było przypadkowe. Gdy tylko dowiedział się, że nasza rodzinka wybiera się na wakacje nad morze, od razu zaproponował nam zakwaterowanie w domu swojego przyjaciela. Nie przyjmował odmowy! Zatem się zgodziłam. Tym sposobem ja, Adaś i maluchy zamieszkaliśmy w pięknym domu na obrzeżach Gdańska. Po tygodniu Jonas dołączył do naszej gromadki.

Wcale nie chodziło nam o wspólne wakacje. Mieliśmy badać ślady przeszłości. Mając nadzieję na rozwikłanie tajemnicy dokumentów, zaczęliśmy od początku ich historii. Niestety, informacje Jonasa potwierdziły się. Na ulicy Spokojnej 28 nie ma dziś żadnych domów. Zamiast nich stoi nowe osiedle mieszkaniowe. Nasz trop szybko się urwał. Potem udaliśmy się do zakonu, w którym po wojnie przebywała Elizabeth. Tu również nie mieliśmy szczęścia. Jonas już dużo wcześniej próbował się czegoś dowiedzieć, jakieś piętnaście lat temu. Owszem, dostał potwierdzenie pobytu swojej babci w klasztorze, ale nic więcej. Ciągłe siostra przełożona zasłaniała się koniecznością ochrony tajemnic zgromadzenia. Tym razem było tak samo. Na koniec dostaliśmy zapewnienie, że siostry będą się modlić o szczęśliwe zakończenie naszej sprawy. Też mi pomoc! Śledztwo zakończyło się fiaskiem. Teraz to już tylko prawdziwy cud mógł nam pomóc. Może siostrzyczki go wymodlą?

Ale poza tym liczyły się tylko wakacje! Dwa tygodnie zupełnego luzu, bez problemów, w towarzystwie ludzi, których kocham nad życie! Oderwałam się od wszystkiego. Na chwilę zapomniałam o Ewie, tajemniczej przeszłości Henryka, codziennych troskach, nawale pracy we „Wrzosowisku” i pomysłach Doroty, które jeszcze trochę, a źle się dla nas wszystkich skończą. Całkowity relaks. Tego mi było trzeba.

Dzieci były zachwycone wyjazdem. Ciągłe powtarzały, że to ich prezent za superzachowanie i świetne oceny w szkole. Michałek już nawet zaczął rozważać, czy zamiast astronautą, nie lepiej zostać kapitanem statku. Jak stwierdził, do pracy miałby bliżej, więcej ludzi wokół, a do tego kąpiele w najlepszych miejscach na świecie. Tak sobie wymyślił! Rozalka miała za to inne plany. Tak jej się spodobało pozowanie na tle morza, że postanowiła w przyszłości zostać modelką.

Adaś pobladł, słysząc o planach swojej córki i stwierdził, że chyba też się do siostrzyczek zakonnych wybierze, by przy okazji jeszcze w jednej intencji się modliły. Stwierdził, że prędzej on zostanie górnikiem niż Rozalka modelką. Ależ on się robi zazdrosny o swoją małą córeczkę!

Dorota zdawała mi na bieżąco relację z prac „Wrzosowiska”. Oj, ma kobieta talent! Nie wiem, jak ona to robi, ale ciągle przekazuje mi, że

znalazła nowego klienta. Naprawdę zaczynam ją podejrzewać o jakieś szatańskie umiejętności. Ja to się muszę nachodzić, naprosić, natłumaczyć. A ona? Tu się zakręci, tam spojrzy zalotnie i już klient jest.

Ale jedno ją podłamało. Nie ma na razie swojego samochodu. Piękne służbowe cacko musiała oddać wraz z początkiem afery z kontraktem. Maciek obiecał jej, że w okolicach gwiazdki pomyśli o czymś dla kochanej żony. Nie ukrywają, że liczą na konkretne odszkodowanie za straty, które poniosła Dorota wskutek tej afery w pracy. Toczą się aż dwa postępowania. Ale jak to w sądzie, trzeba czekać, nie zadawać zbyt wielu pytań i mieć ogrom cierpliwości. Dorota nie daje się jednak i już zapowiedziała imprezę z racji wygranej w sądzie. Teraz ma na głowie inne sprawy. Zajęła się reklamą „Wrzosowiska” i znając ją, za chwilę możemy być we wszystkich gazetach. W działaniach marketingowych jest naprawdę dobra.

Powrót do rzeczywistości był trudny. Chyba bardziej dla nas, dorosłych, niż dla dzieci. Nawet się cieszyły z rozpoczęcia roku szkolnego. Mogły do woli opowiadać o wakacjach nad morzem. Za rok planujemy pojechać w góry. Tak zdecydowały maluchy. Dobra, mogą być i góry.

Wreszcie musiałam zmierzyć się z czymś, co od dłuższego czasu wciąż odkładałam na później. O czym mowa? O listach, które dostałam od Jonasa, pisanych przez mojego dziadka do Elizabeth. Intrygowały mnie, a zarazem z ich powodu czułam strach. Sama nie wiem przed czym. Może przed odkryciem kolejnej niewygodnej tajemnicy dotyczącej mojej rodziny? Raz nauczona, że przeszłość może nieźle namieszać w teraźniejszym życiu, wolałam dmuchać na zimne. Ale ile można czekać i odkładać coś na później?

Dlatego gdy nadszedł kolejny deszczowy wieczór i byłam w domu sama, sięgnęłam wreszcie po ukrytą w łóżku drewnianą skrzynkę, w której Elizabeth trzymała listy od mojego dziadka. Każdy z nich przechowywany był w kopercie, dodatkowo owinięty w szary papier. Bardzo się starała, żeby żaden się nie zniszczył.

Delikatnie wyjęłam jeden z nich. Przyjrzałam się kopercie. Widniały na niej idealnie nakreślone litery. Imię i nazwisko nadawcy oraz adres. Od razu poznałam. To pismo mojego dziadka. Wyjęłam list z koperty. Wzięłam głęboki oddech. List pisany w Polsce, datowany na 12 marca 1972 roku.

Wysłany tego samego dnia. Elizabeth mieszkała już wtedy w Berlinie. Jak po tylu latach się odnaleźli? Przez długi czas nie mieli kontaktu i nie wiedzieli, jak potoczyło się ich życie. W swoim pamiętniku dziadek pisał:

Elizabeth, dotrzymałem danego ci słowa. Dokumenty są bezpieczne, schowane pośród polskich drzew na polskiej ziemi. Tak, jak tego pragnęłaś. Nie wiem, gdzie jesteś, czy jeszcze żyjesz. Może kiedyś cię odnajdę. Możesz żyć spokojnie. Nie zdradzę twoich sekretów.

Na jak długo stracili ze sobą kontakt? Jak wpadli znowu na swój trop? Kto kogo postanowił odnaleźć i jak się to udało? Po tylu latach? Nie sposób tego pojąć. Może listy przyniosą odpowiedź. Są jak mapa, po której można dotrzeć do celu.

Droga Elizabeth!

Jak układa się Twoje życie? Czy dużo w nim dobra? Jak się mają Twoje dzieci, Anton i Carla? Jak Twoje zdrowie? Czy już mniej się martwisz przyszłością?

U mnie bez zmian. Żyję tak spokojnie, jak jeszcze niedawno nawet nie umiałem sobie wyobrazić. Moja żona i syn mają się bardzo dobrze. Mam zwyczajne, rodzinne życie. Takie, o którym kiedyś obydwójce marzyliśmy.

(...) Czasami śnią mi się koszmary. Jestem wtedy w obozie. Wracają w pamięci wszystkie przekłete miejsca, w których byłem, i ludzie, moi obozowi towarzysze. Po przebudzeniu myślę, ilu z nich udało się przeżyć. Ilu miało tak wiele szczęścia jak ja? A jeżeli ich już dawno nie ma? Nie uważasz, że to wielka niesprawiedliwość? (...)

Pamiętam to doskonale. Już jako zupełnie mała Alicja czułam, że stoi za tym wielka tragedia. Koszmary, krzyki rozdzierające nocną ciszę, napady paniki. To było codziennością w naszym domu. Dziadek był już wtedy w zupełnie innym świecie, ale pamięć nie dawała mu wytchnienia. Piekło obozu upominało się o niego w nocy. A noc to przecież czas duchów przeszłości.

Pniewo, 15 maja 1982 r.

(...) Pewnie domyślasz się, droga Elizabeth, ile to dziecko daje mi radości i szczęścia. Moja Alicja. Wymarzona, wymodlona wnuczka. Tak długo na nią czekałem. A dziś? Biega tuż obok mnie i sprawia, że moje życie na nowo jest pełne kolorów. W majowym sadzie wygląda jak mała księżniczka. O, teraz, gdy piszę ten list, siedzi blisko mnie na kocu i układa kwiaty. Tu, pod naszą ukochaną jabłonią. Nie wiem, ile to drzewo ma lat, ale nie ugnie się przed żadną burzą. Silne korzenie przetrwają wszystko. Tak jak my, Elizabeth. Pamiętaj, że nasza tajemnica jest bezpieczna. Przyjdzie dzień, gdy prawda wyjdzie na jaw. A wtedy całe zło, którego zazналиśmy w życiu, pójdzie w zapomnienie. Było warto. Pamiętaj o tym. (...)

Jakie to dziwne uczucie czytać po tylu latach, że było się dla tego staruszka całym jego życiem. Ja? Alicja, która jeszcze do niedawna nie potrafiła uwierzyć, że może być ważna dla kogokolwiek. Zapomniałam, że mogę być, bo odeszli ci, którzy mnie kochali. Odeszli zbyt szybko.

Mała dziewczynka dostrzegała wiele, ale nie wszystko. Nie pamiętam tej sceny, o której pisał dziadek. Wiele razy byłam z nim w majowym sadzie, ale akurat tej chwili nie umiem sobie przypomnieć. Byłam blisko niego, gdy pisał do Elizabeth. Wiedziała o moim istnieniu. Ciekawe, czy wcześniej myślała o tym, by mnie odszukać? Co takiego się wydarzyło, że prawda, o której pisał dziadek, i tajemnica dokumentów nie wyszły na jaw?

(...) Czasami moje myśli skupiają się na jednym pytaniu. Czy mogliśmy zrobić coś jeszcze? Coś więcej? Na ile wykorzystaliśmy daną nam szansę? Zastanawiasz się nieraz nad tym? Tak sobie czasami ich wyobrażam. Jacy są? Gdzie są? Jak potoczyło się ich życie? Może dane nam będzie kogoś z nich spotkać? Jak myślisz? Jest to możliwe? Ja w to wierzę (...)

Jacy oni? Kogo dziadek miał na myśli? Dziwne to wszystko. Myślałam, że w listach znajdę odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, a teraz tych pytań jest coraz więcej. Co się stało? Kogo dziadek chciał odszukać?

(...) Wiesz dobrze, droga Elizabeth, jak uwielbiam jabłonie. Zawsze były dla mnie symbolem siły. I rodziny. Bo jedna jabłoń jest silna i piękna, ale gdy jest ich więcej, wtedy tworzą całość, którą każdy podziwia.

W moim sądzie jest ich wiele. Ale ta najstarsza jest dla mnie najważniejsza. Sama wiesz dlaczego. Lata mijają, a ona wciąż trwa. Jej gałęzie są schronieniem. Nie tylko dla mnie. Pod nią każdy czuje się bezpiecznie (...).

Na przekór całemu światu

Babcia Jasia wydobrzała. Nabrała sił, lepiej jadła i zaczął jej dopisywać dobry humor. Czyja to zasługa? Na pewno pomogły wreszcie idealnie dobrane leki, opieka całej rodziny i ciągłe powtarzanie, że musi wyzdrowieć, by wspierać mnie w sądzie w sprawie o adopcję. To babcię Jasię mobilizowało najlepiej. Kamień spadł mi z serca. Za mną kilka nieprzespanych nocy. Dopiero teraz tak naprawdę dotarło do mnie, że moja ukochana babcia ma już swoje lata i z każdym dniem ubywa jej sił. Tym bardziej się starałam, by miała opiekę i wsparcie każdego z nas. A babcia? Jak to ona, przeganiała każdego i groziła, że jak nie damy jej spokoju, to wyprowadzi się do schronu i razem z Henrykiem na dobre się przed nami schowa.

Co nie zmienia faktu, że problemy jak były, tak i są nadal. Czasami tak sobie myślę, że z dnia na dzień jest ich coraz więcej. Wystarczy chwila nieuwagi, a tu bach! Nowy problem staje mi na drodze.

Ostatnie dni upłynęły pod hasłem adopcji. Przeczytałam chyba wszystkie możliwe książki, przeszukałam cały internet, a nawet korespondowałam mailowo z kobietą, której udało się zaadoptować dziecko, mimo że jest singielką i nie mieszka w szklanym pałacu. Ale jednak czymś mnie wystraszyła. Napisała, że sąd w wywiadzie środowiskowym dokładnie sprawdza, czy kandydat do adopcji dziecka przypadkiem nie żyje w nieformalnym związku. Padł na mnie blady strach. Przecież każdy wie, że Adam jest moim partnerem życiowym, mieszkamy razem i wspólnie wychowujemy nasze dzieci. A jeśli sąd uzna, że to rażący przykład złego prowadzenia się? Bez ślubu? Dzieci na to wszystko patrzą? Co wtedy? Nie ma szans na oficjalny związek, bo szanowny pan partner się jeszcze nie rozwiódł i nieprędko się na to zanoszą. I ja chcę w tej sytuacji adoptować

dziecko? Wpadłam w panikę. A co, jeśli ktoś na mnie donosi? Chce zaszkodzić sprawie? Oficjalnie Adam ze mną nie mieszka, ma przecież swój dom. Ale jak jest naprawdę, każdy przecież wie. Na spełnienie złych przeczuć nie trzeba było długo czekać.

Dzień zapowiadał się dość spokojnie. Adaś pracował w swoim warsztacie, dzieci bawiły się u Basi, a ja siedziałam na Skypie. Tłumaczyłam Dorocie szczegóły jej nowego zlecenia. Nagle usłyszałam walenie do drzwi. Zaniepokojona pobiegłam zobaczyć, co się dzieje i kto tak się do mnie dobija. Za drzwiami stał pan Miecio. Aż purpurowy na twarzy. Nigdy go nie widziałam tak zdenerwowanego.

– Alicja! Szybko! Stara Rejterowa atakuje panią Janinę! – wrzeszczał z całych sił.

– Jak to? – W pierwszej chwili nie zrozumiałam w ogóle, o czym mówi.

– Tam! Na drodze! Wyzywa ją!

– Gdzie? Proszę mnie tam zaprowadzić!

W jednej chwili wypadłam z domu. Zdążyłam jeszcze chwycić telefon. Stwierdziłam, że może się przydać.

Pan Miecio biegł w stronę furtki, która prowadziła wprost na ulicę. Gdy tylko znalazłam się przy szczycie domu, od razu usłyszałam jakieś krzyki. Po chwili zobaczyłam stojącą na chodniku babcię Jasię, która zasłaniała twarz fartuchem i płakała. Stara Rejterowa podchodziła do niej coraz bliżej i agresywnie wymachiwała rękoma. Z sąsiednich domów zaczęli wychodzić ludzie, zaskoczeni tym, że na drodze doszło do awantury.

– Tak łatwo ci nie pójdzie! Nagle dzieciaka chcesz oddać! Kaśka z Mateuszem się w grobie przewracają, że ich Michałek na zmarnowanie pójdzie! – krzyczała Rejterowa.

– Daj mi spokój! Co ja ci zrobiłam?! – broniła się babcia Jasia.

– Coś podobnego! Dzieciaka oddawać paniusi, co to o życiu nic nie wie! Z chłopem bez ślubu mieszka! W rodzinę chce się bawić! – Rejterowa nie przebierała w słowach.

– Co tu się do cholery jasnej dzieje?! – wrzasnęłam. – Co pani wyprawia? Nie wstyd pani zaczepiać i atakować na ulicy starą kobietę?! Sumienia pani nie ma?

– To ty jesteś ta bezczelna baba! Cudze dzieci chcesz sobie przywłaszczyć! Nie pozwolę na to! – Rejterowa podniosła leżący na poboczu kij i zaczęła nim wymachiwać.

– Halo! Niech się pani uspokoi. Bo zaraz policję wezwę! – Z tłumy wyszedł sołtys i chciał uciszyć sąsiadkę, która od wielu lat dokucza wszystkim mieszkańcom Pniewa.

– Tylko mi zależy na tym małym chłopcu! Nikt z was nie chce go bronić! A babka chce go oddać tej lafiryndzie! Że to się Boga nie boi!

– Nie życzę sobie takich słów! – postawiłam się jej. – Niech się pani zajmie sobą i da ludziom spokój! Na nic się zdadzą pani matactwa i donosy! Jeszcze jedno złe słowo, a mój adwokat się panią zajmie. Takie wyzwiska to jest przestępstwo!

– Ty mnie tu adwokatami straszyć nie będziesz! Już ja się wszystkim zajmę! Jeszcze tego pożałujesz! – Rzuciła kij w moją stronę, odwróciła się i ruszyła w stronę swojego domu.

– Dzieciaka skrzywdzić nie damy. Lepiej się pani swoim życiem zajmie! Wiecznie ma pani z kimś zatargi. Nie chcemy tego! – powiedział któryś z sąsiadów. Na te słowa Rejterowa pogroziła mu jeszcze ręką i poszła, przeklinając pod nosem.

Sołtys i pan Miecio uspokajali wzburzonych ludzi, którzy mieli już dosyć ciągłych awantur wszczynanych przez sąsiadkę, od lat siejącą we wsi zamęt. Zajęłam się babcią Jasią, która za nic w świecie nie mogła przestać płakać. Pani Irenka pomogła mi zaprowadzić ją do domu, gdzie dostała krople na uspokojenie. Po półgodzinie zasnęła. Zadzwoiłam do Adasia, by jak najszybciej do nas przyjechał. Wystraszył się tą okropną sytuacją i chciał wszystko zgłosić na policję. Nie pozwoliłam mu. Nie chciałam zaostrzać konfliktu z Rejterową. Miałam nadzieję, że wreszcie odpuści. A jeśli nie? No cóż, wtedy będzie poważny problem.

Zakreślona w kalendarzu data siódmego września była moim kompasem przez ostatnie tygodnie. Kolejny TEN dzień zbliżał się wielkimi krokami, a moje serce przepęśniał coraz większy strach. Dzień przed rozprawą spotkałam się z Maćkiem. Wyjaśnił mi dokładnie, jak będzie wyglądało postępowanie przed sądem. Podtrzymywał mnie na duchu, mówiąc, że na naszą korzyść przemawiają bardzo mocne argumenty. Miałam w sądzie

zoznawać prawdę i tylko prawdę i na każdym kroku podkreślać, że moim jedynym celem jest dobro Michałka. Bo tak przecież jest. Maciek wyjaśnił mi jeszcze, że rozprawa będzie wyglądać bardzo podobnie do tej o przejęcie opieki. Z jednym wyjątkiem, teraz będziemy siedzieli w ławie obok siebie i nie będę już wypraszana na czas zeznań powołanych biegłych.

– Na początku sędzia wstępnie nas wysłucha. Przedstawię sprawę i jeszcze raz przybliżę nasz wniosek o adopcję – tłumaczył Maciek. – Potem ty powiesz kilka słów od siebie.

– To wszystko, co rozpisaliśmy na kartkach? – upewniłam się.

– Tak. Z tego bardzo dobrze się przygotuj. A co będzie dalej, to już zależy od sędziego.

– O sobie jestem spokojna. Martwi mnie tylko Rejterowa.

– Nawet o niej nie myśl. Nic nie robi. Zresztą, sąd szybko się na takich ludziach poznaje.

W nocy przed TYM dniem byłam bardzo niespokojna. Martwiłam się rozprawą w sądzie i czułam okropny lęk o Michałka. Niby wszystko szło po mojej myśli, Maciek robił, co tylko mógł, by sprawa się powiodła, ale ja i tak byłam bardzo zdenerwowana. Kilka razy wstawałam w nocy, by zajrzeć do pokoju moich pociech. Spały spokojnie. Sprawdziłam, czy za bardzo się nie odkryły, pocałowałam w policzki i powiedziałam po cichu, jak bardzo je kocham. Zawsze chciałam, by były jak najbliżej mnie. Czy nie tego chce właśnie każda matka? By jej dzieci były zawsze blisko? By mogła nad nimi czuwać i chronić przed każdym złem? Nie jestem ich biologiczną matką, bo ich nie urodziłam, ale moje serce bez reszty należy do nich.

Zapowiadał się piękny wrześnieowy dzień. Wszystkim dopisywały humory. Michałek obudził mnie słodkimi pocałunkami i wyznaniem, że jestem najwspanialszą mamą na świecie. Uznałam to za dobry znak dla dzisiejszej rozprawy. Dzieci zostawiłam pod opieką babci Jasi i Adasia. Do sądu pojechałam jedynie z Maćkiem.

Od ostatniej rozprawy w sądzie nic się nie zmieniło. Cisza, spokój, wszyscy poważni. Bez problemu znaleźliśmy właściwą salę rozpraw. Maciek założył togę. Podszedł do wywieszanej na drzwiach wokandy i uśmiechnął się.

– Sędzią przewodniczącym w naszej sprawie jest ten sam człowiek, który prowadził sprawę o opiekę – poinformował mnie.

– To chyba dobrze? – Nie znałam się na tych wszystkich niuansach.

– Zna dokładnie podstawy naszego wniosku. Poznał sytuację Michałka, twoją, pani Janiny. Przyznał nam bez problemów prawo do opieki.

– Wtedy zrobił na mnie dobre wrażenie. Jestem przekonana, że doskonale wie, jak bardzo mi na Michałku zależy – wyznałam szczerze to, co czuję.

– Czyli to już połowa sukcesu – zauważył trzeźwo Maciek.

Równy o dziesiątej wyszła do nas ta sama co poprzednio protokolantka, wyrecytowała standardową formułkę i zaprosiła do sali osoby, które przybyły na rozprawę. Stałam obok Maćka, po czym na znak sądu usiedliśmy. Podobnie jak ostatnio, sędzia przewodniczący sprawdził listę obecności, spytał, czy ktoś ma wnioski formalne, po czym przeszedł do rozprawy. W tym czasie Maciek złożył pełnomocnictwo. Sprawa toczyła się tak, jak sam przewidział. Sąd nas wysłuchał, a potem przystąpił do kolejnych czynności.

Stałam za barierką dla świadków. Zgodnie z sugestią Maćka zwięźle przedstawiłam swój wniosek, argumenty oraz wskazałam dowody, które jednoznacznie potwierdzają, że spełniam przesłanki do adopcji Michałka. Po mojej wypowiedzi sędzia przewodniczący zadał mi jeszcze kilka pytań, bym mogła doprecyzować niejasne kwestie. Maciek też zadał mi dwa pytania, co do których już wcześniej się umówiliśmy. Czułam, że radzę sobie dosyć dobrze. Stres powoli ze mnie uchodził wraz z odpowiadaniem na kolejne pytania.

Po wysłuchaniu mnie sędzia przewodniczący ogłosił, że sąd zwraca się do ośrodka adopcyjnego celem zbadania więzi pomiędzy mną a Michałkiem oraz moich predyspozycji do opieki nad małoletnim. O terminie badania mój pełnomocnik, czyli Maciek, zostanie powiadomiony. Sąd dodał, że obecnie rozprawa zostaje odroczone, do dalszego procedowania potrzebna jest opinia ośrodka. Po badaniu przez ośrodek zostanie wyznaczony termin kolejnej rozprawy, o której zostaniemy powiadomieni. Rozprawa się zakończyła. Wyszliśmy z sądu.

– Jak to wszystko oceniasz? – zapytałam Maćka zmartwiona.

– Standardowa procedura. W takich sprawach zawsze jest konieczność badania w ośrodku. To nic strasznego. Sprawdź, czy masz więź z Michałkiem.

– Tu będzie to badanie? W Pułtuskach?

– Nie. Tym razem w Ostrołęce. To właściwy ośrodek dla tego regionu.

– Powiesz, jak mam się przygotować do badania? Dasz mi jakieś dobre rady? – zapytałam.

– Alicjo, wszystko będzie dobrze. Przygotujemy się na szóstkę. Poza tym, o co się martwisz? Jesteś dla Michałka całym światem. Tego nie da się wyuczyć. To jest miłość.

Sztuka serca

Dopiero co opadły emocje po rozprawie w sądzie, a na horyzoncie majaczył już kolejny bardzo ważny dla wszystkich dzień – wystawa prac Adasia w pułtuskim zamku. Tak jak do tej pory wszystko było mniej więcej pod kontrolą, tak na tydzień przed terminem wystawy rozpruł się worek z problemami i ze sprawami, które trzeba było załatwić natychmiast. Pojawiły się też setki rozmaitych niepotrzebnych pytań. Trochę zawinił sam Adaś, bo jak się okazało, w swoich dziełach ma bałagan wprost nieprzeciętny. Najpierw zaginęła rzeźba! Szukali jej wszyscy, gdzie tylko się dało. Nawet w stodole u pani Irenki, bo przecież kilka lat temu Adaś właśnie tam przynosił różne swoje prace, gdyż miały w tym miejscu dobre warunki do wyschnięcia. Tam jej jednak nie było.

Nagle Adaś doznał olśnienia! Po trzech dniach poszukiwań przypomniało mu się w końcu, że ze dwa lata temu jego dobry znajomy, który chciał promować prace młodych i zdolnych artystów, wypożyczył rzeźbę na wernisaż.

Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy do Ciechanowa. Ja, Adaś i dzieci, by przy okazji nieco pozwiedzać. Adaś miał wyrzuty sumienia, że na własne życzenie komplikuje organizację wystawy. Do tego ów znajomy za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie przechowuje rzeźbę Adasia.

I znów zaczęły się poszukiwania!

Najpierw byliśmy w Muzeum Szlachty Polskiej. Ale nie, tam rzeźby nie było. Potem byliśmy w co najmniej trzech kościołach. Na nic się to zdało. Wreszcie trafiliśmy do ratusza, gdzie z opresji wybawiła nas pani Bożenka, która od kilkunastu lat zawiaduje w budynku wszystkimi kluczami i wie, co i gdzie jest ukryte. Adaś opisał, o którą rzeźbę nam chodzi, a pani Bożenka po chwili namysłu doszła do wniosku, że wie, gdzie jej szukać. Rzeźba stała w rogu pomieszczenia, które od dawna pełniło funkcję magazynu, zanoszono do niego wszystko na tak zwane „potem”. Szanownemu koledze Adasia od razu się przypomniało, że przecież wernisaż był w ratuszu, a skoro był w ratuszu, to i rzeźba tu została. Mieliśmy dzięki temu okazję do zwiedzenia pięknego miasta, poznaliśmy kilka niezwykłych osób. Widzieliśmy wieżę ciśnień, neogotycką bramę i skrzydło dawnego klasztoru. Dzieci były zachwycone ruinami zamku książęcego. Rozalka od razu stwierdziła, że mogłaby w nim zamieszkać, a Michałek chciał być dzielnym rycerzem. Obiecaliśmy sobie, że jeszcze tu wrócimy.

Potem nie było wcale lepiej. Wszystkie prace, które Adaś wybrał na wystawę, musieliśmy zawieźć prosto do pułtuskiego zamku. Wynajęliśmy nawet specjalny bus, bo niektóre rzeźby mają prawie dwa metry! Na miejscu wszystko trzeba było ostrożnie poustawiać. I znowu coś było nie tak. A to światło za słabe, kąt nachylenia nie taki, kolor tła niekorzystny. O ja naiwna! Dotąd myślałam, że rzeźbę po prostu się zawozi, ustawia i jest dobrze. Nie, nie jest.

Do tego doszło mnóstwo różnych telefonów od mediów (przejęłam telefon Adasia i udawałam jego prywatną asystentkę), mnóstwo drobiazgów organizacyjnych i ogólne zamieszanie. Na dzień przed wystawą miała miejsce kolejna katastrofa.

Adaś uparł się, że włoży swój ulubiony garnitur. Wcześniej go jednak nie przymierzył. A tu bomba! Garnitur okazał się za ciasny. Adaś niezle przytył, odkąd u mnie zamieszkał i jadamy razem (To ja tak świetnie gotuję? Nie wierzę!). Było bieganie od sklepu do sklepu, ale garnitur znaleźliśmy. Uff! Ja zdecydowałam się na suknię w kolorze czerwonego wina. Bardzo seksowną! Michałek włożył białą koszulę, czarną marynarkę i spodnie oraz czerwoną muchę. Aż mi się łezka w oku zakręciła, jak go zobaczyłam tak eleganckiego. Nagle w moich oczach stał się prawie nastolatkiem! A ja przecież za żadne

skarby świata nie chcę, by mi tak szybko wydorosła. Pani Mikulska ubrała Rozalkę w śliczną błękitną sukienkę z tiulu aż do ziemi. Wyglądała niczym księżniczka! Również babcia Jasia była bardzo elegancka w swojej najlepszej kreacji.

Dzieciaki dosłownie nie mogły się doczekać. Ja tym bardziej.

Wreszcie nadszedł uroczysty moment... Adaś był tak zestresowany, że babcia Jasia musiała mu użyczyć swoich kropli na uspokojenie. Rano poszedł do warsztatu, siedział tam z godzinę, a potem grał na skrzypcach. To go trochę uspokoiło.

Wraz z nami na wernisaż wystawy wybierali się również: Dorota z całą rodziną, pani Irenka, Basia z rodziną, Henryk (nawet nie musiałam go namawiać, bardzo chciał jechać!), pani Mikulska (by wreszcie po latach podziwiać talent syna) oraz wielu sąsiadów.

Duma rozpierała nas wszystkich. Wernisaż był bardzo uroczysty. Adaś nie był już tak zestresowany. Uśmiechał się, rozmawiał z przybyłymi, opowiadał o swojej sztuce. Zjechali się najważniejsi goście z Pułtuska i całego regionu. Wielką niespodziankę zrobili mu jego studenci! Nie spodziewał się, że przyjadą!

Było przemówienie burmistrza, uroczyste gratulacje i zapewnienia, że miasto dołoży starań, by lokalny artysta mógł promować siebie i swoją sztukę. Tworzoną sercem, bo zebrani goście od razu spostrzegli, że rzeźby Adama to obraz jego uczuć i wrażliwości. Od razu znalazło się kilku chętnych, żeby niektóre zakupić. Znowu stałam się asystentką Adasia, tym razem do spraw finansów. Nie narzekałam na to wcale. Wręcz przeciwnie. Widząc szczęście w jego oczach i promienny uśmiech, wiedziałam już, że to ten właśnie moment, na który czekaliśmy, że Adam znowu wyjdzie ze swoją sztuką do ludzi.

A to nie będzie trudne, bo Dorota ściągnęła do Pułtuska chyba połowę ogólnopolskich mediów. Zawsze wiedziałam, że jeśli moja przyjaciółka się uprze, to będzie właśnie tak, jak chce, ale teraz przeszła samą siebie. Dzięki niej Adaś udzielił wywiadu, który został wyemitowany wieczorem w porze największej oglądalności.

– To moja ogromna pasja. Styl życia. Uwielbiam rzeźbić. Szczególnie ludzkie dłonie. Są niezwykle. – Adaś odpowiadał na kolejne pytania

dziennikarzy podczas konferencji.

– A co je różni? – Dziennikarz był bardzo zainteresowany jego słowami.

– Różni je cel, do którego zostaną wykorzystane. Czasami są to złe czyny, na przykład wyrządzenie komuś krzywdy, pobicie, pozbawienie życia. Lub coś, co wygląda na mało znaczące, ale nie jest takim dla osób, które nas otaczają. Wystarczy, że matka puści dłoń swojego dziecka i je zostawi. Prosty gest. Ale dziecko zapamięta go na zawsze i będzie musiało z tym żyć – wyznał szczerze Adam i spojrzął w moim kierunku. Wiedziałam doskonale, że mówi o Joannie, o tym, że potrafiła zostawić Rozalkę.

Przez chwilę zrobiło mi się bardzo przykro. Jak to? Tyle czasu minęło, a w nim tak mocno tkwi żal związany z decyzją Joanny? A my? A nasza nowa rodzina? Skarciłam siebie za tak egoistyczne myśli. Pomyślałam o sobie i o Pawle. Od naszego rozvodu, od ostatniego spotkania, ostatniej rozmowy również minęło sporo czasu. Nie ma go blisko mnie. Co bym zrobiła, gdyby nagle się pojawił? Stał przed mną i zaczął przeproszać za złą przeszłość? Byłabym na to obojętna? Nie. Zwyczajnie nie da się wymazać tego, co było. Na ślady przeszłości natykamy się każdego dnia. Trzeba tylko nauczyć się z nią żyć. Nie można jej żałować. Dzięki niej wiemy, jakich błędów nie powinniśmy już popełniać. Pierwszy błąd jest zawsze skutkiem naszej nadziei na sukces, kolejne błędy to już zwykła głupota.

Po uroczystej części artystycznej był wystawny poczęstunek, długie rozmowy, wymiana ważnych kontaktów. Dorota biegła za dziennikarzami i namawiała ich na artykuł albo relację o naszym „Wrzosowisku”. Byłam pewna, że przekona całą dziennikarską śmietankę. Dzieci bawiły się wspólnie pod czujnym okiem babci Jasi. A mnie udało się na chwilę zabrać Adasia nad brzeg Narwi, by odetchnąć świeżym powietrzem.

– I jak? Zadowolony? – Objęłam go i delikatnie pocałowałam w usta. Oczy mu błyszczały. Dawno nie widziałam w nich tyle radości.

– Dziękuję, że to wszystko zorganizowałaś. Jestem szczęściarzem. Mam przy sobie niezwykłą kobietę, wspaniałą rodzinę i jeszcze wielką pasję.

– Jesteś naprawdę szczęśliwy? – Przypomniałam sobie jego słowa o ludzkich dłoniach i ich sile, które niedawno padły. Pogładziłam go po twarzy.

– Bardzo. Nawet nie wiesz, jak bardzo – odpowiedział cicho i coraz

namiętniej mnie całował. Odwzajemniłam każdy jego pocałunek, dotyk, spojrzenie.

– Niech już tak zawsze będzie – dodałam pełna wiary w dobre jutro.

– Damy sobie radę ze wszystkim. – Zamknął mnie w swoich silnych ramionach.

Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane

Druga połowa września zapowiadała się spokojnie. Moje myśli zajmowało jedynie czekanie na list z sądu z wyznaczonym terminem badania w ośrodku adopcyjnym. Babcia Jasia wydobrzała, dzieci grzecznie ruszyły do szkoły, Henryk zaczął dbać o siebie. Dorota szukała nowych klientów, a ja intensywnie pracowałam nad projektem ogrodu zimowego dla przedsiębiorcy z Wyszkowa. Zbudował dom nad Bugiem i zamarzył sobie, by ogród był skierowany w stronę rzeki i sprawiał wrażenie, że prowadzi prosto do niej. Projekt trudny, ale lubię wyzwania, stąd i motywację do pracy mam solidną.

Adaś podobnie. Po wystawie w Pułtuskach rozpruł się worek z zaproszeniami na kolejne wystawy i wernisaże. Do tego było mnóstwo propozycji wywiadów, ukazał się też reportaż o jego pracy. Dawno nie widziałam go tak szczęśliwego!

Ale tak to już jest, że gdy nagle wszystko zaczyna się świetnie układać, człowiek od razu sobie myśli, że to na chwilę. Raz uzyskane szczęście można szybko utracić. Chwila mojego spokoju nie trwała długo.

To był zwyczajny leniwy dzień. Od rana siedziałam nad projektem. Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk telefonu. Nie znałam tego numeru.

– Alicja Pniewska, pracownia „Wrzosowisko”, słucham? – przywitałam się.

– Musisz mi pomóc! Nikogo nie mam! – usłyszałam przerażony głos.

– Ewa? – zapytałam, jednak od razu poznałam, że to właśnie ona.

– Dzwonię z budki telefonicznej. Proszę, przyjedź. Pomóż nam. Marek, mój były, wpadł na nasz trop i chce nas skrzywdzić. Pomóż, Alicjo, proszę cię! – wykrzyczała.

– Gdzie jesteście? Halo! – Z telefonu dochodził jedynie sygnał przerwanej rozmowy. Wykręciłam numer, który się wcześniej wyświetlił. Nikt nie odebrał.

Ogarnęła mnie panika. Co robić? Jak im pomóc? Chciałam zadzwonić do Adasia, ale szybko uznałam, że to nie jest dobry pomysł. Przecież od razu by się zdenerwował. Znam go. Boi się o mnie i będzie pilnował, żebym nie popełniła znowu jakiegoś głupstwa.

Niestety same głupie rzeczy przychodziły mi do głowy. Szybko zmieniłam ubranie na bardziej wyjściowe i sprawdziłam w lustrze, czy dobrze wyglądam. W biegu zabrałam telefon, klucze, ładowarkę i trochę pieniędzy. Zamknęłam dom i uruchomiłam samochód. Cel był tylko jeden. Jak najszybciej odszukać Ewę i Sylwię i im pomóc.

Gdy parkowałam na Pradze pod obskurną kamienicą, opanował mnie potworny lęk. Sama nie wiem, czy bałam się bardziej tego, co zostanę w mieszkaniu, czy tego, że Ewa nagle zrezygnuje z mojej pomocy i każe mi się wynosić. Był tylko jeden sposób na sprawdzenie tego.

Na górze drzwi do mieszkania były uchylone. Ostrożnie je pchnąłem i na widok zdemolowanego przedpokoju serce we mnie zamarło. Dalej było jeszcze gorzej. Nie było gdzie nogi postawić. Cała podłoga usłana była porozrzucanymi przedmiotami, ubraniami, rozbitym szkłem. Jakby przed chwilą wydarzyło się tu coś naprawdę bardzo złego. Dokładnie rozejrzałam się. Nikogo nie było.

– Pani Alicja? – Usłyszałam głos za swoimi plecami.

– O Boże! Ale mnie pani wystraszyła. – Stała przede mną młoda kobieta trzymająca na rękach małego chłopca. Była niespokojna.

– Przepraszam. Czekałam na panią. Proszę, tu ma pani zapisany nowy numer telefonu do Ewy. Prosiła, żeby pani jak najszybciej do niej zadzwoniła. – Podała mi karteczkę.

– Co tu się stało? – zapytałam przerażona. – Gdzie Ewa i Sylwia?

– Nie wiem, gdzie są. Ewa przyszła do mnie rano. Była bardzo zdenerwowana. Mówiła, że Marek ją odnalazł. To jej były. Wystraszyła się. On jest potworem. Groził, że nie odpuści, póki jej nie znajdzie i nie zabije.

– Boże! Co pani mówi?! A policja? Zgłosiła to pani? – spytałam z niedowierzaniem.

– Mam narazić na niebezpieczeństwo siebie i swoje dziecko? Nigdy tego nie zrobię. Zresztą Marek był tu dzisiaj. Ten bałagan to jego sprawka. Ewa dopiero co zdążyła stąd uciec. A on się wściekł i wszystko porozwalał. Na koniec stanął pod moimi drzwiami i darł się na cały głos, że jeżeli ktoś z sąsiadów wezwie policję, to już po nim. Co by pani zrobiła na moim miejscu? Ma pani dzieci?

Jej słowa tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że Ewa ma poważne kłopoty.

– Przepraszam. Rozumiem, że się pani boi. Dziękuję za numer. Muszę jak najszybciej znaleźć Ewę i jej pomóc. – Minęłam ją w drzwiach i zbiegłam na dół.

Kręciło mi się w głowie. Musiałam wziąć kilka głębokich oddechów. Przeczynałam, że to dopiero początek złej historii. Nerwowo wybrałam numer telefonu.

– Ewa, to ty? – zapytałam, zanim ktoś po drugiej stronie zdążył się odezwać.

– Alicja? Jak dobrze, że dzwonisz! Dziękuję, że mnie szukasz. Tak się bałam, że nie będziesz chciała już mnie znać. Przepraszam cię najmocniej – mówiła przerażona.

– Gdzie jesteś? Powiedz i zostań tam. Zaraz do was przyjadę.

– Jestem na Starówce. Wśród ludzi nic nam nie grozi. Marek na pewno tu nas nie szuka. Będę czekać pod kolumną Zygmunta. Przyjedziesz?

– Czekaaj. Już jadę. Nigdzie nie odchodź.

Dawno nie byłam tak zdenerwowana. Nie mogłam przekreślić kluczyka w stacyjce. Wreszcie się udało. Droga wydawała się nie mieć końca.

Stały w umówionym miejscu. Na początku nie poznałam Ewy. Pierwsza do mnie podeszła. Za nią kuliła się Sylwia. Wyglądały źle. Ewa miała na sobie dziwne ubranie, nic do siebie nie pasowało. Do tego brudne włosy i podkrążone oczy. Chwiała się na nogach. Podobnie jej córka. Biedne dziecko. Na pewno bardzo się bała.

– Powiesz, co się stało? – Obiecałam sobie, że nie będę zadawać Ewie

zbyt wielu pytań, by jej nie wystraszyć.

– Marek mnie odnalazł. Musiałam uciekać z tego mieszkania. Nie mam dokąd pójść – mówiła łamiącym się głosem. Wstydziła się swojej słabości i tej trudnej sytuacji.

– Spokojnie, pomogę ci.

– Nie mam żadnej rodziny ani miejsca, gdzie mogę się ukryć. Wstyd mi prosić o pomoc, ale nie mam wyjścia. Sama bym jakoś sobie poradziła. Ale tu chodzi o Sylwię. Od wczoraj ma gorączkę. Nie chcę, by tę noc spędziła na dworcu. Bo tylko takie wyjście nam zostaje. Postaram się odwdziaczyć. Wuj zostawił mi swoje oszczędności. Nie mogę teraz z nich skorzystać, bo nie zabrałam żadnego dowodu ani karty. Nie mam nic.

– O to się nie martw. Pomogę ci. Nie musisz się niczym odpłacać. Tylko obiecaj, że będziesz wobec mnie szczerą. Możemy się tak umówić? – Wpatrywałam się w jej zmęczoną twarz i zastanawiałam się, dlaczego taka młoda kobieta ma tak olbrzymie problemy.

– Tak. Obiecuję. Mam już dosyć. Marek chce mi odebrać dziecko i zrobić ze mnie wariatkę. Nawet jakiegoś detektywa wynajął, żeby ten udowodnił moją chorobę psychiczną. A mnie nic nie dolega! Rozumiesz to?! – krzyczała zdenerwowana.

– Wierzę ci. Wierzę w każde twoje słowo. Poznałam tego detektywa i nawet podsłuchałam jego rozmowę. Pewnie z tym całym Markiem. To nie jest detektyw, tylko ktoś podstawiony. Ewa, w co ty się wpakowałaś? – zapytałam wprost, bo nie umiałam wytłumaczyć sobie jej problemów.

– Marek to chory człowiek. I bardzo mściwy. Zakochałam się w nim i byliśmy razem kilka lat. Ale nie da się żyć z kimś, kto ciągle podejrzewa cię o zdradę i ukrywanie jakichś spraw. Męczyło mnie to. Chciałam odejść. Zabronił mi, szantażował odebraniem Sylwii. Długo to znosiłam. Nawet to, że mnie bił – mówiła jak w transie.

– Bardzo mi przykro. – Naprawdę szczerze jej współczułam.

– Kazał mi chodzić do psychiatry. Niby dla mojego zdrowia. Potem się okazało, że chciał ze mnie zrobić niepoczytalną. No to uciekłam. Powiedział, że mnie znajdzie i zabije.

– Postaram się wam pomóc. Najpierw znajdziemy wam jakiś ką. Nie

myślałaś, by zamieszkać w Pułtusk? W mieszkaniu po swoim wujku?

– Marek zna ten adres. Już tam był. Założę się, że ktoś pilnuje tego miejsca. Czeka na mnie. Jeden błąd z mojej strony może nas wiele kosztować.

Nie było innego wyjścia. Ewa z Sylwią musiały jechać ze mną do Pniewa. Przecież nie mogłam ich tak zostawić. Po drodze wstąpiłyśmy jeszcze do splądrowanego mieszkania. Całe szczęście, że Ewa znalazła portfel i dokumenty. Odetchnęłam z ulgą. Teraz to przede mną stało trudne zadanie. Jak wytłumaczyć Adasiowi, co Ewa zrobiła i dlaczego bez jego wiedzy przywiozłam ją do Pniewa? Bałam się okropnie. I miałam rację.

– Oszalałaś?! Chcesz ściągnąć na siebie i na naszą rodzinę jakieś nieszczęście?! – krzyczał. Chodził nerwowo po warsztacie i nie mógł uwierzyć w moją głupotę. – Zwariuję! Przecież ta kobieta to jakaś kryminalistka! A do tego szuka jej szaleniec!

– Proszę, uspokój się. Co miałam zrobić? Zostawić ją? – tłumaczyłam się.

– A co?! Taka z ciebie opiekunka chorych i ubogich? – rzucił mi prosto w twarz i cisnął w ścianę butelką, która rozbiła się na kawałki.

– Teraz to już przesadzasz! Nie traktuj mnie tak!

– A co mam robić? Ściągasz na nas problemy! Nie znasz tej kobiety! Nie odezwała się do ciebie wcześniej ani razu, chociaż bardzo ją o to prosiłaś. A teraz co? Szuka pomocy! Pamiętaj, jeśli coś się komuś stanie, to chyba ci tego nie daruję! – rzucił wściekły i wyszedł.

– Adam! Zaczekaj! – Nie mogłam uwierzyć w jego słowa.

Wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie, nie wiadomo dokąd. Stałam na podwórku i płakałam jak dziecko. Mikulska słyszała naszą kłótnię. Przyszła mnie uspokoić. Rozumiała mnie i chciała pomóc. Ściemniało się już. Ewa i Sylwia siedziały w moim samochodzie wystraszone reakcją Adama. Mikulska zaproponowała, by spędziły najbliższą noc u niej. Za późno było na szukanie hotelu, a w moim starym domu nie ma aż tyle miejsca. Zgodziłam się.

Obiecałam Ewie, że wrócę do nich zaraz z samego rana. Razem pomyślimy, co dalej. Uspokoila się. Mikulska poczęstowała ją i Sylwią dobrą

kolacją i obiecała, że zadba jak o swoje córki. Byłam o nie spokojna.

Ale bałam się wrócić do domu. Wiedziałam doskonale, że to dopiero początek kłótni z Adamem. Czekał na mnie. Nigdy nie widziałam go tak rozzłoszczonego. Babcia Jasia, czując, na co się zanoszi, zabrała Rozalkę i Michałka do siebie.

Jeszcze nigdy aż tak nie pokłóciłam się z Adamem. Padły słowa, które wcześniej nikomu z nas przez usta by nie przeszły. Za dużo było wypominania, złości, braku zrozumienia. I dobrych chęci. Żadne z nas nie zamierzało ustąpić. Chciałam pomóc Ewie i jej córce, a zarazem chronić swoją rodzinę. Adam widział w tym jedynie pakowanie się w ogromne kłopoty i przewidywał, że po wszystkim Ewa zwyczajnie zerwie ze mną kontakt. My za to zostaniemy z masą nowych problemów. Nie chciałam w to wierzyć. Obstawałam przy swoim, więc poszliśmy spać osobno. Płakałam w poduszkę całą noc. Miałam do Adama wielki żal.

Rozdział XIII

*Różne odcienie miłości – o kłamstwie
w wielkiej sprawie, próbie rozliczenia się
z trudną przeszłością i poważnych
rozterkach małego chłopca*

W potrzasku

Nie spałam całą noc. Było mi strasznie przykro z powodu kłótni z Adasiem. Byłam święcie przekonana, że nigdy nam się coś takiego nie przydarzy. Usiądziemy, porozmawiamy, wspólnie rozwiążemy problem. Teraz było zupełnie inaczej. Adam wyszedł z domu skoro świt. Nawet się ze mną nie przywitał. Rozkleiłam się. Nie mogłam nic robić. Wkrótce przyszła babcia Jasia z dziećmi. Od razu wyczuła, że między mną a Adasiem była porządna kłótnia. Szepnęła mi do ucha, że takie gorsze momenty zdarzają się każdej parze i trzeba być dobrej myśli. Humor poprawiły mi dzieci. Michałek wniósł do domu brudnego jak smoła Jowisza. A ten od razu wskoczył na stół i wydeptał ścieżkę na białym obrusie! Dzieciaki się śmiały, a ja tymczasem biegałam za kotem po całym domu, usiłując go złapać. Wreszcie dorwałam go w łazience. Schował się za pralką. A wcześniej pobrudził całą podłogę!

Oszaleję z tymi dzieciakami!

Babcia Jasia obiecała zająć się domem i dziećmi, a mnie poleciła jak najszybciej jechać do Ewy i Sylwii. Obawiałam się, że Adam już u nich jest i ma pretensje o ich nagły przyjazd. Czy byłby w stanie to zrobić? Po wczorajszej kłótni obawiam się, że tak.

Gdy zajechałam pod dom Mikulskiej, ta już stała na podwórku i trzymała w bańce świeże mleko od sąsiadów. Uśmiechała się. Spojrzała w stronę warsztatu i dała znać, że Adama tam nie ma. To gdzie on się podział?

– Dzień dobry, Alicjo. Jak minęła noc? – zapytała grzecznie, nie czekając na moją odpowiedź, bo po minie mogła stwierdzić, że za mną ciężka awantura z Adasiem.

– Oby to wszystko było warte zachodu – odpowiedziałam zrezygowana.

– Będzie dobrze. Nie z takimi sprawami sobie radziliście. Chodź, zjesz z nami śniadanie. Dziewczyny wstały dziś w dobrych humorach. Chociaż Ewa mówiła coś o wyjeździe.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Zaczęła się martwić, że ci się na głowę zwała i że przez nią masz problemy.

To akurat była prawda. Jednak sama chciałam im pomóc. Przecież to był mój obowiązek. Czułam się za nie odpowiedzialna. Zastałam je przy śniadaniu. Ewa wciąż nie wyglądała dobrze. Miała wielkie sińce pod oczami. Sylwia była za to w lepszej formie. Jadła kolejną porcję jajecznicy, którą specjalnie dla niej zrobiła pani Mikulska. Tego jej było trzeba. Spokoju i dobrego jedzenia. Kamień spadł mi z serca. Jak się okazało, za wcześnie.

– Alicjo, musimy pilnie porozmawiać.

Do domu wszedł zdenerwowany Adam. Spojrzał na Ewę, a potem na mnie. Wiedziałam, że szykuje się coś niedobrego.

– Teraz? Coś się stało? – pytałam przerażona.

– Nie zadawaj pytań, tylko chodź natychmiast. – Ton jego głosu nie pozostawiał złudzeń. Wybiegłam na werandę. Adaś nerwowo zamknął za mną drzwi.

– Co się dzieje?

– Odnalazł je. Ten jej były facet. Od wczoraj jest w Pniewie – mówił tak szybko, że trudno mi było go zrozumieć.

– Jest tu? Ale jak to możliwe? Przecież nie mógł ich tak łatwo znaleźć? – dziwiłam się.

– Nad ranem zadzwonił do mnie Janek Stasiaków, że już w nocy na krzyżówkach pojawił się jakiś samochód z trzema facetami, którzy wypytywali o Ewę.

– Naprawdę? – To, co mówił Adaś, przypominało wątek wzięty prosto z kiepskiego thrillera.

– Mogli cię śledzić. Albo kogoś za tobą wysłali. Tacy jak oni mają swoje sposoby.

– Czyli wiedzą, że Ewa tu jest! – byłam przerażona.

– O ciebie też pytali – dodał z rezygnacją.

– O Boże! A wiedzą, gdzie mieszkam? Co z dziećmi? Są bezpieczne? – dopytywałam nerwowo. Tak cholernie się wystraszyłam!

– Spokojnie. Już o wszystkim pomyślałam. Przed chwilą do naszego domu

pojechał Janek. Zabierze dzieci i babcię Jasię do swojego domu. Tam zajmie się nimi Basia i pani Irenka. Będą też pod opieką dwóch sąsiadów. W naszym domu zostaną pan Leszek oraz Kalinka, ten, który pracował przy remoncie starego domu. Będą mieć na wszystko oko.

– A my? Ewa? Sylwia?

– Coś zaraz wymyślimy. Zostań tu na chwilę, a ja podjadę do domu sprawdzić, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

– Dobrze. Tylko uważaj na siebie. I przepraszam – dodałam skruszona. Adam mocno mnie przytulił. Odzyskałam spokój.

Wróciłam do domu Mikulskiej. Ewa spojrzała na mnie znacząco. Poprosiłam ją do sąsiedniego pokoju. Byłam na nią wściekła. Nie, nie za całą sytuację, tylko za to, że nie znam jej historii i nie wiem, czy jej wersja wydarzeń jest prawdziwa.

– A teraz nie wyjdiesz stąd, dopóki nie powiesz mi, o co tu tak naprawdę chodzi!

– Już mówiłam. On chce zemsty – tłumaczyła się zdawkowo.

– Nie, coś w tej teorii nie pasuje. Za dużo w nim gniewu. Co się naprawdę wydarzyło?

– Przecież mówię! To jest chory człowiek! Sama widzisz, że chce mnie zabić!

– Nie wierzę. Oszukujesz mnie. I za chwilę na nas wszystkich ściągniesz jakąś tragedię! – Nie wytrzymałam. Czułam, że Ewa kłamie. Adam miał rację. Znowu się w coś wpakowałam.

Nagle zadzwonił telefon. Numer, którego nie miałam na swojej liście kontaktów. Już miałam go zlekceważyć, ale wewnętrzny głos podpowiadał mi, że to ważne. Odebrałam.

– Gdzie jesteś, szmato? I gdzie chowasz tę dziwkę? Znajdę was! – Usłyszałam głos pełen nienawiści. Zmroziło mnie. Jak i kiedy zdobył mój numer?

– Zostaw nas w spokoju!

– Najpierw muszę dorwać tę wywłokę. Mów! Gdzie ona jest?!

– Nic ci nie zrobiła! Zostaw ją!

– Znajdę was! Wtedy pożałujesz, że się do tego wtrąciłaś – zagroził i rozłączył się.

Tak się trzęsłam, że telefon wypadł mi z dłoni. Spojrzałam na Ewę. Stała blada jak ściana. Już wiedziała, że jej były właśnie trafił do Pniewa i lada chwila ją znajdzie. Widziałam w jej oczach błaganie o pomoc. Tylko jak? Jak mam to zrobić?

Po chwili usłyszałam, że pod dom zajeżdża samochód. Moje serce na chwilę zamarło. Wyrzałam przez okno. Na szczęście to był Adaś. Mikulska wpuściła go do środka.

– Zbierajcie się. Musicie jak najszybciej stąd uciekać – mówił jak opętany. Złapał jakąś torbę i zaczął do niej wkładać koce.

– Co robisz? – pytałam zdezorientowana.

– Szybko! Zabierzcie ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Zawiozę was do Henryka. Do schronu. Tam będziecie bezpieczne.

– Co? – dopytałam, bo byłam święcie przekonana, że mi się przesłyszało.

– Nie zadawaj tylu pytań. Pakujcie się. Oni za chwilę tu będą. Wezwałem policję.

– Ewa, szybko, musimy jechać w bezpieczne miejsce. – Zrozumiałam, co nam grozi.

W jednej chwili wsiedliśmy wszyscy do samochodu. Wierzyłam, że Adaś wie, co robi, i że będzie to dla nas dobre. Sytuacja wyglądała fatalnie. Ewa coś ukrywała. Tego byłam pewna. Jasne, wierzyłam jej w historię o znęcaniu się nad nią i dzieckiem, ale w tym wszystkim chodziło o coś jeszcze. Tylko o co?

Zajechaliśmy pod cmentarz. Henryk czekał już przed bramą. Wcześniej przywiózł go Adam. Dawno nie widziałam go w tak bojowym nastroju. Czuł się potrzebny. Adaś zdążył mu wcześniej wytłumaczyć, o co chodzi. Henryk zgodził się pomóc. Obiecał, że zrobi wszystko, by nas chronić. Wspólnie ustalili plan oraz czas i miejsce spotkania.

– Proszę, uważajcie na siebie. Alicja, umawiamy się tak, że równo o dwudziestej wyjdiesz ze schronu i do mnie zadzwonisz. Tak? – Adaś musiał mieć wszystko zaplanowane.

– A ty? Dlaczego nie mogę iść z tobą? Co z dziećmi? – martwiłam się.

– Dzieci są bezpieczne. Ty musisz zająć się Ewą i jej córką.

– Co w tym czasie będziesz robił? A jak się coś stanie? – denerwowałam się.

– Muszę mieć wszystko na oku. Policja za chwilę przyjedzie. Jestem tam potrzebny.

– Tylko bądź ostrożny. I nie zrób czegoś głupiego – wymsknęło mi się.

– Możesz być spokojna. Do zobaczenia!

Henryk zaprowadził nas do schronu. Przez całą drogę opowiadał Ewie, co to za miejsce i dlaczego w nim mieszka. Mimo dokładnych informacji, Ewa była jednak w szoku. Długo się zastanawiała, zanim weszła do środka. Bała się. Za to Sylwia od początku była bardzo ciekawa schronu i gdy tylko zeszliśmy na dół, od razu zaczęła oglądać dokładnie każde pomieszczenie. Wiele razy powtórzyła, że chciałaby tu zostać na zawsze. Henryk poczęstował je herbatą i miodem z mniszków. Po chwili Sylwia zasnęła zmęczona ostatnimi wydarzeniami. Ewa była nieco spokojniejsza. Wiedziała, że jest wśród ludzi, którzy jej nie zostawią. Musiała jednak podzielić się swoimi tajemnicami.

– No dobrze. To teraz powiedz, o co w tym wszystkim chodzi. Sorry, nie jestem na tyle naiwna, by uwierzyć, że to tylko szurnięty facet – zaczęłam dosyć ostrym tonem.

– Tak. Nie powiedziałam ci do końca prawdy. Bo nie mogłam. – Ewa spojrzała na mnie z wyrzutem. Bolało ją, że nie chcę odpuścić, że traktuję ją tak samo jak gościa, który ją prześladowuje.

– Czyli bajka o facecie, który znęca się i bije, była wymyślona?

– Nie. To akurat jest prawda – wyznała i schyliła głowę. Spojrzała na śpiącą na jej kolanach Sylwię i pogłaskała ją. Zrobiło mi się głupio. Za bardzo na nią naskoczyłam.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

– W porządku. Masz prawo mi nie wierzyć. Ściągnęłam na was problemy. Ale nie miałam wyjścia. Musiałam do ciebie zadzwonić. Nie mam rodziny, przyjaciół. Od początku mojego związku z Markiem to on decydował, kiedy i z kim mam się spotykać. Tym sposobem sprawił, że po kilku latach nie mam nawet do kogo zadzwonić. Z nieba mi spadłaś.

– Czyli poszło o to, że wasz związek był zły i chciałaś odejść?

– To też. Ale jest coś jeszcze. Marek dowiedział się o tym pół roku temu. Wściekł się. Jest bardzo mściwym człowiekiem. Powiedział, że nie odpuści, dopóki nie spotka mnie kara.

– Co się stało? – Byłam bardzo ciekawa. Domyślałam się, że musi być jakiś ważny powód tak wielkiej afery. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu.

– Chodzi o Sylwię – wyznała i pogładziła swoją córeczkę po włosach.

– Co się dzieje? – wystraszyłam się. Co jak co, ale córka Ewy była ostatnią osobą, której mogłabym źle życzyć. Pokochałam ją już podczas pierwszego spotkania.

– Sylwia nie jest jego córką – powiedziała ściszym głosem. – Marek przez wiele lat o tym nie wiedział. Dopiero pobyt Sylwii w szpitalu sprawił, że podczas badań pojawiły się pewne niejasności i Marek postanowił to sprawdzić. Wszystko wyszło na jaw.

– Czyli nie miałaś wątpliwości, kto jest ojcem Sylwii, i celowo to ukryłaś przed Markiem? Oszukałaś go?

– Tak. To był początek naszej znajomości. Zakochałam się w nim. Ale wtedy to był bardzo trudny czas w moim życiu. Był jeszcze ktoś.

– Marek chce zemsty za twoje oszustwo?

– Tak. Nie może mi darować, że przez tyle lat wmawiałam mu nieprawdę. Nie wiem, co chce zrobić. Ostatnio chciał pieniędzy. A wczoraj krzyczał w kamienicy, że przyszedł mnie zabić. Wiem, że szuka mnie kilku jego ochroniarzy. To bardzo zamożny człowiek. Stać go prawie na wszystko. Znajdzie mnie, choćbym nie wiem dokąd uciekła.

Długo ze sobą rozmawiałyśmy. Obie miałyśmy w sobie wiele żalu. Wobec niesprawiedliwego losu, naszych rodziców i ludzi, którzy nie chcieli nam pomóc w rozwiązaniu naszej rodzinnej tajemnicy sprzed lat. Ewa gorzko wyznała, że jest taka sama jak Magdalena. Tak samo oszukiwała, kto naprawdę jest ojcem jej dziecka. Mówiła o sobie bardzo źle. Było mi jej okropnie żal. Nie dość, że miała toksyczną matkę, to jeszcze została ze swoimi problemami całkowicie sama. Chociaż źle zrobiła. Ojcostwo to bardzo poważna sprawa. Nie dziwię się, że ten mężczyzna może chcieć wyładować swoją złość. Do tego na pewno bardzo kochał Sylwię. Bo nie da

się przecież tak z dnia na dzień zapomnieć o uczuciach...

Tuż przed dwudziestą wyszłam ze schronu. Przez cały ten czas bałam się o Adama i miałam nadzieję, że przeze mnie nie wpakuje się w jeszcze większe tarapaty. Tęskniłam za dziećmi. Chciałam je przytulić i mieć pewność, że są bezpieczne. Moje postępowanie spowodowało na nich wszystkich problemy i naraziło każdego na wielki stres.

– Adasiu, jak dobrze znowu cię usłyszeć – powiedziałam z ulgą. – Gdzie jesteś? Co się u was dzieje? – zadawałam szybko kolejne pytania.

– Rozmawiałem z nim. Z tym Markiem. Nie jest dobrze. Facet jest strasznie na nią wściekły. Na Ewę. Nie wiem, o co chodzi, ale on tak łatwo nie odpuści.

– Już wiem, dlaczego chce się zemścić na Ewie. Przyznała się do wszystkiego.

– Potem o wszystkim opowiesz. Musicie zostać tam na noc. To najlepsze wyjście.

– Jak to? Na noc? – zdziwiłam się. – A dzieci? Tyle bez nich nie wytrzymam.

– Musisz. Alicjo, proszę cię. Sprawa jest poważna – powiedział stanowczo.

Nie było wyjścia. Noc spędziłyśmy w schronie. Liczyłam na to, że nowy dzień przyniesie jakieś dobre rozwiązanie. W końcu po nocy zawsze wstaje słońce, a każda burza zapowiada słoneczną pogodę.

Porachunki z przeszłością

To była bardzo długa noc. Nie zmrużyłam oka nawet na sekundę. Ewa tak samo. Rozmawiałyśmy do późna. Było nam to potrzebne. Wzajemne rozgrzeszenie. Jesteśmy inne, ale mamy podobne problemy. Jest jeszcze coś. Obie chcemy wyjaśnić rodzinną tajemnicę. Bardzo się boimy, co dalej przyniesie nam życie. Jaki będzie finał? Czy naprawdę jesteśmy siostrami? Czy może los tak perfidnie z nas zakpił?

Nad ranem wyszłam ze schronu, by zadzwonić do Adasia. Uspokoił mnie.

Zagrozenie minęło. Pół godziny później przyjechał po nas. Wyglądał na spokojnego. Zawiózł nas do domu Mikulskiej, gdzie zjedliśmy porządne śniadanie. Basia przywiozła do nas Rozalkę i Michałka. Bardzo się ucieszyli na widok nowej koleżanki, czyli Sylwii. To był deszczowy dzień, więc na szczęście dzieciaki musiały zostać w domu i mogliśmy mieć je na oku. Michałek od razu zarządził wspólną zabawę. Wreszcie byłam spokojna o moje dzieci. A nas, dorosłych, czekała bardzo poważna rozmowa. I decyzja, co należy zrobić dalej.

– Nie wygląda to dobrze – oznajmił Adam. – Była tu wczoraj policja. Nawet ten cały Marek zdecydował się na rozmowę. Mówi, że paskudnie go oszukałaś. Wmówiłaś mu, że twoje dziecko jest też jego dzieckiem. A to podobno nieprawda. Jako zadośćuczynienia chce pieniędzy.

– Tak, oszukałam go – przyznała zawstydzona Ewa. – Kilka miesięcy temu kłamstwo wyszło na jaw. Od tamtej pory Marek chce się zemścić.

– Nie pochwalam jego działań, ale nieźle go urządziłaś – wtrąciłam. – Mogę się założyć, że tu wcale nie chodzi o pieniądze. Czuje się urażony. Okłamany. Jego ukochane dziecko okazuje się być dzieckiem innego mężczyzny. Nie dałaś mu wyboru. Gdyby o wszystkim wiedział, może wtedy dobrowolnie uznałby Sylwię za swoją córkę – mówiłam rozgoryczona. Nie mogłam się pogodzić z tym, że można tak kogoś oszukać.

– Widzisz. Jestem taka sama jak moja matka. Genów nie zmienisz – powiedziała jednym tchem i zaczęła płakać.

– Dostyc tego! – zdenerwował się Adam. – Takie ciągłe wypominanie nie ma teraz większego sensu. To strata czasu. Trzeba działać. Ewo, posłuchaj – zwrócił się w jej kierunku. – Możesz mieszkać u mojej mamy lub wynająć pokój w hotelu w Pułtusk. Wybieraj. Trzeba się zastanowić, co dalej. Proponuję, byś spotkała się z Markiem na neutralnym gruncie i żebyście wszystko sobie wytłumaczyli. Możemy razem z Alicją być przy tej rozmowie.

– Naprawdę? Pomożecie mi? – nie dowierzała Ewa.

– Tylko musisz mówić nam prawdę. Inaczej to nie będzie miało żadnego sensu – powiedział Adam. Spojrzałam na niego. Moja wdzięczność nie miała granic.

Ewa wybrała mieszkanie w hotelu. Mówiła, że tak będzie bezpieczniej, ale

byłam pewna, że zwyczajnie nie chce się nam narzucać. Rozumiałam ją. Podjęliśmy decyzję, że najpierw po tym wszystkim ochłonimy i potem na zimno zastanowimy się, jak wybrnąć z tego bagna. Jedno było pewne. Nie obejdzie się bez rozmowy z Markiem. Ewa podzielała moje zdanie i miała nadzieję na pomyślne zakończenie. Razem z Adasiem odwieźliśmy ją i Sylwię do hotelu w Pułtusk. Dopiero wtedy opadły ze mnie emocje.

Tego dnia czekała na mnie jeszcze jedna niespodzianka od losu. Gdy wychodziliśmy z hotelu, w drzwiach natknęliśmy się na niezwykłego gościa. Na kogo? Na Jonasa!

– Wiedziałem! Tak czułem, że niespodzianka się nie uda. Jak dobrze was widzieć! – przywitał nas z radosnym uśmiechem i gorąco uściskał.

– Jonas? A co ty tutaj robisz? – pytałam zdziwiona.

– Ładnie mnie witasz! No co? Stęskniłem się za wami. A że mam teraz trochę luzu w firmie, to postanowiłem przyjechać.

– Bardzo się cieszę, tylko mnie całkowicie zaskoczyłeś. To co? Zapraszam na obiad, a potem do Pniewa. Dasz się porwać?

– Tobie zawsze!

Poszliśmy razem na obiad. Przegadaliśmy chyba ze dwie godziny. Jonas opowiadał o zmianach w firmie, poszukiwaniu śladów z przeszłości babci, niezwykłych perypetiach swojej sąsiadki. Za to ja mówiłam o Henryku, o sprawie adopcji i naszym zwykłym, codziennym życiu. Nie wspomniałam o Ewie i jej córce. Bałam się, że Jonas po wysłuchaniu tej dziwacznej historii z detektywem i pogonią Marka uzna, że mój dom jest pełen wariatów. I niewiele minąłby się z prawdą! Adaś za to siedział spokojnie i nas słuchał. Dopiero teraz opuszczało go napięcie spowodowane stresem i wydarzeniami ostatniej doby. Było mi go tak potwornie żal... A zarazem byłam mu bardzo wdzięczna. Mimo kłótni nie odwrócił się ode mnie. Mało tego, zrobił wszystko, by mi pomóc. I to jest właśnie kwintesencja miłości.

Wróciliśmy do domu po południu. Adam pojechał prosto do swojego warsztatu. Przy pracy zawsze umiał się wyciszyć. Tego mu było trzeba. Czekali na nas Rozalka i Michałek. Bardzo smutni, że dawno mnie nie widzieli. Mieli pretensje, że ich zostawiłam. Omal mi serce nie pękło, kiedy Michałek to powiedział. Długo musiałam ich przeproszać. Humor poprawił im Jonas. Przywiózł dla nich w prezencie zabawki, o których od dawna oboje

marzyli. Tym samym zdobył tytuł „najlepszego wujka w całym kosmosie” (nominacja Michałka) oraz tytuł „wujka stu uśmiechów” (nominacja Rozalki).

Adaś zadzwonił, że wróci bardzo późno. Szczerze przyznał, że musi pobyć w ciszy. Rozumiałam go. Ostatnie godziny kosztowały go wiele nerwów. Polecił mi, żebym zadzwoniła do Ewy i upewniła się, czy wszystko u nich w porządku. Tak zrobiłam. Ewa była bardzo zmęczona, właśnie szykowały się z Sylwią do snu. Podziękowała jeszcze raz za pomoc i uznała, że czas najwyższy wyjaśnić wszystko z Markiem. Życzyłam im spokojnej nocy.

Jonas pomógł mi w przygotowaniu smacznej kolacji. Lubię jego towarzystwo. Ma w sobie niezwykły spokój, który udzielał się innym. No i dzieciaki za nim przepadają. Zapowiadał się spokojny wieczór. Taki, jakiego nam wszystkim brakowało. Jonas zgodził się nawet u nas przenocować. Miał spać na materacu w kuchni, chociaż luksusy to nie były. Dzieci poszły spać, a my chcieliśmy rozmawiać do późnej nocy.

Nagle usłyszałam hałas. W pierwszej chwili pomyślałam, że jednak Adaś wrócił wcześniej i przewrócił coś na werandzie. Jednak nie wszedł do domu. Potem znowu słyhać było dziwne hałasy. Jakby ktoś rozrzucał butelki lub o coś uderzał. Uchyliłam drzwi i rozejrzałam się po werandzie. Nikogo nie było. Zawołałam Adasia. Miałam nadzieję, że to on. Nikt mi nie odpowiedział. I znowu usłyszałam hałas. Włączyłam lampy zawieszony u szczytu werandy. Nagle zamarłam. Na podwórku leżał Henryk.

– Jonas! Szybko! Pomóż mi! – krzyknęłam do przyjaciela. Jonas wybiegł na werandę i od razu spostrzegł leżącego na trawie człowieka. Pobiegliśmy w jego kierunku.

– Kto to jest? – zapytał wystraszony całą sytuacją.

– To Henryk. Proszę, pomóż mi go podnieść. Przeniesiemy go do domu.

Przyjrzałam się Henrykowi. Miał skrzywioną z bólu twarz. Chwytał dłoń za nogę. Bardzo go bolała.

– Nie wiem, co się dzieje. Tak bardzo mnie boli – jęczał.

– Jonas, weź Henryka pod ramiona, a ja chwycę za nogi. Zanieśmy go do domu. Tylko bardzo ostrożnie. Nie wiadomo, co mogło mu się stać. – Teraz

liczyły się sekundy. Gdy byliśmy już w środku, od razu spostrzegłam, że mam na rękawie krew. Spodnie Henryka były nią przesiąknięte. Wystraszyłam się.

– O tu, ostrożnie. Może posadźmy go na łóżku – zaproponował Jonas.

– Nie, lepiej na krześle. Trzeba opatrzyć mu rany. Tu będzie łatwiej.

– Daj mi coś przeciwbólowego, proszę. Już nie wytrzymuję – skarżył się Henryk.

– Już, już za chwilę. Najpierw zobaczymy, co się dzieje.

Wzięłam z szuflady nożyczki i rozciąłam nogawki jego spodni. Całe nogi miał we krwi. Nie wiadomo było, które miejsca krwawiły. Domyślałam się, że mogła mu pęknąć żyła.

Umyłam dokładnie jego nogi. Moje przypuszczenia się sprawdziły. Zaczęły pękać rany, a do tego żyły. U człowieka w tak sędziwym wieku to częste zjawisko. A poza tym przez wcześniejsze zniknięcie Henryka nie mogłam odpowiednio zająć się jego ranami, tak jak kazał lekarz. Chciałam wezwać karetkę, ale Henryk mi nie pozwolił. Zgodził się jedynie na dokładne oczyszczenie ran i zrobienie opatrunków. Dostał bardzo silne leki przeciwbólowe i przeciwzapalne. Ale musiał obiecać, że jeżeli do rana jego stan się nie poprawi, bez dyskusji pojedziemy do lekarza. Zgodził się. Rozpaliłam w kominku, by było mu ciepło. Kiedy Henryk trochę się uspokoił, uświadomił sobie, że mężczyzną, który mu pomagał, jest Jonas. Poczuli się niezręcznie. Wstydził się swojej ułomności, a ponadto obawiał się konfrontacji z człowiekiem, którego babcię kiedyś wydał na prawie pewną śmierć.

– Jonas, chciałabym ci przedstawić Henryka Sokolskiego. Serdecznego przyjaciela mojego dziadka Jana, a teraz i mojego – powiedziałam uroczyście. Chciałam nieco rozluźnić atmosferę i sprawić, by nabrali wobec siebie więcej sympatii.

– Bardzo mi miło pana poznać. Jestem Jonas Klein, wnuk Elizabeth. Babcia dużo mi o panu mówiła. – Jonas podał rękę sędziwemu starcowi i tym gestem zjednał sobie jego serce.

– Strach pomyśleć, co Elizabeth o mnie mówiła. Nagrzeszyłem – wyznał szczerze. Właśnie musiał się zmierzyć z niewygodną prawdą o swojej decyzji

z przeszłości.

– Nikt nie może powiedzieć, że jest całkowicie bez winy – odpowiedział mój przyjaciel.

Bardzo długo ze sobą rozmawialiśmy. Henryk opowiedział Jonasowi o pobycie w obozie i swojej znajomości z Janem i Elizabeth. Wyjaśnił, na czym polegała jego zdrada i co leżało u podstaw jego decyzji. Poprosił o wybaczenie, na co Jonas stwierdził, że Henryk i tak już poniósł karę za swój czyn. Było nią jego życie. Trudne, wypełnione cierpieniem i ciągłym strachem. Henryk zrozumiał, że nikt nie ma zamiaru rozliczać go z przeszłości, której współcześni nie są nawet w stanie pojąć. Chcieliśmy się skupić na tym, co dzieje się tu i teraz.

Wyjęłam z szuflady listy, które mój dziadek pisał do Elizabeth. Henryk był zaskoczony, że jest ich tyle. Zapytał, czy mógłby codziennie czytać ich fragmenty. Od razu podałam mu list, w którym mój dziadek pisał właśnie o nim. Chciałam, by sam zobaczył, jak postrzegał go przyjaciel.

Nawet nie wiesz, droga Elizabeth, jak bardzo zasmuca mnie los Henryka. W naszym życiu pojawiła się pewna nadzieja. Mamy rodziny, staramy się żyć normalnie i ciągle nie przywołujemy przeszłości. Henryk nie może tego zrobić. Nie potrafi odnaleźć się w powojennym świecie. Ostatnio miałem szczęście się z nim spotkać. Przy cmentarzu. Okoliczni nawet nie wiedzą, że on czasami do nas wraca. Może już nawet o nim zapomnieli. A to jest człowiek, któremu, mimo wszystko, zawdzięczam ocalenie. Razem przeszliśmy przez piekło.

Jak udowodnić miłość?

Jonas i Henryk zaprzyjaźnili się ze sobą. Na drugi dzień Jonas chciał dzwonić do swojego kolegi z najlepszej kliniki w Berlinie, by ten wziął Henryka do siebie na leczenie. Oczywiście mój stary przyjaciel nie chciał nawet o tym słyszeć. Zgodził się za to na wizytę u warszawskiego lekarza, który na dzień dobry tak nas wszystkich zrugął za brak odpowiedzialności, że zapomniałam, jak się nazywam. Ale się nasłuchałam! Że jestem mało

poważna, nie dbam o Henryka, a do tego zapomniałam o terminie kolejnej wizyty. Zapomniałam! A wszystko przez nadmiar wrażeń albo może sklerozę (wolałabym pierwszy wariant). Ostatecznie lekarz stwierdził, że jeśli jeszcze raz zaniedbamy Henryka, to nie będzie kogo leczyć. Postraszył nas. Na tyle, że Henryk sam podjął decyzję, że jesienią będzie mieszkał w swoim lokum w budynku gospodarczym.

Ewa zdecydowała się na rozmowę z Markiem. Ale bez udziału mojego i Adasia. Najpierw było mi przykro. Potem stwierdziłam, że to jednak dobre rozwiązanie. Po co mam się pchać tam, gdzie mnie nie chcą? Bez sensu. Poprosiła o pomoc w szukaniu prawnika. Od razu poleciłam jej Maćka, który chętnie podjął się tej sprawy. Pojechał z nią na rozmowy. Wynajęli nawet salę do mediacji. Nic to jednak nie dało. Wszystko zakończyło się jedną wielką awanturą. Nie dogadali się. Maciek stwierdził, że kiepsko to widzi.

Ewa podjęła jeszcze jedną decyzję. Sprzedała pułtuskie mieszkanie po swoim wuju i od razu zaczęła szukać czegoś w Warszawie. Chciała jak najszybciej wyjść na prostą. Wciąż bała się Marka, ale nie mogła dłużej biernie czekać na jego atak. Woląa działać. Pewnie na jej miejscu zrobiłabym to samo, nie oceniałam jej więc. Ale też nie dawałam wsparcia, bo jak już opadły silne emocje, Ewa też zaczęła trzymać mnie na dystans. Tłumaczyłam sobie, że potrzebuje czasu. Tej myśli chwyciłam się jak tonący brzytwy. Nie chciałam nawet dopuścić myśli, że Ewa powoli wycofuje się z naszej relacji. To byłby dla mnie zbyt duży cios.

Skupiłam się na czymś innym. Zbliżał się termin badania w ośrodku. Martwiłam się. Od początku wszystko szło nie tak. Zaczęło się od pana Miecia, który pewnego dnia przyjechał z informacją, że właśnie na poczcie odkryli, że zawieruszył się u nich list do mnie. Prosto z sądu. Pobladałam.

Otwierając list, modliłam się o jedno. Oby nie było już po wyznaczonym terminie badania. Uff! Udało się. Termin był aktualny, ale wypadał już za pięć dni! Strasznie się tym zestresowałam. Maciek nie miał już dłużej siły słuchać moich złych prorocत्व. Postraszył mnie, że jeszcze trochę i w końcu coś wykraczę. Zatem zamilkłam.

– Czyli nie będą badać gardła, tylko jak się z tobą bawię? – dopytywał Michałek.

Byliśmy na cmentarzu. Przy grobie jego rodziców i dziadka.

Przychodzimy tu co tydzień. To nasz rytuał. Bardzo ważny. Daje Michałkowi poczucie bezpieczeństwa. Wie, że mama, tata i dziadek są w niebie, ale ich grób jest w konkretnym miejscu. Może go odwiedzić, kiedy tylko chce.

– Tak. Pani będzie nas obserwować.

– Ale po co? Przecież ja jej mogę powiedzieć, że cię bardzo kocham, a ty mnie – spojrzał na mnie z wielkim zdziwieniem. Aż chciało się wyciągnąć tę jego śliczną buźkę.

– Jeżeli będziesz miał ochotę, to możesz tak powiedzieć. Ale myślę, że ta pani od razu zobaczy, że jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym. Najważniejszym na świecie.

– Ty dla mnie też! Nie będziemy musieli przekonywać pani, jak bardzo się kochamy, prawda?

– Prawda. A teraz chodź. Musimy jeszcze zapalić znicze.

– Żeby mamie, tacie i dziadkowi było wesoło w niebie. Jak zapalam światełko, to do nich mrugam. Latarką też tak można robić. Chyba mnie widzą?

– Na pewno. I cieszą się, że jesteś taki wesoły.

– Powiem im dzisiaj przed snem, żeby mocno trzymali za nas kciuki. Chcę, żebyś była moją mamą. I oni też chcą.

– Tak myślisz?

– Jasne! Inaczej byś nigdy do Pniewa nie wróciła.

Zatkało mnie. Taki maluch, a tak potrafi wszystko sobie przetłumaczyć.

– Masz rację. Na pewno chcieli, żebym tu przyjechała.

– Pójdziemy zaraz do dziadziusia Henia? Obiecał, że się pobawimy żołnierzykami.

– Pewnie. Może coś dla niego kupimy? Małą niespodziankę?

– Tak! Bułeczki z marmoladą w sklepie cioci Basi. Dziadziuś za nimi przepada!

Michałek uwielbia Henryka. Są niemal nierozłączni. Ostatnio przed snem ze dwie godziny opowiadał mu, jaką będzie miał w przyszłości żonę, ile będą mieli dzieci oraz że zostanie astronautą (przemyśli jeszcze opcję z kapitanem statku morskiego) i dzięki temu będzie sławny. A jak nie astronautą, to

rolnikiem i założy hodowlę krów, koni i strusi. No i będzie miał przy okazji z dziesięć kotów, żeby Jowiszowi się nie nudziło. A dla Nadziei na pewno sprowadzi innego pieska, żeby mogła się w nim zakochać. Plany nie z tej ziemi. A do tego powiedział, że czeka, aż ja i Adam weźmiemy ślub!

Oczekiwałam na badanie w ośrodku. Stres mnie nie opuszczał. Miałam się udać wraz z Michałkiem do oddziału Wojewódzkiego Ośrodka Adopcyjnego w Ostrołęce. Maciek jak zwykle nie zawiódł. Postanowił z nami pojechać, chociaż jako mój adwokat nie miał tam nic do roboty. Ale z nim było nam znacznie różniej.

W recepcji przywitała nas sympatyczna pani i poprosiła, żebyśmy chwilę zaczekali. Maciek obiecał, że będzie na nas czekał. Polecił Michałkowi, żeby potraktował badanie jako zabawę i żeby zachowywał się tak samo jak w domu. Mój mały szkrab uznał to za misję specjalną i obiecał, że wywiąże się z niej wzorowo. Byłam z niego taka dumna!

Gdy weszliśmy na salę zabaw, mój stres jakby się gdzieś ulotnił. Może tak podziałała na mnie wspaniała atmosfera tego miejsca? Kolorowe ściany, przytulne meble, stosy zabawek i przesympatyczna pani, która bardzo serdecznie nas przywitała. Myślałam, że badanie będzie trudne, a tu kazano mi się po prostu z Michałkiem bawić. Czasami towarzysząca nam kobieta dołączała do naszej rozmowy i próbowała ją ukierunkować. Michaś jak zwykle dał niezły popis swoich umiejętności rozluźnienia nawet najbardziej stresującej sytuacji.

– A wie pani, że mama Alicja ma taki jeden duży sekret? – Słabo mi się zrobiło, kiedy zadał to pytanie pani z ośrodka. Co znowu przyszło mu do głowy?

– Chcesz się nim podzielić? – zapytała kobieta, która nadzorowała naszą zabawę.

– Nie mogę. Nie zdradza się sekretów mamusi – odpowiedział poważnie Michałek, a ja omal nie parsknęłam śmiechem. Tak mnie rozbawił swoją tajemniczością.

– Masz rację, sekretów się nie wydaje.

– Mama Alicja nie wydaje moich. Ostatnio zrobiłem coś złego – powiedział poważnie.

– Co to było? – dopytała kobieta.

– Jak moja mama poszła spać, to wziąłem Jowisza, mojego kota i dałem mu do zjedzenia trzy parówki. Potem go bolał brzuch i nie chciał się ze mną bawić.

– O czym rozmawialiśmy następnego dnia rano? – wtrąciłam się do ich rozmowy.

– O tym, że kotki nie mogą aż tyle jeść. Bo mają inne brzuchy niż my. Takie małe! O takie! – Tu pokazał stosowną wielkość kociego brzucha. Robił to tak poważnie, że nie sposób było się oprzeć jego urokowi.

Potem jedna z pań zaopiekowała się Michałkiem. A mnie kazano rozwiązywać testy, które miały potwierdzić, czy jestem dobrze przygotowana do pełnienia roli matki i czy posiadam odpowiednie predyspozycje do adopcji dziecka. Trwało to godzinę. Odpowiadałam tak, jak podpowiadało mi serce. Bez żadnej ściemy. Bez zbędnego lukru. Miłości nie da się udowodnić jakimiś tanimi sztuczkami. Trzeba kierować się sercem.

Badania dobiegły końca. Odetchnęłam z ulgą. Miałam przecucie, że wypadliśmy bardzo dobrze. Na pożegnanie kobieta, która prowadziła badanie, zakomunikowała, że teraz specjaliści sporządzą opinię i prześlą ją sądowi.

Przy wyjściu czekał na nas Maciek. Jak zwykle miał dla nas dobre słowo. Niespiesznie udaliśmy się do domu. W drodze powrotnej zrelacjonowałam mu przebieg badań. Teraz zostało oczekiwanie na powiadomienie z sądu o terminie kolejnej rozprawy. TEJ ostatniej. Najważniejszej.

Zajechaliśmy jeszcze do Pułtuska. Maciek musiał zajrzeć do sądu, a my z Michałkiem poszliśmy nad przystań. Gdy przechodziliśmy obok jednej z ławek, zauważyłam siedzącą na niej kobietę. Poznałam ją! To była Cyganka, która wywróżyła moje szczęście! Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się serdecznie. Potem powiodła wzrokiem za Michałkiem i pokiwała głową. Ponownie się do mnie uśmiechnęła.

Miałam nieodparte wrażenie, że bardzo dużo o mnie wie. Ale nie bałam się jej. Wręcz przeciwnie. Byłam święcie przekonana o jej serdeczności. Wstała, jeszcze raz na mnie popatrzyła i odeszła. Nie chciała wróżyć. Bo i po co? Już raz dostałam od niej przepowiednię. Niezwykłą. I co najważniejsze, spełniło się każde jej słowo.

Wróciliśmy do domu. Adaś dopytywał o szczegóły naszej wizyty w ośrodku. Potem zajął się układaniem dzieci do snu. Wzięłam koc i wyszłam na werandę. Wrześniowe wieczory nie należą do najcieplejszych. Usiadłam w bujanym fotelu i zamknęłam oczy. Wyobraziłam sobie, że oni są obok mnie. Rodzicie i dziadkowie. Czułam ich obecność. Moje serce przepelniała wdzięczność za niezwykle dzieciństwo, które dało mi siłę na każdy kolejny rok mojego życia. Przypomniała mi się pewna rozmowa z dziadkiem.

– Dlaczego Marysia musiała się stąd wyprowadzić? Wczoraj tak bardzo płakała. Jej rodzice są straszni! – współczułam wtedy koleżance, która musiała opuścić nasze Pniewo.

– Czasami tak się układa, że trzeba porzucić miejsce, gdzie czujemy się najlepiej.

– Ale dlaczego? Czy ty chciałbyś stąd odejść? Bo ja nie!

– Nie chcę. Nigdy nie chciałem. Ale bywało różnie. Był czas, kiedy mieszkałem za granicą ponad piętnaście lat. Nie mogłem tu wrócić.

– I nie tęskniłeś? Za mamą i tatą?

– Bardzo tęskniłem. Ale widzisz, często życie decyduje za nas.

– Ja też będę musiała stąd wyjechać? Bardzo tego nie chcę.

– Nie wiem, co się wydarzy w twoim życiu. Ale mogę dać ci jedną obietnicę.

– Jaką? – zapytałam z wielką ciekawością.

– Nigdy tego miejsca nie zapomnisz. Gdy zamkniesz oczy, od razu tu powrócisz.

– Zawsze się wraca do domu, bo w domu jest rodzina.

Rozdział XIV

*Pewna jest tylko zmiana – o czekaniu na
chwilę prawdy, powrocie dawnej miłości,
decyzji Temidy, zdecydowanym „tak”
i kobiecie, która niszczy wszystko na swojej
drodze*

W oczekiwaniu na chwilę prawdy

Nie rozumiem jej. Zbliżyliśmy się do siebie, a ona zachowuje się, jakbym była dla niej kimś obcym – żaliłam się Adasiowi. Wtulona w niego analizowałam swoją relację z Ewą.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego tak bardzo chciałem, żebyś za mocno nie nastawiała się na to, że odnalezienie Ewy będzie czymś, co zmieni radykalnie twoje życie. Nie zmieni. Jesteś Alicją, masz swoją rodzinę, pracę, przyjaciół. Jedna osoba ci tego nie zabierze.

– Adaś, nie boję się Ewy. Jest mi tylko przykro, że sprawa z Markiem zaczyna się wyjaśniać, a ona jakby miała zamiar zwyczajnie się ode mnie odciąć.

– Nie obraż się, ale ona sama mówiła, że jest taka sama jak matka. Nie miała łatwego życia. Ciągłe musiała kombinować. Nie uważasz, że teraz robi to samo? – zasugerował.

– Nie ułatwiasz mi zadania. – Wstałam z bujanego fotela i weszłam do domu. Zrobiło mi się przykro. Nie dlatego, że Adam tak powiedział. On zwyczajnie ma rację. I właśnie to mnie boli.

Coś w tym jest. Ziarenko prawdy. Nie umiem odgadnąć intencji Ewy. Coś się między nami psuje. Brakuje zaufania. Z obu stron. Czemu się tu dziwić? Obie całe życie miałyśmy pod górkę. Ludzie często sprawiali, że traciło się wiarę w ich dobre intencje. Teraz ma być inaczej?

Ciąży nad nami tajemnica z przeszłości. Ewa nazywa mojego ojca potworem. Ostatnio wypomniała mi, że nie mam prawa jej oceniać. Nie mam. Ale też nie oceniam. Tylko namawiam, by sprawdzić, czy łączy nas pokrewieństwo, czy nie. Jeżeli tak, może mojego ojca (w tym przypadku i swojego) nazywać, jak chce. Wtedy przyznam jej rację, że została przez niego skrzywdzona jak mało kto. Bo jak można zostawić swoje dziecko? Wyrzec się go? Ale jest jeszcze druga możliwość. Taka, że nie jesteśmy siostrami. Wtedy możemy przeklinać wszystko. Perfidny los, złą przeszłość

i osoby, które wplątały nas w tę niejasną intrygę. Co nam to da? Usprawiedliwi nasze rodziny? Nas samych? Pozwoli zapomnieć? Nie sądzę. Ta sprawa będzie się za nami ciągnęła przez całe życie.

Dlatego postanowiłam działać. Poprosiłam Ewę o rozmowę. Zgodziła się. Spotkałyśmy się, tak jak poprzednio, na warszawskiej Starówce. Poszłyśmy na kawę. Ewa wyglądała promiennie. Od razu można było zauważyć, że w jej życiu zaszły pozytywne zmiany. Cieszyło mnie to. Zaczęłyśmy od serdecznej wymiany pytań o nasze pociechy. Ewa była ciekawa, co słyhać u Michałka, który skradł jej serce stwierdzeniem, że jego mama, czyli ja, jest wyłącznie dla niego.

– A Sylwia jak? Odnalazła się w nowej szkole? – spytałam z troską.

– Było z tym trochę problemów. Do klasy dołączyła tak naprawdę w połowie września. Ale radzi sobie. Jest dzielna.

– Całe szczęście. Zobacz, nawet nasze maluchy są prawie w tym samym wieku. Ciągle widzę u nas coś wspólnego. – Chciałam ją naprowadzić na cel rozmowy.

– Alicja, możesz mówić wprost. Wiem, o czym chcesz rozmawiać.

– Wiesz? – zdziwiłam się.

– Tak. Chcę tego samego. Chcę sprawdzić, czy jesteśmy siostrami, i mieć to z głowy. Ta sytuacja zaczyna mnie już męczyć – powiedziała wprost. Była taka oschła, taka pewna siebie.... Przeszył mnie zimny dreszcz. Zrobiło mi się przykro. Wnikliwie obserwowałam jej twarz. Nie zdradzała żadnych emocji.

– Możemy to zrobić jak najszybciej? – powiedziałam tym samym tonem.

– Czytałam o tym w sieci. Dzwoniłam też na infolinię. Badanie jest proste. Daje sto procent gwarancji. Chyba się nam to należy.

– Tak, jestem tego samego zdania. Tylko chciałabym jeszcze o coś cię zapytać.

– Śmiało. Pytaj wprost. Już i tak za dużo w naszym życiu tajemnic i dziwnych spraw, więc chociaż wobec siebie bądźmy szczerze – dodała stanowczym tonem.

– Co z tym zrobimy? Założmy, że jesteśmy siostrami. Co wtedy? – zadałam to pytanie i poczułam niezwykłą dumę z powodu swojej odwagi.

- Będziemy się martwić potem. Wszystko zależy od nas.
- Masz rację. Nie ma co wybiegać w przyszłość.

Zdecydowałyśmy się. Zadzwończyłyśmy do najlepszej w Warszawie kliniki badań DNA. Okazało się, że za grube pieniądze można badania wykonać od ręki. Nie było wymówek. Powiedziałam Ewie, że ja poniosę wszelkie koszty finansowe z tym związane. Nie chciałam czekać. Musiałyśmy rozstrzygnąć, czy jesteśmy siostrami, czy jednak nie. To był mój priorytet. Ewa nalegała, by podzielić się kosztami, ale uparłam się przy swoim. Bała się tak samo jak ja. Nie co dzień człowiek staje przed takim wyzwaniem.

W przeszklonym budynku, który bardziej przypominał nam statek kosmiczny niż klinikę, czekała na nas młoda, niezwykle atrakcyjna kobieta. Od razu zaczęła nas zapewniać, że polityka placówki gwarantuje nam stuprocentową anonimowość. Była stanowcza i rzeczowa. Wtedy pierwszy raz dotarło do mnie, co tak naprawdę robimy i jakie to może mieć dla nas konsekwencje. Ale nie było odwrotu. Liczyło się tylko tu i teraz. Chwila prawdy. No, może dłuższa chwila. Bo na wyniki trzeba będzie poczekać kilka dni.

W gabinecie lekarskim przywitał nas starszy mężczyzna. Od razu przeszedł do rzeczy. Wy tłumaczył, na czym polega badanie oraz na ile procent jego wynik jest wiarygodny. Dopytał, czy wszystko rozumiemy. Poprosił pielęgniarkę, która zabrała nas do dwóch oddzielnych gabinetów zabiegowych. Przy drzwiach posłałam Ewie serdeczny uśmiech. Odwzajemniła go. Potem zniknęła. Byłam zdenerwowana. Pielęgniarka starała się mnie uspokoić. Pobrała mi krew oraz wymaz z błony śluzowej policzka. Wszystko trwało około dziesięciu minut. Tyle wystarczy, by rozwiązać tajemnice przeszłości. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko że to nie jest zabawa. Podziękowałam za badanie i wyszłam z gabinetu. Ewa czekała już na korytarzu. Po pobraniu krwi źle się czuła. Wyszłyśmy na świeże powietrze. Zabrałam ją do znajdującej się po sąsiedzku kawiarni. Dobra kawa i ciastko dodały jej sił.

- Na pewno dobrze się czujesz? – Martwiłam się o nią.
- Tak, już mi lepiej. To nic nowego. Zawsze mam problem przy pobraniu krwi. Ale już jest w porządku. Wrócę do hotelu i położę się na godzinę.
- Podwiozę cię, tylko powiedz gdzie.

– Nie trzeba. Wezmę taksówkę. Może po drodze zajadę do kobiety, od której kupuję mieszkanie. Nie da się długo mieszkać w hotelu. To nie najlepsze miejsce dla Sylwii.

– Może mogę ci jakoś pomóc? Z Markiem sprawa się uspokoiła?

– Wciąż nie możemy się dogadać. To kwestia czasu i pieniędzy. Chce odszkodowania. Jest na mnie wściekły. Wczoraj widział się z Sylwią. Kocha ją. Tak potwornie go oszukałam.

– Wszystko się ułoży. Wierzę w to. I pamiętaj, że możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję. Wiem, że może byś chciała, żebym była wobec ciebie inna, ale ja nie umiem – zaczęła się tłumaczyć. – Nigdy nie umiałam nikomu zaufać. To przez moją matkę.

– Nie miałaś w życiu lekko i ja to rozumiem. Też mam problem z zaufaniem.

Ewa pojechała do hotelu, a ja wsiałam do samochodu. Spojrzałam na kartę, którą dostałam od pielęgniarki. Pięć dni. Tyle mnie dzieli od poznania prawdy. To przecież wieczność. Zakręciło mi się w głowie. Może też po pobraniu krwi. Albo z emocji. Trochę ich dużo jak na jeden dzień.

Uchyliłam okno. Spojrzałam w szybę sąsiedniego samochodu. Zamarłam. Właśnie patrzył na mnie Paweł Kubis, mój były mąż. Człowiek, który przez trzynaście lat był moim panem i władcą. Uśmiechnął się serdecznie jak do dobrej znajomej. Wysiadł z samochodu i stanął przy moim.

– Cześć, Alicjo. Miło cię widzieć po tak długim czasie. Co słyhać? – zapytał radośnie.

– Ciebie też miło widzieć – odpowiedziałam. Nasze spojrzenia spotkały się. Resztki rozumu podpowiadały mi, że to moment, którego się najbardziej obawiałam. Paweł wrócił.

Niespokojne serca bicie

Czasami wystarczy jedno spotkanie, jeden gest, jedno słowo, by człowiek rozsypał się w drobny mak. To, co jeszcze przed chwilą było nie do

pomyślenia, nagle dzieje się naprawdę. Znowu wprawia człowieka w stan niepewności. Tak było ze mną, gdy zobaczyłam Pawła. Niby nic wielkiego. Spotkanie byłego męża, który powraca po wielomiesięcznej walce o zdrowie i życie. Powinnam się cieszyć. Powinnam być spokojna. Ale nie umiem.

Jasne, kamień spadł mi z serca na wieść, że Paweł wygrał walkę z nowotworem. Jeszcze długa przed nim droga. Kolejne rehabilitacje, mnóstwo badań i wielka wiara, że choroba nie wróci. Chciałam dla niego jak najlepiej. Zawsze. Nawet wtedy, gdy między nami było bardzo źle. Wieść o jego chorobie zbiła mnie z nóg. Nigdy mu źle nie życzyłam. Na pewno nie choroby.

Teraz wrócił. Zdrowy. Pełen energii i gotowy, by układać swoje życie na nowo. Nasza rozmowa była krótka. Grzecznościowa wymiana zdań. W jego towarzystwie nie czułam się dobrze. Każde jego kolejne słowo sprawiało, że narastał we mnie niepokój. Z jakiego powodu? Sama nie wiem. Może to głupie, ale pomyślałam przez chwilę, że może we mnie odżyć uczucie, jakim go kiedyś darzyłam.

Przecież już raz się tak stało. Tamtej pamiętnej nocy, gdy przyjechał do Pniewa. Byliśmy w trakcie rozwodu, a ja rzuciłam się na niego jak dopiero co poślubiona małżonka. Chyba nigdy nie kochaliśmy się tak namiętnie. Przy nim stawałam się słaba. Jakby szły w niepamięć wszystkie dane samej sobie obietnice.

Teraz bałam się tego samego. Że będę słaba i ulegnę sile swoich wspomnień. Dlatego szybko się z nim pożegnałam i jasno dałam do zrozumienia, by nie próbował się ze mną kontaktować.

Po powrocie do domu nic nie powiedziałam Adasiowi. Bo i po co? Pewnie by się zdenerwował i jeszcze zaczął martwić, że Paweł namiesza w naszym życiu. Pocieszałam się, że tak nigdy się nie stanie. Ale raz zasiany niepokój pozostanie we mnie na długo.

Na szczęście szybko pojawiły się sprawy, które skutecznie oderwały mnie od głupich myśli. Już dawno przyszło wezwanie z sądu na rozprawę adopcyjną. W połowie października. To będzie moja chwila prawdy. Od tych kilku wypowiedzianych na rozprawie zdań zależy moje życie. I życie Michałka.

Strach o przyszłość dosłownie mnie paraliżuje. Nie ma godziny, by moje

myśli nie krążyły wokół adopcji. Nawet ostatnio zaczęłam się modlić. Dawno tego nie robiłam. Nie miałam pojęcia, jak zacząć. Co powiedzieć? Prosić czy podziękować za to, co już mam? Babcia Jasia poleciła, żebym wypowiedziała na głos to, co we mnie siedzi. Moje obawy, pragnienia, ale i wdzięczność. Tak zrobiłam. Pomogło. Poczułam ulgę i nowy przypływ sił. Mogłam je spożytkować na pomoc tym, którzy są mi bliscy.

Tak jak Henryk. Rozmowa z Jonaszem sprawiła, że dał sobie szansę. Na wybaczenie sobie samemu.

– Jonas to naprawdę porządny człowiek. Elizabeth była taka sama. Wierzyła w ludzi. Jonas mógł mnie skreślić, ale nie zrobił tego. Jestem mu za to bardzo wdzięczny – opowiadał z wielkim entuzjazmem.

Siedzieliśmy w jego przytulnym lokum. Teraz przynajmniej dwa razy dziennie zmieniam mu opatrunki, więc z nogą jest coraz lepiej.

– Mówiłam, że nikt nie będzie cię oceniał. Bo nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie życia w obozie. A tam, jak sam mówiłeś, w ludziach ujawniały się najgorsze instynkty.

– Dużo też rozmawialiśmy o tajemnicy tych dokumentów, które Elizabeth dała Janowi do tłumaczenia. Nie możemy wpaść na żaden trop. Kiedy Jonas znowu przyjedzie?

– Przecież dopiero tydzień temu wyjechał. Chyba naprawdę go polubiłeś – stwierdziłam, patrząc na jego radosną twarz. Przyjaźń z Jonaszem bardzo go zmieniła. Jakby pozwolił sobie na wybaczenie złej przeszłości i wyborów, z których nie był dumny, które bardzo mu ciążyły.

– Lubię go. Trochę mi przypomina Elizabeth. Jest tak samo uparty jak ona.

– Jonas przyjedzie niedługo. Chyba bardzo mu się u nas podoba. Wiesz, on nie ma swojej rodziny. To znaczy ma, jedną siostrę, ale jest tak zapracowana, że w ogóle nie ma dla niego czasu. A w naszym starym domu jest mu dobrze. Traktuje nas jak swoją najbliższą rodzinę.

– Z nim stało się tak samo jak ze mną. Dzięki tobie mam i dom, i rodzinę. Masz pecha. Sama przyciągasz do siebie beznadziejne przypadki – roześmiała się.

– Mogłabym z tym polemizować! Po prostu mam szczęście do ludzi

o wielkim sercu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się, żebym mógł czytać listy, które Jan pisał do Elizabeth. Czy ty wiesz, ile razy wspomina w nich o mnie? I to jak! Jan widział we mnie przyjaciela. Na dobre i złe. Nie chował do mnie urazy za błędy przeszłości – powiedział uradowany.

– Tyle razy ci powtarzałam, że dla dziadka byłeś kimś wyjątkowym.

– Te listy mają ogromną wartość. Są pamiątką ich życia. Czytam dokładnie każde słowo, analizuję ich znaczenie. To tak, jakbym poznawał Jana na nowo. Wspaniałe uczucie.

– Wiesz, tak sobie ostatnio pomyślałam o jednej sprawie – zaczęłam nieśmiało.

– Jakiej?

– Dziadek byłby z nas bardzo dumny. Wiesz, dlaczego?

– Mogę się domyślać, ale lepiej mi powiedz – przyznał szczerze.

– Udało się nam dokonać wielkiej rzeczy. Ty stałeś się lokalnym bohaterem, który jako żywa legenda daje młodym przykład, że człowiek może wyjść z najgorszego bagna. O ile chce i szuka pomocy. Ja poznałam przyjaciela, dzięki któremu mój dziadek przeżył obóz.

– Alicjo, nie zrobiłem nic wielkiego. To Jan był zawsze przy mnie – wyznał.

– Czasami drobny gest potrafi zdziałać cuda. Wy o tym zawsze pamiętaliście.

Nastąpiła teraz chwila spokoju. Bardzo wszystkim potrzebna. Szczególnie mnie, babci Jasi i Michałkowi. Jak nawałnica zbliżał się termin rozprawy adopcyjnej. Nie wiem, czy w swoim życiu czułam kiedyś większy strach. Chyba tylko wtedy, gdy dowiadywałam się o swoim kolejnym poronieniu. Teraz też chodzi o dziecko. O mojego Michałka. Dla mnie to oczywiste, że powinnam zostać jego mamą. Już dawno nią jestem, jeszcze tylko musi być na to właściwy dokument. Maciek pociesza mnie, że nie ma lepszej kandydatki do tej roli i sąd weźmie te okoliczności pod uwagę. Tylko co ja poradzę na to, że mój strach jest tak silny? Babcia Jasia też bardzo się martwi. Ostatnio nawet na mszę dała, by wyprosić szczęśliwe zakończenie.

Dzień, przy którym w kalendarzu jakiś czas temu dorysowałam

uśmiechniętą buźkę, nadszedł szybciej, niż mogłam się spodziewać. Poprzedniego popołudnia poszłam sama na grób moich rodziców i dziadków. Modliłam się. Powiedziałam głośno, że nadszedł moment, kiedy potrzebuję ich wsparcia bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Tych kilka minut modlitwy dało mi spokój. Poczułam radość. Tak bardzo mi potrzebną w tym trudnym czasie.

Następnego dnia wstałam przed szóstą. Nie mogłam spać. Wyszłam na werandę. Właśnie wschodziło słońce. Zapowiadał się ciepły słoneczny dzień. To była dobra wróżba. Przed siódmą obudziłam dzieci, by zdążyły się wyszykować do szkoły. Adam zrobił nam pyszne śniadanie. Nie mówiłam Michałkowi, że dziś jest ważny dzień, który zadecyduje o jego życiu. Miałam wrażenie, że i tak czegoś się domyśla. Zaraz po przebudzeniu przyszedł do mnie, mocno się przytulił, wyznał mi miłość i powiedział, że zasługuję na medal dla najlepszej mamy na świecie. Przysięgłam sobie w myślach, że nie spocznę, póki nie przekażę mu wiadomości, że już oficjalnie jest moim synem. Gdy dzieci poszły do szkoły, popłakałam się. To ze strachu, który cały czas we mnie siedzi. Ale pomogło. Emocje opadły. Wrócił Adaś i widząc mój stan, zaproponował, że też pojedzie na rozprawę. Zgodziłam się, chciałam go mieć blisko siebie.

Przed jedenastą przyjechał Maciek. Na podwórku natknął się na babcię Jasię, która prosiła go, by zrobił dziś dosłownie wszystko i przywiózł dobre wieści.

Zadzwoiłam po panią Irenkę, by do nas przyszła i zajęła się babcią Jasią, która była bardzo zdenerwowana. Musiała mieć towarzystwo. Pani Irenka była po dwudziestu minutach i ustaliliśmy, że po pięciu lekcjach razem odbiorą dzieci ze szkoły. Chciałam, by miały zajęcia i oderwały myśli od rozprawy.

Nasza trójka, czyli ja, Maciek i Adaś, stawiała się w sądzie za kwadrans dwunasta. Dokładnie wiedziałam, co za chwilę będzie. Praca sądu to prawie rytuał. Pomyślałam, że jeszcze kilka rozpraw i nauczę się wszystkiego na pamięć. Po chwili załapałam się na niecnej myśli. Jakie kilka rozpraw? Przecież chcę, by dziś było po wszystkim. Odpukałam w ławkę.

– Co robisz? – zdziwił się Adaś.

– Jakaś głupota przyszła mi do głowy i chciałam odpukać w niemalowane drewno. Takie dziwactwa spanikowanej kobiety – odpowiedziałam zawstydzona.

– Alicjo, nie martw się. Dziś będzie szczęśliwy finał.

– Tak myślisz? – Spojrzałam w jego spokojne oczy.

– Masz moje słowo. – Pocałował mnie w czoło i mocno do siebie przytulił.

Potem było już standardowo. Wyszła protokolantka i poprosiła na salę rozpraw. Oprócz nas na salę weszła jeszcze jakaś szczupła pani. Wystraszyłam się, że to może kolejna osoba, która chce złożyć donos lub namieszać w sprawie. Po sprawdzeniu listy obecności okazało się, że to ona jest autorką opinii, którą sporządzono po naszej wizycie na badaniach w ośrodku i że została wezwana przez sąd na rozprawę. Sędzia zakomunikował, że sporządzona została opinia, której odpis przekazuje mojemu pełnomocnikowi. Maciek podniósł się i wziął przekazaną opinię. Chciał wprawdzie poprosić o chwilę przerwy w celu zaznajomienia się z nią, ale już pobieżna lektura wykazała, że generalnie nie ma zastrzeżeń co do mojej kandydatury jako rodzica adopcyjnego, dlatego zrezygnował.

Zamyśliłam się. Wyobrażałam sobie, jak to będzie, gdy Michałek już formalnie zostanie moim synem. Dostanie moje nazwisko, nowe dokumenty, mój adres zameldowania. Będzie moim dzieckiem. I nikt już nie będzie mógł mi go zabrać.

Z rozmarzenia wyrwało mnie pytanie sędziego przewodniczącego. Chciał wiedzieć, czy mam zastrzeżenia lub zapytania do biegłego, który najpierw zrelacjonował opinię, a teraz był gotów odpowiedzieć na pytania stron. Pokręciłam głową i stwierdziłam, że nie mam żadnych pytań. Maciek stwierdził to samo.

W końcu przyszedł ten wymarzony moment. Wyczekiwany od kilku miesięcy. Moment, gdy za sprawą jednego zdania obce (w sensie prawnym!) dziecko stanie się moim dzieckiem. Teraz legalnie i wiedząc, że to prawda, będę mogła mówić, że jest mój. Niesamowite! To jak nowe życie. Nowy początek. Sędzia zaczął odczytywać orzeczenie. Zamknęłam oczy.

– Sąd Rodzinny w Pułtusku po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy postanowił orzec o przysposobieniu pełnym całkowitym Michała Bilskiego

przez Alicję Pniewską. Tym samym sąd zdecydował...

Sędzia odczytał jeszcze decyzję o zmianie nazwiska Michałka na moje, zmianie miejsca zameldowania i dokumentów...

Nie słuchałam dalej. Serce waliło mi tak głośno, że chyba mógł je słyszeć siedzący obok mnie Adaś. Zaczęłam płakać. To nic, że byłam na sali rozpraw. To nic, że sędzia dalej uzasadniał wyrok. Liczyło się jedno. Michałek został MOIM SYNEM.

Wyszliśmy przed sąd. Adaś musiał mnie prowadzić pod rękę, bo nie miałam siły iść sama. Usiedliśmy przy fontannie. A ja wciąż płakałam. Ze szczęścia. Ale też uchodził ze mnie cały żal, strach i niepokój o przyszłość mojego Michałka. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, jak bardzo się bałam. Jak głęboko tkwiła we mnie paniczna myśl, że coś się nie powiedzie. Że uznają mnie za osobę, która nie spełnia formalnych warunków adopcji małego dziecka.

Ale to już minęło. Teraz mogłam być spokojna. Poprosiłam Adasia, żebyśmy szybko wrócili do domu. Chciał dzwonić do pani Irenki z dobrymi wieściami, ale mu nie pozwoliłam. Sama chciałam powiedzieć o tym Michałkowi i babci Jasi.

Zajechaliśmy pod dom. Wybiegłam z samochodu i chciałam jak najszybciej zobaczyć mojego synka.

Siedział przy kominku i bawił się samochodami. Babcia Jasia czesała Rozalce włosy. Uklękłam obok Michałka, chwyciłam go w objęcia i obsypałam jego głowę mnóstwem pocałunków.

– Mój synek. Mój Michałek. Moje serduszko kochane. Mój syn! – mówiłam przez łzy.

– Udało się?! – Babcia Jasia zerwała się z kanapy i stanęła nad nami.

– Już po wszystkim. Nikt mi go nie zabierze – szlochałam.

– Boże! Mój Boże kochany! Dziękuję! – Chwyciła w dłonie fartuch i przyłożyła go do twarzy. Płakała. Doczekała dnia, gdy wreszcie nastąpiło szczęście. Rozalka, widząc nas w tym stanie, również zaczęła płakać. Wystraszyła się. Adaś wziął ją na ręce i pocieszał. Tłumaczył jej, dlaczego wszyscy płaczą. Babcię Jasię też uspokajał. Bał się o jej serce.

– Zostałaś moją mamusią? Tak na zawsze? – Michałek wyswobodził się

z mojego uścisku. Chwycił dłońmi moje włosy i spojrzał mi prosto w oczy. Z wielką nadzieją, ale i strachem czekał na odpowiedź.

– Tak. Jesteś moim synkiem. Zawsze nim byłeś. Ale teraz już nikt nam nie przeszkodzi. Jestem twoją mamusią.

– Moje marzenie się spełniło! – powiedział i też się rozplakał.

– Kocham cię, mój syneczku. Mój ty skarbie największy. – Te słowa wybrzmiały jak najpiękniejsza na świecie melodia.

Wszyscy płakali. Pani Irenka tak mocno, że Adaś nijak nie mógł jej uspokoić. Nawet Maciek, facet niezłomny, który zawsze jest bardzo zdystansowany. Nawet on nie wstydził się łez. Były potrzebne nam wszystkim. Ten dzień zmienił nasze życie. Na lepsze. Mogę być spokojna. Mój synek jest bezpieczny. I już zawsze będzie ze mną. Życie sprowadziło nas wreszcie na wspólną drogę.

Już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam to dziecko w moim sadzie, pokochałam je wielką miłością. Coś wtedy we mnie pękło. Poczułam, że i ja umiem kochać miłością bezgraniczną.

Szczęście do kwadratu

Każda zmiana jest jak burza. Niosąca strach na początku, gwałtowna w trakcie i cudowna na końcu. Zachodzi tylko wtedy, gdy idziemy pod prąd, robimy coś całkowicie wbrew wszystkiemu, do czego przywykliśmy. Zmiana nie uznaje komfortu, sprawdzonych pomysłów, nawyków i ciągłego oczekiwania. Rządzi się swoimi prawami i daje nam wybór. Albo to właśnie my podejmiemy działanie i postaramy się organizować przyszłość według pewnego planu, albo życie zdecyduje za nas. Tak czy inaczej, zmiana nastąpi.

Wzięłam sprawy w swoje ręce i moje życie zmieniło się na lepsze. Od wczoraj jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Michałek został moim synem.

Wieczór i noc należały do nas. Nie było końca łzom, radości, uściskom. Na ten dzień wyczekiwaliśmy z utęsknieniem. Aż wreszcie marzenie stało się prawdą.

Gdy zadzwoniłam do Doroty z dobrymi wieściami, gotowa była wszystko rzucić, wpakować dziewczynki do samochodu i natychmiast przyjechać. Ostudziłam jej zapał i od razu zaprosiłam na jutro na wielkie świętowanie, które zarządził Adaś. Maciek wyjechał od nas około północy. Reszta towarzystwa omal domu ze szczęścia nie rozniosła. Dzieci poszły spać około drugiej. Michałek spytał, czy mogłabym tej nocy spać razem z nim. Czuł po swoim, że tego dnia wydarzyło się coś niezwykłego.

– Moja mama w niebie też się cieszy. I się na nas nie gniewa. Ona wie, że zawsze chciałem, żebyś ty została moją mamą, jak jej już nie było. – Michałek oplótł rękami moją szyję. Był środek nocy, a my nie mogliśmy nacieszyć się naszym szczęściem.

– Pewnie tak jest. Twoja mama w niebie po prostu wie o tym, że bardzo mocno cię kocham i jesteś dla mnie najważniejszy – tłumaczyłam, patrząc w jego błyszczące oczy.

– To było moje marzenie. – Uśmiechnął się i dotknął mojego policzka.

– Wiem, tyle razy mi to mówiłeś.

– Jestem szczęśliwy – wyznał, a mnie żadne inne słowa już nie były potrzebne.

Sobotni wrześniowy poranek zapowiadał dzień pełen wrażeń. Jesienne słońce było jak obietnica niezapomnianych chwil. Zgodnie z życzeniem dzieci postanowiliśmy wyprawić przyjęcie w sadzie. Nie wyglądało na to, by pogoda miała się popsuć. Poza tym zaprosiliśmy tylu gości, że stary dom by ich zwyczajnie nie pomieścił.

Zaproszenie dostali wszyscy domownicy, pani Irenka i pan Leszek, Basia z Jankiem i dziećmi, Dorota z całą ekipą, pani Mikulska oraz sąsiedzi. Połowa gości przyszła znacznie wcześniej, by pomóc nam w przygotowaniach. Dzieci zażyczyły sobie udekorowania sadu. Zatem były lampiony, wielkie stoły przykryte haftowanymi obrusami, mnóstwo balonów. Jak w bajce.

– Alicja jest już teraz moją mamą! Tak na zawsze. Mówi, że już niedługo będę się nazywał tak samo jak ona. Fajnie, nie? – relacjonował żywo Michałek.

– Ekstra! Też bym tak chciała. I wiesz co? Masz najlepszą mamę pod słońcem. Mówiła mi, że jesteś dla niej najważniejszy – przekonywała Dorota.

– Wiem! Już dawno to wiedziałem. A pobawisz się ze mną w statek kosmiczny? Tam! Pod tym drzewem mam swoją bazę. – Michałek wziął ją za rękę i zaprosił do zabawy.

Patrzyłam na szczęśliwego synka, na Adasia, który razem z Rozalką walczy z ciągle spadającym lampionem, na radosną babcię Jasię, dla której adopcja Michałka oznaczała kres wszelkich zmartwień.

Widziałam Henryka, który, tak samo jak kiedyś mój dziadek, siedział pod starą jabłonią i z zamkniętymi oczami myślał zapewne o swojej Małgosi. I na Dorotę, dla której skończył się zły czas i mogła razem z nami świętować.

A było co. Michałek został moim synem. Moje życie nabrało zupełnie innego wymiaru. Zostałam MAMĄ.

– Możesz przyjść na chwilę? To ważne! – zawołała mnie Basia. Podeszłam do stołu, przy którym wszyscy się zebrali. Ich wyraz twarzy zdradzał, że coś się za chwilę wydarzy.

– Alicjo... – usłyszałam za sobą głos Adama. Odwróciłam się w jego stronę. Był bardzo poważny. Jakby zdenerwowany.

– Coś się dzieje? – zapytałam. Spojrzałam na innych. Byli podekscytowani.

– Jeszcze nie, ale zaraz się stanie... – Adaś podszedł do mnie, uścisnął moją dłoń i ją pocałował. Uśmiechnął się serdecznie. Wyjął z kieszeni czerwone pudełeczko i otworzył je. Ukłękł przede mną na jedno kolano. –

Alicjo, jesteś kobietą mojego życia. Aniołem, który przyniósł mi szczęście. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? – zapytał.

– Adaś... – wyszeptałam.

Zupełnie nie spodziewałam się oświadczyn Adasia. Byliśmy razem i to nam wystarczało.

– Czy zostaniesz moją żoną? – powtórzył pytanie.

– Tak. Bardzo tego chcę. Najbardziej na świecie – odpowiedziałam łamiącym się głosem. Łzy i wzruszenie nie pozwoliły mi na nic więcej. Adaś włożył mi piękny pierścionek na serdeczny palec. Poprosiłam, by wstał i mocno się do niego przytuliłam.

– Niech żyje para narzeczonych! – krzyknął Maciej. Usłyszeliśmy gromkie brawa.

Wtulona w Adasia przyjmowałam życzenia na nową drogę życia. Nie dość, że miałam przy sobie tych wszystkich, których kocham i szanuję, to jeszcze okazało się, że mój mężczyzna podjął starania, byśmy stanowili szczęśliwą rodzinę także formalnie.

Zabawa trwała do późnej nocy. Były rozmowy, tańce, dobre jedzenie. Tylko my, wspaniały ogród i wizja szczęśliwej przyszłości. A w sercu niemożliwa do opisanego radość. Życie potrafi miło zaskoczyć.

Dzieci poszły nocować do Basi. Monika z Danielem naopowiadali im, że w stodole zrobili tor przeszkód. Michałek, jak o tym usłyszał, od razu stwierdził, że przeprowadza się tam co najmniej na trzy dni. Rozalka tak samo. Babcia Jasia oznajmiła, że wreszcie musi się wyspać po tylu dniach wielkich emocji. Henryk zaś powiedział, że za stary jest na takie nocne harce i musi posiedzieć u siebie w ciszy. Dorota pojechała z Maćkiem i dziewczynkami do domu, widząc, że pewnie wolelibyśmy spędzić chwilę we dwoje.

Nie myliła się. Chciałam, by wszyscy sobie poszli, a ja będę mogła być sam na sam z mężczyzną mojego życia.

Zostaliśmy sami. Nasze ciała domagały się bliskości. Kusiliśmy siebie nawzajem spojrzeniem, dotykiem. Nasze ruchy i zachowanie przypominały taniec dwóch żywiołów. Ja – ogień, wiecznie nieposkromiony, waleczny, porywczy. Adam – woda, z pozoru spokojna, a mogąca swoją siłą przeciwstawić się każdej przeszkodzie. Jako całość jesteśmy idealni.

– W głowie mi się już kręci od nadmiaru szczęścia – wyszeptałam, kładąc głowę na ramieniu Adama. Wzięłam głęboki oddech, by znowu poczuć jego zapach.

– Uwielbiam cię taką – chciał patrzeć mi prosto w oczy. – Taką delikatną, kobietą, tylko moją. – Pocałował czule moje usta. Zsunął sukienkę z mojego prawego ramienia, potem z lewego. Opadła na podłogę.

– Uwielbiam być twoja – wyszeptałam, jednocześnie rozpinając jego koszulę. Czułam, jak serce bije mi coraz mocniej, a zmysły mam pobudzone do granic możliwości.

Adam wziął mnie na ręce. Wtulił mnie w jego silne ramiona. Po drodze do sypialni uleciały wszystkie moje kompleksy, obawy, strach. Byłam w objęciach mężczyzny, który dał mi siłę do walki o moje szczęście. Jego dotyk był lekarstwem dla mojej poranionej duszy.

Całował moją twarz, szyję, piersi. Schodził coraz niżej i znowu powracał, by ponownie spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, jak bardzo mnie kocha. Pragnęłam go całą sobą, zachłannie i niecierpliwie prosiłam o więcej. Nasze ciała splotły się, usta wydały krzyk rozkoszy, a rozum przejęła siła pożądania. Splecione dłonie były murem odgradzającym to, co jeszcze do niedawna mogło nas od siebie oddalić. Teraz liczyliśmy się tylko my i nasze pragnienia. Ufałam Adasiowi bezgranicznie. Dałam się ponieść szaleństwu, które mną zawładnęło. Adam kochał się ze mną jak mężczyzna, który zatracą się w swojej miłości. Jego dotyk, słowa, spojrzenie, ciepło były jak lekarstwo na wszelkie problemy. Smak i zapach jego ciała były czymś, co mogłabym kosztować każdego dnia. Było mi ciągle mało. Spełniał po kolei moje najskrytsze pragnienia. Znaleźliśmy się na granicy świadomości, rozkosz zawładnęła naszymi ciałami, dając potężną dawkę kompulsywnych dreszczy. Opadliśmy na łóżko zmęczeni, ale szczęśliwi. Nie były potrzebne żadne słowa. Nasze spojrzenia mówiły wszystko.

Nic nie może przecież wiecznie trwać

Obudziły mnie mocne promienie słońca. Po chwili przypomniałam sobie wieczór i co dokładnie się wydarzyło. Dotknęłam dłonią prawego serdecznego palca, na którym wyczułam pierścionek. A jednak to prawda. Nie sen. Jestem narzeczoną. A co najważniejsze, jestem mamą. Czy może być coś lepszego?

Spojrzałam w bok. W wielkim łóżku byłam sama. Ciekawe, gdzie się podział Adaś? Może robi śniadanie lub poszedł do łazienki? Po chwili dostrzegłam leżącą na kołdrze kartkę. Wzięłam ją w dłoń i zaczęłam czytać:

Tak smacznie spałaś, że nie miałem sumienia Cię budzić. Pojechałem do warsztatu. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wszystko Ci wytłumaczę po powrocie do domu. Będę około czternastej. Kocham Cię!

Twój Adaś – najlepszy na świecie narzeczony :-)

Czy najlepszy, to się okaże, pomyślałam.

A tak na poważnie, to Adaś dostanie po powrocie porządną reprimendę. Jak to? Zostawić nad ranem świeżo upieczoną narzeczoną? Kochać się z nią pół nocy, a potem porzucić? No, już ja mu pokażę!

Wstałam w wyśmienitym humorze. Ciekawa byłam, co porabiają moje dzieci i czy Basia nie ma ich już serdecznie dosyć. Włożyłam ulubione dresy, włosy związałam w koczek i miałam zamiar jak najszybciej jechać po Rozalkę i Michałka. Nagle zauważyłam leżący na komodzie telefon Adasia. Co za gapa. Pewnie się denerwuje albo zamartwia, gdzie mógł go posiać. Postanowiłam zawieźć zgubę właścicielowi, a przy okazji jak prawowita narzeczona upomnieć się o odrobinę uwagi ze strony przystojniaka, przez którego nie spałam pół nocy.

Zajechałam na podwórko Mikulskiej. Bardzo cieszyła mnie myśl, że Adaś w ogóle się mnie nie spodziewa. Aż się zaśmiałam w głos. Wsiadłam po cichu z samochodu i miałam zamiar zakraść się do warsztatu. Nagle usłyszałam podniesiony kobiecy głos.

– Musisz dać mi szansę. Za długo na to wszystko czekałam.

– Szansę? Kobieto! Sama pozbawiłaś się wszystkich szans! – Po głosie Adama i jego sposobie mówienia poznałam, że rozmowa z tą kobietą bardzo go wzburzyła.

– Każdy czasem popełnia błędy. Ty też, prawda? – nie ustępowała kobieta. Stanęłam bliżej drzwi, by dokładnie słyszeć ich rozmowę. Korciło mnie, by wejść do środka.

– O czym ty mówisz? Jakie błędy? Posłuchaj siebie! – krzyczał Adam.

– To ty posłuchaj! Wróciłam i mam zamiar zająć się swoją córką!

– Po moim trupie! Nigdy ci na to nie pozwolę. A teraz idź sobie stąd, bo moja cierpliwość właśnie się skończyła. Dla takich jak ty nie ma tu miejsca!

– Uważaj, bo pozałujesz tych słów! – zawołała kobieta.

Tego było już za wiele.

– Adaś, co się dzieje?

Stałam w drzwiach warsztatu. Kobieta nerwowo odwróciła się w moją stronę.

Jej oczy barwy morskiej fali były pełne złości i strachu. Długie blond włosy opadały na szczupłe ramiona. Miała na sobie idealnie skrojoną marynarkę i dopasowaną spódnicę. Karminowe usta, teraz zaciśnięte, idealnie pasowały do jej porcelanowej cery. Nerwowo pocierała dłońią klasycznie wyprofilowany nos. Była piękna. Czarna garsonka i szpilki dodawały jej wyniosłości. Wyglądała na bardzo pewną siebie. W swoim szarym porzniętym dresie wypadałam przy niej bardzo słabo. Od razu ją poznałam. Joanna. Żona Adama. Wróciła. Dostrzegłam na jej twarzy ironiczny uśmiech.

– Dzieje się! Zobacz, tak wygląda mamuśka, która kilka lat temu zostawiła swoje dziecko, a teraz wraca jak gdyby nigdy nic! – wyjaśnił zdenerwowany Adam.

– A to kto? – zapytała Joanna i spojrzała na mnie.

– Wyobraź sobie, że to moja narzeczona, która opiekowała się Rozalką, kiedy ty wolałaś szlajać się po świecie z jakimś fagasem. Proszę bardzo, możesz jej podziękować! – wyznał.

– Narzeczona? – zapytała ironicznie Joanna. – Czyli nie próżnowałeś. Tak samo jak ja zająłeś się szukaniem nowych wrażeń – dodała złośliwie.

– Niech pani liczy się ze słowami – zmitygowałam ją.

Uważnie mi się przyjrzała. Jej pewność siebie sprawiała, że poczułam się jak zahukana nastolatka.

– No proszę, ukochana jeszcze cię broni – roześmiała się w głos.

– Dosyć tego. Wynoś się stąd i więcej nie wracaj. Albo nie! Najpierw zostaw mi namiary na siebie, bo mój adwokat się z tobą skontaktuje w sprawie rozwodu – zdecydował Adam.

Wyglądał jak zwierzę wpędzone w zasadzkę. Bronił się.

– Najpierw załatwimy sprawę opieki nad Rozalką i praw rodzicielskich. Mam zamiar wychowywać moją córkę. W tej sprawie odezwie się do ciebie mój adwokat. Nie radzę robić niepotrzebnych problemów, bo jak zapewne wiesz, matka to rzecz święta i żaden sąd nie przyzna ci racji. A chyba nie chcesz mieć niepotrzebnych problemów? – zapytała.

– Ty perfidna oszustko! – Adam cisnął dłuto na podłogę i ruszył w jej stronę. Bałam się tego, co zamierza zrobić, więc podbiegłam do niego i zagroziłam mu drogę do Joanny.

– I nie denerwuj się tak. Bo wykażę przed sądem, że się nade mną znęcałeś i dlatego musiałam odejść. Pozwól, że spokojnie to wszystko załatwimy. Niebawem przyjadę z adwokatem i policją. Chcę widzieć się z córką. Mam do tego prawo.

– Nigdy! Rozumiesz? Nigdy ci nie pozwolę na odebranie mi Rozalki! – krzyczał Adam.

Joanna uśmiechnęła się pod nosem, położyła na stole swoją wizytówkę i wyszła.

Adam stał pośrodku warsztatu. Po jego policzkach płynęły łzy. Pierwszy raz widziałam go płaczącego. Miałam wrażenie, że przed chwilą przeszło tu tornado o niszczycielskiej sile. Już wiedziałam, że właśnie legł w gruzach nasz pieczołowicie budowany świat, w którym każdy znalazł dla siebie bezpieczny kąt.

– Ona nie może mi zabrać Rozalki – wyszeptał Adam.

Podeszłam do niego i bardzo mocno się przytuliłam.

– Tak się nie stanie, obiecuję ci. Będzie ciężko, ale poradzimy sobie – mówiłam jak w transie, ale chyba sama nie do końca wierzyłam w to, co mówię.

– Zostawiła nas jak bezpańskie psy. Nie oglądała się na to, że cierpimy, że jest nam ciężko i chcemy, by wróciła. Zostawiła swoje dziecko, swoją córkę, która każdego dnia dopytuje się, czemu mama jej nie kocha. A teraz pojawia się i chce udawać najlepszą mamuszkę!

– Nie pójdzie jej tak łatwo. Dziecko to nie przedmiot, o który możesz się upomnieć.

– A Rozalka? Jeżeli wybierze ją zamiast mnie? – W jego oczach zobaczyłam strach.

– Jesteś dla Rozalki całym światem i tak już zostanie. – Chciałam w to wierzyć.

Rozdział XV

*Człowiek to tajemnica – o miłości noszącej
znamiona zemsty, liście nazwisk zamkniętej
w drewnianej skrzyni i trudnych decyzjach*

Serce matki nie zapomina

Dawno nie słyszałam o kimś tak wyrachowanym – stwierdziła Dorota. Siedziała przy stole w mojej kuchni i kroїła świeżo zebrane śliwki. – Widać, że Adam ledwo się trzyma. Tak cholernie mi go żal. Porządny facet, a ciągle ma pod górkę.

– Oby Maciej znalazł dobre rozwiązanie – wypowiedziałam głośno życzenie i spojrzałam przez okno. Adam siedział z Maćkiem na werandzie. Rozmawiali o nagłym zjawieniu się Joanny i jej zamiarze odebrania Rozalki. Szukali sposobu wyjścia z tego impasu.

– Musi. Nawet sobie nie wyobrażam innej możliwości.

– Maciek pewnie ma nas już dosyć. A to sprawa adopcji, a to problemy Ewy i Marka, teraz Joanna. Ciągłe go wykorzystujemy.

– Przestań! Maciek cieszy się, że może pomóc. Dla niego to sprawdzian. Lubi wyzwania. Od wczoraj jest w świetnym humorze, bo wygraliśmy jedną sprawę w sądzie.

– Bez Renaty jako świadka? – zdziwiłam się.

– Nie mogliśmy jej odnaleźć. Dostała kilka wezwań, ale zapewne już od dawna jest za granicą i szybko jej nie znajdziemy. Zrezygnowaliśmy z jej zeznań.

– Twój były szef musiał mieć kiepski humor – zaśmiałam się.

– Gdyby mógł, zabiłby mnie wzrokiem. Ale moje na wierzchu. Sprawę wygrałam, a przy okazji dostałam niezłą kasę. Wiesz, co z nią zrobię?

– Pojedziesz na zasłużone wakacje? – zasugerowałam.

– Na wakacje to mnie zabierze ukochany mąż. Chcę te pieniądze zainwestować w nasze „Wrzosowisko”. Musimy iść do przodu. Franek Bojarski złożył nam świetną propozycję. Nie mówiłam ci wcześniej, bo miałaś na głowie rozprawę adopcijną. Teraz też masz problemy, ale powoli możemy zacząć podejmować nowe wyzwania.

– Dorota, ja tak nie mogę. To są przecież twoje pieniądze. Źle mi z tym będzie.

– Szanowna pani Alicjo – powiedziała groźnie i uniosła w górę nóż na znak, że teraz żarty się skończyły. – Źle to mi było do tej pory w tych cholernych pracach. Dusiałam się i nie miałam czasu dla rodziny. Dopiero we „Wrzosowisku” odżyłam i nigdy ci tego nie zapomnę.

– Zawsze marzyłam, żebyśmy razem pracowały – przyznałam szczerze.

– Dlatego stawiam na nas. Chcę inwestować. Potrzeba czasu, ale czuję, że będziemy na rynku czarnym koniem. Maciek dokładnie sprawdził propozycję Franka. Jest uczciwa.

– I co ja bym bez ciebie zrobiła? – rozczuliłam się jej postawą.

Jesteśmy balonami emocji w świecie pełnym ostrych igieł. Taka myśl naszła mnie zaraz po przebudzeniu. Z każdej strony może w nas uderzyć ktoś, kto nie życzy nam dobrze. Trzeba być ciągle czujnym. Ale są i takie osoby, przed którymi możemy zdjąć codzienną maskę i otworzyć na oścież swoje serce. Jednak to wymaga odwagi.

Adama nie było przy mnie. Siedział na werandzie i zamartwiał się. Nie spał całą noc. Wieczorem zadzwoniłam do Doroty, by rano jak najszybciej przyjechali. Potrzebowaliśmy wsparcia.

Byli równo po ósmej. Razem z Dorotą zaczęłyśmy robić konfitury. To zawsze pomagało na zszargane nerwy. Maciek od razu przeszedł do rzeczy i poprosił Adama, żeby opowiedział mu całą historię swojego związku aż do momentu, gdy Joanna porzuciła Rozalkę. Może to marne pocieszenie, ale przy okazji upewniłam się, że Adam czuje do niej już tylko żal i złość. Nie kocha jej.

W życiu są dwie miłości, ta pierwsza i ta prawdziwa. Ona była pierwszą, ja jestem tą prawdziwą. Czy to dobre pocieszenie?

– Maciek mówi, że będzie bardzo trudno – wyznał Adam. Siedział na werandzie zapatrzony w spadające liście. Nigdy nie widziałam go tak załamane.

– Musi być jakiś sposób. Bo jak to? Matka porzuca dziecko, po kilku latach wraca i co? Wszyscy udają, że nic się nie stało? – pytałam przerażona.

– To wciąż matka. Maciek mówi, że jak matka wykazuje chęć ponownego nawiązania relacji z dzieckiem, to sąd ma obowiązek jej w tym pomóc. Bo to jest matka! – wykrzyczał i zaczął nerwowo chodzić po werandzie.

– Adaś, obydwójce wiedzieliśmy, że taki moment może nadejść. Właśnie nastąpił. Nie poddamy się. Na pewno nie uda się całkowicie odebrać Joannie praw rodzicielskich, ale zrobimy wszystko, by Rozalka została z tobą – zapewniałam, mocno w to wierząc.

– A Rozalka? Jeżeli pewnego dnia stwierdzi, że chce iść do mamy? Bo tam jej lepiej lub nagle mama okaże się dla niej najważniejsza? Przecież ciągle o nią dopytuje! Jak wytłumaczysz tak małej dziewczynce, że jej matka jest po prostu podła i nieodpowiedzialna?

– Możemy jedynie być dobrej myśli i wierzyć, że Rozalka sama mądrze wybierze. Miłości nie da się udawać. Dziecko też zawsze wyczuwa, kto ma szczerą intencję.

– Rozalka będzie chciała się z nią zobaczyć. Co zrobię, gdy Joanna nagle przyjedzie do mojego domu, tak jak wczoraj, stanie przed nią i powie: hej, to ja, twoja mamusia, wróciłam, kocham cię bardzo mocno, wiesz? Co wtedy zrobię?

– Tak czy inaczej, ten moment nastąpi. Nawet jeżeli ukryjesz przed nią Rozalkę, to pójdzie do sądu, który na pewno może nakazać ich spotkanie.

– Niech to szlag wszystko trafi! Przekłęte życie! – denerwował się Adam.

– To dopiero początek. Musimy trzymać się razem i musimy być silni.

Nie przewidzieliśmy jednak, jak bardzo Joanna jest wyrachowana. Nic jej nie powstrzyma przed osiągnięciem celu.

Po południu pojechaliśmy razem po dzieci do szkoły. Chciałam, by Adam oderwał się na chwilę od zmartwień. Czekaliśmy ogromne zaskoczenie. Przed szkołą stała Joanna, a obok niej Rozalka i Michałek, którzy trzymali w dłoniach jakieś zabawki. Joanna śmiała się radośnie i głaskała córkę po włosach. Na ten widok Adam dostał furii. Zaparkował samochód i w jednej chwili był już przy Joannie. Pobiegałam za nim.

– Co ty tu do cholery robisz?! – wrzasnęła. Kilkoro nauczycieli wyjrzało przez okno, żeby zobaczyć, co takiego dzieje się przed szkołą.

– Spokojnie, Adam. Przyszłam zobaczyć się z córką. Rozalka jest

wspaniała, już ustaliłyśmy, że dziś razem się pobawimy – powiedziała ze sztucznym uśmiechem i spojrzała na córkę. – Taką ją zapamiętałam. Moja śliczna dziewczynka – dodała fałszywie.

Rozalka stała jak zaczarowana. Raz patrzyła na ojca, raz na matkę. Po jej twarzy było widać, że cała sytuacja całkiem ją przerasta. Pogubiła się. Ścisnęła w dłoniach wielką ręcznie szytą lalkę. Domyśliłam się, że to prezent od Joanny. Michałek tymczasem mocno przycisnął do siebie wielki samochód. Skąd Joanna wiedziała o Michałku? Stwierdziła, że dzieciom wystarczy dać prezent i problem załatwiony? Bezczelna!

– Masz minutę, by się stąd wynieść, rozumiesz? – ostrzegł Adam. – Jesteś zimną, wyrachowaną... – Rozpędzał się coraz bardziej w swojej nienawiści wobec Joanny.

– Adaś, proszę cię, tylko spokojnie – wtrąciłam w ostatniej chwili.

– Powiem ci tylko tyle, że możesz mnie poniżyć, wyzywać i co tam jeszcze sobie życzysz. Ty mnie nie interesujesz. Wróciłam do swojej córeczki. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Serce matki nie zapomina. Dziecka tym bardziej.

– Ty nie masz serca. Udowodniłeś to wiele lat temu. Zostawiłeś mnie i Rozalkę! Nie byliśmy ci potrzebni! – wyrzucił z siebie Adam. Rozalka się rozplakała. Po chwili Michałek. Nie rozumieli tej sytuacji i zwyczajnie się wystraszyli.

– Chodź, zabierzemy dzieci do domu. Nie powinny tego słuchać – zmartwiłam się. Wzięłam zapłakaną Rozalkę na ręce. Adam zaopiekował się Michałkiem.

– Nie pozwolę ci skrzywdzić mojej córki. Będziesz musiała zejść do piekieł do swoich kumpli po fachu. Może oni ci pomogą – wyznał Adam.

– Zrobię, co będzie trzeba. Córkę odzyskam. Mam do niej takie samo prawo jak ty. I nie pozwolę, by zajmowała się nią obca kobieta – zagroziła i spojrzała na mnie.

– Jak widać, obca kobieta ma dla Rozalki więcej serca niż pani – stwierdziłam.

– To się jeszcze okaże – powiedziała dumnie, wsiadła do samochodu i odjechała.

W domu bardzo długo nie mogliśmy uspokoić dzieci. Rozalka krzyczała, że jej mama wróciła, ale ona nie chce, by ktoś ją zabierał od taty. Michałek przeżywał z kolei, że ktoś na zawsze zabierze jego ukochaną siostrzyczkę. Gdy dzieci trochę ochłonęły, bardzo długo ze sobą rozmawialiśmy. I szczerze. Tylko to mogło nas wszystkich uratować.

– Co teraz będzie? Mama mnie zabierze z naszego domu? – zamartwiała się Rozalka.

– Tak się nie stanie. Obiecuję ci to – powiedział zdenerwowany Adam, patrząc z rozpaczą na swoją wystraszoną córeczkę.

– Czego chce od nas mama Rozalki? – dopytywał Michałek.

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale od teraz będziemy rozmawiać z wami o wszystkich ważnych sprawach. Nie będziecie się już martwić, dobrze? – upewniłam się.

– Nie, ale też nie chcemy kłótni z tą panią – zastrzegł Michałek.

– Mama wróciła i bardzo się z tego cieszę, ale chcę mieszkać z tobą, tatusiu – stwierdziła Rozalka i mocno wtuliła się w silne ramiona ojca.

Ten wieczór nie należał do spokojnych. Dzieci nerwowo spoglądały na drzwi. Jakby się bały, że za chwilę wejdzie Joanna i zabierze Rozalkę. Na szczęście w towarzystwie dwóch ukochanych babć odzyskały dobry humor. Zasnęły tuż po Wieczorynce zmęczone nawałem złych emocji w ciągu dnia.

Około dwudziestej drugiej zadzwoniła do Adasia dawna znajoma. Jeszcze z czasów, gdy jako młode małżeństwo razem z Joanną mieszkali w Warszawie. Była ich sąsiadką, a zarazem kustoszem muzeum, w którym Adam miał często wystawy. Chciała przekazać, że dzień wcześniej zjawiała się u niej znienacka Joanna i wypytywała o Adasia i Rozalkę. Widać było, że jest zdeterminowana i wróciła po to, by odzyskać córkę. Znajoma poleciła Adamowi, by był czujny i uważał. Uznała, że Joanna jest jeszcze bardziej przebiegła niż kiedyś i zdolna do działań, których nie da się przewidzieć.

– Ona nie odpuści. Mogę jej grozić, straszyć ją, ale i tak robi swoje. – Adaś siedział przy kominku i pogrzebaczem poruszał drewniane szczapy. Był załamany.

– Trzeba będzie walczyć. Nie wolno się poddawać. Musimy poruszyć niebo i ziemię, by popsuć jej szyki i pokazać, że dziecko nie jest rzeczą, po

którą można ot tak sobie wrócić – mówiłam przejęta.

– Tak zrobię. Rozmawiałem z Maćkiem, że od razu trzeba załatwić formalnie sprawę rozwodu. Nie chcę, by mnie cokolwiek z nią łączyło. Nawet jeżeli jest to tylko mało znaczący papier. Ona dla mnie nie istnieje – wyznał w nerwach.

– Kiedyś to musiało nastąpić. Dobrze wiedzieliśmy, że ona wróci.

– Już raz spieprzyła moje życie i rozbiła rodzinę. Drugi raz jej na to nie pozwolę.

Lista ludzi bez przeszłości

Przez kilka dni nic się nie działo. Nerwowo czekaliśmy, aż Joanna znowu przyjedzie. Tak się nie stało. Za to do Adasia odezwało się mnóstwo znajomych z dawnych lat z informacją, że Joanna o niego rozpytuje, chce się dowiedzieć, jak wygląda jego sytuacja zawodowa i prywatna. Stąd wiedziała o mnie, o Michałku, o powrocie Adama do uprawiania sztuki. Jednej z byłych koleżanek zwierzyła się, że przez przypadek obejrzała w telewizji wywiad z Adamem, którego udzielił podczas swojej wystawy na pułtuskim zamku. Przyznała szczerze, że zatęskniła za swoją rodziną i dawnym życiem. Finał tej historii jest nam znany.

Maciek doradził Adasiowi, by na razie zaczekał na kolejny krok Joanny. Można się było po niej spodziewać wszystkiego. Że pójdzie do sądu i będzie zaciekle walczyć o Rozalkę lub odpuści i znowu zniknie na kilka lat. Nie wiadomo, który scenariusz jest gorszy.

Adam zajął się pracą, a ja formalnościami związanymi z realizacją postanowień decyzji sądu o adopcji Michałka. Będzie nosił moje nazwisko, zatem trzeba wymienić dokumenty. Michałek bardzo się na to cieszy, wszystkim tłumaczy, że już oficjalnie jestem jego mamą. Bardzo cierpi z powodu Rozalki, która w ostatnich dniach jakby wycofała się z rodzinnego życia. Ciągle przesiaduje w swoim pokoju.

Na szczęście dwie osoby sprawiły, że nasze maluchy odzyskały humor. Znowu bez zapowiedzi przyjechał Jonas, co było dla nas wszystkich wielką

niespodzianką. Obsypał dzieci prezentami i obiecał, że zabierze je na wspaniałą wycieczkę do Warszawy. Pojechali następnego dnia. Jonas dostrzegł, że mamy jakieś nowe poważne problemy, dlatego nie chciał nam przeszkadzać, a przy okazji postanowił odciążyć nas w opiece nad dziećmi.

Drugim dobrym duchem naszych pociech jest Henryk. Ostatnio byliśmy u lekarza, który stwierdził, że jak tak dalej pójdzie, to jego noga jeszcze wiele lat będzie miała się dobrze. Odetchnęłam z ulgą, bo wizja amputacji mnie przerażała. Henryk też odzyskał humor.

Rozalka i Michałek przekonali go do czegoś, na co namawiali przez ponad rok. Skoro nie chciał ich zabrać do swojego schronu, wyprosili, żeby zrobił im podobny w moim sadzie. Henryk, który prawie odzyskał zdrowie, zgodził się na ten szalony pomysł.

Schron miał być mały, z niewielkim zagłębieniem w ziemi, byśmy cały czas mieli dzieci na oku. Miał być usytuowany tuż przy najstarszej jabłoni w sadzie. Uczuliłam Henryka na to, że zapewne, jak go już zbuduje, dzieciom po tygodniu schron się znudzi. Ale jak to mój sędziwy staruszek skwitował: „liczy się zabawa i wiele satysfakcji”. Przestałam więc się wtrącać.

Do zespołu dzielnych odkrywców dołączył Jonas. Śmiać mi się chciało, że dorosły facet jest bardziej podekscytowany niż dzieci. Przyznał, że dawno nie miał takich przygód. Jedna z nich wprowadziła nas w osłupienie.

– Alicja! Szybko! Chodź do sadu! – Jonas wbiegł do starego domu, wymachując na wszystkie strony rękami.

– Co się dzieje? – zapytałam wystraszona jego nagłym wtargnięciem.

– Chodź do sadu! Henryk coś znalazł, kiedy kopał doły pod schron. Dziwna sprawa. Mówi, że wreszcie rozwiązał zagadkę. Już dawno się domyślał, że chodzi o tę jabłoń.

– Ale którą?

Jonas mówił tak chaotycznie, że nie mogłam go zrozumieć.

– Twój dziadek ciągle pisał o niej w listach do mojej babci. W każdym liście o niej wspominał. O tej jabłoni. No wiesz, tej na końcu sadu. Chodź, zobaczysz, co znalazł Henryk!

– Zaczekaj na mnie! – zawołałam.

Dopiero kiedy Jonas wspomniał o dokumentach i starej jabłoni, coś mnie

wreszcie tknęło. Czyli co? Dokumenty były zakopane pod jabłonią?

Pobiegliśmy do sadu, gdzie przy starej jabłoni czekał rozemocjonowany Henryk. Dzieci od razu zaczęły krzyknąć, że znalazły skarb.

– Alicjo, to musi być to! Od dawna nad tym myślałem. Odkąd dałaś mi do przeczytania listy. W każdym z nich powtarzała się jedna informacja. Jan ciągle wspominał o starej jabłoni na końcu sadu i o tym, że jest to miejsce bezpieczne. A teraz sama zobacz! Tu na pewno są ukryte dokumenty.

Przegarnął szpadlem piach i oczom wszystkich ukazała się drewniana skrzynia z metalowymi okuciami.

– I co teraz? – zapytałam cicho.

Powróciły odległe wspomnienia. Zaczęły układać się w całość. Dziadek zawsze uwielbiał tę jabłoń. Ciągle tu siedział, jakby jej pilnował. Wiele razy powtarzał mi, żebym nigdy jej nie ścięła. Kazał dbać o sad.

– Jonas, pomóż mi. Wygrzebiemy ją z piachu i zaniesiemy na werandę – wydał polecenie Henryk. Był niesłychanie poruszony.

Skrzynia okazała się ciężka i trudna do wydobywania. Była duża, a metalowe okucia ważyły swoje. Odkopali ją całkiem i z wielkim trudem przenieśli na werandę.

Po chwili przyszedł z warsztatu Adaś i zaczął wypytywać, co robimy. Gdy Henryk powiedział mi o swoich podejrzeniach odnośnie do zawartości skrzyni, Adam spojrzał na mnie i aż pobladł. Domyślałam się, że dotąd gadanie o tajnych dokumentach tłumaczonych w obozie zagłady Stutthof przez mojego dziadka dla Elizabeth traktował jedynie jako rodzinną legendę. Teraz zobaczył, że to najprawdziwsza prawda.

– Nie da rady, wszystko stare i zardzewiałe. – Henryk próbował otworzyć skrzynię, ale mu się to nie udawało.

– Zaczekajcie chwilę. W budynku gospodarczym mam narzędzia. – Adaś wrócił po kilku minutach ze swoją magiczną skrzynką do zadań specjalnych.

– Boję się nawet pomyśleć, co jest w tej skrzyni – wyznałam szczerze.

– Alicjo, wreszcie mamy szansę na poznanie prawdy. To muszą być te dokumenty. Jan tyle razy mówił mi o starej jabłoni, pisał o niej do Elizabeth. To był ich tajny język. Gdy pisał o tym, że pod jabłonią jest bezpiecznie, miał na myśli to, że dokumenty są dobrze ukryte.

– Henryku, obyś miał rację – przyznałam z wielką nadzieją. – Adasiu, otwieraj, niech to się wreszcie skończy. Zaslugujemy na prawdę.

Adam długo majstrował przy zamknięciu skrzynki. Polewał je dziwnym, nieprzyjemnie pachnącym płynem. Gdy już wszyscy stracili nadzieję, nagle zamknięcie puściło i Adam podniósł w górę wieko skrzyni. Naszym oczom ukazała się paczka owinięta w szary papier i przewiązana sznurkami.

– To one! Taką paczkę miał przy sobie Jan, gdy ewakuowano obóz. Kazano nam iść nad Bałtyk. Załadowano nas na barki, by utopić nas w bałtyckich wodach. Ocaleliśmy. Miał ją przy sobie w Danii i zapewne wrócił z nią do Polski. Pamiętam. Szary papier i sznurek.

– Musimy otworzyć, inaczej się nie dowiemy, co zawiera – zdecydowałam.

Ostrożnie wyjęłam paczkę ze skrzyni i położyłam na znajdującym się na werandzie stoliczku. Dokładnie się jej przyjrzałam. Przetarte rogi szarego papieru wskazywały, że ktoś wielokrotnie ją rozpakowywał. Zapewne, by jeszcze raz przyjrzeć się jej zawartości. Może to dziadek? Albo wspólnie z Elizabeth dokładali do paczki kolejne dokumenty?

Delikatnie rozwiązałam parciany sznurek. Pobrudziłam sobie ręce. Rozwinęłam kolejne warstwy szarego papieru. Naszym oczom ukazały się dokumenty owinięte dodatkowo w cieką folię. Zdjęłam ją. Po chwili pierwszy z nich trzymałam w dłoni.

– Chwila... hmm... pisane na maszynie... Geburtsurkunde... Carl Wanke...

– To niemiecki akt urodzenia z tamtych czasów – wtrącił Jonas. – Pokaż go. – Wziął w dłonie dokument i uważnie czytał. – To chłopiec, urodzony czternastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w Hamburgu, pochodzenie niemieckie. – Odwrócił dokument na drugą stronę. Wytężył wzrok, by móc przeczytać litery. – Chłopiec, Wiesław Kowalski z Poznania.

– Pokaż... – Coś mnie zaniepokoiło. Jeszcze raz dokładnie przyjrzałam się literom. – To pismo mojego dziadka. On to pisał... – stwierdziłam przerażona.

– Zobaczmy, co jest dalej – zdecydował Jonas. Wyjął kolejne dokumenty.

– Tym razem dziewczynka. Agnes Weber, urodzona piątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w Kolonii, pochodzenie niemieckie. Z drugiej strony jest kolejny zapis, też twojego dziadka. Napisał: Dziewczynka, Jadwiga Solska z Łodzi. Data migracji: drugi tydzień października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku – wyczytał.

– Tu jest inne, dodatkowe pismo. Jakby opis załączonych aktów urodzenia.

– Alicjo, to jest naprawdę dziwne. To pismo też napisał twój dziadek – oznajmił Jonas i spojrzał po zebranych. – Chwila... już tłumaczę. Tu jest napisane: dzieci zdrowe, bez wszy, nie są zagłodzone. Matki nie żyją. Przywiezione w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Skierowane do rodzin na początku sierpnia. Brak problemów. Oddane w terminie – przeczytał i spojrzał na mnie.

– Co to jest? Tych dokumentów jest jeszcze bardzo dużo. Spójrz, tu jest cała lista z nazwiskami. Wymienione są bardzo małe dzieci, maksymalnie trzyletnie. Przy każdym mój dziadek coś dopisywał. Nie wiem, o co tu chodzi – wyznałam zrezygnowana. Nie mogłam pojąć, co robił mój dziadek z Elizabeth. Czy coś złego? Poczułam, że robi mi się słabo.

– A ja tak... – odezwał się Henryk, który do tej pory stał na uboczu i uważnie się przyglądał. – Wiem już, co robili Jan i Elizabeth i po co tłumaczyli te dokumenty.

– Wiesz? – zapytałam z niedowierzaniem. – Czy to coś złego?

– Nie, raczej coś, co wymagało nie lada odwagi – powiedział tajemniczo. – To lista dzieci, które zapewne Jan i Elizabeth uratowali przed śmiercią.

– Uratowali przed śmiercią? – powtórzyłam jego słowa.

– Tak. To podrobione przez nich akty urodzenia. Polskich dzieci. Czekają je pewna śmierć. Bo dzieci w obozie nie były do niczego potrzebne. Mogę się tylko domyślać, jak to wyglądało. Ich cały plan. Zapewne Elizabeth wykradała ze szpitala dzieci, które tam trafiły. Musiała mieć na miejscu współnika, który te dzieci wywoził poza obóz. Mógł to być jeden z żołnierzy albo ktoś z zaopatrzenia. Zanim to jednak nastąpiło, musiała podrobić dokumenty. Do tego świetnie nadawał się Jan, który znał język, a poza tym był kimś, komu Elizabeth mogła zaufać – wyznał Henryk.

– Podrabiali dokumenty polskich dzieci, by je uratować? – pytałam na tyle zdziwiona, że w żaden sposób nie mogłam sobie tego wyobrazić. – To gdzie są teraz te dzieci?

– Dziś to staruszkowie, pewnie niektórzy już nie żyją. Ale kiedyś były to dzieci, które dzięki odwadze Elizabeth i Jana dostały drugie życie i trafiły do niemieckich rodzin. Zapewne do dziś nie wiedzą, kim są i skąd pochodzą – powiedział w zamyśleniu Henryk.

– Nie wierzę – odezwał się Jonas. – Moja babcia i Jan robili wszystko, by pomóc wydostać z się z tego piekła małym dzieciom. Dlatego babcia nie chciała nic o tym mówić. Bała się, co będzie, gdy prawda wyjdzie na jaw. Po śmierci nikt nie może jej nic zrobić.

– Tylko co my z tym zrobimy? Przecież to są dokumenty tak wielkiej wagi, że pewnie nawet do końca nie jesteśmy tego świadomi. To sprawa dla historyków, władz obydwu państw i wreszcie tych wszystkich ludzi, których nazwiska widnieją na tej liście. Teraz w naszych rękach jest ich przyszłość. I decyzja, czy damy im poznać prawdę – dodałam.

Życie to jedna wielka tajemnica

Odnalezienie tych dokumentów było porównywalne z trzęsieniem ziemi. Nikt z nas nie spodziewał się, że będą dotyczyć spraw życia i śmierci. Tak to można nazwać. Działania Elizabeth i mojego dziadka Jana przyniosły ocalenie kilkuset dzieciom. Dokładne przejrzenie dokumentów zajęło nam cały wieczór. Prawie na każdym z nich znalazłam odręczne pismo mojego dziadka. Jakby był stróżem dzieci, które znalazły się w obozowym piekle. Lista ludzi bez przeszłości. To dobre określenie. Pewnie część z nich dziś jeszcze żyje i nadal nie ma pojęcia, kim jest. Nie znają swojego pochodzenia ani imion biologicznych rodziców. Nie mają świadomości, gdzie są ich prawdziwe korzenie. A taka wiedza należy się każdemu człowiekowi, prawda?

Różne nazwiska, różne imiona. Urodzeni w miastach i małych miejscowościach w całej Polsce. Łączył ich jedynie wiek. Małe dzieci, które nie mogły pamiętać domu rodzinnego. Pozbawiono je najcenniejszej rzeczy,

własnej tożsamości. Skradziono im najdroższy skarb. Nie znać domu ani rodziny, to tak jak nie mieć korzeni. A jak wiadomo, korzenie dają skrzydła na całe życie.

Im więcej wiemy, tym więcej pozostaje do odkrycia.

Z nami jest teraz podobnie. Wreszcie odkryliśmy tajemnicę dokumentów „schowanych pośród polskich drzew na polskiej ziemi”. Strzegła ich stara jabłoń. Dochowała tajemnicy. Teraz od nas zależy, co stanie się dalej.

– Trzeba to wszystko bardzo dobrze przemyśleć. Posprawdzać. Najlepiej wziąć najpierw jedną osobę i zobaczyć, czy naprawdę istniała – tłumaczył Jonas.

– A potem? Co będzie, jeśli potwierdzimy autentyczność dzieci z listy? Przecież nie możemy milczeć. Czy ukrywanie takich informacji nie jest przestępstwem? – zmartwiłam się.

– Przestępstwem raczej nie – zasugerował Henryk. – Janowi i Elizabeth też nic nie mogą już zrobić. Ewentualnie dać medal za ocalenie życia tak wielu dzieciom.

– Nie róbmy niczego pochopnie. Proponuję na razie się ze wszystkim wstrzymać. Trzeba bardzo dobrze zabezpieczyć te dokumenty. Na spokojnie podejmiemy decyzję, co dalej z nimi zrobimy. Trzeba poszukać jakiejś organizacji, która by nam w tym pomogła. Wiedzą, co robić z takimi przypadkami – rozważałam głośno możliwości naszego działania.

– Nie, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Taka organizacja albo fundacja, cokolwiek to będzie, zechce nam je od razu zabrać. Zasłonią się przepisami, procedurą, koniecznością zbadania dokumentów. A co się stanie, jak je zabiorą? – zmartwił się Henryk.

– Pochopne działanie nic tu nie da. Podejźmy do tego spokojnie. Na własną rękę sprawdzę, co tylko będę mógł – stwierdził Jonas.

– Czeka nas kolejny trudny czas – wyszeptałam zamyślona.

Jonas przez kilka następnych wieczorów wpatrywał się w zdjęcie swojej babci Elizabeth i mojego dziadka Jana. Chyba próbowała pojąć, dlaczego podjęli się tak odważnego działania, narażając tym samym swoje życie. Henryk zaszył się w schronie. Powiedział, że potrzebuje ciszy, by wszystko przemyśleć. Przeszłość wciąż się o niego upominała. Była jak klątwa, która

cięży nad człowiekiem w każdej godzinie życia.

Na mnie czekało rozwiązanie jeszcze jednej tajemnicy. Czy jestem siostrą Ewy? Z tym pytaniem kładłam się spać i witałam nowy dzień. W kalendarzu skreślałam kolejne dni, które zbliżały mnie do prawdy.

Spotkałam się z Ewą na warszawskiej Starówce. Obie byłyśmy bardzo zdenerwowane. Od razu pojechałyśmy do kliniki. Po krótkiej wymianie uprzejmości z pielęgniarką obie dostałyśmy do rąk białe koperty. Ich zawartość miała zdecydować o naszej przyszłości. Wyszłyśmy na skwer przed budynkiem i usiadłyśmy na ławce. Każda z nas otworzyła kopertę i czytała. Zapadła cisza.

– Jesteśmy siostrami – wyszeptałam.

– Tak, nie ma żadnych wątpliwości. Jesteśmy siostrami – stwierdziła Ewa.

– Czyli tajemnicę naszej rodziny możemy uznać za rozwiklaną. – Sama nie wiem, czy powiedziałam to z ulgą, czy z pewnym żalem.

Potwierdziło się, że mój ojciec zdradził mamę, omal nie rozbił naszej rodziny, a w dodatku porzucił swoje dziecko. Czułam w sobie jakąś pustkę. Na idealnym wizerunku rodziny, który niosłam w pamięci przez całe dorosłe życie, na zawsze już zostanie rysa. Zyskałam tylko jedno. Siostrę, o której tak zawsze marzyłam.

Pojechałyśmy do Pniewa, by przekazać innym wiadomość. Nie wiedzieli, jak mają reagować. Próbowali się cieszyć, ale sytuacja była niezręczna. Za dużo wrażeń w ostatnim czasie. Zbyt wiele odkrytych tajemnic. Za dużo żalu wobec przeszłości.

Ewa poprosiła, bym zaprowadziła ją na grób jej wuja. Chciała się pomodlić, a zarazem podziękować, że był jedyną osobą w jej życiu, która ją wspierała.

Przy grobie spotkałyśmy panią Reginę Sokolik, była gospośnią księdza. Opowiedziała Ewie o przeszłości, o jej matce i wuju i o tym, że był bardzo dobrym człowiekiem, tylko życie wystawiło go na ciężką próbę. Poprosiła, by Ewa starała się żyć szczęśliwie i nie skupiała się na rozliczaniu przeszłości. Obiecała, że będzie zawsze dbać o grób jej wuja i zachęcała, by Ewa czasami do niej zadzwoniła. To spotkanie było potrzebne im obu. Ewa nie chciała iść na grób naszego ojca. Powiedziała, że nie potrafi mu

wybaczyć. Wyznała, że kupiła właśnie małe mieszkanie w Warszawie i chce ułożyć sobie życie. Markowi zapłaciła sporo pieniędzy z majątku, który dostała w spadku po wuju. Wierzyła, że były partner da jej wreszcie święty spokój. Była tym wszystkim okropnie zmęczona.

– Nie obraż się, Alicjo, ale muszę to wszystko poukładać sobie w głowie – powiedziała po wyjściu z cmentarza.

– Rozumiem cię. Dla mnie też to jest zaskoczeniem. Niełatwo przyjąć do wiadomości, że ma się siostrę. Zawsze o niej marzyłam. Myślałam, że jakbym miała rodzeństwo, to wypełniłaby się pustka w moim życiu. Teraz mam rodzinę, ale wcześniej było bardzo ciężko.

– Chciałam ci bardzo podziękować za pomoc, ale i przeprosić. Przeze mnie miałaś wiele problemów.

– W porządku. Od tego ma się przecież siostrę, prawda? – zażartowałam, ale wyszło jakoś tak niezręcznie. Ciężko nam się ze sobą rozmawiało. Jak zupełnie obcym ludziom.

– Pewnie nie tego ode mnie byś oczekiwała, ale muszę na jakiś czas odciąć się od tego wszystkiego. Przemyśleć, zastanowić się i zdecydować, co dalej zrobić – wyznała i spojrzała na mnie wzrokiem osoby, która przeprasza za podjętą decyzję. Zrozumiałam, o co jej chodzi.

– Będę na ciebie czekała. Masz mój numer, wiesz, gdzie mieszkam, zawsze pomogę. Jednak decyzję musisz podjąć sama.

– Przepraszam, jeśli cię zawiodłam – stwierdziła.

– Możesz być spokojna. Nie oczekuję wiele. Przemyśl wszystko i szczerze odpowiedz sobie na dręczące cię pytania. Ja zawsze będę w Pniewie, tu jest mój dom.

Chwilę jeszcze rozmawiałyśmy. Spadały na nas jesienne liście, znak przemijania.

Wynik badania DNA oznaczał dla nas nowy początek. Trudny, bo jeśli chodzi o relacje między ludźmi, to nigdy nie jest ani idealnie, ani zbyt łatwo. Na pożegnanie Ewa posłała mi serdeczny uśmiech i zapewniła, że się odezwie.

Zbyt dużo w życiu przeszłam, by tak łatwo wierzyć ludziom i ich obietnicom. Czas. On może nam pomóc lub zaszkodzić.

Wróciłam do starego domu. Stojąc przy bramie, dokładnie mu się przyjrzałam. O tej porze roku wyglądał przepięknie. Na werandzie siedział Adaś, obserwując bawiące się na podwórku dzieci. Nagrały mnóstwo kopczyków jesiennych liści i przez nie skakały. Zabawę miały wyśmienitą.

Przypomniałam sobie, jak na werandzie siedzieli babcia z dziadkiem, a rodzice razem ze mną grabili liście. Wtedy wydawało mi się, że moja rodzina jest najlepsza na świecie, a ja mam tyle szczęścia w życiu, że starczy mi go na wiele kolejnych lat. Jak mogłam tak bardzo się pomylić?

Szczęście jest jednak złudne. Przychodzi i częstuje nas pstryczkiem w nos. Jest ulotne, nie daje żadnej gwarancji, w razie porażki pozostawia żal i wielką pustkę.

Powrót do starego domu dał mi szczęście. Postawił też na mojej drodze zdarzenia i ludzi, którzy na każdym kroku mnie zaskakują. Może nie warto niczego planować? Niczego oczekiwać? Lepiej żyć i każdy dzień traktować jak nową szansę. Tak jest łatwiej. Mniej oczekiwań to więcej szczęścia.

– Człowiek to jedna wielka tajemnica. Niczego nie można być pewnym – rzuciłam od niechcena i usiadłam na bujanym fotelu obok Adama.

– Masz na myśli Ewę? – zapytał i chwycił moją dłoń. Był blisko.

– Raczej wszystkich, którzy w ostatnim czasie bardzo dużo namieszali w naszym życiu. Ewę, Joannę, Elizabeth i mojego dziadka. Czy kiedyś wreszcie to się skończy?

– Obawiam się, że to dopiero początek. Joanna dziś zadzwoniła. Składa pozew do sądu. Czeka mnie walka o Rozalkę – wyznał Adam. Na jego twarzy dostrzegłam strach i smutek.

– Razem poradzimy sobie ze wszystkim – pocieszyłam go. – Tylko obiecaj mi jedno: nic ani nikt nie popsuje naszego związku.

– Alicjo, nigdy w życiu nic nam nie przeszkodzi. Ani perfidne zagrywki Joanny, ani żadne kolejne tajemnice – powiedział to z wielkim spokojem. Uwierzyłam mu. Jak zawsze.

– Czasami mam dość – wyznałam szczerze. – Dość tajemnic starego domu, sekretów mojej rodziny i wreszcie tego, że ciągle mam pod górkę. To dla mnie za wiele.

– Nic się nie dzieje bez przyczyny. Widocznie tak musiało być –

stwierdził Adam.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Mamy siebie. Większej nagrody nie potrzebuję. Jesteście moim przeznaczeniem – wyznałam i położyłam głowę na ramieniu Adama. Siedzieliśmy na drewnianej werandzie, w powietrzu unosił się zapach jesieni, a wszędzie było słyhać radosny śmiech naszych dzieci. Zamknęłam oczy. Tak właśnie zawsze wyobrażałam sobie szczęście.

Powrót do starego domu w Pniewie był szansą. Ta niewykorzystana boli najbardziej. Przyjechałam, spróbowałam żyć w tym miejscu i jak się okazało, właśnie tu znalazłam wszystko, za czym tak bezskutecznie goniłam przez całe życie. Dom, dzieci, rodzinę, własny kąt. Nauczyłam się wiele, dałam od siebie jeszcze więcej, otrzymując w zamian miłość, przyjaźń, wsparcie i bezpieczeństwo. Dziękuję za każdy wschód słońca, uśmiech moich dzieci, czułość mężczyzny, który jest całym moim światem i dom, który dał mi silne korzenie. Dzisiaj jest dniem szczęścia. Wczoraj już dawno minęło, a jutro dopiero nadejdzie.

Mimo wszystko dziękuję za przeszłość, bo bez niej nie byłoby mnie takiej, jaka jestem dzisiaj. Nie mogę jej zmienić, ale za to ona powraca, by zmienić mnie. Nie jest też prawdą, że od przeszłości można się odciąć. To banał. Jednak przeszłość nie może być wymówką do zrujnowania sobie przyszłości. Na pewno uczy, jakich błędów nie popełniać. Czasami potrafi porządnie zaskoczyć. Jestem tego przykładem. Wciąż uczę się na nowo przeszłości swojej rodziny. Z kolejnych ciemnych zakamarów wyłaniają się niewygodne fakty, zaskakujące zdarzenia i ludzie, których miało w ogóle nie być. Są jak cień. Podążają za mną krok w krok. Stoją za nimi tajemnice. Tajemnice starego domu...

Epilog

Historia pokoleń pisania wspomnieniami

Wnętrze domu wzbudzało strach. Alicja stała pośrodku korytarza, w którym było mnóstwo misternie utkanych pajęczyn. Ze ścian odstawała tapeta, na podłodze leżały obrazy, potłuczone szkło, podarte ubrania, zniszczone książki. Panował półmrok, który co jakiś czas rozświetlały błyskawice. Na świecie szalała burza. Potężne pioruny waliły w sąsiadujące z domem drzewa. Wiatr kołysał nimi na tyle mocno, że rytmicznie uderzały gałęziami w szyby. W powietrzu unosił się zapach staroci, zgnilizny i suszonych ziół wiszących u sufitu.

Alicja wzdrygnęła się na samą myśl, że ktoś tu może mieszkać. Spojrzała w głąb ciemnego korytarza, który prowadził do trzech pomieszczeń. Uchylone drzwi zdawały się zapraszać do środka. Podeszła bliżej. Zajrzała przez szparę. Nikogo tam nie było. Tylko ciemność. Ostrożnie weszła do pokoju. Dostrzegła stojące pośrodku biurko i skórzany fotel. Na ścianach wisiały zdjęcia zupełnie obcych ludzi. Poczowała się nieswojo, w tym miejscu było coś przerażającego. Wiatr przerzucał kartki leżącego na biurku albumu. Przyjrzała się mu uważnie. Przerazona zaczęła szybko wertować jego kolejne strony. Szybko dostrzegła, że są w nim zdjęcia z różnych etapów jej życia. Ułożone chronologicznie.

Pierwsze ukazujące ją jako małą dziewczynkę, siedzącą w wózku wśród kwitnących drzew w sadzie. Obok rodzice i dziadkowie. Na drugim Alicja w kolorowej sukience na łące. Miała tu może ze trzy lata. I kolejne zdjęcia: Alicja na kolanach ukochanego dziadka, z mamą na grzybach, pierwsze zdjęcie po przeprowadzce do Warszawy, rozpoczęcie roku szkolnego, zdjęcie komunijne, zdjęcie klasowe. Wreszcie Alicja jako nastolatka na koloniach, zdjęcie z rówieśnikami na wycieczce w górach. Początek roku akademickiego na studiach, pierwszy wyjazd studencki, wśród kwiatów w przyjacielskim uścisku z Dorotą. W końcu zdjęcie ze ślubu z Pawłem, podróż poślubna, wspólne święta.

Na kolejnych stronach nie było już nic. Alicja poczuła strach. Nerwowo szukała następnych zdjęć. Zatrzymała się na tym, które przedstawiało ją na

werandzie starego domu w Pniewie. Pośród donic z kwiatami. Odetchnęła z ulgą. Przez chwilę pomyślała, że ktoś chce wymazać z jej wspomnień etap przeprowadzki do starego domu i rozpoczęcia życia, o którym zawsze marzyła. Uspokoila się. Na kolejnych zdjęciach dostrzegła siebie w towarzystwie Adama, Rozalki i Michałka. Była też babcia Jasia, Henryk, Jonas, pani Irenka i pan Leszek, Basia z rodziną, Dorota ze swoją gromadką. I stary dom, który w otoczeniu wiekowych świerków był przystanią dla tych wszystkich ludzi szukających bezpiecznego miejsca.

Nagle coś ją zaniepokoiło. Po kilku pustych stronach znowu natrafiła na zdjęcia. Nie miały nic wspólnego z wcześniejszymi. Były przerażające. Na jednym z nich dostrzegła kobietę. Olbrzymi kaptur zasłaniał połowę jej twarzy. Uśmiechała się szyderczo. Trzymała w dłoniach zegar, który miał wyrwane wskazówki. Nie odmierzał czasu. Kobieta stała z nim nad urwiskiem. W dole był skalisty brzeg, o który rozbijały się fale rzeki...

Alicja obudziła się z koszmarne go snu. Usiadła na brzegu łóżka i nerwowo rozejrzała się po pokoju. Obok spokojnie spał Adam. Zaczęła sobie powtarzać, że to tylko zły sen i nie ma nic wspólnego z jej życiem. Wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Udała się do pokoju dzieci, by sprawdzić, czy mają dobrą noc. Spały. Na ich twarzach dostrzegła delikatny uśmiech, który przegonił jej strach. Poczuła, że wszystko wraca na swoje miejsce. Wyjęła z szafy rodzinny album. Usiadła w salonie przy kominku, w którym powoli dopalało się drewno. Przeglądała zebrane w nim fotografie. Te z dawnych lat, pokazujące życie pradziadków, dziadków i rodziców, oraz te aktualne, na których jest uwieczniona jej wspaniała rodzina ze starego domu.

Podziękowała w myślach, że to był tylko zły sen. Pogładziła dłonią swoje ulubione zdjęcie. Ona, Adam i dzieci. Jej rodzina. Tyle się musiało w życiu wydarzyć, by trafiła do Pniewa, do swojego starego domu. To na pewno było przeznaczenie. Ten dom był początkiem dla wielu ludzi. Przystanią, do której się powraca z najdalszej wędrówki. Ma wiele tajemnic. Jedne zaskakują, inne przerażają. Ale wciąż jest domem, w którym schronienie znajdują kolejne pokolenia. Łączy je jedno. Niezlomna wiara w drugiego człowieka, ratowanie przed zapomnieniem wspólnej przeszłości i zadanie tworzenia dobrej przyszłości. Wciąż na nowo tworzą historię. Pokolenia ze starego domu...

*Tam jest dom Twój ukochany, gdzie jest miłość Twoja,
Wspólnych życzeń dla przyszłości nic nie pokona.*

*Tam witają bliskich ludzi ciepłe spojrzenia,
Ich obecność chroni Ciebie od zapomnienia.*

*W szalonym pędzie czas zatoczył wielki krąg,
Na mojej mapie znów jest dzisiaj stary dom.*

Słowo od autorki

Drogie Czytelniczki! Drodzy Czytelnicy!

Przyznam się Wam, że jestem niezwykle szczęściarą! Wiecie dlaczego? Ponieważ moja pasja pisania daje mi ogromne spełnienie. A powstała z tęsknoty. Za czym? Za opowiadaniem historii.

Pracowałam w różnych miejscach: w szkole, w korporacji, na uczelni, w fundacjach, był też epizod pracy za granicą. Te zajęcia miały zawsze jeden wspólny mianownik. Był nim człowiek. Doświadczenie w pracy z ludźmi to moje największe bogactwo. Uczyłam, szkoliłam, doradzałam. Przez tych kilkanaście lat wysłuchałam mnóstwa historii. Jedne wzruszały, dawały do myślenia, skłaniały do marzeń. Inne poprawiały humor, napełniały energią i pozwalały wierzyć, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wtedy narodziła się moja tęsknota. Chciałam te historie zatrzymać, sprawić, by pozostał po nich ślad. Spisywałam je zatem. Były inspiracją dla moich powieści. Bo pisanie książek to nic innego jak opowiadanie historii.

Dotąd myślałam, że już nic piękniejszego mi się nie przydarzy. A jednak życie znowu pozytywnie mnie zaskoczyło. Okazuje się, że jest coś równie ważnego jak pisanie powieści. Kontakt z Wami, Drodzy Czytelnicy. Pamiętam pierwszą wiadomość od swojej czytelniczki. I radość, którą mi wtedy sprawiła! Z każdym dniem tych wiadomości było coraz więcej. Pisali czytelnicy z różnych miast i miejscowości w Polsce, a nawet za granicą. Dawały mi one niezwykle satysfakcję i motywowały do pisania. Dziękuję za każdą z nich z całego serca!

Pisząc te słowa, siedzę w swoim starym domu w Pniewie. W kominku dogasa ogień, otacza mnie przyjemna cisza. Za oknem wieje wiatr, strącając z drzew kolorowe liście. Kocham jesień, jest dla mnie symbolem radości. Myślę sobie, że człowiek zawsze wraca tam, gdzie zaczęła się jego historia. Mieć dom, znaczy tyle, co mieć wiele wspomnień, życzliwych ludzi wokół i pewność, że są w życiu stałe punkty.

W tym miejscu chciałabym serdecznie podziękować tym wszystkim, dzięki którym spełniam swoje marzenia i piszę powieści. Zatem bardzo serdecznie dziękuję:

Moim Rodzicom, Danucie i Grzegorzowi Gołębiowskiemu, za to, że wierzą w każdy mój pomysł.

Nikodemowi Muszyńskiemu, za ogrom wsparcia i porady prawne! Dzięki Tobie poznałam prawne niuanse adopcji dziecka przez osobę samotną.

Pani profesor Teresie Zaniewskiej, za to, że kiedyś dała mi ogromną szansę rozwoju.

Pani Halinie Witkowskiej, za to, że tak wspaniale zarządza Kuźnią Kurpiowską w Pniewie i zawsze służy mi dobrą radą.

Mieszkańcom Pniewa, Pułtуска i Wyszkowa, za szczególną dbałość o kulturę regionu i wielką serdeczność dla wszystkich osób, które odwiedzają moje rodzinne strony.

Pani redaktor Małgorzacie Czarzasty, za wsparcie, dobre słowo i wyjazd na Mazury. Pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, za rzetelną i wnikliwą współpracę przy redakcji książki oraz ważne wskazówki.

Panu Rafałowi Gilowi, za olbrzymią pomoc w organizacji spotkań autorskich i ciekawe rozmowy w podróży.

Agnieszce Średnickiej, Katarzynie Mróz, Sylwii Słojkowskiej-Affelskiej, Annie Rosińskiej i Adamowi Wolańskiemu, za nieustającą motywację i pomoc.

Wydawnictwu MUZA SA, za opiekę i piękne wydawanie moich powieści.

Członkom mojej grupy na Facebooku *Domowe zacisze Ilony Gołębiowskiej i jej przyjaciół* – mocno mnie motywujecie, dajecie siłę i rozbawiacie do łez!

Władzom Pułtуска – panu burmistrzowi Krzysztofowi Nuskiewiczowi i pani wiceburmistrz Róży Krasuckiej, oraz władzom Wyszkowa – panu burmistrzowi Grzegorzowi Nowosielskiemu, za wsparcie przy organizacji spotkań autorskich i ich promocję.

Blogerkom, które czytają moje powieści i napisały o nich kilka serdecznych słów. Wykonujecie wspaniałą pracę, pokazując, że czytanie to styl życia!

Przedstawicielom lokalnych mediów, za wsparcie w promocji powieści oraz wywiady i relacje ze spotkań autorskich, w szczególności: pani redaktor Izabeli Koba-Mierzejewskiej i panu redaktorowi Ryszardowi Marutowi z „Tygodnika Ciechanowskiego”; pani redaktor Annie Morawskiej i panu redaktorowi Lechowi Chybowskiemu z „Pułtuskiej Gazety Powiatowej”; pani redaktor Justynie Pochmarze z „Wyszkowiaka”; pani redaktor Elwirze Czechowskiej z „Tuby Wyszkowa”; panu Jackowi Szymanikowi z „Wyszków Moje Miasto”; pani redaktor Elżbiecie Borzymek i zespołowi redakcyjnemu „Nowego Wyszkowiaka”; pani redaktor Ewie Dąbek i pani redaktor Grażynie Dzierżanowskiej z „Pułtuszcza”.

Dziękuję też Wam, Drodzy Czytelnicy, za to, że sięgnęliście po *Tajemnice starego domu*. Mam nadzieję, że powieść dostarczyła Wam wielu emocji i wzruszeń.

A ja? Zamykam się w starym domu i piszę! Mam jeszcze do opowiedzenia wiele historii!

Zapraszam! Skontaktujcie się ze mną i napiszcie kilka dobrych słów.

www.ilonagolebiewska.pl

www.facebook.com/golebiewska.ilona.pisarka

kontakt@ilonagolebiewska.pl

Pozdrawiam Was serdecznie

Ilona Gołębiewska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz